

POWIEŚĆ HISTORYCZNO-PRZYGODOWA  
AUTORA BESTSELLERÓWYCH THRILLERÓW

JAMES PATTERSON

ANDREW GROSS

---

KRZYŻOWIEC

---





**GROSS JAMES  
PATTERSON ANDREW  
Krzyzowiec**

# JAMES PATTERSON ANDREW GROSS

## PROLOG

### ODKRYCIE

Doktor Alberto Mazzini, w brązowym tweedowym garniturze i ciemnych okularach w sztykretowych oprawkach, przepchnął się przez hałaśliwy tłum rozgorączkowanych dziennikarzy, którzy okupowali schody wiodące do Muzeum Historycznego w Boree.

–Może pan coś powiedzieć o tym artefakcie? Czy jest prawdziwy? Czy dlatego pan tu przybył? – nalegała jedna z reporterek, podstawiając mu pod nos mikrofon z logo stacji CNN. – Czy przeprowadzono testy DNA?

Doktor Mazzini był rozdrażniony. W jaki sposób te prasowe szakale się dowiedziały? Niczego na temat znaleziska nie potwierdzono. Zniecierpliwionym ruchem ręki odprawił reporterów i operatorów kamer.

–Tędy, doktorze – powiedział jeden z pracowników muzeum. – Proszę do środka. Wewnątrz czekała na Mazziniego drobna, ciemnowłosa kobieta w wieku około czterdziestu pięciu lat, ubrana w czarny spodnium. Zachowywała się niemal uniesienie w obecności sławnego gościa.

Dziękuję za przybycie. Nazywam się Renee Lacaze, jestem dyrektorem muzeum. Próbowałam zapanować nad prasą, ale,... – Wzruszyła ramionami. – Węszą wielkie wydarzenie. Jakbyśmy znaleźli co najmniej bombę atomową.

Jeśli odnaleziony przedmiot jest prawdziwy – rzekł beznamytnie Mazzini – to znaleźliście coś ważniejszego niż bomba atomowa.

W ciągu minionych trzydziestu lat Alberto Mazzini, jako dyrektor Muzeum Watykańskiego, angażował swój autorytet w orzekanie o autentyczności każdego ważnego znaleziska o tematyce religijnej: tablic z wrytymi napisami, wykopanych w zachodniej Syrii, a przypisywanych – jak sądzono – apostołowi Janowi, pierwszej biblii Vericotte'a... Miał swój udział w wykryciu setek falsyfikatów. Teraz jednak wypoczywał wśród skarbów Watykanu.

Renee Lacaze poprowadziła Mazziniego wąskim piętnastowiecznym korytarzem, wyłożonym kafelkami, które zdobiły różnorodne herby.

–Powiedziała pani, że relikwię znaleziono w odkopanym grobie? – spytał Mazzini.

–W centrum handlowym... – Lacaze się uśmiechnęła. – Nawet w śródmieściu Boree roboty trwają dzień i noc. Buldożery dokopały się do czegoś, co w dawnych czasach było zapewne kryptą. Gdyby przy tym nie rozbiły kilku sarkofagów, nigdy byśmy tego nie znaleźli.

Pani Lacaze zaprowadziła dostojnego gościa do małej windy pojechała z nim na trzecie piętro.

–Grób należał do dawno zapomnianego księcia, który zmarł w tysiąc dziewięćdziesiątym ósmym roku. Przeprowadziliśmy bezzwłocznie testy kwasowe i fotoluminescencyjne. Wiek się zgadza. Z początku dziwiliśmy się, że cenna relikwia sprzed tysiąca lat, pochodząca z odległego kraju, została złożona w jedenastowiecznym grobie.

–I do jakich wniosków doszliście? – zainteresował się Mazzini.

–Wygląda na to, że ów książę brał udział w wyprawie krzyżowej. Wiemy, że poszukiwał relikwii z czasów Chrystusa. – Doszli do drzwi jej biura. – Radzę panu wstrzymać oddech. Za moment zobaczy pan coś niezwykłego.

Artefakt, jak przystało naprawdę cennej rzeczy, skromnie leżał na zwykłym, białym prześcieradle na stole laboratoryjnym.

Mazzini zdjął okulary przeciwsłoneczne. Nie musiał wstrzymywać tchu, ponieważ to, co ujrział, odebrało mu dech. Boże, toż to prawdziwa bomba atomowa!

–Proszę się temu przyjrzeć. Tam jest napis.

Dyrektor Muzeum Watykańskiego pochylił się nad przedmiotem. Tak, to możliwe. Wszystkie cechy się zgadzały. Napis był po łacinie.

Zmrużył oczy, żeby go odczytać. „Akka, Galilea...”. Obejrzał dokładnie cały artefakt. Wiek się zgadzał. Znaki również. Odpowiadały opisowi w Biblii.

Dlaczego jednak został schowany tutaj?

–To jeszcze niczego nie dowodzi – powiedział.

–Ma pan oczywiście rację. – Renee Lacaze wzruszyła ramionami. – Ale, doktorze... ja stąd pochodzę. Mój ojciec urodził się w dolinie, podobnie jak jego ojciec i ojciec jego ojca. Od wieków krążyły tu legendy... na długo, nim ten grób został odkryty. Każde dziecko w Boree zna opowieści o tym, jak relikwia znalazła się przed dziewięciuset laty tu, w Boree.

Mazzini widział setki podobnych rzekomych relikwii, tym razem jednak poczuł niezwykłą moc promieniującą z przedmiotu leżącego przed nim na stole. Pod wpływem przemożnej siły ukląkł na kamiennej posadzce.

Zachował się jak ktoś, kto znalazłby się w obecności Jezusa Chrystusa.

–Wstrzymałam się z zadzwonieniem do kardynała Perraulta w Paryżu do czasu pańskiego przybycia – oznajmiła Lacaze.

–Zostawmy Perraulta – odparł Mazzini, zwilżając wyschnięte wargi. – Zawiadomimy papieża.

Nie mógł oderwać oczu od niewiarygodnej relikwii, która leżała na zwykłym, białym prześcieradle. To było więcej niż ukoronowanie jego kariery. To był cud.

Jest pewien szkopuł – powiedziała pani Lacaze.

Co takiego? – wykrztusił. – Jaki szkopuł?

Legenda głosi, iż ta bezcenna relikwia była tu, ale nie należała do księcia, lecz do człowieka z nizin społecznych.

W jaki sposób człowiek niskiego stanu mógł stać się właścicielem tak cennego przedmiotu? Ksiądz? A może złodziej?

Nie. – Brązowe oczy Renee Lacaze zrobiły się większe.

–To był błazen.

**CZĘŚĆ 1**  
**POCZĄTKI HISTORII**  
**ROZDZIAŁ 1**

*Velle du Pere, wioska w południowej Francji, rok 1096*

Zaczęły bić dzwony.

Donośne, coraz szybsze uderzenia – w połowie dnia – rozbrzmiewały echem w całej wiosce.

W ciągu czterech lat, odkąd się tu osiedliłem, tylko dwa razy słyszałem bicie w środku dnia. Pierwszy raz, kiedy dotarła do nas wiadomość, że umarł syn króla. Drugi – kiedy konni z Digne, wysłani przez wroga naszego pana, przeczesali wieś, zostawiając osiem trupów i paląc niemal wszystkie domy. Co się dzieje?

Pośpieszyłem do okna na piętrze karczmy, żeby zobaczyć, co się stało. Ludzie biegli na plac, niektórzy w rękach trzymali narzędzia. Pytali: „Co jest? Kto wzywa pomocy?”. Nagle na moście pojawił się Antoine, który uprawiał poletko za rzeką. Przegalopował na mule przez most, pokazując ręką za siebie.

„Nadchodzą! Są już prawie tutaj!” – krzyczał.

Ze wschodu dobiegł nas donośny śpiew. Spojrzałem w tę stronę przez drzewa i mimowolnie otworzyłem usta. – Jezu, chyba śnię – powiedziałem do siebie. W naszej wsi wydarzeniem było nawet przybycie wędrownego handlarza z wozem. Mrugałem raz po raz.

To był największy tłum, jaki kiedykolwiek widziałem. Maszerował wąską drogą w stronę wsi, a końca kolumny nie było widać.

–Sophie, chodź prędko! Natychmiast! – krzyknąłem. – To nie do wiary.

Moja żona, którą poślubiłem przed trzema laty, przybiegła do okna. Miała złote włosy, upięte pod białym, roboczym czepkiem.

–Matko Boża, Hugues...

–To armia – wymamrotałem, ledwie wierząc własnym oczom. – Armia krzyżowców.

## ROZDZIAŁ 2

Wiadomość o apelu papieża dotarła nawet do Veille du Pere. Chodziły słuchy, że nie dalej niż w Awinionie mężczyźni masowo opuszczali rodziny i brali krzyż. A teraz zawitali do nas... armia krzyżowców maszerowała przez Veille du Pere!

Ale cóż to była za armia! Raczej hałastra, jak w prorocत्वach Izajasza czy Jana.

Mężczyźni, kobiety i dzieci uzbrojeni w maczugi i wszelkie narzędzia gospodarskie. Było ich bez liku – całe tysiące. Nie mieli zbroi ani porządnych strojów, tylko łachmany z czerwonymi krzyżami wymalowanymi lub wyszytymi bezpośrednio na kaftanach. Tej zbieraninie nie przewodził żaden dostojny książę ani król, w ozdobionej godłem kolczudze lub zbroi, siedzący majestatycznie na potężnym rumaku, lecz drobny człowiek w zgrzebnym mnisim habicie, bosy i łysy, w koronie cierniowej, jadący na zwykłym mule. – Turcy wystraszą się bardziej ich straszliwego śpiewu niż mieczy – powiedziałem, kręcąc głową.

Patrzyliśmy z Sophie, jak czoło kolumny wchodzi na kamienny mostek na obrzeżu wsi. Młodzi i starzy, mężczyźni i kobiety; większość uzbrojona w siekiery, drewniane młoty i stare miecze, wśród nich pewna liczba weteranów w zardzewiałych zbrojach.

Wozy, furmanki, zmęczone muły i konie robocze. Były ich tysiące.

Cała wieś wyległa przed domy i gapiła się. Dzieci wybiegły naprzeciw przybyszom i tańczyły wokół zbliżającego się mnicha. Nikt do tej pory nie widział nic podobnego. Nic się tu nigdy nie działo.

Uderzyła mnie pewna myśl.

–Co o tym sądzisz, Sophie? – spytałem.

–Co sądzę? To najświętsza armia, jaką kiedykolwiek widziałam, albo najgłupsza. W każdym razie najgorzej uzbrojona.

–Zauważ, że nie ma ani jednego pana. Sami prości ludzie. Tacy jak my.

Kolumna dotarła do głównego placu przed naszymi oknami i cudaczny mnich jadący na czele zatrzymał muła. Brodaty rycerz pomógł mu zsiąść. Ojciec Leo, miejscowy ksiądz, podszedł do przywódcy, żeby go powitać. Śpiew ucichł, broń i tobołki złożono na ziemi. Stłoczeni wokół ciasnego placu mieszkańcy wsi czekali w napięciu.

–Nazywają mnie Piotrem Pustelnikiem – powiedział mnich zdumiewająco silnym głosem. – Z wezwania Jego Świątobliwości Urbana prowadzę armię wiernych, by wydrzeć. Grób Święty z rąk pogańskich hord. Czy są tu jacyś wierzący?

Miał długi nos, przypominający pysk zwierzęcia, na którym jechał, był blady, brunatny habit miał dziurawy i wytarty, lecz w jego głosie brzmiała siła i pewność siebie. Gdy mówił, wydawał się olbrzymem.

–Ziemie, na których dokonana się ofiara Pana naszego, zostały sprofanowane przez niewiernych Turków. Pola, niegdyś mlekiem i miodem płynące, teraz wyjałowione, spłynęły krwią wiernych. Kościoły zostały ograbione i spalone, święte miejsca zbezczeszczone. Najświętsze skarby naszej wiary, kości świętych, rzucono psom; krew Zbawiciela wylano na śmietniki jak skwaśniałe wino.

–Pójdźcie z nami – nawoływali inni przybysze. – Zabijcie pogan i zasiądźcie w niebie u boku Pana.

–Tym, którzy pójdą – ciągnął mnich nazywany Piotrem – tym, którzy porzucą swój ziemski dobytek i przyłączą się do naszej krucjaty, Jego Świątobliwość Urban obiecuje niewyobrażalne nagrody. Bogactwa, łupy i zaszczyt udziału w walce.

Opiekę nad rodzinami, które zostaną w domu. Wieczność w niebie u stóp wdzięcznego Pana. A przede wszystkim wolność. Zwolnienie ze wszelkich zobowiązań po powrocie z krucjaty. Kto z was, mężne dusze, przyłączy się do nas? – Mnich wyciągnął w dramatycznym geście rękę; jego wezwanie musiało poruszyć mieszkańców wioski.

Na placu rozległy się okrzyki solidarności. Ludzie, których znałem od lat, wołali: „Ja... ja pójdę!”.

Patrzyłem, jak Mathieu, starszy syn młynarza, zaledwie szesnastoletni, wyciąga rękę, żeby uściskać na pożegnanie matkę. Jak kowal Jean, który potrafił skruszyć w ręku żelazo, klęka i bierze krzyż. I jak kilku innych, w tym paru gołowąsów, biegnie po swoje rzeczy, a potem dołącza do szeregów. Wszyscy krzyczeli: „Dieu leveult! Bóg tak chce!”.

Poczułem szybsze krążenie krwi na myśl o możliwości przeżycia chwalebnej przygody. Perspektywa bogactw i łupów po drodze. Niepowtarzalna szansa zmiany na lepsze. Czułem, że moja dusza ożywa. Pomyślałem o wolności i skarbach, które mogę zdobyć w trakcie krucjaty. Przez moment miałem ochotę podnieść rękę i zawołać: „Idę z wami! Biorę krzyż!”.

W tym momencie poczułem uścisk ręki Sophie. Nie odezwałem się.

Mnich Piotr wsiadł na muła, pobłogosławił wioskę znakiem krzyża i skierował się na wschód. Pochód ruszył. Kolumna chłopów, murarzy, piekarzy, służących, ladacznic, kuglarzy i wyrzutków wzięła swoje tobołki i prowizoryczną broń i pomaszerowała w dalszą drogę, podejmując przerwana pieśń.

Patrzyłem za nimi z tęsknotą, której – jak mi się zdawało – dawno się wyzbyłem. W młodości wiele wędrowałem. Zostałem wychowany przez grupę wagantów, studentów i żaków, przenoszących się z miasta do miasta. Było mi tego trochę brak. Życie w Veille du Pere przytępiło te ciągoty, lecz ich nie zabiło.

Brakowało mi poczucia wolności, lecz jeszcze bardziej pragnąłem wolności dla Sophie i dzieci, które chcieliśmy mieć w przyszłości.



## ROZDZIAŁ 3

Dwa dni później naszą wieś nawiedzili inni przybysze.

Najpierw z zachodu dobiegł nas łoskot, jakby ziemia drżała. Towarzyszyła mu chmura kurzu. Potem do wsi galopem wpadli jeźdźcy. Wytaczałem właśnie beczkę z piwniczki, gdy nagle z półek zaczęły spadać kubki i butelki. Ogarnął mnie strach. Przypomniałem sobie najazd rabusiów sprzed dwóch lat. Wszystkie domy w wiosce zostały spalone bądź ograbione.

Rozległy się piski i krzyki, rozpierzchły się dzieci dokazujące na placu. Osiem potężnych koni bojowych przegalopowało przez most i zatrzymało się na środku wsi. Siedzieli na nich rycerze noszący purpurowe i białe barwy naszego seniora, Baldwina de Treille.

W ich dowódcy rozpoznałem Norcrossa, kasztelana naszego pana. Rozejrzał się z konia po wiosce i spytał donośnym głosem:

–Czy to Veille du Pere?

–Zapewne, panie – odpowiedział jeden z jego towarzyszy, wachając przesadnie powietrze. – Powiedziano nam, żebyśmy jechali na wschód, dopóki nie poczujemy zapachu gnoju, a potem już tylko prosto, kierując się węchem.

Ich obecność znaczyła, że możemy się spodziewać jedynie kłopotów. Z bijącym sercem zacząłem powoli iść w stronę placu. Wszystko się mogło zdarzyć. Gdzie jest Sophie?

Norcross zsiadł z konia, a pozostali poszli w jego ślady. Konie głośno parskaly.

Kasztelan miał ciemne oczy, przysłonięte powiekami, ledwie widoczne jak rąbek księżycy, i ciemny, rzadki zarost.

–Przywożę wam pozdrowienia od waszego pana, Baldwina – powiedział tak głośno, żeby wszyscy słyszeli. – Dotarło do niego, że niedawno przemaszerowała tędy jakaś hałastrą, prowadzona przez wyszczekanego pustelnika.

Gdy tak przemawiał, jego towarzysze rozeszli się po wsi. Odpychali na bok kobiety i dzieci i włązili do domów, jak do własnych. Ich butne miny znaczyły:

Schodźcie nam z drogi, wy kawałki łajna. Jesteście bezsilni. Zrobimy z wami, co zechcemy.

–Wasz pan prosił mnie, żebym wam przekazał – ciągnął Norcross – iż ma nadzieję, że żaden z was nie uległ namowom tego religijnego fanatyka, którego mózg jest jedyną rzeczą bardziej zwiędłą niż jego przyrodzenie.

W tym momencie zrozumiałem, w jakim celu przybyli Norcross i jego kompania.

Węszyli za poddanymi Baldwina, którzy wzięli krzyż.

Norcross chodził wokół placu. Spod przymkniętych powiek przypatrywał się badawczo wszystkim po kolei.

–Macie obowiązek służyć nie jakiemuś wyleńialemu pustelnikowi, tylko Baldwinowi, waszemu panu. Jemu jesteście winni wierność i posłuszeństwo.

Protekcja papieska w porównaniu z jego opieką jest bezwartościowa.

W końcu zobaczyłem Sophie, spieszącą z wiadrem od strony studni, obok niej żonę młynarza, Marie, i ich córkę, Aimee. Pokazałem im oczami, żeby trzymały się z dala od Norcrossa i jego zbirów.

Odezwał się ojciec Leo.

Na zbawienie twojej duszy, rycerzu – powiedział, postępując ku niemu – nie zniesławiaj tych, którzy walczą dla chwały Pańskiej. Nie porównuj świętej opieki papieża z waszą. To bluźnierstwo.

Zabrzmiały rozpaczliwe krzyki. Dwaj rycerze Norcrossa wrócili na plac, wlokąc za włosy młynarza Georges'a i jego młodszego syna, Alo. Rzucili obu na ziemię na środku placu.

Poczułem pustkę w żołądku. Skądś wiedzieli...

Norcross wydawał się zadowolony. Podszedł do kulącego się ze strachu chłopca i chwycił go potężną dłonią za twarz.

–Mówiłeś coś o opiece papieskiej, prawda, klecho? – Zachichotał. – Zaraz zobaczymy, ile ta opieka jest naprawdę warta.

## ROZDZIAŁ 4

Byliśmy tak bezsilni, że poczułem palący wstyd. Norcross zbliżył się do wystraszonego młynarza, jego krokom towarzyszył brzęk miecza.

–Coś tu nie pasuje – uśmiechnął się. Czyżbyś jeszcze w zeszłym tygodniu nie miał dwóch synów?

–Mój syn, Mathieu, powędrował do Vaucluse – powiedział Georges i spojrzał na mnie. – Ma się uczyć handlu metalem.

–Handlu metalem... – Norcross pokiwał głową, wydymając wargi. Uśmiechnął się, jakby chciał powiedzieć: Wiem, że łżesz. Georges należał do moich przyjaciół.

Sercem byłem z nim. Zacząłem myśleć o tym, jaką mam w karczmie broń i czy udałoby się nam pokonać tych rycerzy, gdyby zaistniała taka konieczność.

–Skoro silniejszy z twoich synów odszedł – naciskał Norcross – jak zdołasz zarobić na podatek dla księcia, gdy we dwóch musicie zrobić to, co do tej pory robiliście we trzech?

Georges rozglądał się niespokojnie.

–Dam sobie radę, panie. Będę więcej pracował.

–To dobrze. – Norcross kiwnął głową, przystępując do jego syna. – Wobec tego nie będzie ci zbyt brakowało również jego, prawda? – Błyskawicznie podniósł dziewięciolatka jak worek siana i ruszył z wrywającym się i piszczącym chłopcem w stronę młyna.

Mijając kulącą się ze strachu córkę młynarza, mrugnął do swoich ludzi.

–Nie krępujcie się spróbować smacznego ziarna młynarza – Wyszczrzyli złośliwie zęby, a następnie wciągnęli do młyna biedną, rozpaczliwie krzyczącą dziewczynę.

Przed moimi oczami rozgrywała się tragedia. Norcross znalazł konopną linę, po czym przy pomocy swoich ludzi zaczął przywiązywać dzieciaka do łopat wielkiego koła młyńskiego, które zanurzały się głęboko pod powierzchnię wody. Georges rzucił się do stóp kasztelana. Czyż nie byłem zawsze oddany naszemu panu, Baldwinowi? Czy nie robiłem wszystkiego, czego ode mnie oczekiwał? Nie krępuj się zaapelować do Jego Świątobliwości. – Norcross zaśmiał się, mocując ciasno przeguby i kostki chłopca do koła.

–Ojcze, ojcze... – wrzeszczał przerażony Alo. Norcross zaczął obracać kołem.

Alo zniknął pod powierzchnią wody, czemu towarzyszyły dramatyczne krzyki Georges'a i Marie. Norcross zatrzymał na chwilę koło, po czym powoli je przekręcił. Dziecko wynurzyło się z wody, chwytając łapczywie powietrze. Łotr zaśmiał się z księdza.

–Co ty na to, ojcze? Gdzie się podziała opieka papieska? – Przekręcił koło i chłopiec ponownie zniknął. Ludzie i wioski wstrzymali oddech z przerażenia.

Doliczyłem do trzydziestu.

–Błagam – powiedziała Marie, klękając. – To mały chłopiec.

W końcu Norcross przekręcił koło. Alo, kaszląc, wypluwał wodę z płuc. Zza drzwi młyna dochodziły przeraźliwe krzyki Aimee. Sam z trudem chwytalem powietrze.

Musiałem coś zrobić, choćbym nawet miał zaryzykować własny los. – Panie. – Postąpiłem krok ku Norcrossowi. – Pomogę młynarzowi w zapłaceniu jednej trzeciej

podatku.

Zirytowany rycerz się odwrócił.

–A ty kim jesteś, marchewko? – spytał, utkwivszy wzrok w mojej rudej czuprynie.

–Może być marchewka, jeśli mój pan zechce. – Zrobiłem następny krok. Byłem gotów powiedzieć każdą bzdurę, byle odwrócić jego uwagę. – Dodamy dwa buszle marchwi!

Zamierzałem ciągnąć tak dalej – żartując, mówiąc nonsensy, cokolwiek, co wpadłoby mi do głowy – gdy nagle jeden z kompanów Norcrossa skoczył ku mnie. Zobaczyłem tylko błysk nabijanej ćwiekami rękawicy, po czym rękojeść jego miecza spadła mi na głowę. W następnej sekundzie leżałem rozciągnięty na ziemi.

–Hugues, Hugues... – usłyszałem krzyk Sophie.

–Rudzielec musi być przyjacielem młynarza – drwił Norcross. – Albo jego żony.

Jedna trzecia, powiedziałaś. W imieniu pana przyjmuję twoją ofertę. Twój podatek wzrasta odtąd o jedną trzecią.

Jednocześnie znów przekręcił koło. Charczący, rozpaczliwie napinający więzy Alo kolejny raz zniknął pod wodą.

–Jeśli macie ochotę walczyć, walczcie dla chwały swojego pana, kiedy zostaniecie powołani – oznajmił głośno Norcross. – Jeśli chcecie bogactw, przyłóżcie się do pracy. Obowiązują was prawa zwyczajowe. Znacie je, czyż nie?

Stał bardzo długo, oparty o koło. Z tłumu rozległy się trwożne prośby.

–Proszę... niech mu pan da odetchnąć. Niech go pan wyciągnie. – Zaciskałem pięści, licząc sekundy, gdy Alo był pod wodą. Dwadzieścia... trzydzieści... czterdzieści.

Twarz Norcrossa pojaśniała z rozbawienia.

–Na Boga... czyżbym o nim zapomniał? – Powoli przekręcił koło. Alo ukazał się na powierzchni. Miał obrzmiałą twarz, oczy szeroko otwarte. Drobna, dziecięca szczeka opadała mu na pierś. Nie żył.

Marie przeraźliwie wrzasnęła. Georges zaczął szlochać.

–Niewielka szkoda. – Norcross westchnął, zatrzymując koło z martwym ciałem wysoko w górze. – Wygląda na to, że nie nadawał się na młynarza.

Nastąpiła chwila ponurej ciszy. Przerwało ją chlupanie Aimee, która wyszła z młyna na uginających się nogach.

–Jedziemy. – Norcross zebrał swoją kompanię. – Myślę, że uczyniliśmy zadość intencjom naszego pana.

Nadal leżałem na ziemi. Wracając na plac, Norcross zatrzymał się nade mną.

Przygniótł mi szyję ciężkim butem.

–Nie zapomnij o swoim zobowiązaniu, rudzielcu. Szczególną uwagę zwrócę na podatek od ciebie.

## ROZDZIAŁ 5

To straszliwe popołudnie zmieniło moje życie. W nocy, kiedy leżeliśmy z Sophie w łóżku, musiałem wyznać jej prawdę. Byliśmy jednością na dobre i na złe: nigdy nie mieliśmy przed sobą tajemnic. Leżąc na słomianym materacu w małym pomieszczeniu na tyłach karczmy, delikatnie głaskałem jej długie blond włosy, opadające na plecy. Kochałem każdy jej ruch, każde drgnienie noska – i to od chwili, kiedy ją ujrzałem.

To była miłość od pierwszego wejrzenia.

Młodość spędziłem na wędrownkach z grupą rybaków. Zostałem im oddany po śmierci matki, kochanki sługi bożego, który nie mógł dłużej ukrywać mojego istnienia.

Wychowywali mnie jak jednego ze swoich, nauczyli czytać i pisać, łaciny, gramatyki i logiki. Przede wszystkim jednak opanowałem występowanie na scenie.

Odwiedzaliśmy wielkie miasta katedralne – Nimes, Cluny, Le Puy – śpiewając nasze szydercze pieśni, popisując się przed tłumami widzów akrobatyką i żonglerką.

Każdego lata przejeżdżaliśmy przez Veille du Pere. Pewnego roku zobaczyłem Sophie w karczmie jej ojca. Patrzyła na mnie wstydliwie niebieskimi oczami.

Później zauważyłem ją na próbie przedstawienia. Byłem pewny, że przyszła dla mnie... Wziąłem do ręki słonecznik i podszedłem do niej.

–Co to takiego: rośnie mocne i sztywne, ale wiotczeje, nim dojrzeje? Otworzyła szeroko oczy i zaczerwieniła się. – Tylko diabeł może mieć takie rude włosy. – Powiedziawszy to, odwróciła się i uciekła, nim zdążyłem podsunąć jej odpowiedź: słonecznik.

Co rok, kiedy przybywaliśmy do wioski, przywoziłem z sobą słonecznik, do czasu aż Sophie z wiotkiego, wysokiego dziewczęcia przeistoczyła się w najpiękniejszą kobietę, jaką kiedykolwiek spotkałem. Miała dla mnie przekorny wierszyk:

Dziewczyna poznała wędrowca, Świecił księżyc, pachniały bzy, Choć miłość ich była radosna, Na końcu polały się łzy.

Nazywałem ją moją księżniczką, a ona odpowiadała, że pewnie mam księżniczkę w każdym mieście. Myliła się. Co roku obiecywałem jej, że wrócę, i zawsze dotrzymywałem słowa. Za którymś razem wróciłem na stałe.

Te trzy lata od naszego ślubu stanowiły najszczęśliwszy okres w moim życiu.

Poznałem, co to znaczy być do kogoś przywiązany. W dodatku zakochałem się po uszy.

Jednak kiedy tej nocy trzymałem Sophie w ramionach, coś mi mówiło, że nie mogę tak dłużej żyć. Dławił mnie gniew, który tlił się w moim sercu po okrucieństwach tego dnia. Zawsze się znajdzie jakiś Norcross, zawsze mogą nas obłożyć jakimś nowym podatkiem, zawsze znajdą jakiegoś Alo... Możliwe, że pewnego dnia chłopiec, którego przywiążą do młyńskiego koła, będzie naszym synem.

Jeżeli nie będziemy wolni.

–Sophie, muszę ci powiedzieć coś ważnego. – Przytuliłem się do gładkiego łuku jej pleców.

Prawie już zasypiała.

–Nie możesz z tym poczekać, Hugues? Co może być ważniejszego od tego, cośmy właśnie przeżyli?

Przełknąłem ślinę.

–Rajmund, hrabia Tuluzy, zbiera armię. Powiedział mi o tym woźnica Paul. Za parę dni wyruszają do Ziemi Świętej.

Sophie przekręciła się w moich ramionach i spojrzała pytająco, niepewnie.

–Muszę pójść z nimi – rzekłem. Usiadła na materacu, oniemiała z osłupienia.

–Chcesz wziąć krzyż?

–Nie chodzi o krzyż. Nie będę walczył dla krzyża. Ale Rajmund obiecał wolność wszystkim, którzy się przyłączą Wolność, Sophie... Widziałas, co się dzisiaj działo. Usiadła wyprostowana.

–Widziałam, Hugues. Przekonałam się również, że Baldwin nigdy cię nie zwolni z przysięgi. Ani nikogo z nas.

–W tym wypadku nie ma wyboru – zaprotestowałem. – Rajmund i Baldwin są sprzymierzeńcami. Będzie musiał to zaakceptować. Sophie, pomyśl, jak może się zmienić nasze życie. Kto wie, co ja tam zdobędę? Krążą legendy o bogactwach, po które tylko trzeba się schylić. I o świętych relikwiach wartych więcej niż tysiąc takich zajazdów jak nasz.

–Odchodzisz – powiedziała, odwracając oczy – bo nie dałam ci dziecka.

–Nieprawda! Nawet przez sekundę tak nie myśl! Kocham cię bardziej niż kogokolwiek. Kiedy codziennie patrzę, jak krzątasz się wokół karczmy czy nawet pracujesz w kuchni wśród dymu i zapachu tłuszczu, dziękuję Bogu za moje szczęście. Byliśmy sobie przeznaczeni. Wrócę, nim zdążysz za mną zatęsknić.

Pokiwała głową bez przekonania.

–Nie jesteś żołnierzem, Hugues. Możesz zginąć.

–Jestem silny i zwinny. Nikt z naszego otoczenia nie potrafi robić takich sztuczek jak ja.

–Nikt nie chce słuchać twoich bzdurnych żartów, Hugues – mruknęła Sophie. – Z wyjątkiem mnie.

–W takim razie przestraszę niewiernych moją rudą czupryną.

Zobaczyłem na jej ustach cień uśmiechu. Otoczyłem ją ramionami.

–Wrócę, przysięgam. – Spojrzałem jej w oczy. – Tak jak wtedy, gdy byliśmy dziećmi. Zawsze ci obiecywałem, że wrócę, zawsze dotrzymałem słowa.

Kiwnęła głową, nieco niepewnie. Widziałem, że się bała, ale ja też byłem przestraszony. Trzymałem ją w ramionach i głaskałem po włosach.

Podniosła głowę i pocałowała mnie. Pocałunek miał smak łez pomieszanych z namiętnością.

Wezbrało we mnie pożądanie. Nie mogłem mu się oprzeć. Poznałem po jej oczach, że czuje to samo. Objąłem ją w talii a ona nasunęła się na mnie. Rozchyliła uda.

Moje ciało zapłonęło od jej ciepła. Delikatnie w nią wszedłem.

–Moje kochanie... – szepnąłem.

Poruszała się ze mną w zgranym rytmie, jęcząc cicho z miłości i rozkoszy. W imię

**czego ją zostawiam? Jak mogą być takim głupcem?**

**–Wrócisz, Hugues? – Patrzyła mi prosto w oczy.**

**–Przysięgam. – Wyciągnąwszy rękę, wytarłem błyszczącą w kąciku jej oka łzę. –  
Kto wie? – Uśmiechnąłem się. – Może wrócę jako rycerz. Sławny i bardzo bogaty.**

**–Mój rycerzu – szepnęła. – A ja będę twoją królową...**

## ROZDZIAŁ 6

Ranek owego dnia, w którym ruszałem w drogę, był pogodny. Wstałem wcześniej, nim słońce wzeszło. Poprzedniego dnia wioska wydała na moją cześć przyjęcie.

Wzniesiono wszelkie możliwe toasty i wszyscy mnie pożegnali. Wszyscy z wyjątkiem jednej osoby. Na progu karczmy Sophie wręczyła mi tobolek. Była w nim bielizna na zmianę, chleb, leszczynowa gałązka do czyszczenia zębów.

–Może być zimno – powiedziała. – Będziesz musiał iść przez góry. Dam ci twój kożuch.

Powstrzymałem ją.

–Sophie, teraz jest lato. Będę go bardziej potrzebował, kiedy wrócę.

–W takim razie dołożę ci jeszcze jedzenia.

–Znajdę i strawę. – Dumnie wypiąłem pierś. – Ludzie będą się prześcigali, żeby nakarmić krzyżowca.

Spojrzała z rozbawieniem na mój prosty lniany kaftan i kamizelkę z cielecej skóry. – Nie wyglądasz na krzyżowca. Stałem przed nią gotów do drogi.

Uśmiechnąłem się.

–Jeszcze jedno – rzekła Sophie, wracając do wnętrza. Pobiegnęła do stołu przy kominku i za moment wróciła, niosąc swój skarb: bukowy grzebień, pomalowany w kwiaty, który należał do jej matki. Wiedziałem, że stanowi dla niej najcenniejszą rzecz na świecie, cenniejszą niż karczma. – Weź go z sobą, Hugues.

–Dzięki – próbowałem zażartować – ale jeśli będę miał kobiecy grzebień, tam dokąd idę, mogą na mnie dziwnie patrzeć.

–Tam dokąd idziesz, ukochany, tym bardziej będziesz go potrzebował.

Ku mojemu zdumieniu przełamała grzebień na dwie części. Jedną połówkę dała mnie.

Zetknęliśmy z sobą nierówne końce, tak że grzebień nabrał poprzedniego kształtu.

–Nie przewidywałam, że kiedykolwiek będę musiała się z tobą żegnać – szepnęła, walcząc ze łzami. – Myślałam, że zostaniemy razem do końca życia.

–Zostaniemy – powiedziałem. – Widzisz? – Jeszcze raz zetknęliśmy połówki grzebienia.

Przyciągnąłem ją i pocałowałem. Czułem, jak jej szczupłe ciało drży w moich ramionach. Wiedziałem, że stara się być dzielna. Nie było już nic więcej do dodania.

–A więc... – Odetchnąłem głęboko i uśmiechnąłem się.

Patrzyliśmy na siebie przez dłuższą chwilę. Przypomniałem sobie o prezencie dla niej. Wyjąłem z kieszeni kamizelki mały słonecznik, po który poszedłem wcześniej rano na wzgórze.

–Wrócę, Sophie, żeby przynosić ci słoneczniki. Wzięła go. Jej niebieskie oczy wypełniły łzy. Zrzuciłem tobolek na ramię. Stałem, starając się przed odejściem nasycić widokiem jej cudownych, błyszczących oczu.

–Kocham cię, Sophie.

–Ja też cię kocham, Hugues. Będę niecierpliwie czekała na następny słonecznik. Ruszyłem w drogę. Na zachód, do Tuluzy. Na kamiennym mostku na skraju wsi



**odwróciłem się i długo, ostatni raz, patrzyłem na karczmę – mój dom przez ostatnie trzy lata. To był najszczęśliwszy okres w moim życiu.**

**Pomachałem ostatni raz Sophie. Stała tam, ze słonecznikiem w ręce. Jeszcze raz wyciągnęła w moją stronę ułamany koniec grzebienia.**

**Zrobiłem cyrkowy podskok, chcąc zmienić nastrój, i zacząłem maszerować.**

**Usłyszawszy, że się śmieje, obejrzałem się.**

**Ten ostatni obraz został mi w pamięci przez następne dwa lata. Złote włosy Sophie, sięgające kibici, jej mężna mina i perlisty śmiech małej dziewczynki.**

## ROZDZIAŁ 7

*Rok później, gdzieś w Macedonii*

Brodaty rycerz zatrzymał konia na stromej grani. – Maszerujcie, księżniczki, bo inaczej jedyna turecka krew, którą zobaczycie, będzie na szmacie do wycierania posadzki.

Maszerujcie... Maszerowaliśmy od wielu miesięcy – długich i wyczerpujących – przy braku jakiegokolwiek zaopatrzenia. Nogi miałem okropnie poranione, a w mojej brodzie zalęgły się wszy.

Przemierzyliśmy Europę, przekroczywszy po drodze Alpy. Z początku szliśmy w zwartym szyku, a w miastach witały nas owacje. Hełmy połyskiwały w słońcu, a nasze kaftany, ozdobione jaskrawymi, czerwonymi krzyżami, były jeszcze czyste.

Później, po wejściu w urwiste góry Serbii, każdy krok stał się niebezpieczny, na każdym grzbiecie czyhały zasadzki. Widziałem, jak oddani sprawie ludzie, gotowi walczyć dla chwały Boga, wpadali z krzykiem do głębokich przepaści lub ginęli od serbskich i węgierskich strzał tysiące mil przed spotkaniem pierwszego Turka.

Przez cały czas dochodziły nas wieści, że armia Piotra jest o miesiąc drogi przed nami, że bije niewiernych i bierze łupy, a nobile kłócą się i walczą między sobą. My wlekliśmy się mozolnie w prażącym słońcu jak zdychające bydło, wrywając sobie te resztki żywności, które zostały po tamtych. Wrócę za rok, obiecałem Sophie. Przyniesienie pojawiało się w moich snach niczym szyderczy refren. Tak samo nasza piosenka: Dziewczyna poznała wędrowca, świecił księżyc, pachniały bzy.

W drodze blisko się zaprzyjaźniłem z dwoma towarzyszami wędrówki. Jednym z nich był Nicodemus, stary, wykształcony Grek, biegły w nauce i językach, który potrafił maszerować miarowym krokiem mimo ciężkiej torby, wypełnionej traktatami Arystotelesa, Euklidesa i Boecjusza. Nazywaliśmy go preceptorem. Nico pielgrzymował do Ziemi Świętej i znał język turecki. Uczył mnie podczas marszu.

Przystąpił do wyprawy jako tłumacz, ale z powodu białej brody i nadzartej przez mole szaty miał opinię wróżbity. Jednak za każdym razem, gdy któryś z żołnierzy jęczał: „Gdzie, u diabła, jesteśmy, preceptorze?” – stary Grek odburkiwał:

„Blisko...”. Jego reputacja jasnowidza bardzo wskutek tego cierpiała.

Drugim był Robert – ze swoją gęsią, Hortense – który dołączył do nas, kiedy maszerowaliśmy przez Apt. Gadatliwy, o gładkiej twarzy, twierdził, że ma szesnaście lat, lecz nie trzeba było jasnowidza, żeby odkryć, iż kłamie.

–Idę rzeźbić Turków – przechwalał się, wymachując nożem domowej roboty.

Dałem mu kij, przydatny do wędrówki.

–Masz, zacznij od tego – zażartowałem.

Od tej chwili on i jego gęś stali się naszymi przyjaciółmi. Pod koniec lata wyszliśmy wreszcie z gór.

–Gdzie my jesteśmy, Hugues? – wyjęczał Robert, gdy przed naszymi oczami otworzyła się kolejna, niekończąca się dolina.

–Według moich obliczeń... – próbowałem żartować – z lewej strony następnego grzbietu powinien znajdować się Rzym. Mam rację, Nico? Idziemy z pielgrzymką do świętego Piotra, prawda? A może, do licha, na wyprawę krzyżową?

Wśród zmęczonych żołnierzy rozległy się słabe śmiechy. Nico gotował się do odpowiedzi, lecz został zagłuszony.

–Wiemy, wiemy, preceptorze. Jesteśmy blisko, prawda? – szydził Mysz, drobny Hiszpan o długim, zakrzywionym nosie.

Nagle na przodzie rozległy się krzyki. Konni spięli swoje zmęczone wierzchowce i popędzili na czoło. Robert rzucił się naprzód.

–Jeżeli tam walczą, Hugues, oszczędzę ci wysiłku. Nagle przestałem czuć zmęczenie w nogach. Złapałem tarczę i pobiegłem za chłopcem. Przed nami widniał szeroki przełom w górach. Kłębiły się w nim setki mężczyzn, rycerzy i prostych żołnierzy.

Pierwszy raz stłoczyli się nie po to, żeby się bronić. Wiwatowali, klepali się po plecach, wznosili miecze ku niebu i podrzucali hełmy.

Przepchnąłem się razem z Robertem przez tłum do gardzieli przełomu i spojrzeliśmy w dal. Przed nami zwiężała się linia szarych wzgórz, odsłaniając okruch srebrzystego błękitu. „To Bosfor”, krzyczeli ludzie.

Bosfor...!

–Synu Marii – wyszeptałem. – Jesteśmy na miejscu. Triumfalny gwar narastał.

Wszyscy pokazywali sobie otoczone murami miasto nad cieśniną.

Konstantynopol. Do tej pory żaden widok nie zatkał mi tchu tak jak ten. Lśniące za mgiełką miasto zdawało się rozciągać w nieskończoność.

Większość rycerzy uklękła i poczęła się modlić. Inni, zbyt wyczerpani, żeby się cieszyć, po prostu zwiesili głowy i płakali.

–O co chodzi? – Robert rozglądał się dokoła.

–O co chodzi...? – powtórzyłem za nim. Ukląknęm, zaczerpnąłem garść ziemi i schowałem ją do woreczka na pamiątkę tego dnia. Potem podniosłem Roberta wysoko.

–Widzisz tamte wzgórza? – Ręką wskazałem za przesmyk.

Skinął głową.

Naostrz nóż, chłopcze... Tam są Turcy!

## ROZDZIAŁ 8

Przez dwa tygodnie odpoczywaliśmy pod Konstantynopolem.

Nigdy jeszcze nie widziałem tak wspaniałego miasta: ogromne, błyszczące kopuły, setki niebotycznych wież, ruiny rzymskich gmachów i świątyń, ulice wyłożone wypolerowanymi płytami kamiennymi. W jego murach zmieściłoby się dziesięć takich miast jak Paryż.

No i ludzie... tłoczący się na potężnych murach i wiwatujący na naszą cześć.

Odziani w lekkie, kolorowe bawełniane lub jedwabne szaty w odcieniach szkarłatu i purpury, jakich jeszcze nigdy nie oglądałem. Reprezentowali wszystkie rasy.

Byli Europejczycy, czarni niewolnicy z Afryki i żółci z Chin. Ludzie, którzy nie cuchnęli... którzy się kąpali, ubierali w kwieciste Szaty i pachnieli perfumami.

Nawet mężczyźni!

W młodości wiele podróżowałem, występowałem w wielkich, katedralnych miastach Europy, lecz takiego miasta jak to jeszcze nie odwiedziłem. Cynę zastępowało tu złoto. Stragany i bazyry pełne były egzotycznych towarów. Wytargowałem pozłacany flakon na perfumy, żeby go zawieźć Sophie. „Masz już swoją relikwię!” – śmiał się Nico. Urzekły mnie nowo poznane zapachy kminku i imbiru; posmakowałem pomarańczy i fig – owoców, których jeszcze nigdy nie jadłem.

Chłonałem wszelkie egzotyczne obrazy z myślą, że kiedyś o nich opowiem Sophie.

Zostaliśmy uznani za bohaterów, mimo iż z nikim jeszcze nie walczyliśmy. Gdyby tak się miało dalej potoczyć, wróciłbym do domu pięknie pachnący i wolny!

Jednak po pewnym czasie rycerze i nobile popędzili nas dalej.

–Krzyżowcy, przybyliście tu, żeby walczyć w imię Pana, nie po srebro i mydło.

Pożegnaliśmy Konstantynopol i na tratwach przeprawiliśmy się przez Bosfor.

Znaleźliśmy się w kraju straszliwych Turków.

Pierwsze napotkane po drodze twierdze okazały się ograbione i opuszczone; miasta spalone i splądrowane.

–Poganie są tchórzami – drwili żołnierze, – Kryją się po jamach jak wiewiórki.

Wszędzie po drodze spotykaliśmy wymalowane czerwoną farbą krzyże:

pogańskie miasta zostały poświęcone w imieniu Boga. Znaki te świadczyły, że armia Piotra odnosi sukcesy.

Nobile popędzali nas.

–Spieszcie się, leniwe chamy, bo inaczej ten mały pustelnik zgarnie cały łup.

Spieszaliśmy się więc, choć nowym wrogiem okazało się pragnienie i pęcherze na stopach. Piekliśmy się jak wieprze; osuszaliśmy do ostatniej kropli skórzane bukłaki. Pobożni spośród nas myśleli o ich świętej misji, nobile bez wątpienia o relikwiach i chwale, naiwni o szansie okazania własnej wartości.

Pierwsze spotkanie z wrogiem mieliśmy w okolicach Civetot. Zbliżyło się do nas kilku brodatych jeźdźców w turbanach i burnusach. Wystrzelili w powietrze nad nami chmurę strzał, które nikomu nie uczyniły szkody, a następnie uciekli w stronę wzgórz jak dzieci rzucające dla zabawy kamieniami. – Spójrz, uciekają jak kury – zarechotał Robert.

–Wyślij za nimi Hortense. – Zagdakałem jak kura. – Nie ulega wątpliwości, że są kuzynami twojej gęsi.

Civetot wydawało się wyludnione. Stanowiło skupisko kamiennych domów na skraju gęstego lasu. Nie chcieliśmy opóźnić marszu, żeby jak najprędzej dogonić Piotra, ale brakowało nam wody, toteż postanowiliśmy wejść do miasta. Kiedy znaleźliśmy się na peryferiach, poczułem przykry odór. Nicodemus spojrzał na mnie.

–Czujesz to, Hugues?

Skinałem głową. Ów odór to był swąd spalonego mięsa, ale tysiąckrotnie silniejszy od tego, który znałem. Z początku myślałem, iż palą się resztki zarżniętego bydła, ale kiedy podeszliśmy bliżej, zobaczyłem, że całe Civetot dymi jak ognisko.

Po wejściu do miasta zobaczyliśmy same trupy. Morze części ludzkich ciał.

Odcięte głowy z oczami patrzącymi niewidzącym wzrokiem, kończyny poukładane w stosy, ziemia przesiąknięta krwią. To była rzeź. Mężczyźni i kobiety zaszlachtowani jak chore bydło, nagie tułowia z wyprutymi wnętrznościami, upieczone, zwęglone głowy zatknięte na włóczniech. Na wszystkich ścianach czerwone krzyże, namalowane krwią.

–Co się tu działo? – wymamrotał jeden z żołnierzy. Niektórzy odwracali wzrok i wymiotowali. Miałem wrażenie, że mój żołądek jest pusty jak bezdenne dziura.

Spomiędzy drzew wynurzyła się garstka niedobitków. Szaty mieli obszarpane i nadpalone, skórę poczerniałą od brudu i krwi. Patrzyli obłądnym wzrokiem ludzi, którzy zobaczyli największe okropności, lecz cudem udało im się przeżyć. Nie można było rozpoznać, kim są: chrześcijanami czy Turkami.

–Armia Piotra zwyciężyła niewiernych – zawołał z entuzjazmem Robert. – Idzie na Antiochię.

Nikt inny nie podzielił jego radości.

–Właśnie to jest armia Piotra – rzekł ponuro Nicodemus. – A raczej to, co z niej zostało.

## ROZDZIAŁ 9

Garstka ocalałych zgromadziła się tej nocy wokół ognisk, pożywiając się naszymi skąpymi zapasami, i opowiedziała o losach armii Piotra Pustelnika. Z początku odnosili sukcesy.

–Turcy uciekali jak króliki – opowiadał stary rycerz. – Zostawiali nam swoje miasta, świątynie. „Będziemy w Jerozolimie przed latem” – cieszyli się wszyscy.

Podzieliliśmy armię.

Jeden oddział w sile sześciu tysięcy ludzi poszedł na wschód, żeby zająć turecką fortecę Kserigordon. Były pogłoski, że trzymano tam niektóre relikwie dla okupu. Pozostała część armii została w tyle.

–Miesiąc później dotarła do nas wiadomość, że twierdza padła. Łupy zostały rozdzielone wśród ludzi. Sandały świętego Piotra, jak mówiono. Reszta z nas ruszyła za nimi, żadna udziału w grabieży.

–To były kłamstwa – powiedział inny niedobitek chrapliwym, przepraszającym tonem – rozgłaszane przez szpiegów niewiernych. Oddział w Kserigordon już nie istniał. Ludzie padli nie z powodu oblężenia, lecz z pragnienia. W fortecy nie było ani kropli wody. Wielotysięczna horda Seldżuków otoczyła miasto i po prostu czekała. Kiedy nasi w końcu z rozpaczyny otworzyli bramy, konając z pragnienia, Turcy wdarli się do środka i wybili ich do nogi. Sześć tysięcy ludzi. Potem te diabły zabrały się do nas.

Najpierw usłyszeliśmy wycie na otaczających nas wzgóliwie i mrozące krew w żyłach, iż nam się zdawało, że znaleźliśmy się w dolinie demonów. Rozglądaliśmy się dokoła, gdy nagle zrobiło się ciemno: chmura strzał przesłoniła słońce.

–Nigdy nie zapomnę owego ogłuszającego świstu. Co drugi człowiek zwałił się na ziemię, trzymając się za szyję lub którąś z kończyn. Wówczas zaatakowali jeźdźcy w turbanach – falami – odrąbując szablami głowy i członki. Nasze szeregi topniały. Nawet zaprawieni w bojach rycerze uciekali w panice do obozu: jeźdźcy siedzieli im na karkach. Kobiety, dzieci, chorzy i ranni zostali pocięci w namiotach na kawałki. Szczęśliwi ci, którzy zginęli na miejscu, pozostałych rozdarło na strzępy. Kobiety zostały zgwałcone, a następnie zamordowane. Jestem pewny, że tych, którzy przeżyli, celowo oszczędzono, by mogli opowiedzieć, jaki los spotkał całą armię.

Poczułem, że mam sucho w gardle. Zginęli... Wszyscy...? To niemożliwe!

Pamiętałem radosne twarze i pełne zapału głosy członków armii Pustelnika, gdy maszerowali przez Veille du Pere. Pomyślałem o Mathieu, synu młynarza, o kowalu Jeanie... o wszystkich młodych, którzy z takim zapałem wstąpili do szeregów.

Czyżby żaden się nie uratował?

Palił mnie gniew. Wszystko, po co tu przybyłem – wolność, majątek – zeszło na dalszy plan. Pierwszy raz zapragnąłem walczyć nie dla własnych korzyści, lecz by pozabijać te parszywe psy. Odplącić im!

Chciałem być sam. Porzuciłem Roberta i Nica i pobiegłem między ogniskami na skraj obozu.

Po co w ogóle tu przybyłem? Przymaszerowałem tyle krajów, żeby walczyć dla sprawy, w którą nawet nie wierzyłem? Wszystko, co uważałem za dobre i słuszne, a

**przede wszystkim miłość mojego życia, było teraz o tysiące mil ode mnie. Jak to się stało, że umarło tylu ludzi, a z nimi wszystkie moje nadzieje?**

## ROZDZIAŁ 10

Grzebaliśmy zabitych przez sześć dni. Potem nasza podupadła na duchu armia pomaszerowała dalej na południe.

W Cezarei połączyliśmy się z siłami Roberta, hrabiego Flandrii, i Boemunda, księcia Antiochii, mającego opinię walecznego wojownika. Niewiele wcześniej zdobyli Nikeę. Zrobiło nam się raźniej na duchu po wysłuchaniu opowieści o uciekających Turkach i miastach obecnie należących do chrześcijan. Nasza niegdyś raczkująca armia liczyła teraz czterdzieści tysięcy ludzi.

Na drodze do Ziemi Świętej leżała już tylko jedna muzułmańska twierdza: Antiochia. Mówiono, że wiernych przybijano tam do murów miasta, a najcenniejsze relikwie chrześcijaństwa, całun ze śladami łez Matki Chrystusa i włócznię, która przebiła bok Zbawiciela, trzymano dla okupu.

Nie byliśmy jednak przygotowani na piekło, które mieliśmy przeżyć.

Największym wrogiem był żar lejący się z nieba, najstraszliwszy, jakiego doznałem w życiu.

Słońce okazało się wściekłym, czerwonoookim demonem.

Pozbawieni jakiegokolwiek osłony – zaczęliśmy je nienawidzić i przeklinać. Twardzi rycerze, cenieni za odwagę i sprawność w bitwach, wyli z bólu, piekąc się żywcem w zbrojach; skóra w zetknięciu z metalem natychmiast pokrywała się bąblami.

Ludzie padali w marszu: byli tratowani i zostawiani bez opieki w miejscu, gdzie się przewrócili.

No i pragnienie... Wszystkie miasta na naszej drodze były spalone i opustoszałe, opróżnione z wszelkich zapasów przez Turków. Rzucaliśmy się bez opamiętania na te niewielkie ilości wody, które mieliśmy z sobą.

Widziałem ludzi, którzy w szaleństwie żłopali własną urynę, jakby to było piwo.

–Jeśli taka jest Ziemia Święta, to niech Bóg ją sobie zatrzyma – rzekł Hiszpan, zwany Myszą.

Cierpieliśmy, ale brnęliśmy naprzód, jednak nasz hart ducha i determinacja – podobnie jak zapas wody – powoli malały. Zebrałem w drodze kilka grotów tureckich strzał i oszczepów, gdyż wiedziałem, że w domu będą przedstawiały znaczną wartość. Starłem się w trakcie marszu zabawiać moich towarzyszy, lecz trudno było znaleźć temat do żartów.

–Poczekajcie z narzekaniem – ostrzegał Nico, szurając nogami podczas marszu. – Kiedy znajdziemy się w górach, zda się wam, że poprzednio byliście w raju.

Miał rację. Na naszej drodze wyrosły dzikie, postrzępione góry, strome, bez śladu jakiegokolwiek życia. Droga wiodła przez wąskie przejścia między szczytami, z trudem mógł się przez nie precyzyjnie przesuwać koń i wóz. Z początku czuliśmy zadowolenie, że zostawiliśmy za sobą tamto piekło, przejście przez góry okazało się jednak następną gehenną.

W miarę jak się wspinaliśmy, krok stawał się wolniejszy, a teren bardziej zdradliwy. Owce, konie, wozy z prowiantem trzeba było wciągać po kolei na stromą pochyłość. Wystarczało zwykłe potknięcie albo nagłe obsunięcie skały i człowiek spadał w przepaść, często pociągając za sobą towarzysza.



**–Nie ustawajcie – popędzali nas nobile. – Do Antiochii już niedaleko. Bóg was tam wynagrodzi.**

**Ale za każdym kolejnym szczytem pojawiał się następny, a szlak stawał się coraz trudniejszy, coraz bardziej wyczerpujący. Nawet dumni rycerze nabrali pokory, wlekli się noga za nogą razem z piechurami, takimi jak Robert i ja, a bojowe rumaki niosły jedynie ich zbroje.**

**Podczas drogi przez góry zaginęła gęś Hortense, w wozie zostało po niej tylko kilka piór. Nigdy się nie dowiedzieliśmy, co się z nią stało. Wielu uważało, że nobile zrobili sobie ucztę na koszt Roberta. Inni twierdzili, że ptak miał więcej rozumu niż my i uciekł, póki był jeszcze żywy. Chłopiec wpadł w rozpacz. Gęś towarzyszyła mu przez tyle krajów! Wielu czuło, że nasze szczęście ulotniło się razem z nią. Mimo to wspinaliśmy się dalej krok po kroku, pocąc się w naszych kaftanach pod ciężarem broni, z nadzieją w sercu, iż za górami znajduje się Antiochia, a z niej już blisko do Ziemi Świętej. Do Jerozolimy!**

## ROZDZIAŁ 11

–Opowiedz nam jakąś historyjkę, Hugues – poprosił Nicodemus, kiedy pokonywaliśmy szczególnie zdradliwą pochyłość. – Im bardziej będzie bluźniercza, tym lepiej.

Szlak wydawał się wycięty w zboczu góry nad bezdenną przepaścią. Jeden fałszywy krok oznaczał makabryczną śmierć. Uczepiłem się kozy, żeby mi było lżej, i zaufałem jej miarowemu krokowi.

–Znam jedną o zakonie i lupanarze – powiedziałem, Wracając myślą do czasów, gdy byłem karczmarzem. – Wędrowiec maszeruje odludną drogą. Nagle zauważa wydrapany na drzewie napis: „Siostry zakonu św. Brygidy, lupanar, 2 mile”.

–To prawda, widziałem taki sam – wykrzyknął jeden z żołnierzy. – Z tyłu za nami, na ostatnim grzbiecie. – Salwy śmiechu rozproszyły napięcie towarzyszące niebezpiecznej wspinaczce.

–Wędrowiec myśli, że to żart – ciągnąłem opowieść – i idzie dalej. Wkrótce widzi następny znak: „Siostry zakonu św. Brygidy, lupanar, 1 mila”. Zaczyna go to ciekawić. Idąc dalej, napotyka trzeci znak: „Zakon, dom rozpusty, pierwsza droga w prawo”. Czemu nie? – myśli wędrowiec. Skręca w boczną drogę, która go doprowadza do starego kamiennego kościoła z napisem Święta Brygida. Wchodzi po stopniach, dzwoni do drzwi, otwiera mu mniszka: „Czym możemy ci służyć, synu?”.

„Widziałem napisy przy drodze”, odpowiada wędrowiec. Doskonale, synu – mówi mniszka. – Chodź za mną”. Idą mrocznymi, krętymi korytarzami, gdzie widzi mnóstwo urodziwych, młodych mniszek, uśmiechających się do niego.

–Gdzie są te siostry, gdybym ja czuł potrzebę? – westchnął idący za mną jeden z żołnierzy.

W końcu mniszka zatrzymuje się przed jakimiś drzwiami – ciągnąłem. – Podróżny wchodzi i zostaje powitany przez jeszcze jedną atrakcyjną siostrzyczkę, która mu mówi: „Włóż złotą monetę do kubka”. Wędrowiec gorączkowo opróżnia kieszenie.

„Wystarczy – mówi mniszka. – Teraz wejdź przez tamte drzwi”. Podniecony wędrowiec wpada we wskazane drzwi, lecz orientuje się, że jest znów na zewnątrz, przed wejściem. Przed sobą widzi kolejny napis: „Idź w pokoju i czuj się dobrze wydymany!”.

Dookoła rozległ się śmiech.

Nie rozumiem tego – odezwał się z tyłu Robert. – Myślałem, że tam był lupanar.

–Nieważne. – Przewróciłem oczami. Sztuczka Nica się udała. Przez chwilę nie myśleliśmy o naszym trudzie. Chciał tylko, żebyśmy minęli grań. Nagle usłyszałem łoskot. Z góry zsuwała się na nas lawina kamieni i żwiru. Złapałem Roberta i przyciągnąłem do siebie, trzymając się skały, podczas gdy wielkie głazy mijały mnie o włos, znikając w głębi przepaści. Patrzyliśmy na siebie z uczuciem ulgi, uświadamiając sobie, że o włos uniknęliśmy śmierci. Za nami usłyszałem ryk muła i głos Nicodemusa, usiłującego go uspokoić. – Szysz... Spadające skały musiały go przestraszyć. – Uspokój zwierzę – warknął z tyłu setnik. – Niesie twój zapas żywności na następne dwa tygodnie. Nicodemus chwycił sznur. Zwierzę przebierało tylnymi nogami, próbując utrzymać się na ścieżce. Rzuciłem się do uprzęży wokół

jego szyi, ale muł znów wierzgnął i potknął się. Nie mógł utrzymać się na szlaku. Przestraszone oczy zwierzęcia świadczyły, że było świadome niebezpieczeństwa. Kamienie usunęły mu się spod kopyt. Biedny muł stracił równowagę i z mrozącym krew w żyłach rykiem runął w przepaść. Pociągnął za sobą innego, który był do niego z tyłu przywiązany.

Widziałem grożące niebezpieczeństwo.

–Nico! – krzyknąłem.

Ale stary Grek, w dodatku obciążony bagażem, był zbyt powolny, żeby uciec z drogi. Patrzyłem bezradnie, jak nogi mu się zaplątują w długą szatę.

–Nico! – wrzasnąłem rozpaczliwie, widząc, jak ześlizguje się z krawędzi ścieżki. Rzuciłem się do niego, usiłując podać mu rękę.

Udało mi się uchwycić pas skórzanej torby, którą niósł na ramieniu. Tylko tyle dzieliło go od śmierci. Stary człowiek podniósł na mnie oczy.

–Puść mnie, Hugues, bo inaczej obaj spadniemy.

–Nie. Wyciągnij do mnie rękę – błagałem. Za mną zebrała się grupa mężczyzn z Robertem. – Podaj mi rękę, Nico.

Patrzyłem mu w oczy, szukając w nich lęku, ale były czyste i spokojne. Chciałem powiedzieć: Trzymaj się, preceptorze, Jerozolima jest blisko.

Ale torba wyśliznęła mi się z ręki. Nicodemus odpadł od ściany. Pęd powietrza rozwiewał jego białe włosy i brodę.

–Nie! – Chciałem go złapać, ale ręka trafiła na próżnię. Wywoływałem rozpaczliwie jego imię.

W jednej chwili zniknął. Przemaszerowaliśmy razem tysiąc mil, ale dla niego nigdy nie było daleko – zawsze blisko... Nie pamiętałem mojego ojca, lecz smutek, który teraz czułem, uświadomił mi, iż mógłby nim być Nicodemus.

Jeden z rycerzy na szlaku zaczął sarkać, że za długo stoimy. Poznałem, że to Guillaume, wasal Boemunda.

Spojrzał przez krawędź i przełknął ślinę.

–Co z niego za wróżbita, skoro nie potrafił przewidzieć własnej śmierci. – Splunął na ziemię. – Niewielka strata.

## ROZDZIAŁ 12

W ciągu następnych dni odczuwałem dotkliwie stratę przyjaciela. Nadal się wspinaliśmy, natomiast ja w każdym odcisku stóp na ścieżce widziałem mądrą twarz Greka.

Z początku nie zauważyłem, że trakt zaczął się poszerzać.

Przestaliśmy iść przez szczyty, maszerowaliśmy teraz dolinami w dół. Szliśmy szybciej, a nastrój w naszych szeregach znacznie się poprawił, jako że zbliżaliśmy się do celu.

–Hiszpan powiedział mi, że tam są chrześcijanie przykuci do murów miasta – powiedział w trakcie marszu Robert. – Im prędzej tam dotrzemy, tym wcześniej uwolnimy naszych braci.

–Twój kompan jest w gorącej wodzie kąpany – zawołał do mnie Mysz. – Powiedz mu, że być pierwszym na przyjęciu nie znaczy, że będzie można się przespać z panią domu.

–Nie można mieć mu za złe, że chce walczyć – stanąłem w obronie Roberta. – Ostatecznie po to przemaszerowaliśmy taki kawał drogi.

Z tyłu rozległ się tętent galopującego konia.

–Z drogi!

Rozproszyliśmy się na boki i obejrzeliliśmy za siebie. Zobaczyliśmy Guillaume'a, tego samego aroganckiego drania, który drwił z Nica po jego śmierci. Siedział w pełnej zbroi na wielkim rumaku. Przegalopował obok nas, niemal traktując tych, którzy nie zdążyli się usunąć.

–To są ci, dla których walczymy – powiedziałem sarkastycznie, wykonując przesadny ukłon.

Wkrótce dotarliśmy do szerokiego prześwitu między górami. Dalszą drogę zagradzała nam rzeka szerokości przynajmniej sześćdziesięciu kroków.

W przodzie usłyszałem nobilów spierających się o to, gdzie znajduje się bród.

Rajmund, nasz dowódca, upierał się, że wywiadowcy i mapy wskazują na miejsce położone dalej na południu. Inni, skorzy do starcia z Turkami, między nimi uparty Boemund, argumentowali, że nie ma sensu tracić czasu.

Kłótnia trwała przez pewien czas. W końcu zobaczyłem Wyskakującego z grupy Guillaume'a.

–Zrobię dla was mapę! – krzyknął do Rajmunda. Popędził konia w dół stromego brzegu i wjechał do wody.

Koń brodził, mając na grzbiecie Guillaume'a w pełnej zbroi. Ludzie zgromadzeni na brzegu wiwatowali, inni śmiali się z jego chęci popisania się przed członkiem rodziny królewskiej.

Przez pierwsze trzydzieści kroków woda sięgała koniowi do pęcin. Guillaume, z uśmiechem próżności na twarzy, odwrócił się w siodle i pomachał do nas.

–Nawet matka mojej matki tędy by przeszła! – zawołał. – Czy wytwórcy map notują to, co mówię?

–Nie wiedziałem, że pawie lubią wodę – powiedziałem do Roberta.

W środku rzeki rumak Guillaume'a nagle się potknął. Rycerz robił, co mógł, lecz w

pełnej zbroi, na zdradliwym podłożu, nie mógł opanować konia. Spadł z siodła, głową naprzód.

Zbrojni na brzegu wybuchnęli śmiechem. Rozległy się gwizdy, drwiny, machanie rękami przedrzeźniające gest Guillaume'a.

–No, wytwórcy map, czy wszystko skrzętnie notujecie? – krzyknąłem wśród ogólnego harmidru.

Wrzawa trwała jakiś czas, gdyż spodziewaliśmy się, iż rycerz wynurzy się z wody. Ale to nie następowało.

–Siedzi pod wodą ze wstydu – ktoś skomentował. Wkrótce jednak pojeśliśmy, że to nie kompromitacja, lecz ciężka zbroja nie pozwoliła Guillaume'owi na wypłynięcie.

Gdy to się stało oczywiste, szyderstwa się skończyły. Inny rycerz wjechał do wody i pobrodził do tego miejsca. Upłynęła pełna minuta, nim tam dotarł.

Zeskoczywszy z konia, zanurkował w poszukiwaniu Guillaume'a. Po chwili wynurzył się z ciężkim ciałem rycerza.

Utonął, panie! – zawołał. Wśród stojących na brzegu dały się słyszeć westchnienia.

Ludzie pochylili głowy i przeżegnali się. Nie dalej niż przed kilkoma dniami ten sam Guillaume stał nade mną na urwisku chwilę po tym, jak Nicodemus runął w przepaść na spotkanie ze śmiercią. Popatrzyłem na Roberta, który wzruszył ramionami. Niewielka strata – skomentował, uśmiechając się drwiąco.

## ROZDZIAŁ 13

Dotarliśmy do wysokiego grzbietu, z którego rozciągał się widok na rozległą równinę, białą jak wysuszona kość. Stamtąd zobaczyliśmy miasto.

Antiochia.

Forteca, otoczona grubymi murami, zbudowana na skalnym wzniesieniu, ogromna, zrobiła na mnie większe wrażenie niż którykolwiek z zamków, jakie widziałem w Europie. Poczulem zimny dreszcz.

Wznosiła się na stromym stoku. Każdego odcinka zewnętrznych murów, grubości dziesięciu stóp, strzegły setki umocnionych wieżyczek. Nie mieliśmy maszyn oblężniczych do zrobienia wyłomu w takich murach ani odpowiednio wysokich drabin, które sięgnęłyby ich szczytu. Antiochia sprawiała wrażenie niepokonanej.

Rycerze zdjęli hełmy i z trwożnym podziwem patrzyli na twierdzę.

Wiedziałem, że wszystkich nurtuje ta sama myśl:

Musimy zdobyć to miasto.

–Nie widzę żadnego chrześcijanina przykłutego do murów – powiedział z rozczarowaniem w głosie Robert, mrużąc oczy przed słońcem.

–Jeśli szukasz męczenników – odparłem ponuro – to obiecuję ci, że znajdziesz ich pod dostatkami.

Pomaszerowaliśmy gęsiego wzdłuż grani, a potem wąskim szlakiem w dół. Czuliśmy, że najgorsze jest za nami. Że cokolwiek Bóg nam przeznaczył, przyszłe bitwy nie będą tak ciężką próbą jak wędrówka przez góry. W rozmowach znów powrócił temat bogactw i chwały.

Potknąwszy się na występie skalnym, zauważyłem coś błyszczącego.

Schyliłem się, żeby podnieść połyskujący przedmiot, i z wrażenia aż mnie zatkało.

To była pochwa sztyletu. Wyglądała na bardzo starą. Wykonano ją z brązu i wryto na niej napis, którego nie rozumiałem.

–Co znaczą te litery? – zapytał Robert.

–Nie wiem. – Żałowałem, że nie ma Nica, który potrafiłby je odczytać.

–Może to hebrajski... Boże, wydaje się bardzo stary.

–Hugues jest bogaty! – krzyknął Robert. – Mój przyjaciel jest bogaty!

Na pewno, mówię wam!

–Stul pysk – upomniał go jeden z żołnierzy. – Jeżeli usłyszysz cię któryś z naszych znakomitych dowódców, Huhues nie będzie się długo cieszył swoim skarbem.

Schowałem pochwę do tobołka, który powoli zaczynał się wypełniać.

Czułem się jak ktoś, kto właśnie ogłosił, iż otrzymał suty posag.

Nie mogłem się doczekać chwili, kiedy pokażę go Sophie.

Za tę pochwę moglibyśmy kupić w kraju jedzenie na całą zimę.

Nie wierzyłem własnemu szczęściu.

–Relikwie rosną tu na drzewach – zrzędził z tyłu Mysz – gdyby tylko były jakieś drzewa.

Szlak był teraz płaski i wygodny. Żołnierze prześcigali się w licytowaniu, ilu Turków zabiją w oczekującej nas walce. Moje znalezisko spowodowało, że zupełnie realnie zacząłem myśleć o łupach i bogactwie.

**Może stanę się zamożny.**

**Nagle czoło kolumny się zatrzymało. Zapanowała upiorna cisza.**

**Szlak przed nami był aż po horyzont wytyczony dużymi, białymi kamieniami ułożonymi w regularnych odstępach na rozpiętość ludzkiej ręki.**

**Na każdym kamieniu widniał krzyż, wymalowany jaskrawoczerwoną farbą.**

**–Witają nas, psubraty! – skomentował jeden z żołnierzy.**

**Raczej kpią sobie, pomyślałem. Widok rzędów czerwonych krzyży przyprawił mnie o dreszcz.**

**Robert pobiegł naprzód, chcąc rzucić jednym z owych kamieni w stronę murów, lecz schyliwszy się po niego, raptem znieruchomiał.**

**Żołnierze, którzy dotarli do linii kamieni, przeżegnali się.**

**To nie były kamienie, lecz czaszki. Całe tysiące!**

## ROZDZIAŁ 14

Ci spośród nas, którzy wierzyli, iż Antiochia padnie w ciągu jednego dnia, okazali się głupcami. Pierwszego dnia rano nasza wielotysięczna armia – morze białych kaftanów i czerwonych krzyży – ustawiła się w szyku.

Armia Boga! Wierzyłem w to.

Skupiliśmy się na wschodniej ścianie – o przyporach z szarej skały – wysokiej na trzydzieści stóp, obsadzonej na każdym stanowisku obrońcami w białych szatach i niebieskich turbanach. Nad nimi wznosiły się wieżyczki, setki wzdłuż linii murów, na każdej z nich strzelcy, których długie łuki lśniły w blasku porannego słońca.

Serce biło mi jak młot. Wiedziałem, że lada moment zaatakujemy, lecz miałem wrażenie, jakby nogi wrosły mi w ziemię. Zamiast się pomodlić, wyszeptalem imię Sophie.

Robert stał w szeregu obok mnie. Wyglądało na to, że pali się do walki.

–Jesteś gotów, Hugues? – spytał, uśmiechając się niecierpliwie.

–Kiedy zaatakujemy, trzymaj się blisko mnie – przykazałem mu. Byłem od niego dwukrotnie większy. Z jakiegoś nieokreślonego powodu obiecałem sobie, że będę go chronił.

–Nie martw się o mnie, jestem pod opieką Boga. – Robert wydawał się pewny swojej wiary. – Ty też, Hugues, chociaż się do tego nie przyznajesz.

Sygnal trębacza ogłosił przygotowanie do ataku. Rajmund i Boemund, obaj w pełnym uzbrojeniu, przegalopowali na przyozdobionych ich znakami herbowymi rumakach przed linią żołnierzy.

–Bądźcie dzielni, żołnierze! Spełnijcie swój obowiązek przypomnieli. – Walczcie z honorem! Bóg jest po waszej stronie.

W tym momencie na murach rozległ się ryk mrozący krew w żyłach. Turcy kpili sobie z nas. Utkwiłem wzrok w twarzy jednego, który zajął miejsce nad główną bramą. Trąbka zabrzmiała ponownie. Zaczęliśmy biec.

Nie pamiętam dokładnie, o czym myślałem, gdy w zwartym szyku posuwaliśmy się ku potężnym murom. Wspomniałem jeszcze raz Sophie, zerknąłem na Roberta i pomodliłem się do Boga, żeby miał nas w opiece.

Pamiętam tylko, że biegłem razem z falą atakujących. Usłyszałem nad sobą świst strzał wystrzelonych z tyłu, lecz te, odbiwszy się od masywnych ścian jak patyki, zaklekotały u podnóża murów, nie wyrządzając obrońcom najmniejszej krzywdy.

Jeszcze sto kroków... Odpowiedzią na nasz atak był grad strzał, które posypały się z wieżyczek. Zasłoniłem się tarczą, słysząc wszędzie wokół siebie dzwonienie i głucho uderzenia w tarcze i zbroje. Ludzie padali, łapiąc się za głowy i gardła. Z wykrzywionych ust wydobywał się przerażający charkot, z twarzy płynęła krew. Pozostali biegli dalej naprzód, Robert cały czas u mego boku. Widziałem, jak pierwszy taran zbliża się do głównej bramy. Setnik naszego oddziału kazał nam postępować za nim. Z góry spadał na nas grad ciężkich kamieni i płonących strzał. Ludzie krzyczeli i walili się na ziemię – trafieni i ci, co usiłowali ugasić ogarniające ich płomienie. Pierwszy taran uderzył w ciężką bramę – solidny drewniany kloc długości trzech chłopa. Odbił się od niej jak kamyk.



Obsługa wycofała go i ponowiła próbę. Piesi ciskali włóczniami w kierunku obrońców, lecz te dolatywały do połowy wysokości murów. W odpowiedzi Turcy poczęstowali nas gradem oszczepów i ogniem greckim. Ludzie tarzali się po ziemi w płonących kaftanach, wrzeszcząc i wierzgając nogami. Ci, którzy się zatrzymywali, żeby im pomóc, też zostali oblani płonąca substancją. To była jatka. Ludzie, którzy przeszli taki szmat drogi.

Wytrzymali mnóstwo cierpień – odpowiadając sercem na wezwanie Pana – teraz padali jak zboże pod kosą. Widziałem, jak biedny Mysz pada na kolana, trzymając z obu stron szyi strzałę, która przebiła mu gardło na wylot. Inni przewracali się na niego. Byłem pewny, że wkrótce sam zginę. Jeden z obsługi tarami zginął, Robert zajął jego miejsce. Ponownie zaatakowali bramę, lecz bez rezultatu.

Ze wszystkich stron leciały na nas strzały i kamienie, lała się płonąca smoła.

Trzeba było mieć szczęście, żeby uniknąć śmierci. Obserwowałem mury, starając się dostrzec łuczników lub kotły ze smołą. Ku mojemu przerażeniu spostrzegłem dwóch ogromnych Turków szykujących się do wylania kadzi z dymiąca smołą na obsługę taranu. Gdy już byli gotowi, skoczyłem na Roberta i rozpląszczyłem go na ścianie na ułamek sekundy przedtem, nim czarny strumień oblał jego towarzyszy. Zaczęli wrzeszczeć, nogi się pod nimi ugięły, próbowali rękami zetrzeć gorącą smołę z oczu i skwierczącej skóry twarzy, ich ciała zaczęły wydzielać obrzydliwy zapach.

Przyciskałem Roberta do ściany, tu chwilowo nic nam nie groziło. Przerzedziły się szeregi atakujących. Żołnierze padali na kolana i jęczeli. Tarany zostały odciągnięte na bok i porzucone. Nasze natarcie zamieniło się w pogrom.

Żołnierze, słysząc sygnał do odwrotu, zaczęli pierzchać spod murów. Gonili ich strzały i oszczepy. Wielu padło w trakcie ucieczki. – Musimy stąd zwiewać – powiedziałem do Roberta. Oderwałem go od muru i zaczęliśmy biec co sił w nogach.

Modliłem się, żeby nas nie trafiły saraceńskie strzały.

Gdy tak uciekaliśmy, masywne wrota twierdzy otworzyły się i ze środka wysypali się konni: dziesiątki jeźdźców w turbanach z długimi, zakrzywionymi mieczami.

Pogonili za nami jak myśliwi polujący na zające. Wydawali dzikie okrzyki: Allah akbar! Bóg jest wielki.

Mimo że było nas mniej, nie mieliśmy wyboru: musieliśmy zatrzymać się i walczyć.

Wyciągnąłem miecz, zdając sobie sprawę, że każdy mój następny oddech może być ostatni, i zamachnąwszy się, uderzyłem na pierwszy szereg jeźdźców. Miecz Saracena zafurczał i głowa żołnierza stojącego obok mnie potoczyła się jak kopnięta piłka. Inny wyjący jeździec wdarł się prosto w nasze szeregi, jakby chciał popełnić samobójstwo.

Rzuciliśmy się na niego i pocięliśmy go na kawałki. Jednak mała grupa, która przyłączyła się do mnie i do Roberta, coraz bardziej topniała. Błagającym Boga o ratunek Turcy rozcinali brzuchy, nie zsiadając z koni. Złapałem Roberta za kaftan i odciągnąłem z pola walki. Kiedy znaleźliśmy się na otwartej przestrzeni, spostrzegłem jeźdźca, który szarżował prosto na nas. Stałem przed chłopcem i wyciągnąłem przed siebie miecz, decydując się na przyjęcie ataku. Jeśli to ma być

**koniec, niech wreszcie nastąpi, pomyślałem. Nasze miecze szczęknęły głośno przy starciu, siła uderzenia mną zachwiała. Spojrzałem w dół, spodziewając się zobaczyć własne nogi odcięte ud korpusu, lecz – dzięki Bogu – okazało się, że byłem cały. Za mną w chmurze pyłu zobaczyłem leżącego na ziemi Saracena. Nim zdołał oprzytomnieć, skoczyłem i wbiłem mu miecz w gardło, patrzyłem, jak struga krwi wypływa z jego ust. Nigdy jeszcze nie zabiłem człowieka. Teraz rąbałem i ciąłem wszystko, co się ruszało, jakbym się do tego urodził.**

**Co chwila nowa fala jeźdźców wypadła z bramy. Doganiali uciekających ludzi i ćwiartowali ich na miejscu. Pole walki było zlane krzepnącą krwią. Oddział naszych konnych wyjechał na spotkanie Turków, lecz został wycięty w pień, gdyż wrogowie mieli znaczną przewagę liczebną. Wydawało się, że Seldżycy wyrznęli całą armię.**

**Ruszyłem z Robertem przez dym i kurz w stronę, gdzie powinny być nasze oddziały. Znaleźliśmy się poza zasięgiem strzał. Ludzie nadal jęczeli i konali na polu pod szablami Turków. Trudno było odróżnić czerwień farby naszych krzyży od krwi. Dopiero teraz się zorientowałem, że ręce i kaftan mam schlapane krwią, lecz nie wiedziałem czyją. Piekły mnie nogi spryskane gorącą smołą. Choć widziałem, jak wielu naszych padło, byłem dumny, że dzielnie walczyłem. Udało mi się również ochronić Roberta, tak jak sobie obiecywałem. Mimo iż chciało mi się płakać z powodu zabitych przyjaciół, wśród nich Myszy, rzuciłem się na ziemię szczęśliwy, że żyję.**

**–Miałem rację, Hugues – powiedział do mnie uśmiechnięty Robert. – Bóg się nami jednak opiekuje. Po tych pełnych ufności słowach opuścił głowę i zwymiotował na ziemię.**

## ROZDZIAŁ 15

Następne dni były takie same.

Atak za atakiem.

Bezsensowne szafowanie ludzkim życiem.

Oblężenie ciągnęło się miesiącami. Przez jakiś czas wydawało się, że nasza chwalebna krucjata skończy się nie w Jerozolimie, lecz pod Antiochią.

Nasze katapulty miały gigantyczne głązy, które jednak nie mogły uczynić znaczniejszych szkód potężnym murom. Powtarzane frontalne ataki powiększały jedynie liczbę zabitych.

W końcu skonstruowaliśmy ogromne maszyny oblężnicze, wysokie jak najwyższe wieże, lecz ich atak spotkał się z tak zaciekłym oporem obrońców, że stały się grobem dla naszych najdzielniejszych żołnierzy.

Duch w naszej armii upadał, w miarę jak przeciągało się oblężenie. Brakowało żywności. Bydło zarżnięto do ostatniej sztuki, nawet psy zjedliśmy. Wodę było równie trudno zdobyć jak wino.

Przez cały czas dochodziły nas wieści, że chrześcijanie wewnątrz miasta są torturowani i gwałceni, a święte relikwie bezczeszczone.

Co kilka dni muzułmański żołnierz zrzucał z wieży naczynie, które rozbijało się na ziemi, rozpryskując krew. „To krew waszego bezsilnego Zbawiciela! – wołał szyderczo. – Teraz widzicie, jak was zbawia”. Kiedy indziej zapalał szmatę i zrzucając ją z murów, krzychał: „To jest całun Iadacznicy, która dała mu życie”.

Tureccy wojownicy niekiedy robili wypadki poza mury twierdzy. Rzucali się na nasze oddziały, jakby wypełniali świętą misję, wrzeszcząc i rąbiąc wszystkich, którzy stawili im czoło, chrześcijanie zaś wiedzieli, iż zostaną otoczeni i porąbani na kawałki, toteż zachowywali się jak straceńcy. To nas utwierdziło w przekonaniu, że nigdy się nie poddadzą.

Złapanych oddawaliśmy czasem oddziałowi straszliwych frankońskich wojowników, zwanych Tafurami. Bosi, brudni, pokryci wrzodami – wyróżniali się łachmanami, które nosili zamiast normalnych strojów, i dzikim okrucieństwem w walce. Bali się ich wszyscy – nawet swoi.

Podczas bitew Tafurowie zachowywali się jak diabły wcielone uzbrojeni w nabijane ołowiem maczugi i topory rzucali się na przeciwników z wyszczerzonymi zębami, jakby mieli zamiar pożreć ich żywcem. Mówiono, że są rycerzami, którzy popadli w niełaskę, że są na rozkazach tajemniczego władcy i że przysięgli żyć w ubóstwie do czasu, aż Bóg im wybaczy.

Niewierni, którzy nie mieli szczęścia zginąć na polu bitwy, bywali rzucający Tafurom, tak jak rzuca się ochłapy psom. Widziałem, jak te kanalie wypatroszyły żywcem muzułmańskiego wojownika, po czym wcisnęły mu do gardła jego wnętrzności. Co gorsza, nie zareagowałem – niech Bóg mi przebaczy!

Tafurowie nie podlegali rozkazom żadnego z naszych dowódców, ani też – jak większość nas uważała – nie czcili żadnego boga. Ich znakiem rozpoznawczym były wypalone na szyjach krzyże, które stanowiły nie tyle symbol ich żarliwości religijnej, ile żądzy zadawania bólu.

**A W miarę jak przeciągało się to koszmarne oblężenie, czułem, że coraz bardziej się oddalam od mojego dawnego życia. Minęło osiemnaście miesięcy, odkąd opuściłem dom. Marzyłem o Sophie po nocach, a często również za dnia; przypominałem sobie jej uśmiech, kiedy mnie żegnała na progu, nim ruszyłem w drogę. Czy poznałaby mnie teraz – zarośniętego, chudego jak patyk, ciemnego od brudu i krwi wrogów? Czy nadal śmiałaby się z moich żartów i przekornie twierdziła, iż jestem niewinny po tym wszystkim, co widziałem i czego doświadczyłem? Czy gdybym przyniósł jej słonecznik, pocałowałaby moje rude włosy – zawszawione i pokryte zakrzepłą krwią?**

**Moja królowa... Jakże wydawała mi się teraz daleka!**

**Dziewczyna poznała wędrowca – powtarzałem najcichszym głosem każdego dnia przed zaśnięciem – świecił księżyc pachniały bzy.**

## ROZDZIAŁ 16

Od oddziału do oddziału przekazywano sobie rozkaz: „Przygotować się do bitwy. Atakujemy w nocy!”.

–W nocy? Znów? – narzekali zmęczeni i przestraszeni żołnierze, nie mogąc w to uwierzyć. – Czy im się zdaje, że nocą będziemy celniej strzelali do tego, w co nie możemy trafić za dnia?

–Nie, tym razem to coś innego – obiecał setnik. – Jeszcze dziś w nocy będziecie rżnąć żonę emira!

Zapanowało ogólne ożywienie. Podobno w Antiochii jest zdrajca, który sprzedał miasto. Antiochia w końcu padnie. Nie w rezultacie rozwalenia murów, lecz za sprawą chciwości i zdrady.

–To prawda? – spytał Robert, wciągając pospiesznie buty. – Czy wreszcie odpłacimy im tym samym?

–Naostrz nóż – poradziłem zapalczywemu młokosowi. Rajmund wydał rozkaz zwinięcia obozu dla stworzenia pozorów, że robimy wypad na inny obiekt. Cofnęliśmy się o dwie mile, aż po rzekę Orontes, i czekaliśmy. Tuż przed świtem padł rozkaz: „Przygotować się!”.

Pod osłoną zmroku po cichu wróciliśmy pod miasto. Nad wschodnimi wzgórzami ukazał się okrucuch pomarańczowego światła. Czułem przyspieszone bicie serca.

Antiochia dziś padnie! Potem już tylko Jerozolima i witaj, wolności!

Czekając na rozkaz do ataku, położyłem dłoń na ramieniu Roberta.

–Boisz się?

Chłopiec potrząsnął głową. – Nie.

–Dzisiejszy dzień zaczynasz jako chłopiec, ale nim słońce zajdzie, będziesz już mężczyzną.

Uśmiechnął się z zakłopotaniem. Mrugnąłem do niego.

–Myślę, że obaj staniemy się mężczyznami.

W tym momencie na północnej wieży zamachano pochodnią. To było to! Nasi byli już w twierdzy.

–Naprzód! – krzyknęli nobile. – Do ataku! Puściliśmy się biegiem; cała nasza armia ramię w ramię – Frankowie, Normanowie, Tafurowie – kierowani tą samą myślą. „Pokażcie im, czyj Bóg jest jedyny!” – krzyczeli dowódcy.

Ruszyliśmy gromadą ku północnej wieży. Przystawiliśmy drabiny i pierwsze fale żołnierzy wspięły się na mury. Wkrótce zaczęły stamtąd dolatywać krzyki i hałas zaciętej walki. Nagle główne wrota stanęły otworem. Sytuacja się odwróciła: po raz pierwszy nie wypadli z nich muzułmańscy napastnicy na koniach; zamiast tego wlały się przez nie do miasta nasze atakujące oddziały.

Pędziliśmy na łeb na szyję ulicami, podpalając domy. Mężczyźni w turbanach wybiegali na ulice i rąbano ich na kawałki, nim zdążyli wyciągnąć miecze.

Wszędzie rozbrzmiewały okrzyki: „Śmierć poganom” i „Dieu le veult!”, Bóg tak chce.

Biegłem w grupie, nie czując szczególnej wrogości wobec nieprzyjaciela, ale byłem gotów walczyć z każdym, kto stanie mi na drodze. Widziałem jednego z

obrońców przeciętego aż po pas straszliwym ciosem topora. Spragnieni walki mężczyźni, w kaftanach naznaczonych czerwonymi krzyżami, odrąbywali głowy obrońcom i unosili je, chwając się nimi jak zdobytym skarbem.

Na naszych oczach z płonącego domu wypadła z krzykiem kobieta. Rzucili się na nią dwaj Tafurowie, zdarli z niej odzież i po kolei zgwałcili ją na ulicy.

Następnie ściągnęli jej z ręki brązową bransoletę, a nieszczęsną zatłukli maczugą. Patrzyłem z przerażeniem na okrwawione zwłoki. Zauważyłem, że ścisnęła w dłoni krzyżyk. Boże Święty, była chrześcijanką!

W następnym momencie z tego samego domu wyskoczył rozsierdzony Turek, prawdopodobnie jej mąż, i z krzykiem na mnie natarł. Stałem jak sparaliżowany.

Wyobraziłem sobie scenę własnej śmierci. Do głowy przyszło mi tylko usprawiedliwienie: „To nie ja...”.

Jednak w chwili gdy ostrze oszczepu mężczyzny było zaledwie o palec od mojego gardła, Robert wbił mu w pierś swój nóż. Turek zachwiał się, oczy mu się rozszerzyły, po czym padł nieżywy na zwłoki swojej żony.

Stałem jak wrośnięty w ziemię, mrugając ze zdumienia. Spojrzałem na Roberta z uczuciem ulgi.

–Teraz widzisz, kto naprawdę czuwa nad tobą. – Puścił do mnie oko. – Nie Bóg, tylko ja.

Ledwie skończył to mówić, gdy inny Turek, w turbanie, z długim mieczem, rzucił się na niego.

Chłopak go nie widział, gdyż był odwrócony plecami. Zorientowałem się, że nie zdążę dobiec na czas. Robert właśnie wyciągał nóż z piersi martwego Turka, ale ostrze utkwilo głęboko. Na twarzy miał nadal niewinny uśmiech zadowolenia z własnego żartu.

–Robert! – wrzasnąłem. – Robert!

## ROZDZIAŁ 17

Napastnik gnał w jego stronę z uniesionym mieczem. Miałem tylko ułamek sekundy.

Chciałem obrócić Roberta, lecz przegradzał mi drogę zabity. Zdążyłem tylko krzyknąć:

–Nie...!

Miecz trafił Roberta nieco poniżej szyi. Usłyszałem trzask kości. Ciężkie ostrze przecięło go aż po pierś. Ramię chłopca odskoczyło od tułowia. Wyglądało, jakby się rozpadł na dwie części.

W pierwszej sekundzie patrzyłem ze zgrozą. Odniosłem wrażenie, iż chłopak wiedział, że nie zdoła uniknąć śmierci, i zamiast stawić czoło atakującemu, uśmiechnął się do mnie. Wiedziałem, że do końca życia będę pamiętał wyraz jego twarzy z tych ostatnich chwil.

Błyskawicznie jednak odzyskałem panowanie nad sobą, skoczyłem na zabójcę i przebiłem go mieczem. Gdy zaczął się słaniać, dźgnąłem go ponownie. Wbijałem weń miecz bez końca, choć leżał już martwy na ziemi, jakby moja żądza krwi mogła przywrócić życie przyjacielowi.

Następnie ukląknęłam obok Roberta. Ciało miał rozrąbane, lecz na gładkiej twarzy ten sam chłopięcy wyraz jak owego dnia, gdy przyłączył się do naszej wyprawy z maszerującą za nim śmiesznie gęsią. Poczulem napływające łzy. Był jeszcze chłopcem... Wokół rozpętało się piekło. Oznaczeni czerwonymi krzyżami żołnierze rozlali się ulicami po całym mieście. Przenosili się od domu do domu, plądrując i paląc. Dzieci płakały, wzywając na pomoc matki, ale wrzucano je do ognia jak drewno. Oszaleli z zachłanności Tafurowie mordowali wszystkich bez różnicy – zarówno niewiernych, jak i chrześcijan – napychając kieszenie swoich brudnych łachmanów wszystkim, co przedstawiało jakąkolwiek wartość.

Jaki Bóg przyświecał takim okropieństwom? Czyja to była wina: Boga czy człowieka?

Coś we mnie pękło. Wszelkie marzenia o wolności i bogactwie – to wszystko, w imię czego walczyłem – wyparowały ze mnie. Poczulem całkowitą pustkę. Przestała mnie interesować Antiochia, oswobodzenie Jerozolimy, a nawet własne wyzwolenie.

Chciałem tylko wrócić do domu, ujrzeć znów Sophie, powiedzieć, że ją kocham.

Pogodziłbym się z surowością praw, ciężarem podatków i ewentualnym gniewem naszego pana – gdybym tylko mógł ją jeszcze raz przytulić. Przybyłem tu, żeby zostać wolnym. Dopiąłem swego. Byłem wolny. Wolny od własnych złudzeń!

Mój oddział posuwał się naprzód, lecz ja zostałem na miejscu, dławiony żalem i wściekłością. Nie wiedziałem, dokąd pójdę – teraz gdy już nie chciałem walczyć w krucjacie. Szedłem przed siebie, wśród palących się domów, mijając kolejne przerażające sceny. Zewsząd dobiegały jęki. Masakra trwała, krew na ulicach sięgała kostek.

Doszedłem do chrześcijańskiego kościoła. Sanctum Christi... Kościół Świętego Pawła. Niemal mnie to rozśmieszyło: ów stary grób był jednym z celów naszej wyprawy. Przybyliśmy, żeby wyzwolić pusty, skalny grobowiec. Miałem ochotę

**uderzyć w kościół mieczem. Ucieleśniał wszystkie kłamstwa. W końcu, gotując się z gniewu, wspiąłem się po stromych stopniach przed drzwiami.**

**–Tego chciał Bóg? – krzyknąłem. – Tej rzezi?**



## ROZDZIAŁ 18

Ledwie wstąpiłem do ciemnej, chłodnej nawy kościoła, gdy posłyszałem w jego głębi krzyk bólu. Szaleństwo nie miało końca!

Na stopniach ołtarza dwaj czarno odziani Turcy krążyli nad leżącym księdzem, kopiąc go, lżąc we własnym języku, podczas gdy przerażony kapłan próbował się bronić sękatym, drewnianym kijem.

Zawahałem się. Chwilę wcześniej zginął mój przyjaciel. Nie czułem żadnych zobowiązań wobec sługi bożego, mimo to rzuciłem mu się na pomoc.

Wydawszy głośny okrzyk, puściłem się biegiem z obnażonym mieczem. W chwili gdy jeden z niewiernych zatopił sztylet w brzuchu księdza, ostrze mojego miecza przebiło bok drugiego. Usłyszałem mrozący krew w żyłach skowyt.

Pierwszy podniósł się i stanął naprzeciw mnie, trzymając w ręku sztylet ociekający krwią księdza. Wykonał nim gwałtowne pchnięcie, wypowiadając przy tym słowa, które rozumiałem: „Ibn Kan...”. Syn Kaina.

Zrobiłem unik i rąbnąłem go w kark. Mój miecz przeciął mu szyję jak gałązkę drzewa. Uklęknął, jego głowa potoczyła się po stopniach ołtarza. Potem upadł do przodu.

Stałem jak zahipnotyzowany, spoglądając na trupy Turków. Nie uświadamiałem sobie, jakie się we mnie odbywają przemiany. Co ja tu robię? Jakim człowiekiem się stałem?

Podszedłem do leżącego księdza, chcąc sprawdzić, czy można mu pomóc. Kiedy przy nim klękałem, jego oczy zaszły mgłą. Wydawał ostatnie tchnienie. Bezużyteczny już drewniany kostur wypadł mu z ręki.

Za późno... Okazałem się nie bohaterem, lecz głupkiem.

W tym momencie usłyszałem za sobą szelest. Odwróciwszy się, zobaczyłem trzeciego napastnika. Był olbrzymi jak dwóch mężczyzn i nagi do pasa. Na widok martwych towarzyszy ruszył ku mnie z wyciągniętym mieczem.

Zorientowałem się, że jestem w beznadziejnej sytuacji. Napastnik był mężczyzną o herkulesowej budowie. Jego sękaty ramiona były dwa razy grubsze od moich. Nie miałem żadnych szans. Podniosłem miecz w obronie, ale cios Turka był tak silny, że wylądowałem plecami na martwym księdzu. Ponowił atak, świdrował mnie pełnymi wściekłości oczami. Tym razem miecz wyleciał mi z ręki i upadł ze szczękiem na kamienną posadzkę. Rzuciłem się, żeby go podnieść, lecz Turek mnie uprzedził i niespodziewanym kopniakiem pozbawił tchu.

Czeka mnie śmierć... wiedziałem o tym. Nie miałem szans w starciu z tym potworem. Resztką sił sięgnąłem po drewniany kostur księdza. W głowie zaświtała mi iskierka nadziei: może uda się rąbnąć nim w kostki napastnika?

Ale Turek tylko zrobił duży krok i przygwoździł kostur do posadzki. Czarne oczy spojrzały prosto na mnie. Czytałem w nich, że nie mam szans. Klinga jego noża błysnęła odbitym światłem pochodni. Byłem o krok od śmierci...

Czekałem w napięciu na ostateczny cios, a przez głowę przelatywały mi różne myśli. Wśród nich nie było modlitwy do Boga o przebaczenie grzechów. Bóg miał mnie zabrać tam, gdzie moje miejsce. Pożegnałem się z moją słodką Sophie. Czułem

się winny, że odchodzę od niej w ten sposób. Nigdy się nie dowie, jak umarłem, gdzie i dlaczego – ani tego, że w ostatniej chwili życia myślałem właśnie o niej.

Uświadomiłem sobie niewiarygodną ironię sytuacji. Umierałem przed ołtarzem Chrystusa, jako uczestnik świętej krucjaty, w której celowość już nie wierzyłem.

Nie wierzyłem... Mimo to umierałem za jej sprawę.

Gdy popatrzyłem na mego kata, strach mnie opuścił. Instynkt obronny również.

Spojrząwszy mu w oczy, odniosłem wrażenie, iż znajduję w nich odbicie własnych myśli. Doznałem dziwnej, przemożnej chęci, której nie zdołałem opanować.

Nie zacząłem się modlić, nie zamknąłem oczu, nawet nie błagałem o litość.

Zamiast tego zacząłem się śmiać.

## ROZDZIAŁ 19

Miecz Turka zawisł nad moją głową. Lada moment spodziewałem się ciosu. Mimo to nie mogłem opanować śmiechu.

Śmiałem się z tego, za co umierałem. Z całkowitej bezsensowności wszystkiego. Z kosztownej wolności, którą mi obiecywano po powrocie.

Patrzyłem w jego zmrużone oczy i choć wiedziałem, że to może być mój ostatni oddech, nie umiałem się powstrzymać. Nadal się śmiałem...

Napastnik się zawahał. Trzymał miecz wzniesiony nad moją głową, zapewne myśląc, że oto posyła Wszchemogącemu kompletnego idiotę. Zmarszczywszy brwi, mrugał oczami zmieszany.

Szukałem w głowie jakiejś kwestii w jego języku, czegokolwiek z tego, czego mnie nauczył Nicodemus.

–Ostatni raz cię ostrzegam – powiedziałem. – Poddajesz się?

Potem znów wybuchnąłem śmiechem. Mocarny Turek, z oczami jak rozżarzone węgle, kołysał się nade mną. Oczekiwałem śmiertelnego ciosu. Raptem spostrzegłem, że zmienia się wyraz jego twarzy. Pojawił się na niej cień uśmiechu.

Tłumiąc śmiech, wyjąkałem:

–Ch – chodzi o t – to, że j – ja n – nawet nie jestem w – wierzący. Olbrzym się wahał.

Nie wiedziałem, czy chce coś powiedzieć, czy za moment uderzy. Na jego twarzy pojawił się wyraz zakłopotania.

–Ja też nie.

Jego miecz nadal groźnie pobłyskiwał nad moją głową. Zdawałem sobie sprawę, że każda następna chwila może być ostatnią. Podparłem się na łokciach, spojrzałem mu w oczy i powiedziałem:

–W takim razie, skoro obaj jesteśmy niewierzący, musisz mnie zabić w imię czegoś, co obaj odrzucamy.

Obserwowałem, jak wrogość powoli znika z jego oblicza. Ku mojemu zdziwieniu, opuścił miecz.

–Jest nas zbyt mało – rzekł. – Nie ma sensu, żeby było jeszcze o jednego mniej.

Czyżbym śnił? Czy możliwe, że w samym środku tej masakry trafiłem na bratnią duszę? Spojrzałem mu w oczy: ta bestia przed sekundą była gotowa przeciąć mnie na pół. Zobaczyłem coś, z czym się nie spotkałem przez tę całą przeklętą, krwawą – noc: prawość, poczucie humoru, ludzkie cechy... Nie mogłem w to uwierzyć.

Proszę cię, Boże – zacząłem się w końcu modlić – nie pozwól, żeby to była jakaś okrutna pułapka.

–Mówisz poważnie? Puścisz mnie wolno? – Poczułem, jak moje palce, ściskające broń księdza, rozluźniają chwyt.

Turek zmierzył mnie badawczym wzrokiem, po czym kiwnął głową.

–Pewnie pomyślałeś, że uwolniłbyś świat od kompletnego szaleńca – powiedziałem.

–Przez moment rzeczywiście przyszło mi to do głowy. – Wyszczерzył zęby w uśmiechu.

**Wróciła mi świadomość sytuacji.**

**–Lepiej uciekaj. Dookoła wszędzie są nasze oddziały. Jesteś w niebezpieczeństwie.**

**–Uciekać...? – Westchnął. – Dokąd? – Jego twarz przybrała dziwny wyraz. Nie było w niej już nienawiści ani rozbawienia – jedynie coś w rodzaju rezygnacji.**

**W tym momencie usłyszałem przy wejściu głośny tupot nóg i głosy. Do kościoła wpadli żołnierze. Byli w brudnych łachmanach i nie mieli na sobie znaku krzyża.**

**Tafurowie.**

**–Uciekaj stąd – nalegałem. – Oni nie znają litości. Spojrzał na napastników, po czym mrugnął do mnie i sam zaczął się śmiać. Potem odwrócił się ku nim.**

**Zbrojni w miecze i potworne maczugi Tafurowie rzucili się na niego.**

**–Nie... – krzyknąłem. – Nie zabijajcie go. Oszczędźcie! Zabił pierwszego z atakujących potężnym cięciem miecza.**

**Chwilę później został powalony ciężkimi uderzeniami. Tafurowie wypruli mu wnętrzności. Do samego końca, gdy jego wielkie ciało przypominało już tylko odrażającą stertę mięsa – na przekór szlachetnej duszy, która kiedyś je zamieszkiwała – nie wydał z siebie jęku.**

**Przywódca Tafurów wymierzył ostatni cios w zakrwawione zwłoki, po czym przeszukał kaftan Turka, spodziewając się, że znajdzie coś wartościowego. Nie znalazłszy niczego, skinął na swoich kompanów:**

**–Poszukajmy tej krypty.**

**Przez cały czas powstrzymałem się od przeszkodzenia Taufurom w znęcaniu się nad Turkiem, gdyż byłem pewny, że te dzikusy z całą pewnością by mnie zabiły.**

**Minęli mnie, gdy szli plądrować kościół. Trząsałem się cały ze zgrozy.**

**Przywódca kanalii przeciągnął klingą miecza po mojej piersi, jakby się zastanawiał, czy zrobić ze mną to samo co z Turkiem. Potem uśmiechnął się szyderczo i rzekł:**

**–Nie martw się, rudzielcu. Jesteś wolny!**

## ROZDZIAŁ 20

Byłem wolny, jak powiedział Tafur. Wolny! Znow zacząłem się śmiać, tym razem z ironii losu. Te dzikusy posiekały na kawałki ostatni okruszek ludzkich uczuć w tym całym piekle. Powiedzieli, że mnie uratowali!

Gdyby Turek się nie zawahał, byłbym już martwy. To ja leżałbym w kałuży krwi, rozlewającej się po kamieniach. Oszczędził mnie. Wśród panującego szaleństwa jedyną bratnią duszę, iskrę prawdy i czystości znalazłem w nieznanym Turku. A ta kanalia powiedziała, że mnie uratowali!

Dźwignąwszy się z wysiłkiem, stanąłem nad ciałem człowieka, który mnie oszczędził. Patrzyłem ze zgrozą na krwawą masę. Klęknąwszy przy nim, ująłem go za rękę. Dlaczego...? Mogłem teraz wyjść z kościoła. Mogłem zostać zabity od razu na stopniach albo żyć do późnej starości. Jaki czeka mnie koniec? Czemu mnie oszczędziłeś? Patrzyłem w zmętniałe, nieruchome oczy Turka. Co zobaczyłeś?

Uratował mnie śmiech, który w jakiś niewytłumaczalny sposób podziałał na Turka.

Byłem o jeden oddech od śmierci, mimo to, zamiast czuć przerażenie i strach, zacząłem rechotać jak wariat. Doprowadziłem do tego, że mimo zapamiętania się w walce uśmiechnął się do mnie. Teraz już go nie było, a ja zostałem. Poczułem spokój, ogarniający moją duszę. Masz rację, Tafurze... wreszcie jestem wolny.

Muszę się stąd wydostać! Wiedziałem, że nie będę dalej walczył. Stałem się innym człowiekiem. Przed chwilą się zmieniłem. Krzyż na mojej tunice przestał mieć dla mnie znaczenie. Zerwałem go z piersi. Muszę wracać! Nie mogę żyć bez Sophie. Poza nią nic się nie liczyło. Jaki byłem głupi, że ją zostawiłem. Dla wolności? Nagle spadła mi z oczu zasłona – wszystko stało się jasne. Nawet dziecko dojrzałoby prawdę wcześniej ode mnie.

Tylko z Sophie u boku czułem się naprawdę wolny.

Przyszło mi do głowy, żeby zabrać z kościoła jakiś przedmiot na pamiątkę. Coś, co zachowam do końca życia. Pochyliłem się nad martwym Turkiem. Biedak nic nie miał: ani pierścionka, ani nawet ładnego drobiazgu.

Usłyszałem na zewnątrz głosy. Mógł to być ktokolwiek: niewierni, rabusie, kolejni Tafurowie polujący na łupy. Rozglądałem się wokół. Niech to będzie cokolwiek!

Wróciłem do księdza i podniosłem z posadzki ów przedmiot, który miałem w ręku w momencie, gdy Turek darował mi życie. Był to szorstki, sękaty kij, długości około czterech stóp, cienki, lecz mocny. Mógł być moim kompanem; przyjacielem w powrotnej drodze przez góry. Przysiągłem mieć go zawsze przy sobie, do końca życia.

Popatrzyłem na zabitego Turka.

–Miałeś rację, przyjacielu, jest nas zbyt mało – szepnąłem na pożegnanie.

Mrugnąłem do niego.

Podniósłszy wzrok, zauważyłem na ołtarzu mały krucyfiks. Był pozłacany i wysadzany kamieniami wyglądającymi na rubiny. Zdjąłem go i schowałem do worka. O tyle wzbogaciłem się na wyprawie! O złoty krzyż!

Na zewnątrz słychać było krzyki konających. Na ulicach szerzył się chaos. Tłum zdobywców wnikał coraz głębiej w miasto, oczyszczając je ze wszystkiego, co

**muzułmańskie. Wszędzie wały się zakrwawione zwłoki. Minęło mnie kilku spóźnionych rycerzy w czystych zbrojach, chcących wziąć udział w grabieży.**

**Ze wzniesienia powyżej mnie dobiegały przeraźliwe krzyki mordowanych, ale nie poszedłem tam. Podparłszy się księżym kosturem, zrobiłem pierwszy krok – w przeciwną stronę!**

**Oddalałem się od bezsensownej rzezi. Od mojego oddziału. Szedłem w stronę bramy miasta.**

**Nie miałem ochoty zobaczyć Jerozolimy.**

**Wracałem do domu. Do Sophie.**

## CZĘŚĆ 2

### CZARNY KRZYŻ

### ROZDZIAŁ 21

Wracalem do domu przez sześć miesiacy.

Z Antiochii powędrowalem na zachód, w stronę wybrzeża. Chciałem być możliwie najdalej od krwiożerczych ludzi z mojego oddziału. Pozbyłem się zakrwawionego stroju i przywdziałem szaty pielgrzyma, którego ciało znalazłem przy drodze.

Byłem dezertorem. Wszelkie obietnice wolności dane przez Rajmunda z Tuluzy już mnie nie dotyczyły. Wędrując nocami, dotarłem przez nagie góry do portu Saint Simeon, który znajdował się w rękach chrześcijan. Koczowałem tam jak żebrak, dopóki nie namówiłem greckiego kapitana, żeby mnie zabrał na swój statek, który płynął na Maltę. Stamtąd na weneckim statku handlowym, który wiozł cukier i przędzę, przypląnałem do Europy. Wenecja... Do mojej wioski był jeszcze szmat drogi.

Wycygałem mój przejazd dzięki umiejętnościom nabytym w czasach, gdy jako zongler wędrowałem z rybałtami. Podczas posiłków zabawiałem załogę opowiadaniem dowcipów i recytowaniem fragmentów Pieśni o Rolandzie. Bez wątpienia podejrzewali mnie o dezercję: takich jak ja było wszędzie bez liku. Z jakiego innego powodu mężczyzna bez grosza przy duszy uciekałby z Ziemi Świętej?

Każdej nocy śniła mi się Sophie. Myślałem o jej złocistych warkoczach, skromnym uśmiechu przepelnionym szczęściem. Cieszyłem się, iż wiozę jej coś cennego. Wpatrywałem się w zachodni horyzont, wyobrażając sobie, że korzystny wiatr dmący w żagle to jej oddech.

Kiedy dobijaliśmy do Wenecji, pragnąłem jak najprędzej stanąć na europejskiej ziemi. Na ziemi, po której będę szedł do Veille du Pere.

Zostałem jednak wtrącony do więzienia na polecenie podejrzliwego kapitana, który domagał się zapłaty. Ledwie zdążyłem ukryć na pryczy mój woreczek z cennymi rzeczami, gdy zostałem wrzucony do ciasnej, śmierdzącej nory, pełnej złodziei i przemytników wszelkich narodowości.

Strażnicy nazwali mnie Jeremiaszem, jako że byłem obszarpańcem o fanatycznym wyglądzie, nierozstającym się ze swoim kosturem. Starąłem się zachować dobry humor, prosząc ich, żeby mnie wypuścili, bo nie zrobiłem nic złego, próbowałem jedynie wrócić do żony. Śmiali się ze mnie. „W jaki sposób takie zawszone zwierzę jak ty może mieć żonę?” – pytali.

Szczęście mnie jednak nie opuściło. Kilka tygodni później miejscowy rycerz w akcie pokuty za grzech zapłacił za uwolnienie dziesięciu więźniów. Jeden z nich w nocy umarł, więc strażnicy, dla uzupełnienia liczby, wybrali sympatycznego pomyleńca, Jeremiasza.

–Wracaj do żony, Franku – rzekli, oddając mi moje rzeczy. – Radzimy ci się przedtem wykąpać.

Jeszcze tego samego wieczoru odszukałem woreczek z kosztownościami i ruszyłem w drogę na zachód, bagnistym szlakiem – do domu.

Wędrowałem przez Italię. W każdym mijanym mieście w zamian za posiłek,

składający się z chleba i piwa, opowiadałem w karczmach o krucjacie. Chłopi i pijacy z zapartym tchem słuchali o oblężeniu Antiochii, okrucieństwie Turków i tragicznym końcu mojego przyjaciela Nicodemusa.

Przemaszerowałem niższe partie gór i dotarłem do Alp. O tej porze roku wiały gwałtowne, mroźne wichry. Pokonanie Alp zajęło mi miesiąc, lecz w końcu, gdy zszedłem ze szczytów, pierwszym językiem, który usłyszałem, był francuski. Byłem we Francji! Serce zabiło mi żywiej na myśl, że do domu już niedaleko.

Mijałem znane mi miasta: Digne, Awinion, Nimes... Od Veille du Pere dzieliło mnie już tylko parę dni drogi. I od Sophie.

Zacząłem się martwić, jak to będzie. Czy pozna w wynędzniałym obszarpańcu swojego męża? Wyobrażałem sobie jej twarz, kiedy nagle przed nią stanę. Będzie gotowała zupę lub robiła masło; blond warkocze będą się jej wymykały spod czepka. „Hugues” – szepnie zbyt zaskoczona, żeby zrobić jakiś ruch. Po prostu: Hugues! Potem rzuci mi się w objęcia, a ja ją przytulę, jakbyśmy się nigdy nie rozstali. Dotknie mojej twarzy i rąk, chcąc się upewnić, czy nie jestem zjawą, a potem obsypie mnie pocałunkami. Jedno spojrzenie na moją twarz, moje łachmany, na moje poranione, bose stopy wystarczy, żeby się domyśliła, przez co przeszedłem. „Więc... – zrobi nadludzki wysiłek, żeby się uśmiechnąć – nie wróciłeś jako rycerz?”.

W dniu, w którym stanąłem na skraju Veille du Pere, padał deszcz. Ukląknę na mokrej ziemi.



## ROZDZIAŁ 22

Ostatnie mile! Niemal cały ten dystans przebyłem biegiem. Zacząłem sobie przypominać drogi, którymi wędrowałem, i znajome, budzące przyjemne skojarzenia widoki. Staralem się przestać myśleć o wszelkich przykrych rzeczach, które mnie spotkały. Nico, Robert, Civetot, Antiochia. Tragizm tamtych wydarzeń wydał mi się teraz odległy. Nie miałem z nim nic wspólnego. Byłem w domu.

Skończyła się niedola. Nie wróciłem jako rycerz ani giermek, nawet nie jako wolny człowiek, mimo to czułem się, jakbym był nobilem, najbogatszym na świecie.

Ujrzałem znajomy, wartki potok i graniczący z nim kamienny mur, który prowadził do miasta. Przede mną rozpościerało się pole jęczmienia Gilles'a. Dalej dobrze mi znany zakręt i kamienny most.

Veille du Pere...

Stałem na moście jak nędzarz nad suto zastawionym stołem, na moment przed przystąpieniem do uczty. Głowę miałem pełną wspomnień wszystkiego, co mi się przydarzyło: okropności wyprawy, dystansu, który pokonałem, i miesiący, podczas których myślami byłem cały czas przy Sophie, gdy marzyłem o jej twarzy, uśmiechu, pieśszczocie...

Żałowałem, że to nie jest lipiec, gdyż mógłbym ją powitać słonecznikiem.

Rozglądałem się po placu. Dostrzegłem znane twarze, ludzi zajętych codzienną pracą. Zobaczyłem moich przyjaciół: kowala Odonę i młynarza Georges'a... kościół ojca Leo... Nasz zajazd... Nasz zajazd! Patrzyłem ze zgrozą. Nie, to niemożliwe... W ułamku sekundy zrozumiałem, że wszystko się zmieniło.

## ROZDZIAŁ 23

Z twarzą bladą jak upiór rzuciłem się pędem w stronę placu. Pierwsze spostrzegły mnie dzieci. Pobiegły do swoich domów, krzycząc:

–To Hugues. Hugues de Luc. Wrócił z wojny.

Jedyną rzeczą, po której można mnie było poznać, była grzywa rudych włosów. Ludzie, sąsiedzi, których nie widziałem od dwóch lat, biegli ku mnie. Ich twarze wyrażały zaskoczenie i radość.

–Hugues, chwała Bogu, to ty!

Ja jednak przepchnąłem się przez otaczających mnie ludzi, niemal ich nie zauważając. Szedłem prosto ku naszej karczmie.

Nasz dom... Serce we mnie zamarło, gdy do niej dotarłem. Po budynku została jedynie wypalona dziura.

Wśród popiołów stał pojedynczy, zwęglony słup, który kiedyś podpierał piętrową drewnianą konstrukcję, wzniesioną rękami ojca mojej żony.

Nasza karczma została doszczętnie spalona.

–Gdzie jest Sophie? – wykrztusiłem, adresując pytanie najpierw do zwęglonych ruin, a potem do ludzi wokół mnie.

Chodziłem od jednego do drugiego, spodziewając się, że lada moment zobaczę Sophie, jak wraca od studni. Serce zaczęło mi bić jak szalone.

–Gdzie jest Sophie? – krzyknąłem. – Gdzie jest moja żona?

Ale wszyscy milczeli.

W końcu starszy brat Sophie, Mathieu, przepchnął się przez krąg ludzi. Gdy mnie poznał, zdumienie na jego twarzy zmieniło się w głęboką troskę. Podszedł i mnie objął.

–Nie do wiary, to ty, Hugues! Dzięki Bogu, wróciłeś. Wiedziałem, że stało się najgorsze. Poszukałem wzrokiem jego oczu.

–Co się wydarzyło, Mathieu? Powiedz, gdzie moja żona? Momentalnie ogarnęło go przygnębienie. Boże... bałem usłyszeć resztę. Wziął mnie za rękę i poprowadził do szczątków domu.

–Byli tu jeźdźcy. Dziesięciu... może dwunastu... Wpadli nocą jak diabły, paląc wszystko, co się dało. Nie nosili niczych barw, tylko czarne krzyże na piersiach. Nie wiemy, kim byli... mieli tylko te krzyże.

–Jeźdźcy...? – Krew mi zastygła ze zgrozy. – Jacy jeźdźcy, Mathieu? Co oni zrobili z Sophie?

Położył mi delikatnie rękę na ramieniu.

–Po drodze podpalili trzy domy. Woźnicy Paula, Samuela, starego Gilles'a. Ich żony i dzieci – i oni sami – zostali zabici, kiedy próbowali uciec z pożaru. Potem jeźdźcy pojechali do karczmy.

Próbowałem ich powstrzymać, Hugues, uwierz mi... – Ostatnie słowa wykrzyknął. Złapałem go za ramiona.

–A Sophie? – Wiedziałem, że doszło do najgorszego. Nie, to niemożliwe. Nie teraz...

–Nie ma jej, Hugues. – Matthew potrząsnął głową.

–Uciekła?

–Próbowała uciec, ale napastnicy wciągnęli ją do środka. Bili ją... – Wydał wargi i opuścił głowę. – Zrobili coś gorszego. Słyszałem jej jęki.

Przytrzymywali mnie, a w tym czasie bili ją i gwałcili. Zdemolowali wnętrze, izba po izbie. Potem wywlekli ją na zewnątrz. Była bezwładna jak lalka... ledwie oddychała. Myślałem, że ją zostawią, żeby umarła, ale dowódca wciągnął ją na swojego konia, podczas gdy inni podpalali pochodniami dom. Na koniec...

Ledwie go słyszałem. Wewnętrzny głos szeptał mi w kółko: Nie, to niemożliwe! Łzy nabiegły mi do oczu.

–Co jeszcze, Mathieu? Pochylił głowę.

–Zabrali ją z sobą, Hugues. Jestem pewny, że nie żyje.

Poczułem, że uginają mi się nogi. Ukląknę na ziemi. Boże, dlaczego tak się stało? Jak mogłem zostawić ją samą, żeby spotkał ją taki los? Moja Sophie odeszła... Patrzyłem na zwęglone szczątki mojej przeszłości.

–To zrobił Norcross, prawda? Baldwin...?

–Trudno powiedzieć – Mathieu potrząsnął głową. – Gdybym wiedział, sam bym go poszukał. To były bestie. Opuścili przyłbice, więc nie widzieliśmy twarzy. Nie mieli herbów. Wszyscy uciekli przed nimi do lasu. Weszli tylko do twojego domu.

Wyglądało na to, że przyjechali po ciebie.

Po mnie... Sukinsyny. Walczyłem przez dwa lata jako poddany Baldwina.

Przemaszerowałem pół świata, widziałem największe okrucieństwa pod słońcem,

**a oni zabrali mi jedyne, co kochałem.**

**Nabrałem w garść popiołu i patrzyłem, jak przesypuje się przez palce.**

**–Moja biedna Sophie... Mathieu ukląkł obok mnie.**

**–Jest jeszcze coś...**

**Jeszcze coś? Cóż więcej może spotkać człowieka? Spojrzałem na niego. Położył mi rękę na policzku.**

**–Kiedy cię nie było, Sophie urodziła syna.**

## ROZDZIAŁ 24

Miałem wrażenie, że ściana się na mnie wali. Syn... Przez trzy lata próbowaliśmy z Sophie bez rezultatu począc dziecko. Pragnęliśmy go bardziej niż czegokolwiek innego. Mówiliśmy o tym jeszcze ostatniej nocy przed rozstaniem. Opuściłem ją, nie wiedząc, że będę miał syna. Odwróciłem się ku Mathieu z iskierką nadziei. – On nie żyje, Hugues. Nie miał nawet roku. Te łotry, zabiły go tej samej nocy.

Wydarły z jej ramion, kiedy próbowała z nim uciekać.

Łzy nabiegły mi do oczu. Syn... Syn, którego nigdy nie poznam ani nie poprowadzę na spacer. Brałem udział w najkrwawszych bitwach, widziałem największe okropności, ale to wszystko nie przygotowało mnie na takie przeżycie.

–Jak to się stało? – szepnąłem. – W jaki sposób zginął mój syn?

–Nie chcę o tym mówić. – Twarz Mathieu nabrała koloru popiołu. – Wierz mi, że nie żyje.

Powtórzyłem pytanie, tym razem patrząc mu prosto w oczy. – Więc jak?

Odpowiedział bardzo cicho:

–Kiedy wrzucili nieprzytomną Sophie na konia, przywódca rzekł: „Nie mamy miejsca na taką zabawkę. Rzuć go do ognia”.

Ogarnął mnie niepohamowany gniew; poczułem w środku narastający ucisk. Miałem wrażenie, że wnętrzości rozrywają mi skórę. Bóg przez cały czas się nami bawił: dał nam syna, a potem zadrwił sobie w najokrutniejszy sposób.

Jak mogłem ich zostawić? Jak miałem żyć teraz, gdy ich już nie było?

–Jak miał na imię? – zapytałem Mathieu. Przełknął ślinę.

–Nazwała go Philippe.

Wzruszenie chwyciło mnie za gardło. Tak miał na imię wędrowny poeta, który mnie wychował. To był jej hołd dla mnie. Moja słodka Sophie, nie ma cię już na świecie. Ani mojego syna... Miałem chęć umrzeć na miejscu, wśród spopielonych ruin mojego życia.

–Hugues – rzekł Mathieu, podnosząc mnie z kłeczek – muszę ci coś pokazać. – Zaprowadził mnie ścieżką na wzgórek, z którego przed chwilą patrzyłem na miasto.

Mały łupkowy kamień zaznaczał miejsce, gdzie leżał mój syn.

Usiadłem na ziemi pod całunem wysokich topól. Wydrapany na kamieniu napis informował: „Philippe de Luc, syn Hugues'a i Sophie. Zmarł Roku Pańskiego MXCVIII”.

Oparłem głowę na ziemi i zacząłem płakać. Płakałem nad moim słodkim Philippe'em, którego nigdy nie widziałem. Nad moją żoną, która z pewnością też już nie żyła.

Czy dlatego los mnie oszczędził? Dlatego Turek nie zadał mi ostatecznego ciosu?

Po to, żebym żył... żebym doświadczył straty wszystkich, których kochałem?

Temu miał służyć mój śmiech? Żeby Bóg mógł się teraz śmiać ze mnie?

Wyjąłem woreczek z prezentami, które przyniosłem Sophie: szkatułkę pachnidel, kilka starożytnych monet, pochwę sztyletu, złoty krzyżyk. Wykopałem dołek obok grobu mojego syna, po czym troskliwie włożyłem doń mój „skarb”. Już mi nie był potrzebny.

**–Teraz należy do ciebie – szepnąłem. Moje słodkie maleństwo.**

**Zasypałem dołek i powtórnie oparłem głowę na ziemi. Wybaczcie mi, Philippe i Sophie. Z wolna mój żal zaczął się przeradzać w gniew. Wiedziałem, że to się stało na rozkaz Baldwina, a Norcross był jego narzędziem. Ale dlaczego?**

**Dlaczego?**

**Jestem tylko karczmarzem, pomyślałem. Nikim. Zwykłym wieśniakiem.**

**Ale wieśniakiem, który dopilnuje, byś zginął.**

## ROZDZIAŁ 25

Kiedy wróciłem z Mathieu do wioski, otoczył nas tłum ludzi. Ojciec Leo, Odo, inni moi przyjaciele... Każdy chciał mnie pocieszyć i pobłogosławić. Każdy chciał usłyszeć o moich przygodach na wojnie.

Wyminąłem ich jednak i poszedłem do karczmy, a raczej do jej szczątków.

Grzebałem wśród popiołu i kawałków spalonego drzewa, szukając czegokolwiek związanego z Sophie: skrawka sukni, naczynia... jakiegokolwiek przedmiotu przypominającego mi, co utraciłem.

–Przez cały czas mówiła o tobie, Hugues – zwierzył mi się Mathieu. – Strasznie tęskniła. Wszyscy myśleliśmy, że zginąłeś. Wszyscy – prócz niej.

–Jesteś pewny, bracie, że nie żyje?

–Tak. – Wzruszył ramionami. – Już kiedy ją zabierali, wyglądała bardziej na umarłą niż żywą.

–Ale nie twierdzisz z całą pewnością, że nie żyła?

–Nie, ale zaklinam cię, nie budź w sobie nadziei. Jestem z krwi i kości jej bratem. Chciałem, żeby była martwa, kiedy ją stąd wywlekali.

Spojrzałem mu głęboko w oczy.

–W takim razie jest szansa, że żyje, prawda?

Popatrzył na mnie ze zdziwieniem.

–Musisz się pogodzić z tym, co ci teraz powiem, Hugues: jeśli wówczas jeszcze żyła, to jestem pewien, że wkrótce umarła.

Mogli porzucić jej ciało gdzieś przy drodze.

–Zatem szukałeś ciała? I nie znalazłeś! Czy ktoś przybywający z zachodu trafił na jej szczątki?

–Nie, nikt.

–W takim razie nadal istnieje szansa. Mówisz, że nigdy we mnie nie zwątpiła, że była pewna, iż wrócę. Jestem jej winien to samo.

Znajdowałem się w tej części zajazdu, która kiedyś stanowiła nasze prywatne pomieszczenia. Wszystko było spalone na węgiel: łóżko, komoda... Raptem zauważyłem na ziemi coś błyszczącego.

Ukląknęłam i rozgarnąłem popiół. Serce omal nie wyskoczyło mi z piersi z radości. Poczulem łzy w oczach.

To był grzebień Sophie. Połówka, którą mi dała w dniu, kiedy wyruszałem na wojnę. Był zwęglony, pęknięty, omal nie pokruszył się w mojej dłoni. Jednak spowodował, iż poczułem z nią kontakt!

Pospiesznie wyjąłem z mojego woreczka drugą połówkę i jak najstaranniej złożyłem obie części. W tym momencie zobaczyłem moją żonę jak żywą: patrzyła na mnie, uśmiechając się wdzięcznie... jak ostatniego dnia, kiedy ją żegnałem.

–Ci rycerze, Mathieu, nie chcieli, żeby spłonęła, jak to zrobili z moim synem. Zabrali ją z jakiegoś powodu. – Trzymając uniesiony grzebień, spojrzałem na niego. – Może moje nadzieje nie są pozbawione podstaw.

Na zewnątrz czekali starzy przyjaciele: Odo i młynarz Georges.

–Powiedz tylko słowo, Hugues – rzekł Georges – a zapolujemy na tych łotrów.

Wszyscy przez nich ponieśliśmy straty. Wiemy, kto to jest. Zasłużyli na śmierć.

–Zgoda. – Położyłem dłoń na ramieniu młynarza. – Przedtem jednak chcę odnaleźć Sophie.

–Twoja żona nie żyje – odparł Odo. – Byliśmy świadkami, chociaż to wyglądało bardziej na koszmarny sen niż na rzeczywistość.

–Widziałeś ją martwą? – Czekałem przez chwilę na odpowiedź kowala. Przeniosłem wzrok na Georges'a.

–A ty?

Obaj wzruszyli niepewnie ramionami. Popatrzyli na Mathieu, szukając potwierdzenia.

–Sophie jest tam, gdzie mój Alo – odparł młynarz. – W niebie.

–Może ty tak myślisz, ale mnie to nie przekonuje. Sophie żyje. Jestem pewny. Czuję to.

Podniósłszy kostur i worek, zawiesiłem na szyi bukłak z wodą, po czym skierowałem się w stronę kamiennego mostu.

–Co masz zamiar zrobić, Hugues? Przebić ich tym patykiem? – Odo ruszył za mną. – Jesteś sam. Nie masz zbroi ani miecza.

–Chcę ją odszukać, Odo. Przyrzekam, że znajdę Sophie.

–Dam ci trochę żywności – zaproponował Odo. – Albo piwa. Pijesz nadal piwo, prawda? Mam nadzieję, że wojaczka cię z tego nie wyleczyła. A może zacząłeś chodzić w niedziele do kościoła?

Moim zdaniem żywił przekonanie, iż mnie już nigdy nie ujrzy.

–Przyprowadzę ją z powrotem, Odo. Zobaczysz.

Z kosturem w ręce zagłębiłem się w las.

Szedłem do Treille.

## ROZDZIAŁ 26

Biegłem otumaniony w kierunku, z którego przyszedłem, drogą prowadzącą do zamku mojego pana w Treille.

Żalność szarpała mi serce jak stado dzikich psów. Mój syn umarł z mojej winy. Z powodu mojej dumy i głupoty.

Biegając, czułem wzbierającą falę goryczy na myśl, że Norcross lub któryś z jego oprawców mieli moją biedną Sophie...

Walczyłem w Ziemi Świętej dla tak zwanych szlachetnie urodzonych, podczas gdy oni w imię Boga gwałcili i mordowali.

Maszerowałem i zabijałem na wezwanie papieża, a teraz taką otrzymałem zapłatę. Zamiast wolności i polepszenia życia dorobiłem się nędzy i lekceważenia. Byłem na tyle głupi, żeby zaufać możnym.

Biegłem tak długo, aż poraniłem nogi. Wyczerpany, oślepiiony wściekłością, upadłem na ziemię. Moje rany pokryły się brudem.

Muszę odnaleźć Sophie. Jestem pewny, że żyjesz. Chcę, żeby ci było dobrze. Wiem, przez co przeszłaś.

Przed każdym zakrętem drogi modliłem się, żeby nie trafić na jej zwłoki. Stopniowo, w miarę jak obawy okazywały się płonne, odzyskiwałem nadzieję.

Pod koniec całodziennego wędrowania rozejrzałem się dokoła i stwierdziłem, że nie wiem, gdzie jestem. Nie miałem pożywienia i skończyła mi się woda. Biegłem dalej, ponaglany wściekłością. Spojrzałem na słońce. Nie wiedziałem, w którym kierunku podążam: na wschód czy na północ.

Biegłem dalej drogą. Nogi miałem jak z ołowiu. Byłem otępiały, czułem ssanie w żołądku, oczy miałem pełne łez. Mimo to nie przestawałem biec.

Mijani po drodze ludzie patrzyli na mnie jak na szaleńca. Szaleńca z kosturem w ręku. „Czy tędy do Treille?” – pytałem.

Rozpraszała się, żeby mi zrobić przejście... pielgrzymi, kupcy, nawet wyrzutki. Ustępowali z drogi, widząc w moich oczach furję.

Nie wiedziałem, ile dni minęło – jeden czy dwa. Biegłem, aż nogi znów odmówiły mi posłuszeństwa. Kiedy oprzytomniałem, otaczały mnie ciemności. Drżałem na całym ciele, bo noc była zimna. Usłyszałem w gąszczu jakieś złowrogie szmery.

Z głębi lasu dotarł do mnie szum potoku. Na czworakach zagłębiłem się w gąszcz, kierując się odgłosem płynącej wody. Nagle straciłem grunt pod sobą. Złapałem się krzaka, lecz wysliznął mi się z ręki. Próbowałem coś uchwycić: gałąź, pnącze... Podała mi ziała próżnia. Jezu... leciałem w dół.

Niech się dzieje, co chce. Zasłużyłem na taki los. Umrę tu, tej nocy.

Z imieniem Sophie na ustach spadałem na dno wąwozu. Uderzyłem głową w coś twardego. W ustach poczułem ciepły, lepki płyn. – Już idę! – powiedziałem.

Do ciebie, Sophie!

W głąb wyjącej czeluści...

Potem noc ogarnęła moje myśli... i za to dzięki Ci, Panie!



## ROZDZIAŁ 27

Nie obudziły mnie niebiańskie chóry ani nawet szum wody, tylko niski, złowrogi dźwięk, dudniący jak grzmot.

Otworzyłem oczy. Wokół panowała noc. Spadłem do głębokiego jaru, znacznie poniżej poziomu drogi. Leżałem plecami na drzewie i ledwie mogłem się ruszać.

Rana z boku głowy bolała niemiłosiernie.

Znów usłyszałem w gąszczu basowy pomruk. – Kto tam? – zawołałem. – Ktoś ty? Nie usłyszałem odpowiedzi. Skupiłem wzrok na ciemnej plamie, próbując dopatrzeć się w niej jakiegoś kształtu. Kto to mógł być? O tej porze? Z dala od drogi? Na pewno nikt przyjazny, nikt, kogo chciałoby się spotkać.

W tym momencie spostrzegłem dwoje oczu. Nie były ludzkie – wielkie jak kamienie wotywnie, żółte, wąskie, wściekłe. Krew we mnie zastygła.

To zaczęło się ruszać. Usłyszałem trzask gałązki pod stopą. Wyszło na krok z lasu i wtedy je zobaczyłem. Ciemne, owłosione...

Panie Jezu Chryste! Niedźwiedź! Nie dalej niż dwadzieścia kroków ode mnie. Żółte ślepie oceniały, czy nadaję się na następny posiłek. Słyszałem węszenie. Potem wszystko ucichło.

Zaraz się na mnie rzuci! Byłem tego pewien.

Próbowałem trzeźwo pomyśleć. Nie dam rady takiemu potworowi. Nie mam czym się bronić. Był dwukrotnie większy ode mnie. Mógł mnie rozszarpać na strzępy ostrymi jak brzytwa kłami i pazurami.

Słyszałem, jak wali mi serce; był to jedyny dźwięk prócz głuchego warczenia bestii. Niedźwiedź zrobił następny krok. Mordercze oczy ani na moment nie przestawały mnie obserwować... powolne, czujne...

Boże, poradź, co mam zrobić? Nie mogłem uciec. Dogoniłby mnie po kilku krokach.

Wołanie o pomoc nie miało sensu wokół nie było nikogo.

Rozglądałem się, czy jest jakieś drzewo, na które mógłbym się; wspiąć, ale bałem się poruszyć, żeby go nie rozdrażnić. Niedźwiedź mnie obserwował. Kołysał głową, węsząc smaczny kąsek. Czułem smród jego gorącego oddechu; sierść miał zlepioną krwią poprzednich ofiar.

Chwyciłem za wiszący u pasa nóż. Nie wiedziałem, czy zdoła przebić skórę bestii.

Niedźwiedź warknął dwukrotnie i wyszczerzył kły. Z obu boków czerwonej paszczy sączyła się ślina. Nie chciałem umierać: przynajmniej nie w ten sposób... Boże, proszę, nie każ mi z nim walczyć.

Czułem się kompletnie opuszczony.

Niedźwiedź jakby czytał w moich myślach. Zawarczał ostatni raz i zaatakował.

Zdażyłem uskoczyć za drzewo, uniknąwszy o włos pierwszego uderzenia straszliwych pazurów.

Zadawałem niedźwiedziowi wściekłe ciosy nożem w głowę i szyję, starając się unikać paszczy pełnej zębów. Bestia nacierała gwałtownie. Dźgałem go nożem, tańcząc wokół drzewa. W pewnym momencie kły niedźwiedzia zacisnęły się na moim udzie, a ja zawyłem. Krzyczałem, dopóki starczyło mi tchu.

**Boże, jestem ranny!**

**Nie miałem czasu zbadać rany. Niedźwiedź natarł ponownie, tym razem rozdzierając mi brzuch. Krzyknąłem z bólu.**

**Kopnąłem go i zadałem cios nożem. Cofnął się i znów natarł. Złapał zębami moje udo i szarpał głową na boki, jakby chciał mi je wyrwać ze stawu.**

**Uwolniłem się kopniakiem. Próbowałem uciekać, lecz nie miałem sił w nogach.**

**Dokoła było pełno krwi.**

**Ostatkiem sił powlokłem się przez przerzedzenie. Brzuch palił mnie żywym ogniem. Byłem wykończony. Oparłem o drzewo i czekałam na nieuchronny koniec.**

**Zobaczyłem za drzewem swój kostur. Musiał wypaść z ręki podczas upadku.**

**Sięgnąłem po niego, choć nie stanowił skutecznej broni.**

**Patrzyłem na warczącego, rozwścieczonego niedźwiedzia.**

**–Chodź, bydlaku! No, chodź! Skończ to, co zacząłeś.**

**Przypomniałem sobie Turka, który mnie oszczędził w dalekim kraju. Tym razem śmiech nie mógł mnie uratować. Trzymałem kostur, jakby to był oszczep.**

**–Zaczynaj – krzyknąłem jeszcze raz do niedźwiedzia. – Skończ ze mną! Jestem gotów! Wykończ mnie!**

**Niedźwiedź, jakby zachęcony, zaatakował kolejny raz.**

**Oddech miałem spokojny. Nie bronilem się, podniosłem jedynie kij i wymierzyłem w pędzący ku mnie ciemny kształt.**

**Resztką sił cisnąłem go zwierzęciu w pysk.**

**Trafiony w oko potwór zaryczał przeraźliwie. Chwiejąc się, miotał szaleńczo głową z boku na bok, usiłując pozbyć się kija.**

**Złapałem nóż i zacząłem zadawać mu ciosy: w głowę, gardło, we wszystko, czego mogłem dosięgnąć. Każdy cios sięgał celu.**

**Futro spłynęło krwią. Ryk osłabł. Niedźwiedź zataczał się, nie przestając miotać głową, żeby się pozbyć kija, a ja dźgałem go bez opamiętania.**

**Krew bestii pomieszała się z moją. W końcu tylne nogi niedźwiedzia osłabły. Chwyciwszy kij, wbilem go głęboko w czaszkę stworzenia. Z pełnej straszliwych zębów paszczy wydobył się przedśmiertny charkot. Z głośnym łomotem potwór zwałił się na ziemię.**

**Klęczałem obok, zdumiony i bez sił. Mimo zmęczenia z ust wyrwał mi się okrzyk triumfu...**

**Zwyciężyłem!**

**Byłem jednak poważnie ranny. Z ran na brzuchu i udzie płynęła obficie krew. Musiałem się wydostać z wąwozu, gdyż inaczej czekała mnie śmierć.**

**Ujrzałem w wyobraźni twarz Sophie. Uśmiechnąłem się do niej i wyciągnąłem rękę, żeby jej dotknąć. Tędy, szepnęła.**

**Chodź do mnie.**

## ROZDZIAŁ 28

Wszędzie panowała cisza. Ciemni jeźdźcy zatrzymali zdyszane konie na obrzeżu śpiącej osady. Kilka krytych słomianą strzechą domów, otoczonych płotem, zwierzęta śpiące w zagrodach. To wszystko.

Dla takich ludzi to będzie jedynie rozrywka. Przywódca wciągnął nosem powietrze, zamykając przyłbicę. Na jego hełmie widniał czarny krzyż bizantyjski. Wybrał tylko tych, którzy zabijali dla przyjemności, którzy polowali na łupy tak jak myśliwi na zwierzynę. Mieli na sobie poczernione zbroje bitewne, bez żadnych znaków. Nikt nie wiedział, kim są. Opuścili przyłbice. Do pasów przytroczyli różnorodną broń – miecze bojowe, topory, maczugi. Patrzyli na niego niecierpliwie – chętni, gotowi.

–Dobrej zabawy – powiedział Czarny Krzyż, uśmiechając się złośliwie. – Nie zapomnijcie, po co tu jesteśmy. Ten, kto znajdzie relikwię, będzie bogaty. Naprzód!

Tętent kopyt przerwał nocną ciszę. Za późno! Pierwsza strzecha strzeliła płomieniem. Śpiąca osada ożyła.

Kobiety piszczwały, spiesząc ratować dzieci. Obudzeni mieszkańcy uciekali z płonących domów tylko po to, żeby zginąć od mieczy lub paść pod kopytami galopujących koni.

Ci żałosni wieśniacy są jak muchy: latają we wszystkie strony, by uratować swoje kupki gówna, i pozwalają się zabijać bez walki, pomyślał z pogardą Czarny Krzyż. Myślą, że jesteśmy najeźdźcami, którzy odbiorą im bydło i zgwałcą ich klępy.

Nawet nie wiedzą, po co tu przybyliśmy!

Nie zwracając uwagi na szalejący ogień i zamęt, podjechał na czele pięciu jeźdźców do dużego kamiennego domu, najokazalszego w osadzie.

Wewnątrz słyhać było odgłosy przerażenia – pisk kobiety i dzieci wyciąganych z łóżek.

–Rozwal je – powiedział Czarny Krzyż do jednego ze swych towarzyszy.

Wystarczyło jedno uderzenie topora, żeby drzwi puściły.

W progu stanął mężczyzna w białoniebieskiej chuście. Miał długie, siwe włosy i taką samą brodę.

–Czego chcecie? – zapytał, trzęsąc się ze strachu. – Nikomu nie wadzimy.

–Precz z drogi, żydzie – warknął Czarny Krzyż. Zza mężczyzny wyłoniła się jego żona, odziana w wełniane giezło.

–Jesteśmy spokojnymi ludźmi – powiedziała bez lęku. – Damy wam, czego zechcecie.

Czarny Krzyż przydusił ją za gardło do ściany.

–Pokaż mi, gdzie to trzymacie – zażądał. – Pokaż, jeśli nie chcesz, żeby zginął.

–Pieniądze są na podwórzu – zaskomlił przerażony mąż. – W skrzynce pod zbiornikiem na wodę. Weźcie je. Zabierzcie wszystko.

–Przeszukać dom – rozkazał Czarny Krzyż swoim ludziom. – Rozpruć wszystkie ściany. Znajdźcie to.

–Ale pieniądze są... powiedziałem wam gdzie... – Nie przyjechaliśmy tu po pieniądze, ty ścierwo. – Czarny Krzyż łypnął złym okiem na mężczyznę. –

**Przyjechaliśmy po klejnot. Drogocenną relikwię chrześcijaństwa.**

**Jego kompani wpadli do wnętrza. Stary mężczyzna obejmował dwoje kulących się z przerażenia dzieci: chłopca wyglądającego na szesnaście lat, już z pejsami, i dziewczynkę, może o rok młodszą, o ciemnych, zatrwożonych oczach.**

**–Co masz na myśli? – Ojciec padł na kolana. – Jestem kupcem. Nie mamy żadnych klejnotów ani relikwii.**

**Dom został systematycznie, kawałek po kawałku zdemolowany. Najeźdźcy wbijali miecze w ściany, rozwalali toporami kamienne przedmioty, włamywali się do skrzyń i szaf.**

**Czarny Krzyż ścisnął mężczyznę za gardło.**

**Dość tej zabawy. Gdzie jest skarb?**

**Błagam, nie mamy klejnotów – wycharczał trzęsący się człowiek. – Handluję wełną.**

**Handlujesz wełną. – Czarny Krzyż pokiwał głową, patrząc na syna mężczyzny. – Zaraz zobaczymy. – Wyjął nóż i lekko przeciągnął ostrzem po jego szyi. Chłopiec wzdrygnął się, odsłaniając krwawą linię. – Jeżeli nie chcesz, żeby twój syn zginął, pokaż, gdzie jest skarb.**

**–Palenisko... pod płytami paleniska. – Ojciec chłopca ukrył twarz w dłoniach.**

**Dwaj rycerze skoczyli i toporami rozbili wskazane płyty odsłaniając ukryty pod nimi schowek. Wyjęli z niego szkatułkę; pełną monet, naszyjników, srebrnych i złotych broszy. Na dnie szkatułki spoczywał zachwycający rubin, rozmiarów monety, w złotej oprawie w stylu bizantyjskim. Kiedy rycerz go podniósł, kamień zaśnił przepyszny blaskiem.**

**–Nie wiecie, z czym macie do czynienia. – Żyd starał się powstrzymać napływające łzy.**

**–Czyżby...? – Czarny Krzyż wyszczerzył zęby. – To pieczęć świętego Pawła.**

**Twoja nacja nie zasługuje nawet na to, żeby ją przechowywać. Nie będziecie dalej okradać naszego Pana.**

**–Ja tego nie ukradłem. Ty to w tej chwili robisz. Ja to kupiłem.**

**–Kupiłeś? Nie ukradłeś? – Oczy Czarnego Krzyża błysnęły złowrogo. Spojrzał na chłopca. – W takim razie to będzie niewielka strata w porównaniu z tym, co twoja nacja nam zabrała. Wbił nóż w brzuch syna mężczyzny.**

**Chłopiec westchnął, czy mu się rozszerzyły, z ust rzuciła się krew. Czarny Krzyż uśmiechał się drwiąco. – Nefrem... – krzyknęli równocześnie kupiec i jego żona.**

**Chcieli pobiec do syna, ale napastnicy trzymali ich mocno. – Spalić dom – rozkazał Czarny Krzyż. – Latorośl nie żyje. Nie będą więcej kłaść naszej ziemi.**

**–A co z córką? – zapytał rycerz.**

**Czarny Krzyż szarpnięciem postawił ją na nogi, Dziewczynka była śliczna.**

**Przesunął dłonią w rękawicy po jej gładkim policzku.**

**–Piękna skóra, handlarzu wełną... Ciekaw jestem, jakie to uczucie mieszkać w takiej skórze.**

**Zabraliście nam wszystko – błagał jej ojciec. – Proszę, zostawcie nam dziecko.**

**–Boję się, że nic z tego. – Czarny Krzyż potrząsnął głową.**

**–Zatrzymam ją sobie na później. Potem oddam ją czyścicielowi mułów księcia. Zabierzcie ją. – Pchnął dziewczynkę w stronę jednego z rycerzy. Krzyżącą z przerażenia wyniesiono na zewnątrz.**

**Nie bądź taki smutny żydzie – rzekł Czarny Krzyż do szlochającego mężczyzny. Rzucił mu monetę, którą wyjął ze szkatułki. – Zauważ, że nie kradnę twojej córki. Ja ją kupuję!**

## ROZDZIAŁ 29

–Żyje?

Pytanie dotarło do mnie jak przez mgłę. Kobięcy głos... Otworzyłem oczy, ale nie rozpoznawałem kształtów, widziałem jedynie ruszającą się niewyraźną plamę.

Nie wiem, pani – odpowiedział ktoś inny – ale ma straszne rany. Ledwo dycha.

–Ma niezwykle kolor włosów... – zauważyła kobieta. Zamrugalem oczami, stopniowo zaczęło mi się rozjaśniać w głowie. Miałem wrażenie, że pole widzenia przesłania mi drżący welon. Czy umarłem? Zobaczyłem nad sobą twarz pięknej kobiety. Złote włosy, zaplecione w liczne warkoczyki, wymykały się spod kaptura purpurowego płaszcza z brokatu. Uśmiechnęła się do mnie. Jej uśmiech był rozgrzewający jak słońce.

–Sophie – szepnąłem. Wyciągnąłem rękę, chcąc dotknąć jej twarzy.

–Jesteś ranny – powiedziała. Jedwabisty głos zadźwięczał jak świergot skowronka. – Obawiam się, że pomyliłeś mnie z kimś innym.

Nie czułem żadnego bólu.

–Czy jestem w niebie? – spytałem.

Kobieta znów się uśmiechnęła.

–Jeśli niebo jest miejscem, w którym wszyscy ranni rycerze przypominają warzywa, to zapewne tak.

Poczułem, że jej ręce unoszą mi głowę. Zamrugalem ponownie. To nie była Sophie, lecz jakaś piękna kobieta, mówiąca z północnym akcentem. Paryskim.

–Więc nadal żyję; – Westchnąłem.

–Na razie tak, ale jesteś poważnie ranny. Musimy cię zawieźć do medyka.

Pochodzisz stąd? Masz rodzinę?

Staralem się skupić na jej pytaniach, lecz czułem ból i miałem mętlik w głowie.

–Nie – odparłem.

–Jesteś wyrzutkiem? – usłyszałem z góry głos innej kobiety.

Wytężywszy wzrok, ujrzałem bogato ubraną damę o królewskiej postawie, siedzącą na grzbiecie wspaniałego, mlecznobiałego wierzchowca.

–Zapewniam cię, pani – odparłem, wykonując nadludzki wysiłek, żeby się uśmiechnąć – że jestem uczciwym człowiekiem. – Rzuciłem okiem na moją zrudziałą od krwi opończę. – Mimo tego wyglądu. – Czułem ostre ukłucia bólu w brzuchu i udzie. Westchnąwszy, znów opadłem na plecy.

–Dokąd zmierzasz, panie rudy? – spytała dziewczyna o złotych włosach.

Nie miałem pojęcia, gdzie jestem ani ile drogi przeszedłem. Potem przypomniałem sobie niedźwiedzia.

–Idę do Treille.

–Do Treille! – wykrzyknęła. – Obawiam się, że nie dotarłbyś tam żyw, nawet gdybyśmy cię tam odwieźli – powiedziała z troską.

–Odwieźli? – rzuciła siedząca na koniu. – Spójrz na niego. Ma na sobie krew, nie wiadomo czyją. Cuchnie lasem. Zostaw go, dziecko. Niech go zabierze ktoś należący do jego stanu.

Zachciało mi się śmiać. Po tym wszystkim, przez co przeszedłem, moje życie

zależało od wyniku sprzeczki między dwiema wysoko urodzonymi damami.

–Proszę się nie kłopotać z mojego powodu, pani – odparłem w najbardziej wyszukany sposób. – Mój giermek lada moment tu będzie.

Dziewczyna mrugnęła do mnie.

–Wydaje się niegroźny. Jesteś niegroźny, prawda? – Spojrzała mi w twarz.

Wieki nie widziałem kogoś tak urodziwego.

–Tylko dla ciebie, pani. – Uśmiechnąłem się słabo.

–Widzisz? – powiedziała. – Ręczę za niego.

Próbowała mnie podnieść, ale byłem za ciężki. Zwróciła się o pomoc do dwóch strażników w hełmach i zielonych opończach. Spojrzeli pytająco na starszą z kobiet, zapewne ich panią.

–Skoro nalegasz. – Dama westchnęła. Na jej przyzwalający ruch ręką strażnicy ruszyli z pomocą. – Ale odpowiadasz za niego. A ponieważ tak się o niego troszczysz, dziecko, to oddaj mu swego konia.

Spróbowałem dźwignąć się na nogi, ale odmówiły mi posłuszeństwa.

–Nie wolno ci robić wysiłków, rudzielcu – powiedziała jasnowłosa dziewczyna.

Jeden ze strażników, olbrzymi Maur, podniósł mnie z ziemi. Dziewczyna miała rację. Byłem mocno poraniony. Pomyślałem, że jeśli stracę przytomność, to już się nie obudzę.

–Kto mnie ratuje? – spytałem dziewczynę. – Jeżeli umrę, będę wiedział, za kogo mam się modlić w niebie.

–Ratuje cię twój uśmiech, rudzielcu. – Roześmiała się. – Gdyby jednak Pan nie uczynił ci takiej łaski... mam na imię Emilie.

## ROZDZIAŁ 30

Obudziłem się, tym razem w atmosferze spokoju, czując Ciepło ognia. Leżałem w wygodnym łóżku, w wielkim pokoju o kamiennych ścianach. Na drewnianym stole obok mnie stała miska z wodą.

Stojący nade mną brodaty mężczyzna w szkarłatnej szacie uśmiechnął się z zadowoleniem do korpulentnego mnicha U jego boku.

–Budzi się, Louis. Możesz wracać do klasztoru. Wygląda na to, że nie będziesz tu potrzebny.

Mnich pochylił nade mną obwisłą twarz. Wzruszył ramionami.

–Jeśli mówimy o jego ciele, to muszę przyznać, że się spisałeś, Auguste. Ale jest jeszcze dusza. Może nasz nieznajomy chciałby wyznać, skąd się wzięła krew na jego opończy.

Zwilżywszy językiem wargi, odpowiedziałem sam:

–Przykro mi ojcze. Jeśli szukasz grzesznika, to musiałbyś wyspowiadać niedźwiedzia, który mnie zaatakował. Jego wyznanie mogłoby być bardziej interesujące.

Medyk się roześmiał.

–Spójrz, Louis, obudził się przed sekundą, a już cię zdążył zakasować.

Mnich spojrzał gniewnie. Widać było, że nie lubi być przedmiotem kpin. Włożył na głowę kapelusz z obwisłym rondem.

–Wobec tego idę – oznajmił.

Kiedy wyszedł, sympatycznie wyglądający medyk usiadł obok mnie.

–Nie przejmuj się nim. Założyliśmy się, kto cię dostanie – on czy ja.

Oparłem się na łokciach.

–Cieszę się, że zostałem obiektem waszego współzawodnictwa. Gdzie jestem?

–W dobrych rękach, wierz mi. Panuje o mnie opinia, że jeszcze nie wyprawilem na tamten świat żadnego pacjenta, który nie był bardzo chory.

–A ja jestem...

Wzruszył ramionami.

–Obawiam się, że tak.

Uśmiechnąłem się z wysiłkiem.

–Mam na myśli miejsce, panie. Gdzie jestem?

Medyk poklepał mnie delikatnie po ramieniu.

–Wiedziałem, o co ci chodzi, chłopcze. Jesteś w Boree.

Boree... Oczy mi się rozszerzyły z wrażenia. Boree było jednym z najpotężniejszych księstw we Francji. Trzykrotnie większym od Treille, położonym bardziej na północ. W jaki sposób się tutaj znalazłem?

–Kiedy... od jak dawna tu jestem? – zdołałem wyjąkać.

–Od czterech dni, nie licząc dwóch dni drogi – odparł medyk. – Wykrzykiwałeś w gorączce różne rzeczy.

–Na jaki temat?

Auguste zmoczył ręcznik w misce, wyjął go i położył mi na czole.

–Krzyczałeś, że masz zranione serce, lecz nie za sprawą niedźwiedzia. Że



**dźwigasz wielki ciężar.**

**Nie usiłowałem zaprzeczać. Moja Sophie liczy na mnie – jest gdzieś w Treille, a od Treille dzieli mnie siedem dni pieszej wędrówki. Czuję podświadomie, że nadal żyje.**

**Spróbowałem wstać.**

**–Jestem ci zobowiązany za wyleczenie ran, Auguste, ale muszę ruszać w drogę.**

**–Hola, hola, nie tak prędko. – Medyk przytrzymał mnie w łóżku. – Nie jesteś jeszcze na tyle zdrowy. A co do podziękowań, to nie zrobiłem nic więcej poza przykładaniem ci maści i przyżeganiem ran. Podziękuj przede wszystkim paniencie Emilie.**

**Emilie... tak... Jak przez mgłę przypomniałem sobie jej twarz.**

**Wtedy mi się zdawało, że to była Sophie. Nagle wróciły szczegóły ostatniej podróży. Maur zrobił szelki i przywiązał mnie do konia dziewczyny. Ona sama szła z tyłu.**

**Gdyby „nie ona, pielgrzymie – rzekł medyk – już byś nie żył.**

**–Masz rację, zawdzięczam jej bardzo wiele. Kim jest ta pani, Auguste?**

**–Szlachetną duszą. Prócz tego damą dworu.**

**–Dworu? – Oczy mi się rozszerzyły ze zdumienia. Jakiego dworu? Powiedziałeś, że dostałeś polecenie opiekować się mną. Od kogo? Na czyjej jesteś służbie?**

**–Księżnej Anne – odparł. – Żony Stephana, księcia Boree który bierze udział w krucjacie, kuzynki w drugiej linii Króla Francji.**

**Chciałem zerwać się i stanąć na baczność. To nie do wiary Znalazłem się pod opieką kuzynki króla Francji.**

**Medyk się uśmiechnął.**

**–Masz szczęście, niedźwiedziobójco. Odpoczywasz teraz w ich zamku.**

## ROZDZIAŁ 31

Siadłem na łóżku zmieszany i wstrząśnięty.

Nie zasługiwałem na to. Nie byłem rycerzem ani nobilem, tylko plebejuszem, który ledwo umknął spod kłów i pazurów niedźwiedzia. Przypomniałem sobie przebyłą mękę, moją żonę i dziecko. Minął tydzień, od kiedy wyruszyłem na poszukiwanie Sophie.

–Doceniam twoją troskę, panie, ale muszę iść. Złóż, proszę, w moim imieniu podziękowanie pani domu.

Wstałem z łóżka, lecz zdołałem zrobić zaledwie parę kulawych kroków. Ktoś zapukał. Auguste poszedł do drzwi powitać przybysza.

–Możesz osobiście złożyć podziękowanie swojej opiekunce – powiedział. – Właśnie przyszła.

Była to Emilie, w Inianej sukni, obszytej złotą lamówką. Nie przypuszczałem, że w rzeczywistości jest aż tak piękna. Taką ją widziałem w marzeniach. Zielone oczy lekko lśniły.

–Widzę, że nasz pacjent wstał – zauważyła, wyraźnie zadowolona. – Auguste, jak się dziś czuje nasza ruda wysokość?

–Słuch ma w porządku. Język też nie ucierpiał – odparł medyk, dając mi kuksańca.

Nie wiedziałem, czy się uklonić, czy uklęknąć. Nie wiedziałem, czy mogę się zwrócić do kogoś z wysokiego rodu niepytany. Coś mnie jednak ośmieliło, żeby jej spojrzeć w oczy.

Chrząknąłem, by przeczyścić gardło.

–Gdyby nie ty, pani, byłbym umarł. Nie potrafię znaleźć właściwych słów dla wyrażenia wdzięczności.

–Zrobiłam tylko to, co zrobiłby każdy na moim miejscu Poza tym szkoda by było, gdybyś po pokonaniu niedźwiedzia padł ofiarą innego mięsożercy.

Auguste podsunął jej krzesło i Emilie usiadła.

–Jeśli chcesz okazać mi wdzięczność, odpowiedz na kilka pytań.

–Odpowiem na każde – rzekłem. – Pytaj, proszę.

–Pierwsze jest łatwe. Jak się nazywasz, rudzielcu?

–Hugues, pani. – Ukłoniłem się. – Hugues de Luc.

–I kiedy spotkałeś tego prostackiego niedźwiedzia, szedłeś do Treille?

–Tak, pani. Ale medyk powiedział mi, że zboczyłem z drogi.

–Na to właśnie wyglądało. – Emilie się uśmiechnęła. To mnie zdumiało. Nie spotkałem jeszcze szlachetnie urodzonej osoby, która miałaby poczucie humoru, o ile nie był to czarny humor. – A w drogę ruszyłeś sam, bez żywności, bez wody, bez przyzwoitego odzienia?

Poczułem ucisk w gardle – nie tyle z powodu zdenerwowania, ile ze świadomości, że moje działanie musiało świadczyć o olbrzymiej głupocie.

–Spieszyłem się – rzekłem.

–Hm, skoro się spieszyłeś... – Emilie pokiwała uprzejmie głową. – Jednak wydaje mi się – jeśli mnie nie zawodzi znajomość matematyki – że niezależnie od tego, jak

**szybko się poruszałeś, jeśli podróżowałeś w złym kierunku, to oddalałeś się od celu, prawda?**

**Ta kobieta mnie uratowała, a ja odpowiadałem jej jak głupiec.**

**Poczułem, że się czerwienię.**

**–Spieszyłem się, skutkiem czego miałem mętlik w głowie – odparłem.**

**–To widać. – Oczy jej się rozszerzyły. – A możesz łaskawie powiedzieć, dlaczego tak się spieszyłeś, że aż ci się zrobił mętlik w głowie?**

**Moje skrępowanie raptem ustąpiło. To była gra, a ja nie chciałem być zabawką służącą jej rozrywce – niezależnie od tego, ile jej zawdzięczałem.**

**Wyraz twarzy Emilie się zmienił, jakby wyczuła mój nastrój.**

**–Nie kpię z ciebie, uwierz mi, proszę. Podczas drogi wykrzykiwałeś różne rzeczy. Wiem, że ci ciężko. Nie jesteś rycerzem, ale z pewnością wykonujesz jakieś zadanie.**

**Schyliłem głowę. Prysła atmosfera pogodnej rozmowy. Jak mogłem jej opowiedzieć o tych wszystkich okropnościach?**

**Kobiecie, która mnie nie знаła. Poczułem suchość w gardle.**

**–To prawda, pani, wykonuję zadanie. Ale nie mogę ci go zdradzić.**

**–Opowiedz mi, panie. – To było niewiarygodne. Kogoś takiego jak ja nazywała „panem”. – Coś cię gnębi. Nie lekceważę cię. Chciałabym pomóc.**

**–Obawiam się, że nie możesz – powiedziałem, pochylając z uszanowaniem głowę. – Już i tak mi tyle pomogłaś, jestem twoim dozgonnym dłużnikiem.**

**–Możesz mi zaufać, panie. Czy tego nie udowodniłam?**

**Uśmiechnąłem się. Tu mnie miała.**

**Muszę cię uprzedzić, że to nie będzie jedna z historii, których zwykłaś słuchać – o życiu szlachetnie urodzonych.**

**–Nie szukam rozrywki – odparła, nie odwracając ode mnie oczu.**

**Z doświadczeń z ludźmi wysoko urodzonymi wiedziałem, że nie interesuje ich nasz ciężki los. Że żądają od nas jedynie podatków i często zabijają bez powodu. Ale ta kobieta wydawała się inna. Widziałem w jej oczach współczucie. Czułem to od pierwszej chwili, kiedy leżałem przy drodze bliski śmierci.**

**–Zasługujesz, pani, na to, więc ci opowiem. Mam nadzieję, że cię to nie przygnębi.**

**–Zapewniam cię, że nie, Hugues – rzekła z uśmiechem Emilie. – Jak zapewne zdażyłeś zauważyć, moja odporność na zmartwienie jest dość duża.**

## ROZDZIAŁ 32

Więc jej opowiedziałem. O wszystkim.

O Sophie i o naszej wiosce. O mojej podróży do Ziemi Świętej i krwawych walkach po drodze. O moim spotkaniu z Turkiem... jak zostałem oszczędzony i jaka we mnie nastąpiła przemiana, wskutek której postanowiłem wrócić do Sophie.

Potem opowiedziałem Emilie o straszliwej prawdzie, jaką zastałem po powrocie.

W trakcie mówienia często łamał mi się głos, a oczy zachodziły łzami. Dlatego biegłem jak szalony przez las, nim mnie znaleźli. Bo musiałem się dostać do Treille...

Emilie cały czas wydawała się pochłonięta moją opowieścią.

Ani razu mi nie przerwała. Zdawałem sobie sprawę, iż wiele z tego, co jej wyznałem, musiało zaprzeczać obrazowi świata, który znała. Mimo to ani razu nie zareagowała jak rozpuszczona panienka z dobrego domu. Nie miała mi za złe dezercji z armii ani nienawiści do Norcrossa i Baldwina. A kiedy doszedłem do przyczyny, dla której tak rozpaczliwie chciałem się dostać do Treille, spostrzegłem, że jej oczy rozbłysły.

–Rozumiem cię, Hugues.

Pochyliwszy się ku mnie, położyła dłoń na mojej ręce.

–Widzę, że wyrządzono ci straszną krzywdę. Musisz się udać do Treille i odszukać żonę. Ale jak wyobrażałeś sobie dokonać tego sam? Nie mając broni ani dostępu do otoczenia księcia? Baldwin to zachłanna koza, która wysysa całe mleko ze swojego księstwa. Co chcesz zrobić? Pokonać go w bitwie?

Wyzwać na pojedynek? Osiągniesz tylko tyle, że wpakuje cię do lochu albo zostaniesz zabity...

–To samo powiedziałaaby Sophie – odparłem. – Mimo to spróbuję, jeśli nawet to się wydaje szalone. Nie mam wyboru.

Wobec tego ci pomogę – szepnęła. – Jeśli się zgodzisz.

Patrzyłem na nią zmieszany, a zarazem wzruszony jej ufnością i determinacją.

–Czemu robisz to dla mnie? Jesteś szlachetnego rodu.

Należysz do dworu królewskiego.

–Już ci powiedziałam przy pierwszym spotkaniu, Hugues.

Zawdzięczasz to swojemu uśmiechowi.

–Myślę, że nie o to chodzi – rzekłem, ośmielając się spojrzeć jej prosto w oczy. – Mogłaś zostawić mnie na drodze.

Moje kłopoty umarłyby razem ze mną.

Emilie spuściła wzrok.

Powiem ci, ale jeszcze nie teraz.

Ale ja wyznałem ci wszystko.

Taka jest moja cena, Hugues. Jeśli chcesz znaleźć innego pomocnika, sprawię, że zostaniesz odstawiony tam, gdzie cię znalazłam.

Skłoniłem głowę i uśmiechnąłem się. Była figlarna, kiedy miała odpowiedni nastrój.

–Twoja cena jest niewygórowana, pani. Przyjmuję ją z wdzięcznością, nie pytając o powód.

–Dobrze – rzekła. – Zaczniemy od znalezienia sposobu, żebyś tam się dostał. Czy potrafisz robić dobrze coś, o czym nie wiem? Lepiej niż orientować się w kierunku marszu, o czym wiem?

Roześmiałem się, mimo że przytyk był bolesny.

–Należę do tych, którzy nie mają talentu, za to liczne umiejętności.

–Zobaczymy – rzekła Emilie. – Co robiłeś we wsi przed swoją wyprawą?

Mieliśmy zajazd. Sophie zajmowała się kuchnią i izbami gościnnymi, a ja...

–Jak wszyscy karczmarze: nalewałeś piwo i zabawiałeś, przybyłych.

–Skąd wiesz? – spytałem.

–Nieważne. A podczas wyprawy? Z tego, co zauważyłam, z pewnością nie byłeś zwiadowcą.

–Walczyłem. Nauczyłem się nieźle tego fachu. Prócz tego mówiono, że potrafię opowieściami zabawić ludzi i odwrócić ich uwagę od wojny. Nawet w najcięższych chwilach z ochotą słuchano moich historii. – Opowiedziałem jej o czasach mojej młodości – kiedy wędrowałem po kraju z rybakami, recytując poematy i śpiewając bluźniercze pieśni. I o tym, jak wracając z wyprawy krzyżowej, występowałem po karczmach jako żongler, żeby zarobić na podróż. – Może mimo wszystko mam i trochę talentu.

–Żongler... – powtórzyła Emilie.

–Jestem nieśmiały, ale od dzieciństwa miałem umiejętność nawiązywania przyjaźni z nowo poznanymi ludźmi. – Uśmiechnąłem się, żeby się domyśliła, o kim mówię.

Emilie się zaczerwieniła, a potem wstała. Wygładziła suknię, usiłując wyglądać skromnie.

–Musisz odpocząć, Hugues. Nie możemy niczego przedsięwziąć, dopóki twoje rany się nie zagoją. A ja muszę już iść.

Zmartwiłem się.

–Mam nadzieję, pani, że cię nie uraziłem.

–Uraziłem? – powtórzyła. – Skąd ci to przyszło do głowy. – Uśmiechnęła się w najcudowniejszy sposób. – Prawdę mówiąc, twoje rozmaite umiejętności podsunęły mi doskonały pomysł.

## ROZDZIAŁ 33

Następnego popołudnia Emilie zapukała do drzwi wielkiej komnaty sypialnej swej opiekunki. Księżna Anne siedziała przy stole, nadzorując stadko dam dworu, zajętych wyszywaniem gobelinu. – Wezwałaś mnie, pani – powiedziała Emilie. – Tak – odparła Anne. Kobiety przerwały pracę w oczekiwaniu na znak, że mają się oddalić. – Zostańcie, proszę – nakazała. – Porozmawiam z Emilie w garderobie.

Przeszły do sąsiedniej komnaty, gdzie było lustro, a na ogromnym stole stały miski z wodą różaną. Anne usiadła na krześle. – Chcę się dowiedzieć, jaki jest stan zdrowia twojego najnowszego rudego giermka.

–Pomału zdrowieje – oznajmiła Emilie. – Proszę, nie nazywaj go moim giermkim. Jest już żonaty i chce odnaleźć żonę.

–Żonę! Więc wówczas, kiedy go znaleźliśmy – tak doskonale ukrytego w lesie – szukał żony! Osobliwy sposób! – Anne się zaśmiała. – Ale teraz, kiedy już jest zdrów...

–Jeszcze nie całkiem – wtrąciła Emilie.

–... kiedy zdrowieje – poprawiła się Anne – nie będziemy go zatrzymywać. Tym bardziej że on sam chce odejść, jak mi powiedział Auguste.

–Spotkała go ogromna krzywda ze strony Baldwina Treille, o którą chce się upomnieć.

–Baldwin. – Anne skrzywiła się, jakby przełknęła kwaśne wino. – Z całą pewnością nie jest przyjacielem naszego dworu Ale nie interesują nas jego brudne sprawy. Podziwiam twoje serce, Emilie. Zrobiłaś więcej, niż ktokolwiek by się spodziewał. Ale teraz chcę, żebyś go odprawiła.

–Nie wygonię go, pani – zaproponowała Emilie. – Chcę mu pomóc w poszukiwaniu sprawiedliwości.

–Pomóc mu? – Anne była wyraźnie zaszokowana. – W czym mu pomóc? Odzyskać tytuł? Honor? Komplet odzienia?

–Každy człowiek ma swój honor, pani, niezależnie od stanu. Ten człowiek doznał strasznej krzywdy.

Anne podeszła do niej. Kiedy przebywała w swoich prywatnych komnatach, nie musząc przewodniczyć rozprawom sądowym, zaczesywała ciemnobrązowe włosy prosto, tak że sięgały poniżej ramion. Miała dopiero trzydzieści lat, ale często zachowywała się wobec Emilie jak matka.

–Droga Emilie, skąd masz taką pewność? – Pani, wiesz, dlaczego tu jestem, dlaczego opuściłam Paryż. Znasz moje problemy.

Anne położyła czule rękę na jej ramieniu. Kochała tę dziewczynę.

–Jesteś równie współczująca, jak impulsywna, dziecko. Mimo to, gdy on będzie gotów do drogi, musi odejść. Gdyby mój mąż się o nim dowiedział, po powrocie z krucjaty zbilby mnie na kwaśne jabłko. Czy twój rudzielec ma jakiś zawód? Czy prócz wypruwania flaków z niedźwiedzi coś jeszcze umie?

–Dziś zaczynam uczyć go zawodu – odparła Emilie.

–Mam nadzieję, że nie na nasze potrzeby. Już i tak mamy pod dostatkiem pieczeniarzy.

**–Zapewniam cię, że nie na nasze potrzeby, pani. Kiedy się nauczy, ruszy w drogę. Chce odnaleźć żonę, którą bezgranicznie kocha.**

## ROZDZIAŁ 34

Odpoczywałem przez trzy następne dni, aż większość ran się zagoiła.

Czwartego dnia Emilie zapukała do moich drzwi. Była wyraźnie podniecona.

Spytała, jak się czuję.

–Możesz chodzić?

–Tak, oczywiście. – Dla udowodnienia swoich słów wyskoczyłem z łóżka, choć byłem jeszcze trochę osłabiony.

–Wystarczy. – Wydawała się zadowolona. – W takim razie udaj się ze mną.

Pomaszerowała do drzwi, a ja za nią, odrobinę kulejąc.

A Poprowadziła mnie korytarzami – szerokimi, łukowato sklepionymi, zdobnymi w piękne gobeliny – a potem w dół po stromych kamiennych schodach.

–Dokąd idziemy? – spytałem, starając się dotrzymać jej kroku. Dobrze było wyrwać się ze szpitalnego pomieszczenia.

–Musisz przywdziać maskę. Mam nadzieję, że będzie ci odpowiadała.

Znaleźliśmy się w innej części zamku. Nigdy dotąd nie byłem tak blisko komnat jakiegokolwiek księcia.

Parter zajmowały wielkie sale z drugimi rzędami stołów i ogromnymi kominkami. Każdych drzwi pilnowali strażnicy.

Wszędzie było pełno rycerzy w codziennych strojach; opowiadali sobie historie bądź grali w kości. Korytarze oświetlały zawieszane na ścianach pochodnie.

Minęliśmy kuchnię, z której wychodzili służący, by po chwili wrócić. Stały w niej beczki piwa i wina, a zapach czosnki, pobudzał apetyt.

Poszliśmy dalej wąskim korytarzem, prowadzącym do podziemi. Ściany korytarza były z grubo ciosanego kamienia, a powietrze stęchłe i wilgotne. Byliśmy w donżonie, w samym sercu zaniku. Dokąd Emilie mnie wiodła? Co miała na myśli, mówiąc o przywdziewaniu maski?

W końcu, gdy korytarz stał się tak mroczny i wilgotny, iż jakąkolwiek mieszkającą w nim istotą mógł być jedynie ktoś na pół martwy, Emilie zatrzymała się przed wielkimi drewnianymi drzwiami.

–Czy chcesz, żebym się zamienił w kreta? – spytałem, śmiejąc się.

–Nie bądź niegrzeczny – odparła. Zapukała do drzwi.

–Wejść – zabrzmiał z głębi czyjś głos. – Prędko, prędko, nim się rozmyślę.

Zaciekawiony, wszedłem za Emilie do zimnego pomieszczenia. Była to raczej cela lub loch, za to rozległa i oświetlona świecami; przy ścianach stały półki pełne zabawek i rekwizytów.

W głębi, na misternie rzeźbionym krześle, siedział garbaty człowieczek w czerwonym kaftanie, zielonych rajtuzach i krótkiej tunice zszytej z różnokolorowych łąt.

Łypnął żółtawym okiem na Emilie.

–Wejdz, cioteczko. Mogę polizać? Tylko jeden raz...

–Och, zamknij się, Norbercie – powiedziała bez złości Emilie. – To jest ten człowiek, o którym ci mówiłam. Ma na imię Hugues. Hugues, to jest Norbert, błazen księcia.



–Na Boga! – Norbert zeskokczył z krzesła. Był przysadzisty i bardzo niski, mimo to ruszał się z zadziwiającą szybkością. Zbliżył się do mnie, pożerając ogromnymi oczami moją rudą czuprynę, położył mi rękę na głowie, po czym szybko ją cofnął. – Chcesz mnie, pani, spalić? To człowiek czy pochodnia?

–W każdym razie nie jest żartownisiem, Norbercie – rzekła ostrzegawczo Emilie.

–Myślę, że masz przed sobą wdzięczne pole działania.

Skonsternowany, spojrzałem na Emilie.

–Mam odgrywać błazna, pani?

–Czemu nie? – odparła Emilie. – Zwierzyłeś mi się, że masz dar rozbawiania ludzi.

Jaka inna rola byłaby dla ciebie lepsza? Norbert powiedział mi, że błazen w Treille jest jak stary ocet.

–A rozum ma jeszcze bardziej skwaśniały – zachrypiał błazen.

–I że jest w niełasce u swego pana. Dla takiego dobrze się zapowiadającego młodzieńca jak ty zdobycie względów Baldwina będzie łatwe. Łatwiejsze niż szturmowanie zamku w przyływie wściekłości.

Zacząłem się jąkać. Dopiero wróciłem z wojny, gdzie walczyłem równie dzielnie jak inni. Pragnąłem pomścić stratę, która dopiekła mi do granic wytrzymałości.

Nie uważałem się za bohatera. Ale błazen?

–Nie mogę zaprzeczyć pani rozumowaniu, ale... nie jestem wesołkiem.

–Och, czy myślisz, że błazen zachowuje się naturalnie? – Karzeł podskoczył ku mnie. – Że nie uczy się swojego zawodu ani nie ćwiczy...? Myślisz, marchewko – szorstkimi rękami poklepał mnie po twarzy i zatrzepotał powiekami – że ja nigdy nie byłem młody i przystojny jak ty?

Odskokczył, mierzając mnie wzrokiem spod przymrużonych powiek.

–To, że będziesz grał rolę idioty, chłopcze, nie znaczy, że musisz nim być naprawdę. Plan pani jest dobrze obmyślony, pod warunkiem że masz do tego fachu smykałkę.

–Chcę przede wszystkim odszukać żonę – upierałem się. – Nie mówimy o twojej chęci, chłopcze. Mówiłem o smykałce.

Powiedziałeś pani, że swego czasu byłeś rybałem. Och, rybałci... potrafią zmiękczyć serca dziewcząt i pijanych bywalców zajazdów. Ale prawdziwą sztuką jest wejść do sali pełnej łotrów i intrygantów i wywołać uśmiech u znudzonego króla. Spojrzałem na Emilie. Miała rację. Potrzebowałem sposobu na dostanie się do zamku Baldwina. Sophie – jeśli jeszcze żyła – nie rezydowała wśród dam dworu.

Musiałem się rozejrzeć, zyskać zaufanie...

–Nauczę się – odpowiedziałem.

## ROZDZIAŁ 35

–Nauczę... – Norbert potrząsnął głową i roześmiał się. – Nauka zajęłaby lata. Jak mógłbyś w krótkim czasie nauczyć się na przykład tego?

Karzeł wziął palącą się świecę, potrzymał gołą dłoń nad płomieniem, nawet się nie krzywiąc z bólu, potem pstryknął palcami i płomień w magiczny sposób zgasł.

–Chcę wiedzieć, jakie są twoje naturalne zdolności. Co umiesz?

–Co umiem...?

–Chryste – warknął błazen. – Co za ucznia przyprowadziłaś mi, cioteczko? Czy kamień spadł mu na głowę? Co wykonujesz? Żonglujesz, fikasz kozły, skaczesz z wysokości.

Rozejrzałem się. Przy stole stał kij. Był mojej wysokości Mrugnąłem do Norberta.

–Umiem to. – Postawiłem kij sztorcem na otwartej dłoni, ruszając nią dla utrzymania go pionowo, po czym przerzuciłem go na palec. Trzymałem kij w ten sposób przez minutę.

–Genialne – zakpił Norbert. – A potrafisz coś takiego? – Wziął ode mnie kij, przytrzymał go na palcu wskazującym, po czym wyrzucił wysoko w powietrze, a kij ponownie wylądował na tym samym palcu. Powtórzył to kilkakrotnie. Kij za każdym razem lądował na jednym z jego palców.

–Albo to? – Uśmiechnął się z wyższością i ująwszy kij w połowie, zaczął nim kręcić tak szybko, iż nie było widać rąk. Potem przerwał i oddając mi kij, spytał: – Umiesz tak?

–Nie – przyznałem.

–A może tak... – Mrugnął do mnie wylupiastym okiem – Pani mówi, że byłeś sprawny.

Ruchem, który zaprzeczał wszelkim prawom nauki, ów przysadzisty, garbaty człowieczek wykonał pełne salto w przód, a następnie w tył, lądując w tym samym miejscu.

–Może w takim razie umiesz opowiadać dowcipy? Pani powiedziała, że zdołasz mnie rozśmieszyć. Znasz jakieś dobre?

–Kilka – odparłem. Norbert założył ręce na piersi.

–No to do roboty, chłopcze. Zachwyć mnie. Zrób tak, żebym się posikał ze śmiechu.

Podjąłem z ochotą wyzwanie. Chciałem go wprawić w zdziwienie. Tym razem stałem na pewnym gruncie. Przebiegłem myślą listę moich najlepszych historyjek.

–Znam jeden o wieśniaku, który był tak leniwy, iż gdy zobaczył, że z kieszeni przejeżdżającego rycerza wypadła złota moneta...

–Znam – przerwał mi Norbert. – Powiedział do przyjaciela: gdyby wracał tą samą drogą, to mielibyśmy szczęście.

–W takim razie inny: o wędrowcu i lupanarze. Wędrowiec idzie drogą...

–Znam – znów przerwał błazen. – Napis głosi: „Gratulujemy! Zostałeś dobrze wydymany”.

Opowiedziałem jeszcze dwa dowcipy, lecz żaden z nich nie rozśmieszył błazna.

–Znam to – skomentował obydwu.

Wydawało się, że słyszał wszystkie dowcipy świata. Emilie wstrzymywała śmiech.

–Tylko tyle? To twój cały repertuar? – Błazen potrząsnął głową. – Może przynajmniej potrafisz mówić wierszem? Najbardziej ponury król nie zlekceważy pieprznej dykteryjki o swojej żonie, jeśli zostanie zabawnie opowiedziana.

Chcesz czegoś łatwego? Zgarb się i skacz w kółko jak mała, a wszyscy będą zrywali boki ze śmiechu. Ale dość tego, rudzielcu, musisz zaprezentować coś przyzwoitego. Musisz przywdziać jakąś maskę? Zgoda, będę twoim nauczycielem.

Chcę być twoim nauczycielem. – Biegał wokół mnie z udawanym płaczem, naśladując rozkapryszone dziecko. – Choć może się okazać, że łatwiej ci będzie zaatakować zamek Baldwina, niż go rozśmieszyć.

Zdenerwowany, rozglądałem się po wnętrzu. To nie była zabawa. Nie będę miał do czynienia z głupią widownią. Na szali spoczywał los mojej żony. W tym momencie w rogu piwnicy zauważyłem piłkę i łańcuch. Pokazałem na nie palcem.

–Tamto – powiedziałem.

–Co? Chcesz zagrać ze mną w piłkę? – zapytał lekceważąco Norbert.

–Nie. Daj mi ten łańcuch. – Przypomniałem sobie coś, co zobaczyłem w czasie krucjaty. Schwytany Saracen wykonał sztuczkę, by zabawić swoich wrogów; tak im się spodobała, że go nie zabili.

–Obwiąż mnie łańcuchem – powiedziałem. – Najciaśniej, jak potrafisz.

Wyswobodzę się z niego.

Emilie spojrzała na mnie z niepokojem. Łańcuch był ciężki. Opleciony ciasno wokół człowieka mógł pozbawić go tchu. – Szukasz zguby. – Norbert wzruszył ramionami.

Poszedł do kąta i przywłókł gruby łańcuch. Wziąłem kilka głębokich oddechów, jak ów Saracen, kiedy wykonywał swój numer. Potem błazen zaczął mnie owijać. Powoli, ciasno... Zaczął od barków i skończył na nogach.

–Twój rudowłosy przyjaciel ma samobójcze skłonności. – Norbert zachichotał.

–Bądź ostrożny, proszę – powiedziała Emilie.

Kiedy błazen mnie owijał, z całych sił wypinałem pierś.

Należało maksymalnie zwiększyć jej objętość. Musiałem zatrzymać w płucach powietrze. Widziałem na własne oczy, jak sztuka się udała. Pytałem Turka, jak to się robi. Miałem nadzieję, że uda mi się ją powtórzyć.

–Tracimy czas – rzekł Norbert, skończywszy owijanie. Odstąpił ode mnie.

Czułem na barkach ciężar ogniw. Powoli wypuszczałem powietrze z płuc.

Spowodowało to mały luz łańcucha w okolicy piersi, nie większy niż na dwa palce.

Mogłem już poruszać barkami, potem stopniowo, coraz obszerniej, rękami. Każda minuta wysiłku dłużyła się jak godzina. Ciężar łańcucha przygniatał mnie do ziemi. Ręce miałem unieruchomione za plecami, ale w końcu udało mi się jedną oswobodzić.

Emilie westchnęła z ulgą. Błazen mi się przypatrywał. Wreszcie czymś go zadziwiłem.

Wyjęcie ręki pochłonęło wszystkie moje siły. Brzuch i noga, poszarpane przez niedźwiedzia, nadal mnie bolały. Każdy wysiłek był wyczerpujący, ale stopniowo, po

uwolnieniu jednej ręki, mogłem już warstwa po warstwie odwinąć łańcuch.

Najpierw z nóg, potem z bioder, z piersi – aż oswobodziłem drugą rękę.

Kiedy odwinąłem ostatni zwój, Emilie zapiszczała z radości. Zgięty w pół, spocony, spojrzałem na swojego egzaminatora. Norbert, zamyślony, bębnił palcami po szczęcie. Uśmiechnął się do Emilie.

–Myślę, że to już coś.

## ROZDZIAŁ 36

Norbert uczył mnie przez dwa tygodnie, dopóki moje rany całkowicie się nie zagoiły. Spędzałem całe dni na ćwiczeniu zonglerki, akrobatyki i przyglądaniu się jego występom przed dworem. Nocami opowiadał mi dowcipy i wiersze, które następnie powtarzałem.

Krok po kroku uczyłem się zawodu błazna.

Większość rzeczy przychodziła mi łatwo. Jako rybał przywykłem do występowania. Zawsze byłem sprawny ruchowo.

Nauczył mnie robienia salta i stania na rękach, w zamian ja zaznajomiłem go z tajnikami sztuczki z łańcuchem. Setki razy wyciągał rękę na wysokości pasa, jak poprzeczkę, a ja próbowałem przeskoczyć ją, wykonując salto. Z początku raz po raz uderzałem głową w słomiany materac i jęczałem z bólu.

–Znalazłeś nowy sposób, żeby się pokaleczyć, rudzielcu – mawiał, kręcąc głową.

Z wolna jednak nabierałem wprawy. Zacząłem przeskakiwać ramię Norberta, nie dotykając go, choć jeszcze czasem lądowałem na siedzeniu. Ostatniego dnia skoczyłem czysto, lądując stopami w tym samym miejscu, z którego się odbiłem.

Spojrzałem na niego. Uśmiechnął się z satysfakcją.

–Zrobiłeś to jak należy. – Kiwnął głową. Nauka dobiegła końca. Nie mogłem dłużej zwlekać: obraz Sophie towarzyszył mi w dzień i w nocy. Jeśli chciałem odnaleźć ją żywą, musiałem zaraz wyruszyć.

Na koniec ostatniej lekcji Norbert przywłókł ciężki drewniany kufer.

Otwórz go, Hugues. To jest mój prezent dla ciebie. Podniósłszy wieko, wyjąłem złożony, kompletny strój: zielone rajtuzy, czerwony kaftan, czapkę z opadającymi rogami i tunikę z kolorowych łąt.

–Emilie to uszyła – oznajmił. – Ale według mojego projektu – dodał z dumą.

Patrzyłem niepewnie na kompletny kostium błazna. Norbert wyszczerzył zęby w uśmiechu.

–Wzdragasz się zostać błaznem, prawda? Jeśli tak, to twoim największym wrogiem jest pycha, a nie Baldwin.

Wahałem się. Zdawałem sobie sprawę, że muszę grać tę rolę ze względu na Sophie, ale trudno mi było zaakceptować siebie w takim stroju. Przyłożyłem kaftan do piersi, sprawdzając rozmiar.

–Przymierz go – nalegał Norbert, klepiąc mnie po ramieniu. – Będiesz gałęzią starego drzewa.

Wyjąłem z kufra komplet dzwoneczków.

–Do czapki – wyjaśnił Norbert. – Żaden pan nie zniesie, żeby błazen mógł się do niego podkraść po cichu.

Z kostiumem mogłem się ostatecznie pogodzić, ale nie mogłem znieść myśli o poruszaniu się w asyście brzęczących dzwoneczków.

–Tych nie wezmę.

–Bez dzwoneczków? – wykrzyknął błazen. – Bez koślawych stóp, bez garbu? – Znów poklepał mnie po ramieniu. – Należysz rzeczywiście do nowego pokolenia.

Zdjąłem kaftan i rajtuzy i naciągnąłem strój błazna. W miarę wkładania

poszczególnych części ubioru zacząłem wczuwać się w nową rolę. Nosilem już różne stroje: najpierw rybałta, później żołnierza krucjaty – dlaczego nie miałbym się przyzwyczaić do tego...?

Obejrzawszy się od stóp do głowy, uśmiechnąłem się szeroko. Czułem się innym człowiekiem. Byłem gotowy!

–Łza mi się w oku kręci – rzekł Norbert, udając wzruszenie. – Niepokoi mnie to, że nie kulejesz – błazen powinien mieć karykaturalny chód. Za to będziesz pociągający dla dam!

Zrobiłem salto w przód i ukloniłem się dwornie.

–Jesteś gotowy, Hugues – powiedział błazen. Poprawił fałdy mojego kaftana i tuniki. – Jeszcze jedno, chłopcze... Nie wystarczy ich rozśmieszyć. Każdy głupi to potrafi. Padnij na twarz. Cechą dobrego błazna jest umiejętność zdobycia zaufania dworu. Mów cały czas wierszem albo pleć bzdury, ale w jakiś sposób musisz dotykać prawdy. Nie wystarczy wywołać uśmiech u twojego pana, młodzieńcze. Musisz zdobyć jego ucho.

–Zdobędę ucho Baldwina – obiecałem. – Potem je obetnę i ci przyniosę.

–Dobrze. A ja ugotuję na nim zupę! – Ryknął śmiechem. Pociągnął mnie za rękę, jakby chciał, żebym ruszył w drogę, po czym spojrzał na mnie odrobinę wilgotnymi oczami.

–Jesteś pewien tego, co robisz, Hugues? Wiesz, jakie podejmujesz ryzyko? Nie chciałbym marnować swoich cennych nauk na przyszłego nieboszczyka. Jesteś pewny, że twoja żona żyje?

–Czuję to całym sercem. – Popatrzyłem mu w oczy. Uniósł krzaczaste brwi i uśmiechnął się. – Więc idź, chłopcze... Do żagli...

Znajdź swoją ukochaną.

Jesteś marzycielem, ale prawdę mówiąc, który błazen nie jest? – Mrugnął okiem i wysunął język. – Poliz ją ode mnie.

## ROZDZIAŁ 37

Ranek był chłodny, słońce ledwie zdążyło przedrzeć się przez mgłę. Spotkałem się z Emilie na kamienistej drodze poza murami zamku.

–Ranny z ciebie ptaszek, Hugues.

–Z ciebie, pani, również. Przepraszam, że poprosiłem cię o spotkanie tak wcześnie.

Uśmiechnęła się promiennie.

–Spodziewam się, że w dobrej sprawie.

Mam nadzieję – rzekłem.

Była w brązowym płaszczu, który zwykle wkładała na poranne msze, na głowę nasunęła kaptur chroniący przed wilgocią. Stałem przed nią w śmiesznym kostiumie błazna. Wykonałem sprężysty podskok, a po nim salto, co ją rozśmieszyło. – Powiedziano mi, że tobie, pani, zawdzięczam ów strój. – Pochyliłem głowę. – Nie masz mi za co dziękować. – Dygnęła. – Błazen nie odniesie sukcesu, jeśli nie będzie miał odpowiedniego stroju.

Poza tym twoje poprzednie odzienie wyjątkowo cuchnie dziką bestią.

Uśmiechnąłem się, utkwivszy spojrzenie w jej łagodnych, zielonych oczach.

–Zapewne wyglądam jak głupek.

–Nie uważam tak. Moim zdaniem wyglądasz szykownie.

–Szykowny błazen... Według powszechnej opinii jedno nie pasuje do drugiego.

Oczy Emilie zabłyśły.

–Czy nie powiedziałam ci, Hugues, że mam tendencję do sprzeciwiania się utartym opiniom?

–Powiedziałaś.

Przez dłuższą chwilę patrzyliśmy na siebie bez słów. Ogarnęła mnie fala ciepłych uczuć. Ta piękna dziewczyna uczyniła dla mnie tak wiele. Gdyby nie ona, już bym nie żył. Na poboczu drogi zamieniłbym się w stertę gnijącego mięsa. Wyciągnąłem do niej rękę. W zimnym powietrzu poranka poczuliśmy przepływający przez nas prąd, ciepło wzajemnej więzi.

Nasze ręce splotły się na dłuższą chwilę; dłuższą, niż śmiałem się spodziewać. Nie wycofała swojej.

–Tyle ci zawdzięczam, Emilie. Obawiam się, że zaciągnąłem dług, którego nigdy nie zdołam spłacić.

–Nie jesteś mi nic winien – oświadczyła, wysuwając podbródek. – Z wyjątkiem jednego: masz poszukać żony i bezpiecznie wrócić.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Dla mnie liczyła się tylko Sophie. Każdej nocy zasypiałem, przypominając sobie tysiące scen z naszego dawnego życia. Moje ręce były spragnione dotyku jej ciała. Kochałem swoją żonę, mimo to ta kobieta tyle dla mnie bezinteresownie uczyniła. Chciałem wziąć ją w ramiona i powiedzieć, co czuję. To pragnienie sprawiło, że zadrzałem na całym ciele.

–Z całego serca chciałabym, żeby Sophie żyła i żebyś ją odnalazł – rzekła w końcu Emilie.

–Ona żyje. Jestem pewny.

Nadal trzymałem jej dłoń. Kiedy w końcu ją puściłem, doznałem uczucia straty, lecz jednocześnie poczułem jakiś mały przedmiot, zawinięty w lnianą szmatkę, który pozostawiła w mej dłoni.

–Miałeś to przy sobie – powiedziała Emilie – tego dnia, kiedy cię znalazłam.

Po rozwinięciu zawiniątka poczułem, że brak mi tchu. Była to połówka przełamanej grzebienia, którą znalazłem w zgliszczach naszej karczmy. Grzebienia Sophie.

Emilie ujęła mnie za rękę. Spojrzenie miała czyste i odważne, a głos zdecydowany.

–Odszukaj ją, Hugues. Wierzę, że w tym celu los cię oszczędził.

Kiwnąłem głową. Ścisnąłem jej dłoń z całej siły.

–Mam nadzieję ujrzeć cię jeszcze, pani.

–Ja też mam nadzieję spotkać się z tobą, Hugues. Smutno mi, że odchodzisz.

Puściłem jej dłoń i zarzuciłem worek na plecy. Ruszyłem na południe, drogą do Treille.

Podskoczywszy, zrobiłem pół obrotu, chcąc ostatni raz na nią spojrzeć. Patrzyła za mną, uśmiechając się dzielnie. Zastanawiałem się, czym sobie zasłużyłem na tak uroczego przyjaciela.

–Do zobaczenia – szepnąłem bezgłośnie. Jej wargi też się poruszyły. – Do zobaczenia, Hugues.



## ROZDZIAŁ 38

Zbrojni jeźdźcy podjechali nocą pod położony z dala od najbliższej osady wielki kamienny dwór w sąsiednim księstwie.

Zapłacą mi, obiecywał sobie w duchu Czarny Krzyż. Nikt nie śmie okradać Pana Boga. Zwłaszcza z prawdziwych relikwii chrześcijaństwa.

Pierwsze zbudziły się psy. Wszczęły alarm, gdy usłyszały przebijający się przez nocną ciszę tętent kopyt potężnych rumaków. Potem rozbłysły pochodnie i wszystko stanęło w płomieniach.

Jeźdźcy podłożyli ogień pod stajnie. Konie rżały i wierzgały ze strachu. Przerażeni stajenni, którzy tam spali, wybiegli i od razu padli pod ciosami mieczy.

We dworze zapaliły się światła. Sześciu ciemnych rycerzy zsiadło z koni. Dwaj z nich rozwalili toporami drewniane drzwi.

Czarny Krzyż na czele swoich ludzi wtargnął do wnętrza.

Za progiem stał pan dworu. Nazywał się Ademar. Słynnego rycerza znała cała Francja. Mimo swego wieku stał niewzruszenie, z odwagą świadczącą o jego przeszłości. Za nim kulila się żona w koszuli nocnej. Rycerz zdążył przywdziać kaftan, zdobny w purpurowo – złote królewskie lilie.

–Kim jesteście? – zagrzmiął. – Czego tu szukacie?

–Sztuki złota, dziadku. Z twojej ostatniej wyprawy – odparł Czarny Krzyż.

–Nie jestem bankierem, intruzie. Moją ostatnią wyprawę podjąłem w służbie papieża.

–W takim razie łatwo sobie przypomnisz. To, czego szukamy zostało ukradzione z grobu w Edessie.

–Edessa? – Wzrok rycerza przenosił się od jednego do drugiego napastnika. – Skąd to wiesz?

Wyczyny sławnego Ademara są powszechnie znane – rzekł Czarny Krzyż.

W takim razie wiesz, że walczyłem z Wilhelmem pod Hastings. Że jestem kawalerem orderu Złotego Kwiatu, nadanego mi przez samego króla Filipa. Że broniłem wiary pod Akką i Antiochią, gdzie krew z moich ran nadal zrasza ziemię.

–Wiemy o tym wszystkim bardzo dobrze. – Czarny Krzyż się uśmiechnął. – W rzeczy samej dlatego tu jesteśmy.

Na jego znak jeden z napastników związał ręce żonie rycerza.

Ademar ruszył, żeby jej bronić, ale przystawiono mu ostrze miecza do szyi.

–Obrażasz mnie, intruzie. Nie pokazujesz twarzy ani barw.

Kim jesteś? Kto cię przysłał? Powiedz, żebym cię rozpoznał, kiedy spotkamy się w piekle.

–Spójrz na to – odparł Czarny Krzyż. Podniósł hełm, odsłaniając ciemny krzyż, wypalony na boku szyi.

Rozpoznawszy, kim jest jego przeciwnik, stary rycerz zamilkł.

–Pokaż, gdzie ukryłeś relikwię – powiedział Czarny Krzyż Oprawcy powlekli małżonków przez ich dom, nie reagując na krzyki żony rycerza.

Przeszli pod kamiennym łukiem na tylny dziedziniec, gdzie stała mała kapliczka. Wewnątrz znajdował się ołtarzyk z brązu z wiszącym nad nim krucyfiksem. – W

**Edessie splądrowałeś chrześcijański grobowiec. W relikwiarzu znajdowały się krzyże, szaty liturgiczne i monety. Między nimi była złota szkatułka z prochami.**

**Po nią tu przybyliśmy. Tylko po szkatułkę z prochami... Czarny Krzyż wziął topór bojowy z ręki jednego z kompanów i wznosił go nad głową Ademara. Rycerz zamknął oczy, a jego żona krzyknęła. Ostrze, zatoczywszy łuk, spadło na kamienną podłogę pod ołtarzem, mijając o włos głowę rycerza. Uderzenie rozbiło kamień posadzki, odsłaniając znajdującą się pod nim skrytkę, a w niej złotą szkatułkę, owiniętą w sukno. Jeden z ludzi Czarnego Krzyża ukląkł, wyjął ją i rozbił, jakby to była bezwartościowa błyskotka. Z jej wnętrza wyciągnął zwykłą drewnianą skrzyneczkę. Zdjął wieczko i zapatrzył się, pełen podziwu, na wypełniający ją ciemny piasek.**

**–Popelniasz bluźnierstwo, dotykając takiej rzeczy w Jego imieniu! – zagrzmiął stary rycerz.**

**Oczy Czarnego Krzyża błysnęły wściekłością.**

**–Więc niech On zdecyduje.**

**Rozejrzawszy się po rozwalonej kapliczce, zatrzymał wzrok na krucyfiksie.**

**–Cóż za żarliwa wiara, dzielny rycerzu. Nie możemy dopuścić, żeby pozostała w ukryciu.**

## ROZDZIAŁ 39

Podróż do Treille zajęła mi sześć dni. W ciągu pierwszych dwóch na gościńcu panował duży ruch – widziałem handlarzy ciągnących swoje wózki, najemnych pracowników z narzędziami i całym dobytkiem, pielgrzymów wracających do domu.

Trzeciego dnia mijane wioski stały się coraz mniejsze, a ruch zelżał.

Czwartego dnia usiadłem o zmroku pod drzewem, żeby spożyć skromny posiłek, składający się z chleba i sera. Nie odpoczywałem długo. Do Treille było niewiele ponad dzień drogi, a myśl o ewentualnym odszukaniu Sophie nie dawała mi chwili spokoju.

Postanowiłem wędrować dalej, dopóki nie zapadnie noc.

W pewnym momencie usłyszałem głosy, po których rozbrzmiały krzyki i płacz kobiety. Natknąłem się na rodzinę kupca – męża, żonę i syna – napadniętą przez dwóch rabusiów.

Jeden ze złodziei pokazał kompanowi swój łup: ceramiczne naczynie.

–Zobacz, co ja mam, Krótki. To jest nocnik.

–Zlitujcie się – błagał kupiec – nie mamy pieniędzy.

Zabierzcie towary, jeśli musicie.

Rabuś, zwany Krótkim, uśmiechnął się szyderczo.

–Pohandlujmy. Zwrócę ci nocnik, ale w zamian twoja żona mi ulegnie.

Krew we mnie zawrzała. Nie znałem tych ludzi, prócz tego miałem pilne, osobiste sprawy w Treille, lecz nie chciałem przyglądać się biernie rozbojowi, a i zabić ich mogli.

Położyłem na ziemi bagaż i chyłkiem, za krzakami, podkradłem się bliżej. Na koniec wyszedłem z kryjówki.

Krótki mnie zauważył. Był kłocowaty, łysiejący, lecz doskonale umięśniony.

Zdawałem sobie sprawę, jak śmiesznie muszę wyglądać w rajtuzach i tunice.

–Zostawcie ich i wynoście się – rzekłem.

–Co my tu widzimy? – Opryszek uśmiechnął się, ukazując bezzębne dziąsła. – Piękna wróżka wyszła z lasu.

–Słyszeliście, co ten człowiek powiedział. – Podeszedłem bliżej z moim kosturem.

–Weźcie sobie to, co znaleźliście. Możecie to sprzedać w najbliższym mieście. Ja bym tak zrobił.

Krótki stał jak wryty. Nie mieściło mu się w głowie, że mógłby ulec groźbie błazna.

–A wiesz, co ja zrobię, ważniaku? Zaraz cię przepędzę. Marny dowcip nam opowiedziałeś.

–W takim razie opowiem inny – rzekłem, podchodząc bliżej. – Może ten ci się spodoba: jaka pozycja miłosna przynosi najbrzydsze dzieci?

Krótki i jego wspólnik wymienili spojrzenia zdezorientowani.

–Nie wiesz, Krótki? – Ująłem mocno mój kostur. – To spytaj swoją matkę.

Wysoki zaczął się śmiać, lecz Krótki uciszył go spojrzeniem. Podniósłszy maczugę, zmrużył oczy i popatrzył na mnie z wściekłością.

–Widzę, że rzeczywiście jesteś błaznem...

Nim skończył mówić, rąbnąłem go w usta kosturem, tak że się zatoczył. Złapał się

za szczękę, po czym znów podniósł maczugę, lecz zanim zdążył ją opuścić, podskoczyłem do przodu i uderzyłem go w piszczel, aż zgiął się z bólu. Rąbnąłem go jeszcze raz kosturem w piszczel, tak że zawył.

Drugi z rabusiów natarł na mnie, lecz kiedy to czynił, kupiec rzucił się naprzód i przytknął mu do twarzy pochodnię. Płomienie objęły głowę napastnika, który zaskowyczał i usiłował zdusić rękami ogień. Z kolei zapaliło się na nim ubranie.

Uciekł do lasu, a za nim Krótki.

Kupiec z żoną podeszli do mnie.

– Jesteśmy ci zobowiązani. Na imię mi Joffrey. – Wyciągnął do mnie rękę. – Mam stragan z ceramiką w Treille. To jest moja żona, Isabell, a to mój syn, Thomas.

Ja jestem Hugues. – Uścisnąłem mu rękę. – Jestem błaznem, wyobraź sobie.

– Dokąd zmierzasz? – zapytała żona kupca.

Tam gdzie wy: do Treille.

Wobec tego razem możemy przebyć resztę drogi – zaproponował Joffrey. – Zostało nam niewiele żywności, ale podzielimy się z tobą.

Zgoda – odparłem. – Spróbujmy odejść jak najdalej od tych hien. Mój worek leży tam, za krzakami.

– Idziesz do Treille, bo chcesz zostać błaznem na dworze? – spytał syn Joffreya.

Uśmiechnąłem się do niego.

– Mam nadzieję, że mi się uda. Słyszałem, że obecny jest w gorszej formie.

– Możliwe. – Joffrey wzruszył ramionami. – Nie będziesz miał łatwej pracy.

Kiedy ostatnio tam byłeś?

– Przed trzema laty. Chwycił dyszel swojego wózka.

– Obawiam się, że teraz trudno ci tam będzie kogokolwiek rozśmieszyć.

## ROZDZIAŁ 40

Dwa dni później wyszliśmy z lasu na otwartą przestrzeń, Joffrey wskazał palcem.  
–Miasto jest tam.

Na zboczach wysokiego wzgórza rozłożyło się skupisko domów w kolorze ochry, a na jego szczycie połyskiwał w świetle słońca ogromny szary zamek z dwiema wysokimi wieżami. Czy znajdę w nim Sophie?

Upřednio byłem w Treille dwukrotnie. Pierwszy raz, żeby złożyć skargę na rycerza, który nie zapłacił rachunku, a drugi wspólnie z Sophie w celu zrobienia zakupów na bazarze.

Joffrey miał rację. W miarę jak się zbliżaliśmy do miasta, dostrzegałem coraz więcej zmian.

–Pola chłopów leżą odłogiem – powiedział, wskazując na nie palcem – natomiast pola naszego seniora są starannie uprawiane.

Rzeczywiście, małe poletka ziemi były niezagospodarowane, podczas gdy pola księcia, ogrodzone solidnymi, kamiennymi murkami, wyglądały kwitnąco.

Im bliżej miasta, tym więcej widziałem śladów upadku. Deski drewnianego mostu na strumieniu miały tyle dziur, że z trudem dawało się po nich przejść. Płoty były zbutwiałe i połamane.

Nie wierzyłem własnym oczom. Pamiętałem Treille jako miasto kwitnące i rozwijające się, z największym bazarem w całym księstwie, słynne z zabaw w noc świętego Jana.

Pięliśmy się stromą drogą, po której hulał wiatr, a która prowadziła do twierdzy. Ulice śmierdziały ściekami z zamku, pływającymi rynsztokami w dół. Świnie pasły się swobodnie, żywiąc się śmieciami, które mieszkańcy każdego ranka wyrzucali prosto na ulice. Widok przyprawił mnie o mdłości.

–Nasz stragan jest w głębi ulicy – wyjaśnił Joffrey na zatłoczonym skrzyżowaniu.  
– Będzie nam miło, gdy z nami zamieszkaż, jeśli nie masz innej kwatery.

Odmówiłem, chcąc od razu zacząć poszukiwania. Moim celem był zamek. Kupiec uściskał mnie.

–Pamiętaj, że masz tu przyjaciół. A przy okazji – kuzynka mojej żony pracuje w zamku. Powiem jej, co dla nas zrobięś. Postara się, żebyś zawsze dostawał najsmaczniejsze kawałki mięsa.

–Dzięki. – Mrugnąłem do Thomasa i wykonałem kilka cyrkowych podskoków, aż się roześmiał. – Odwiedz mnie, jak już będę miał pracę.

Pomachałem im na pożegnanie, po czym pomaszerowałem przez miasto w stronę zamku.

Ludzie gapili się na mnie, a ja się do nich uśmiechałem, wczuwając się w moją nową rolę. Nowy błazen stanowił podobną atrakcję, jak przybycie trupy wędrownych aktorów.

Szedłem w asyście gromady dzieci w łachmanach, które tańczyły wokół mnie, śmiejąc się i krzycząc. Mimo to serce biło mi szybciej na myśl o czekającym mnie zadaniu. Gdzieś wśród tych kamiennych murów w upodleniu żyła Sophie. Czułem to!

Niemal godzinę zajęło mi przecięnięcie się przez gąszcz uliczek. Znalazłem się

**przed bramą zamku, gdzie strażnicy w barwach Baldwina, purpurowej i białej, pilnowali mostu zwodzonego, sprawdzając wchodzących.**

**Most opadł i część przeszła. Pozostali, mimo protestów, zostali brutalnie odepchnięci przez żołnierzy.**

**Nadchodził moment pierwszego sprawdzianu mojego nowego wcielenia. Żołądek miałem w gardle. Boże, spraw, żebym sprostał wyzwaniu.**

**Wziąwszy głęboki oddech, podszedłem do bramy.**

**Ponownie doznałem uczucia, że Sophie jest blisko.**

## ROZDZIAŁ 41

–Czego chcesz, błaznie? Masz tu jakiś interes? – Gburowaty dowódca straży oglądał mnie od stóp do głów.

–Mam, wasza eminencjo. – Skłoniłem się głęboko! i uśmiechnąłem. – Przyszedłem z interesem i chcę zrobić interes. Ważny interes. Nie jestem tak ważny jak wasza eminencja, ale mam towar dla wysoko urodzonych. Sprzedaję śmiech...

–Zamknij gębę, błaznie. – Strażnik obrzucił mnie gniewnym spojrzeniem. – Czy ktoś cię oczekuje?

–Pan mnie oczekuje. – / moja żona. Strażnik zmarszczył brwi.

–Pan? Ciebie?

–Pan oczekuje nas wszystkich. – Uśmiechnąłem się i mrugnąłem do niego. Kilkoro czekających w kolejce ludzi zaczęło się śmiać.

–Pan Baldwin – ciągnąłem. – Jestem mu potrzebny. Tylko że on jeszcze o tym nie wie.

–Książę Baldwin? – Strażnik zmrużył oko. – Za kogo ty mnie bierzesz? Za głupka? – Ryknął śmiechem.

Skłoniłem się uniżenie.

–Masz rację, panie. Nie jestem potrzebny, skoro na miejscu jest ktoś tak dowcipny jak ty. W waszych kwaterach muszą wieczorami zrywać boki ze śmiechu.

–Mamy swojego błazna. Nazywa się Palimpost. Nie masz dziś szczęścia, co? Wygląda na to, że dałeś się nabrać.

–Zaraz będzie nas dwóch! – wykrzyknąłem. Musiałem coś zrobić, żeby zyskać jego przychylność. Nawet taki sługus powinien dać się oczarować lub zmienić zdanie. Ukłąłem przed jednym chłopcem. Dotknąłem jego policzka, nosa, potem pstryknąłem palcami i w mojej ręce pojawiła się mała suszona śliwka. Dziecko pisnęło z zachwytu.

Smutny to czas, chłopie, kiedy miecz zagradza drogę śmiechowi. Nie mów mi, że wielki książę Baldwin mógłby się bać śmiechu.

Wśród świadków naszej dyskusji dały się słyszeć oklaski.

No, wpuść błazna – zawołała przystojna, tęga kobieta. – Nie robi nikomu krzywdy. Nawet pozostali strażnicy zmiękli.

Wpuść go, Albercie. To porządny człowiek. Trochę radości nikomu nie zaszkodzi. Będzie nam lżej.

–Tak, Albercie – dodałem. – To znaczy: tak, wasza eminencjo. Postaram się wam ulżyć. Przytrzymaj to. – Podąłem mu mój worek. – Tak jest znacznie lżej. Dzięki.

–Skrzyżowałem ramiona.

–Szmugluj dupę przez bramę – warknął strażnik – zanim wbiję w nią włócznię. – Rzucił mi z powrotem worek.

Ukłoniłem się ostatni raz i mrugnawszy dziękczynnie kobiecie, przeszedłem przez bramę. Ogarnęło mnie uczucie ulgi. Byłem w zamku. Most zwodzony skrzypiał pod nogami; nade mną majaczyły wysokie mury. Znalazłem się na rozległym dziedzińcu, na którym panował duży ruch. Mnóstwo zaaferowanych ludzi biegało w różne strony.

Nie miałem pojęcia, dokąd iść. Nie wiedziałem, gdzie szukać Sophie, nie

wiedziałem nawet, czy żyła. Poczułem niepokój. Wszedłem po schodach do zamku.

Słońce stało wysoko na niebie, nie minęło jeszcze południe. Sesja sądowa wciąż trwała. Czekaly na mnie obowiązki, przecież byłem błaznem.



## ROZDZIAŁ 42

Rozprawy sądowe odbywały się w wielkiej sali, do której szło się głównym korytarzem pod wysokimi kamiennymi łukami.

Przedzierałem się przez tłum podążających w tę samą stronę: rycerzy w codziennych, zwykłych kaftanach i rajtuzach, z giermkami u boku, którzy nieśli ich szyszaki i broń; dworzan w kolorowych szatach i płaszczach, w kapeluszach z pióropuszcami: petentów różnego stanu; nobilów i chłopów. Idąc, rozglądałem się za Sophie.

Ludzie patrzyli na mnie i uśmiechali się. W odpowiedzi puszczałem do nich oko, żonglowałem czymś lub wykonywałem jakąś sztuczkę. Jak dotąd moje przebranie zdawało egzamin. Komu przyszłoby do głowy, że człowiek w kolorowej tunice i rajtuzach, żonglujący piłeczkami, mógłby być niebezpieczny?

Doszedłem do wielkiej sali, zamykanej podwójnymi, wysokimi dębowymi drzwiami, zdobnymi w płaskorzeźby przed – stawiające cztery pory roku. Wejścia strzegli stojący na baczność żołnierze z włóczniami.

Serce mi łomotało. Za tymi drzwiami siedział Baldwin. Musiałem jedynie dostać się do środka.

Herold, z wycyzelowanym na tarczy lwem Baldwina, regulował ruch. Niektórym interesantom kazał usiąść i czekać, innych, promieniejących poczuciem ważności, wpuszczał do sali.

Gdy przyszła moja kolej, wystąpiłem naprzód i powiedziałem śmiało: nazywam się Hugues, pochodzę z Boree i jestem kuzynem Palimposta Wesołka. Powiedziano mi, że tu go znajdę. Herold spojrział na mnie pytająco, a ja szepnąłem:

–Sprawy rodzinne.

–Mam nadzieję, że ty należysz do weselszej części rodziny – Herold pociągnął nosem. Obrzucił mnie szybkim spojrzeniem. – Znajdziesz go pewnie śpiącego gdzieś z psami. Trzymaj się na uboczu, dopóki trwa sesja. Ku mojemu zdumieniu machnął ręką, żebym wszedł. Przekroczywszy szerokie drzwi, znalazłem się w ogromnej sali. Była długa, prostokątna, wysoka przynajmniej na trzy piętra.

Wypełniał ją tłum ludzi. Niektórzy stali, zachowując pełne uszanowanie wobec księcia, inni siedzieli leniwie wokół długich stołów.

Czyjś głos zapanował nad wrzawą. Przepchnąłem się przez grupy kupców i lichwiarzy, dyskutujących na temat ksiąg rachunkowych, do miejsca, skąd mogłem wszystko widzieć. To był Baldwin!

Siedział, a właściwie na pół leżał na wielkim dębowym krześle z wysokim oparciem, stojącym na podwyższeniu. Jego twarz wyrażała obojętność i niechęć, jakby uczestniczenie w nudnej procedurze sądowej zajmowało mu czas, który wolałby spędzić na polowaniu z sokołami. U stóp krzesła przykląkł na kolanie ubogi dzierżawca. Baldwin...! Na jego widok dreszcz przebiegł mi po plecach.

Od tygodni myślałem tylko o jednym: żeby wbić mu nóż w szyję. Miał kruczoczarne włosy sięgające ramion i ostry podbródek, porośnięty krótką, czarną brodą. Pod wierzchnią szatą w kolorach purpurowym i białym nosił luźną bluzę i rajtuzy.

Spostrzegłem swojego rywala, Palimposta. Ubrany w strój podobny do mojego pólleżał na stopniu obok krzesła swojego pana, rzucając kośćmi.

Dyskusja miała charakter formalny. Żółto odziany poborca, wskazując na klęczącego chłopca, powiedział: – Ten oto człek chce zaprzeczyć prawu do ojcowizny, książę.

–Prawo do ojcowizny? – Baldwin podniósł brwi, patrząc pytająco na swego doradcę. – Czyżby podstawą całego prawa własności nie było prawo pierworództwa?

–Wasza wysokość ma rację – rzekł doradca.

–Dla szlachetnie urodzonych, dla bogaczy, owszem powiedział chłop. – Ale my jesteśmy biedakami. Mamy tylko to stado owiec. Mój starszy brat jest pijakiem.

Od lat nie przepracował na roli ani jednego dnia. Moja żona i ja... owce są dla nas wszystkim. Dzięki nim możemy ci płacić podatek, panie.

–A czy ty, chłopie – Baldwin przyglądał mu się badawczo – nie pijesz? Nie robisz nic innego, tylko pracujesz?

–Odrobinę... w święta. – Chłop wahał się, nie wiedząc, co powiedzieć. – W rocznicę naszego ślubu...

–Z tego wynika, że muszę zdecydować, jak podzielić owce pomiędzy dwóch pijaków. – Baldwin uśmiechnął się złośliwie. Fala śmiechu rozniosła się echem po wielkiej sali.

–Ale, panie... – Chłop podniósł się z klęczek.

–Bez dyskusji – ostrzegł go książę. – Prawo jest po to, żeby go przestrzegać.

Żeby uczynić zadość sprawiedliwości – ciągnął – stado ma przejść do pierworodnego. Czy to nie jest zgodne z prawem? Mimo to uwzględnij twoje zastrzeżenia. Gdyby stado miało zostać zmarnowane, nikt by na tym nie skorzystał. Przyszło mi do głowy, że istnieje pewna możliwość. – Rozejrzał się pyszałkowato po sali. – Ja jestem pierworodnym...

Powód westchnął ze zdumieniem.

–Ty, mój panie?

–Tak. – Baldwin uśmiechnął się szeroko. – Jestem pierwszym z pierworodnych, dobrze myślę, szambelanie?

–Ty rządzisz, mój książę. – Szambelan skłonił z uniżeniem głowę.

–Prawu stałoby się zadość, gdyby owe drogocenne owce dostały się mnie – oświadczył Baldwin.

Przerażony chłop rozglądał się po sali, szukając poparcia.

–A zatem przejmuję je – ogłosił Baldwin – na podstawie prawa pierworództwa.

–Panie, te owce to mój cały dobytek.

Poczułem gniew. Miałem chęć rzucić się na Baldwina i wbić mu sztylet w gardło. Był człowiekiem, który odebrał mi wszystko – równie gładko i bezwzględnie, jak teraz okradł biednego chłopca. Musiałem się jednak pohamować.

Przybyłem tu dla Sophie, nie dla szukania rewanżu na tym wieprzu.

Paż pochylił się nad uchem Baldwina.

–Sokoły czekają mój panie.

Dobrze. Czy są jeszcze jakieś sprawy do sądu? – spytał Baldwin tonem dającym

do zrozumienia, że nie życzy sobie żadnych więcej.

Przełknąłem nerwowo ślinę. Pojawiła się szansa, którą musiałem wykorzystać. Przepchnąłem się do przodu. – Ja mam sprawę, panie!

## ROZDZIAŁ 43

–Dotyczy twoich zachodnich ziem! – zawołałem z tłumu petentów.

–Kto ją zgłasza? – spytał zdziwiony Baldwin. Pośród zebranych rozległy się głosy zdumienia.

–Rycerz, wasza książęca mość! – krzyknąłem. – Najechałem wioski twoich wrogów na zachodzie, spaliłem je, a ich samych wygnałem. Baldwin wstał.

–Przecież my nie mamy wrogów na zachodzie... – zwrócił się do seneszała. Wziąwszy głęboki oddech, wysunąłem się z tłumu.

–Przykro mi, panie, lecz obawiam się, że teraz już masz. W sali z wolna rozległ się śmiech. Kiedy żart stał się oczywisty, śmiano się do rozpuku.

–To błążen – ktoś powiedział. – Popisuje się. Lodowaty wzrok Baldwina zmroził mi krew w żyłach. Postąpił ku mnie.

–Coś ty za jeden, błaźnie? Kto ci się pozwolił odezwać?

–Nazywam się Hugues. Przybyłem z Boree. – Ukłoniłem się. – Jestem uczniem Norberta, słynnego błażna na tamtejszym dworze. Dowiedziałem się, że na twoim brak śmiechu.

–Śmiechu? Mój dwór potrzebuje śmiechu...? – Baldwin patrzył na mnie spod przymrużonych powiek, nie rozumiejąc. – Muszę przyznać, że jesteś urodzonym błażnem. Przyszedłeś z dużego miasta tak daleko, żeby nas rozweselić?

–Tak jest, mój panie. – Ukłoniłem się ponownie. Nerwy miałem napięte jak postronki. – Twój wysiłek na nic się nie zdał – odparł książę. – Mamy swojego błażna. Prawda, Palimpoście, mój śmieszny pupilku?

Błażen poderwał się na nogi. Był starym, siwym człowiekiem, o koślawych stopach i grubych wargach. Sprawiał wrażenie, jakby go wybito ze snu. – Z całym szacunkiem – odezwałem się, stając w środku sali i zwracając się do dworu. – Słyszałem, że Palimpost już nie potrafi rozśmieszyć nawet pijanego, że się skończył. Posłuchajcie mnie. Jeśli wam się nie spodoba, pójdę dalej. – Chłopiec rzuca ci wyzwanie. – Baldwin uśmiechnął się do swojego błażna. – Nie zgódź się, panie – rzekł Palimpost. – Nie ufaj mu. Sprawi ci kłopoty. – Naszym jedynym kłopotem, mój błaźnie, jest tępe ostrze twojego dowcipu. Może ten chłopak ma rację. Zobaczmy, z czym przyszedł do nas z Boree. Baldwin zszedł z podwyższenia i zbliżył się do mnie. – Rozśmiesz nas, a potem zdecydujemy o twojej przyszłości. Jeśli ci się nie uda, będziesz swoje sztuczki pokazywał już tylko szczurom w lochu. – To sprawiedliwa decyzja, książę. – Ukłoniłem się. – Zaraz was rozśmieszę.

## ROZDZIAŁ 44

Stałem pośrodku rozległej sali, czując na sobie setki oczu.

Wśród siedzących niedbale przy stołach rycerzy zobaczyłem Norcrossa, kasztelana, dowódcę armii księcia. Patrzyłem na niego z obawą, ale nie zwracał na mnie uwagi. Byłem przekonany, że to on zabił mojego syna.

–Wszyscy zapewne słyszeli opowieść o krowie z Amiens – zacząłem.

Ludzie popatrywali po sobie i kręcili przecząco głowami.

–Nie słyszeliśmy – ktoś krzyknął. – Opowiedz nam, błaznie.

–Dwaj wieśniacy mieli jednego denara. Postanowili, że dla powiększenia majątku kupią krowę i codziennie będą sprzedawali jej mleko. Jak wszyscy wiecie, najlepsze krowy w kraju pochodzą z Amiens. Udali się więc do Amiens i wymienili denara na najlepszą krowę, jaką udało im się znaleźć, taką, co dawała najwięcej mleka. Codziennie sprzedawali to, co udoili. Po pewnym czasie jeden z nich wpadł aa pomysł: Jeżeli zapłodnimy tę świetną krowę, będziemy mieli dwie. Podwoimy ilość mleka i zysk. Rozejrzeli się po wsi i znaleźli najlepszego byka. Byli pewni, że wkrótce czeka ich bogactwo.

Rozejrzałem się po sali. Słuchano mnie z zapartym tchem. Wszyscy się uśmiechali... rycerze, damy dworu, nawet sam książę. Udało mi się ich zainteresować!

–W dzień krycia przyprowadzili byka. Byk chciał wskoczyć na krowę najpierw od tyłu, ale krowa się wywinęła. Kiedy spróbował z lewej, krowa wykręciła zad w prawo. Kiedy próbował z prawej, krowa uciekała w lewo.

Rozejrzawszy się po słuchaczach, wybrałem atrakcyjną kobietę i podszedłem do niej. Uśmiechnąłem się i pokręciłem własnym tyłkiem, by dodać opowiadaniu pikanterii. Widzowie westchnęli z zachwytem.

–W końcu – ciągnąłem – wieśniacy zaprzestali wysiłków. Nie było sposobu na krowę z Amiens. Jednak zamiast zrezygnować, postanowili udać się po radę do najmądrzejszej osoby w księstwie. Był to rycerz o tak niespotykanej mądrości, takiej wyobraźni, że bez wątpienia znał się na wszystkim.

Zauważyłem, że Norcross mnie słucha. Siedział przy stole, oparty na łokciu.

–Podobny do ciebie, rycerzu – dodałem pod jego adresem. Tłum zarechotał.

–Twoje opowiadanie będzie mało prawdopodobne – powiedział, śmiejąc się, Baldwin – jeśli wybrałeś taki przykład mądrości.

–Wiem, wasza wysokość. – Ukłoniłem się księciu. – Ale dla mojego opowiadania taki przykład wystarczy.

Z twarzy Norcrossa zniknął wyraz rozbawienia. Popatrzył na mnie groźnie, czerwony na twarzy.

–Tak więc wieśniacy udali się do tego niezwykle mądrego rycerza i opowiedzieli mu o swoim problemie z krową. „Co mamy zrobić?” – biadali. Mądry rycerz zapytał: „Mówicie, że kiedy byk próbuje wskoczyć na krowę z prawej strony, ona ucieka w lewo? A kiedy próbuje z lewej, ona ucieka w prawo?”. „Tak!” – wykrzyknęli jednocześnie. Rycerz się zastanawiał. „Nie wiem, czy potrafię rozwiązać wasz problem – powiedział – natomiast z całą pewnością wiem jedno: ta krowa pochodzi z

**Amiens, prawda”. „Tak, tak! – krzyknęli wieśniacy. – Rzeczywiście jest z Amiens. Skąd wiesz?”.**

**Odwróciwszy się ponownie ku Norcrossowi, usiadłem obok niego na ławie.**

**–„Poznaję to po mojej żonie – mruknął rycerz. – Ona też pochodzi z Amiens”.**

**Sala zatrzęsa się od śmiechu. Śmiali się wszyscy: rycerze, księżę, damy...**

**Wszyscy z wyjątkiem Norcrossa. Moje opowiadanie zyskało powszechny aplauz.**

**Baldwin podszedł i poklepał mnie po plecach.**

**–Jesteś rzeczywiście zabawny, błaznie. Znasz więcej podobnych historyjek?**

**–Mnóstwo – odpowiedziałem. Dla spuentowania występu wykonałem salto w przód, a potem w tył. Widownia zawyła z zachwytu.**

**–W Boree musi być bardzo wesoło. Możesz zostać, mój nowy przyjacielu. Kupuję cię.**

**Podniosłem ręce w geście triumfu. Widownia biła brawo, ja jednak cały czas pamiętałem, iż stoję o krok od ludzi, których przysięgłem zabić.**

**–Palimpoście, od dziś przechodzisz na zasłużony odpoczynek – ogłosił Baldwin.**

**–Pokaż nowemu błaznowi swoje lokum.**

**–Na zasłużony odpoczynek? Nie chcę odpoczywać, księżę. Czyż nie służyłem ci całym swoim dowcipem?**

**–Niewiele go masz. Ale skoro chcesz mieć zajęcie, zmieniam decyzję. Daję ci pracę na cmentarzu. Zobaczymy, czy potrafisz rozweselić nową widownię.**

## ROZDZIAŁ 45

Dwa dni po moim przybyciu Baldwin urządził na dworze wielką ucztę, na którą zaprosił hrabiów, rycerzy i baronów. Księżę wiedział, jak trwonić to, co wypracowywali jego biedni chłopci. Szambelan księcia poinformował mnie, że będę główną atrakcją zabawy. Księżna Heloise, żona Baldwina, usłyszawszy o występie, który dałem, chciała zobaczyć mój popis. Czekał mnie pierwszy prawdziwy egzamin!

W dzień uczyty w całym zamku panowało niezwykle ożywienie. Niezliczone zastępy służących w uroczystych strojach – jednakowych kaftanach w kolorach purpurowym i białym – wnosiły do wielkiej sali zastawę stołową i świeczniki. Minstrele odbywali próby. Przy kominkach gromadzono grube kłody drewna. Zamek pełen był smakowitych zapachów pieczonych gęsi, świń i jagniąt.

Spędziłem dzień na ćwiczeniu repertuaru. To był dla mnie dzień próby – mój pierwszy prawdziwy występ. Chcąc się utrzymać w łaskach Baldwina, musiałem zabłysnąć. Żonglowałem, ćwiczyłem z kijem, doskonaliłem salta i powtarzałem opowiadania i dowcipy.

Nadszedł wieczór uczyty. Cały w nerwach, jak pan młody, Udałem się do sali bankietowej. Cztery długie stoły, przykryte najprzedniejszymi lnianymi obrusami, dźwigały zastawę stołową i świeczniki z wycyzelowanym lwem, godłem księcia.

Przybycie każdego gościa oznajmiały fanfary. Wprowadzałem ich po kolei, anonsując żartobliwymi epitetami. „Jego sprośność, księżę Lotaryngii, z uroczą kuzynką... chciałem powiedzieć żoną, księżną Catherine”. Miało to na celu polechtanie próżności męża i wyrażenie uznania dla żony, niezależnie od tego, jak mało była atrakcyjna. Wszyscy przystawali na taką konwencję.

Na samym końcu, gdy sala była już pełna, pojawili się Baldwin i jego żona.

Wystarczyło jedno spojrzenie, żeby się zorientować, iż Baldwin pojął swoją żonę nie ze względu na jej urodę. Para sunęła przez salę. Baldwin witał się kordialnie z mężczyznami i żartował, Heloise dygała i przyjmowała fałszywe komplementy. Zajęli miejsca u szczytu największego stołu.

Kiedy wszyscy usiedli na miejscach, Baldwin wstał i wznosił puchar.

– Witajcie wszyscy. Mamy dziś powód do radości. Dwór wzbogacił się o nowe stado owiec, a z Boree zawitał do nas błazen. Hugues nas rozśmieszy i pokaże swoje sztuczki.

– Słyszałam, że nowy pupilek mojego męża jest rewelacyjny – oznajmiła Heloise.

– Niech nas wprawi w dobry nastrój kilkoma dowcipami.

Zaczerpnąwszy tchu, ruszyłem ku szczytowi stołu.

– Postaram się, pani.

Pobiegłem truchtem w jej stronę, lecz po drodze usiadłem na kolanach grubego, starego mężczyzny, siedzącego daleko od honorowych miejsc. Pogłaskawszy go po brodzie, uśmiechnąłem się doń i rzekłem:

– To zaszczyt dla mnie, wystąpić przed waszą wysokością. Jestem...

– Tu, błaznie! – zawołała Heloise. – Ja siedzę tutaj!

– Do diaska! – Zerwałem się jak oparzony z kolan grubasa. – Oczywiście, pani. Musiała mnie oślepić twoja uroda. Tak czy inaczej, przestałem widzieć.

W sali rozległy się śmiechy.

–Jestem pewna, błaznie – zawołała Heloise – że jeszcze żadna widownia nie miała dla ciebie uznania po tak kiepskim pochlebstwie. Może to ja ośleplam.

Jesteś Hugues czy Palimpost?

Sala zachichotała w uznaniu dla błyskotliwości gospodyni. Nawet ja się ukloniłem, podejmując wyzwanie.

Przy końcu stołu brzuchaty ksiądz osuszał kufel piwa. Wskoczyłem na stół tuż przed nim, aż zaszczekały talerze i kubki. – W takim razie ten... Pewien człowiek poszedł do księdza, żeby się wyspowiadać. Powiedział, że ma na sumieniu dużo grzechów. Gruby ksiądz spojrzał na mnie.

–Do mnie?

–Zobaczymy, ojcze, co rzekniesz, kiedy skończę. Człowiek wyznał, iż okradł przyjaciela, ale tamten w rewanżu ukradł mu coś o tej samej wartości. „Drugi grzech unieważnia pierwszy – oświadczył ksiądz. – Jesteś rozgrzeszony”. Brzuchaty kiwnął głową.

–Miał rację.

–Potem – kontynuowałem – człowiek wyznał, że zbił przyjaciela kijem, ale ów odplacił mu tym samym. „Te grzechy też się wzajemnie unieważniają – odparł ksiądz. – Nie jesteś Bogu nic winien”.

Spowiadający zorientował się, że może się wywinąć od każdego grzechu. Powiedział, iż ma jeszcze jeden, ale wstydzi się do niego przyznać. Po zachęcie ze strony księdza rzekł:

Posiadłem kiedyś twoją siostrę, ojcze”.

Moją siostrę!” – ryknął ksiądz. Człowiek był pewny, że spotka się ze świętym oburzeniem. „Ale ja posiadałem wiele razy twoją matkę – odparł ksiądz. – Oba grzechy się unieważniają. Jesteśmy rozgrzeszeni”.

Goście śmiali się i bili brawo. Zawstydzony ksiądz rozejrzał się dokoła i też zaczął klaskać.

–Następny, błaznie – zawołała księżna Heloise. – W tym samym gatunku. – Zwracając się do Baldwina, zapytała: – Czemu ukrywałeś ten skarb?

Bawiono się wyśmienicie. Na stołach pojawiły się pieczone łabędzie, gęsi i prosięta. Służba dolewała do pucharów i kufli. Zatrzymałem chłopca niosącego tacę z pieczonym mięsiwem. Powąchawszy je, powiedziałem:

–Wyśmienite. – Westchnąłem. – Kto wie, jaka jest różnica między średnim i rzadkim?

Uczający popatrywali po sobie i wzruszali ramionami. Podeszedłem do czerwieniącej się kobiety. – Średni jest długi na sześć palców, a rzadki na

Znów rozległa się salwa śmiechu. Byłem na fali. Zobaczyłem że Baldwin odbiera gratulacje. Sprawiał wrażenie zachwyconego moim popisem.

Na dźwięk fanfar wmaszerował do sali łańcuch służących, którzy nieśli półmiski. Baldwin wstał.

–Drodzy goście, oto jagnięcina z mojego nowego stada. Nałożył sobie na talerz i spróbował mięsa w obecności podającego. – Wyśmienita, prawda? Co o tym



sądzisz? – spytał go.

–Tak, mój panie. – Służący uklonił się sztywno. Spostrzegłem ze zgrozą, że owym przygnębnym sługą by ten sam chłop, któremu Baldwin dwa dni wcześniej zagrabił stado. Poczulem nagłą złość.

–Zabawiaj nas dalej, błaznie – rzekł Baldwin z ustami pełnymi mięsiva.

–Z przyjemnością, mój panie. – Ukloniłem się. Utkwiłem wzrok w Norcrossie, który siedział wśród innych rycerzy przy końcu stołu Baldwina, dziobiąc nożem mięso.

–Czy mnie wzrok nie myli? Byłbyż to sam szlachetny Norcross?

Norcross podniósł głowę i spojrzał na mnie. Zmrużył oczy.

–Powiedzcie – zwróciłem się do gości – czy jest dzielniejszy rycerz w służbie naszego pana niż bohaterski Norcross? Kto bardziej niż on zasługuje na wybaczenie mu zarozumiałstwa? Podobno ten dobry rycerz jest tak zarozumiały, że w chwili uniesienia w ramionach kobiety wykrzykuje własne imię.

Norcross odłożył nóż. Patrzył na mnie, sos ściekał mu po brodzie. Podniósł się śmiech, który zamarł, gdy jego twarz stężała.

–A gdyby zapytać – kontynuowałem – jaką wspólną cechę mają pisanki wielkanocne i szlachetny Norcross?

Tym razem pytaniu nie towarzyszył rozbawiony pomruk. W sali zaległa martwa cisza.

–Odpowiedź brzmiałaby: w obu wypadkach jaja służą wyłącznie do dekoracji.

Rycerz zerwał się, dobywając miecza. Ruszył wokół stołu w moją stronę.

Udałem, że uciekam.

–Na pomoc! Ratuj mnie, wasza wysokość. Nie mam miecza, a boję się, że trafiłem w sedno.

Wywinąłem kozła i pobiegłem wokół stołu w stronę Baldwina; Norcross deptał mi po piętach. Był trochę pijany i ociężały.

Wymykałem mu się łatwo, ku uciechu gości, którzy sprawiali wrażenie, jakby czynili zakład, czy rycerz mnie dogoni i poderżnie mi gardło. W końcu wskoczyłem Baldwinowi na kolana. – On mnie zabije, księżę.

–Nie bój się – odparł Baldwin. – Uspokój się, Norcrossie. Nasz nowy błazen zalazł ci za skórę. Twoją ranę lepiej zaleczyć śmiechem niż krwią.

–On mnie obraża, księżę. Nie pozwolę na to żadnemu mężczyźnie.

–To nie jest mężczyzna, tylko błazen. – Baldwin zachichotał. – A co ważniejsze, świetnie nas zabawia.

–Dobrze ci służyłem. – Zaczerwieniony Norcross kipiał z wściekłości. – Chcę z nim walczyć.

–Zabraniam ci. – Księżna Heloise wstała z miejsca. – Błazen spełniał moje życzenie. Jeśli spotka go cokolwiek złego, będę wiedziała, kto to zrobił. Nikt cię nie tknie, Hugues.

Oczy wszystkich były skierowane na Norcrossa, który z westchnieniem schował ciężki miecz do pochwy.

–Następnym razem ja się będę śmiał, błaznie. – Wrócił na swoje miejsce, ani na moment nie odrywając ode mnie oczu.

**–Wybrałeś sobie przeciwnika, którego lepiej nie drażnić – rzekł ze śmiechem Baldwin, jedząc jagnięcinę. Strząsnął kawałki tłuszczu ze swojego talerza na podłogę.  
– Masz. Nabierz sobie.**

**Popatrzyłem z daleka na Norcrossa. Wiedziałem, że od tej chwili jesteśmy wrogami na śmierć i życie.**

## ROZDZIAŁ 46

Nie miałem czasu do stracenia. Musiałem odnaleźć Sophie. Byłem pewny, że żyje. Czułem to.

Dzięki starciu z Norcrosssem zyskałem natychmiastowy status wśród mieszkańców zamku. Nazywano mnie „Hugues Śmiały”, lub – ze względu na nienawiść Norcrossa do mnie – „Hugues Krótkowieczny”. Ludzie, którzy czuli, że służę księciu tylko ze strachu lub powinności, przychodzili do mnie i po cichu deklarowali swoje poparcie. Zyskałem kilkoro użytecznych przyjaciół. Kucharkę Babette – puciołowatą, czerwoną na twarzy kobietę o ciętym języku, która utrzymywała kuchnię w stanie nieskazitelnej czystości. Pokojowca Jacques'a, który siadywał obok mnie w trakcie posiłków w kuchni. Wesołego zbrojmistrza Henriego, lubiącego moje żarty.

Rozpytywałem wszystkich, nie ujawniając przyczyn mojego zainteresowania, czy słyszeli o jakiejś pięknej blondynce więzionej w zamku. Nikt o takiej nie wiedział.

–Sprawdziłeś w lupanarze? – spytał, mrużąc znacząco oko, Henri. – Kiedy panowie mają którejś dość, tam ją odsyłają.

Skorzystawszy z jego rady, odwiedziłem wszystkie domy rozpusty, udając wybrednego klienta. Dzięki Bogu, nie było wśród nieszczęsnych ladacznic w Treille ani jednej, która by odpowiadała rysopisowi Sophie.

–Jak na błazna, masz zbyt ponurą minę – zauważyła któregoś dnia kucharka Babette w trakcie urabiania ciasta. – Znów z powodu zaginionej ukochanej? Żałowałem, że nie mogę jej wtajemniczyć w istotę rzeczy.

–Nie mojej, tylko mojego przyjaciela, Babette – skłamałem. – Prosił mnie, żebym się rozpytał.

–Przyjaciela, mówisz. – Kucharka spojrzała niedowierzająco. Miałem wrażenie, że się ze mną prekomarza. – Szlachetnie urodzona czy niskiego stanu?

Popatrzyłem na nią znad talerza.

–Czy wyobrażasz sobie, w jaki sposób taki typ spod ciemnej gwiazdy jak ja mógłby znać dobrze urodzoną kobietę? – Uśmiechnąłem się. – Prócz ciebie...

–O tak, ja... – Babette zachichotała. – Jestem książęcej krwi. Dlatego haruję w tej kuchni od świtu do zmierzchu.

Roześmiała się i odeszła do swoich obowiązków. Kiedy jednak wracała, taszcząc garnek, nachyliła się nade mną z tyłu i szepnęła:

–Może powinieneś sprawdzić w Tawernie. Spojrzałem na nią.

–Co to jest Tawerna?

Wspięła się na palce po to, by zdjąć z półki miskę z główkami czosnku.

–Lochy – rzekła cicho. – Zawsze tam pełno gęb do karmienia. Przynajmniej przez pewien czas. Nazywamy je Tawerną. Wchodzi się tam na własnych dwóch nogach, lecz zwykle trzeba czterech, żeby cię wyniosły.

Chciałem jej podziękować, ale Bette szybko przemknęła do innej części kuchni i zaczęła obierać czosnek do gotowanej zupy.

Tawerna. W ciągu następnych dni przyglądałem się jej ukradkiem podczas moich codziennych spacerów po dziedzińcu., ciężkie żelazne wrota, pilnowane bez przerwy

co najmniej przez dwóch żołnierzy Baldwina. Raz lub dwa podszedłem bliżej, próbując zabawić strażników. Pokazywałem im sztuczki, żonglowałem piłeczkami, robiłem wiatrak kijem, mimo to, jeśli nie liczyć krótkich parsknięć śmiechem, nie udało mi się sprowokować ich do żadnej reakcji.

–Wynoś się, błaznie – warknął na mnie któryś. – Nikt tu już nie pamięta, kiedy się śmiał ostatni raz.

–Chciałbyś zajrzeć? – dodał drugi. – Jestem pewny, że Norcross przewidział tam dla ciebie klatkę.

Uciekłem, udając strach na dźwięk tego nazwiska. Nadal jednak rozmyślałem, w jaki sposób dostać się do lochów i kto mógłby mi w tym pomóc. Próbowałem podejść szambelana a nawet samego Baldwina.

Któregoś dnia, po sesji sądowej podszedłem do niego.

–Pora napić się czegoś, książe. Co powiesz na propozycję postawienia ci kielicha... w Tawernie?

Baldwin się uśmiechnął.

–Błazen jest tak wysuszony, że gotów zaryzykować nawet złapanie ospy.

Któregoś wieczoru, kiedy spożywałem w kuchni posiłek Babette usiadła koło mnie.

–Dziwny z ciebie typ, Hugues. Przez cały dzień chodzisz uśmiechnięty i pokazujesz sztuczki, a wieczorami jesteś ponury i zmartwiony jak porzucony kochanek. Dlaczego mi wmawiasz, że to twój przyjaciel stracił ukochaną, nie ty?

Nie potrafiłem dłużej ukrywać smutku. Musiałem komuś zaufać.

–Masz rację, Babette, szukam mojej żony. Została uprowadzona z naszej wioski przez najeźdźców – kilku nieznanymi rycerzy. Czuję, że jest tutaj. Serce mi to mówi.

Babette uśmiechnęła się, nie okazując zaskoczenia.

–Od początku wiedziałam, że nie jesteś błaznem – oświadczyła. – Mogę być twoim sprzymierzeńcem – dodała – jeśli potrzebujesz kogoś takiego.

–Potrzebuję. Bardziej, niż sobie wyobrażasz – odparłem z wdzięcznością. – Ale dlaczego?

–Możesz być pewny, że nie z powodu twoich głupich sztuczek czy pochlebstw. – Wyraz jej twarzy zmienił się, stał się przyjazny. – Joffrey i Isabell są moimi kuzynami. Jak sądzisz, dlaczego najlepsze kawałki mięsa zachowuję dla ciebie?

Myślałeś, że dlatego, iż jesteś zabawny? Jestem twoją dłużniczką za to, że oboje żyją.

Chwyciłem ją za rękę.

–Muszę się dostać do Tawerny, Babette. Próbowałem wszystkiego, ale nie ma sposobu.

–Nie ma sposobu? – Przyglądała mi się dłuższą chwilę, starając się odgadnąć moje myśli. – Dla normalnego człowieka być może nie ma. Tylko wariat może chcieć wejść do Tawerny. Ale jest takie powiedzenie: Najlepszym sposobem, żeby się znaleźć w zupie, jest zaprzyjaźnić się z kucharzem!

## ROZDZIAŁ 47

W ogrodach Boree wiał chłodny wiatr, wieczór był jak na letnią porę zimny.

Emilie kulila się w swoim płaszczu. Towarzyszył jej błazen Norbert.

Emilie próbowała wieczorem czytać książkę z poematami epicznymi, lecz przewracała strony bezowocnie, jej myśli bowiem co chwila uciekały w przestrzeń. Wiersze poetów i opowieści o bohaterach, będących tworem literackiej fantazji, już jej nie pochłaniały. Jej serce przeżywało zamęt, którego dotąd nie знаła. Myślą wracała uporczywie do tej samej rzeczy. Do jednej twarzy.

Co się ze mną dzieje? – zastanawiała się. Mam uczucie, jakbym zaczynała wariować. Norbert to widział. Wcześniej tego wieczoru zapukał do jej drzwi.

–Znam się na śmiechu, pani, ale żeby się znać na śmiechu, trzeba się również znać na melancholii.

–Więc jesteś błaznem, a zarazem medykiem? – Udała, że się na niego gniewa.

–Nie trzeba być medykiem, żeby poznać, co ci dolega, pani. Tęsknisz do tego młodzieńca, prawda?

Komuś innemu by się nie przyznała.

–Nie chcę cię okłamywać. Masz rację: tęsknię do niego, Błazen usiadł naprzeciw niej.

–Nie tylko ty. Mnie też go brakuje.

To było dla niej coś nowego. Do tej pory myślała o mężczyznach, że są jak natrętne muchy, stale krążące wokół niej? – zbyt zajęci przechwalaniem się swoimi wyczynami, żeby ich traktować poważnie. Ten był inny. Jak do tego doszło? Znali się zaledwie od paru tygodni. Ich światy dzieliła przepaść nie do pokonania.

Przypuszczalnie nigdy go już nie zobaczy.

–Mam uczucie, że to ja go wysłałam na poszukiwania powiedziała do Norberta. – Chciałabym móc sprowadzić go z powrotem.

–Nie wysłałaś go, pani. Chciej zauważyć, że – z całym szacunkiem – on nie jest twój, żebyś mogła to zrobić.

Norbert ma rację. Hugues nie należy do mnie. Natknęłam się na niego przypadkiem.

Wyszła z zamku, chcąc poczuć wiatr na twarzy. Tu w ogrodzie, pod tym samym księżycem, odnosiła wrażenie, że jest bliżej niego. Nie wiem, czy cię jeszcze kiedyś zobaczę, Hugues, ale modlę się, żeby tak się stało. Gdzieś... kiedyś...

–Wiele ryzykujesz, żywiąc takie uczucia – rzekł Norbert.

–Nie zaplanowałam ich. One... same przyszły.

Ujął jej dłoń i w tym momencie poczuli się nie jak pani ze sługą, lecz jak przyjaciele. Emilie najpierw się zaczerwieniła, a potem uśmiechnęła.

–Chyba moim sercem zawładnęły wszystkie błazny.

–Nie martw się, pani. Nasz rudzielec jest sprytny i zaradny Ostatecznie sam go wyszkoliłem. Młody pęd starego pnia. Jestem pewny, że jakoś sobie radzi i odnajdzie żonę.

–Błazen, medyk, a do tego jeszcze jasnowidz? – Uściskała Norberta. Potem śledziła go wzrokiem, gdy wracał do zamku.

**Było już późno. W ogrodzie panowała cisza. Przyrzekła księdzu, iż wstanie wcześniej rano, żeby wziąć udział w porannej mszy.**

**–Wróć bezpiecznie, Hugues'u de Luc – szepnęła, po czym ruszyła w stronę zamku.**

**Idąc tarasami w stronę części mieszkalnej, nagle usłyszała pod sobą czyjeś głosy. Kto o tej porze mógł wyjść na zewnątrz? Ukrywszy się za kolumną, starała się rozpoznać ciemne postaci na dole.**

**Mężczyzna i kobieta. Głosy rozbrzmiały ponownie.**

**Wytężyła słuch.**

**–To nie jest to, rycerzu – powiedziała kobieta. – To nie ów skarb.**

**Była to Anne i nieznany mężczyzna. Nie wyglądał na rycerza, raczej na mnicha.**

**Był w opończy, ale u boku miał miecz. Emilie doszła do wniosku, że natknęła się na coś, co nie było przeznaczone dla czyichkolwiek oczu. Nigdy jeszcze nie słyszała swojej opiekunki przemawiającej takim tonem. Anne była zła.**

**–Wiesz, o co chodzi mojemu mężowi – powiedziała. – Znajdź to!**

## ROZDZIAŁ 48

Parę dni później, gdy spożywałem wieczorny posiłek, kucharka Babette mrugnęła do mnie i odciągnęła mnie na stronę.

– Jest sposób – oświadczyła. – Jeśli nadal ci zależy, żeby się dostać do Tawerny.

– Jaki? – spytałem, przysuwając się bliżej. – I kiedy?

– To nie jest tajemnica, błaznie. Ludzie muszą jeść. Strażnicy, żołnierze...

więźniowie też. Codziennie wieczorem kuchnia dostarcza jedzenie do lochów. Kogo to będzie interesowało, czy zanieś je błazen?

Oczy mi błysnęły. Błazen jako wysłannik kucharki. To się mogło udać.

– Spróbuję – powiedziała Babette. – Reszta należy do ciebie. Jeżeli twoja żona tam jest, to trzeba będzie czegoś więcej niż tylko szczęścia, żeby ją wydostać.

Zrób tak, żeby nie dosięgną! mnie gniew księcia. Uścisnąłem jej rękę.

– Nie dosięgnie cię nic poza moją wdzięcznością. Robisz dla mnie wielką rzecz, Babette.

– Już ci powiedziałam: zawdzięczam ci życie moich kuzynów.

– Myślę, że robisz dla mnie więcej niż ja dla Joffreya, Isabell i Thomasa wtedy na drodze.

Wrzuciła rzepę do garnka i uśmiechnęła się.

– Baldwin jest naszym panem. – Pociągnęła nosem. – Natomiast nigdy nie będzie rządził naszymi sercami. Wiem, po co tu przybyłeś. Widzę, że kochasz żonę.

Wprawdzie ręce mam brzydkie i zniszczone, ale sprawy serca nie są mi obce.

Poczułem, że się czerwienię. – Czy tak łatwo mnie przejrzeć? – Nie martw się, kochany, nikt tego nie zauważy.

Wszyscy śmieją z twoich głupich żartów, a poza tym pilnują własnych Podniosłem cebulę, jakbym wznosił toast winem. – Za wzajemne zaufanie, Babette. Uniosła rzepę,

a następnie stuknęliśmy się warzywami. – Zaczyna mnie boleć głowa. – Zmarszczyła czoło. – Jutro wieczór. Bądź tu o zmroku. Jeszcze jedno, Hugues.

Pytałeś, czy przetrzymują w celach jakąś kobietę. Dowiedziałam się, że jest w Tawernie taka, która odpowiada twojemu opisowi. Blondynka... cały czas mówi o

swoim dziecku. Blondynka... dziecko... Słowa Babette były dla mojej duszy jak balsam. To, co od długiego czasu było jedynie przeczuciem, stało się

rzeczywistością. Sophie tu jest! Teraz byłem pewny. Jutro wieczorem ją zobaczę.

Nareszcie!

Uściskałem Babette,omal jej przy tym nie wrzucając do kotła z zupą.

## ROZDZIAŁ 49

Przez cały następny dzień czekałem niecierpliwie na zapadnięcie zmierzchu. Czas włókł się niemiłosiernie wolno. Co gorsza, Baldwin wezwał mnie, żebym go zabawił w chwili, gdy kamasznik przymierzał mu nowe buty. Los bywa przewrotny: musiałem bawić łajdaka, któremu miałem ochotę zatopić sztylet w sercu.

Liczyłem mijające godziny, powtarzając sobie nowinę Babette. Myślałem nad tym, co powinienem zrobić i jak to rozwiązać. Jawiła mi się twarz Sophie – twarz, która mi się śniła od dziecka. Wyobrażałem sobie naszą przyszłość: rozpoczęcie wszystkiego od nowa, odbudowę zajazdu, urodzenie następnego dziecka.

Siedziałem na gołym materacu i czekałem, obserwując, jak słońce zniża się ku horyzontowi. W końcu światło przenikające przez żaluzje nad moją głową osłabło.

Zapał upragniony zmierzch... Wkrótce miałem zobaczyć Sophie.

Zszedłem na dół. Babette krzątała się po kuchni, skarżąc się na ból głowy. Dla wzmocnienia efektu zawiązała sobie na czole mokrą ścierkę.

–Muszę się położyć. Mam jeszcze przygotować kolację dla księcia. Kto zanieś zupę do Tawerny? Hugues, jak dobrze, że jesteś pod ręką – powiedziała na mój widok. – Może ty, kochany?

–Mam tylko dwie ręce – zażartowałem pod adresem kuchennych sług – z tego jednej... – zagiąłem palec i powąchawszy go, zmarszczyłem nos -... Używam do drapania się.

–Jedna wystarczy. – Babette zaprowadziła mnie w głąb kuchni. – Uważaj tylko, żeby tej drugiej nie zamoczyć w zupie.

Zdjęła z paleniska przykryty kociołek.

–Zanieś to nadzorcy więziennemu, Armandowi – poleciła. – Daj mu jeszcze ten dzbanek wina. Przysłużyłeś mi się, błaznie. – Szeptem dodała: – Powodzenia, Hugues. Bądź ostrożny. Idziesz do zabójczego miejsca. Tam jest piekło.

Poszedłem z kociołkiem i dzbankiem wina przez podwórze. Trzęsły mi się ręce.

Przed wrotami stali dwaj wartownicy, lecz nie ci sami, którzy mnie kiedyś przegonili.

–Dzyń, dzyń, dzyń... dzwonek na kolację – zaanonsowałem ceremonialnie swoje przyjście.

–Kogo oni, do diaska, zaczęli zatrudniać w kuchni? – spytał jeden.

–Sam to przygotowałem... na deser będą dowcipy. Trzeba obniżyć wydatki księcia.

–Musiał do reszty zbankrutować, przysyła błazna – dodał drugi.

Odetchnąłem z ulgą, bo więcej mnie nie pytali. Jeden z nich otworzył ciężką bramę. – Gdybyś miał lepsze cycki, zaniósłbym to za ciebie. – Pociągnął nosem. Wrota zamknęły się za mną. Poczułem ulgę. Byłem wewnątrz.

Znalazłem się w wąskim kamiennym korytarzu, skąpo oświetlonym świecami. Schodki prowadziły gdzieś w dół. Poczułem przeciąg, potem usłyszałem hałasy – brzęk metalu czyjś krzyk, piskliwe zawrodo. Schodziłem ostrożnie, na szyi czułem zimny pot, a serce omal nie rozerwało mi piersi. Przeróżające odgłosy stawały się coraz głośniejsze. Dobiegł mnie straszliwy śwąd spalonego ciała.



**Przypomniałem sobie Civetot. Skrzywiłem się z odrazy. Biedna Sophie. Jeśli tu była, musiałem ją wydostać. Dziś.**

**Schody przeszły w niski, poziomy tunel. Smród ekskrementów stał się nie do zniesienia. Z tunelu dochodziły przeraźliwe jęki, piski i krzyki – jak z domu wariatów. Zobaczyłem palenisko, a w nim rozpalone do białości końce jakichś żelaznych narzędzi.**

**Na drewnianym stole siedzieli okrakiem dwaj zbrojni, obaj rozebrani do tunik bez rękawów i krótkich fartuchów. Jeden z nich, śniady, krępy, o potężnych ramionach, zachichotał na mój widok.**

**–Niech mnie diabli, zobacz, kto nam przyniósł kolację.**

**–Ty jesteś Armand? – Postawiłem kociołek na ziemi. Wzruszył ramionami.**

**–Jeżeli ty jesteś nowym kucharzem, to znaczy, że księżę już całkiem przestał się przejmować tymi biednymi gnojkami. Co z Babette?**

**–Boli ją głowa. Przysyła mnie w zastępstwie.**

**–Postaw go tutaj. Wracając, weź z sobą garnek z obiadu. Umieściłem kociołek na stole, koło sterty drewnianych misek.**

**–Ile macie dziś gości... w Tawernie?**

**–Co cię to obchodzi? – spytał drugi.**

**–Nigdy tu jeszcze nie byłem. – Rozglądałem się dookoła, nie zwracając na niego uwagi. – Weszło tutaj. Mogę rzucić okiem?**

**–To nie jarmark, błaznie. Zrobiłeś swoje, a teraz idź. Czuję, że za chwilę cały plan diabli wezmą. Musiałem działać.**

**–No, rycerzu, pozwól dać im jeść. Cały dzień kręcę się po zamku, pokazując głupie sztuczki. Popatrzę na nich. Zaniosę miski z żarciem.**

**Postawiłem przed nim na stole dzbanek z winem.**

**–Czy naprawdę sami wolicie nalewać te pomyje? Armand powoli przyciągnął do siebie dzbanek. Wypił łyk wina, po czym podał dzbanek towarzyszowi.**

**–Co nam szkodzi! – Wzruszył ramionami i mrugnął do kamrata. – Czemu nie pozwolić błaznowi zabawić się z dziewczką? – Spojrzał na mnie. – Bierz, którą chcesz. Wszystko za darmo.**

## ROZDZIAŁ 50

Zagłębiłem się w czeluść lochu, po czym minawszy zakręt, doszedłem do celi. Panował odór nie do opisania. Mój Boże, Sophie...

Postawiłem kociołek na ziemi i zacząłem pracować. Trzeba było wszystkich nakarmić, a w trakcie nalewania jedzenia miałem możliwość zajrzenia do każdego kąta. Zacząłem rozlewać do misek cienki, mętny kleik. Serce mi biło jak dzwon alarmowy.

Zaniosłem dwie miski do pierwszej celi. Ręce mi się trzęsły, tak że część zupy wylała się na ziemię.

Cela była ciasną, zaledwie kilkustopową niszą, wykutą w litej skale. Na pierwszy rzut oka wydawała się pusta. Była ciemna i cicha, choć czuć w niej było smród ludzkich odchodów. Wypełzył z niej mokry szczur.

W tym momencie zobaczyłem w głębi błysk oczu. Były przestraszone. Z mroku wychyliła się łysa głowa i mizerna, zapadnięta twarz pokryta broczącymi ranami.

Więzień przepęził do mnie.

–Chyba już nie żyję, skoro przyszedł po mnie błazen.

–Lepiej, że błazen niż święty Piotr. – Uklękawszy, wsunąłem miskę w szczelinę poniżej kraty.

Chuda, drżąca ręka porwała łapczywie drewnianą miskę. Poczułem litość. Nie wyobrażałem sobie, co takiego trzeba zrobić, żeby się tu dostać. Fakt, że w Treille przewina nie była potrzebna.

Ale nie dla tego nieszczęśnika tu przybyłem.

W następnej celi siedział Maur. Był nagi i brudny; szczury obgryzały mu rany na nogach. Mruczał coś w języku, którego nie rozumiałem. Podniósłszy głowę, spojrzał na mnie szklistymi oczami.

–Głowa do góry. – Wsunąłem mu miskę pod kratą. – Wkrótce nadejdzie twój czas.

Przeszedłem do następnych cel, nie wracając po kolejne porcje zupy. Podobnie jak w pierwszej, więźniowie przypominali bardziej zaszczute zwierzęta niż ludzi.

Jęczeli, popatrując na mnie żółtymi oczami pełnymi uległości. Wziąłem głęboki oddech, żeby opanować falę mdłości.

Nagle z głębi korytarza dobiegł mnie kobiący szloch. Napięcie we mnie sięgnęło szczytu. Sophie? Nie byłem pewny, czy potrafię zrobić następny krok.

–To twoja narzeczona, błażnie! – ryknął ze swojego miejsca Armand. – Skorzystaj z niej, jeżeli ci odpowiada. Ma fantastyczny języczek.

Zacisnąwszy pięści, poszedłem w stronę, skąd dobiegał płacz. Uchwyciłem ukryty w moim pasie nóż. Jeżeli to była Sophie, zabiję strażników. A potem Norcrossa.

Szloch się powtórzył.

–Idź do niej, błażnie. Ta dziwka nie znosi, jak komuś stoi! – wrzasnął Armand.

Wstrzymując oddech, zatrzymałem się przed celą kobiety. Smród był tu jeszcze silniejszy, po prostu nie do zniesienia. Dlaczego?

Leżała zwinięta w kłębek w głębi celi. Smuzka światła padała na jej włosy – długie i potargane. Wydawało się, że tuli lalkę albo jakąś zabawkę, kwiląc przy tym, jakby sama była porzuconym dzieckiem.

–Moje maleństwo – powtarzała głosem cichszym od szeptu. – Moje dziecko... proszę... ono chce mleka.

Ledwo ją widziałem. Nie mogłem dojrzeć twarzy kobiety ani zorientować się, w jakim jest wieku. Zebrawszy się w sobie, zapytałem:

–Czy to ty, Sophie? – Przeszył mnie strach. Przestałem oddychać. Lepiej, by była martwa, niż miała żyć w takich warunkach.

Kobieta wypowiadała jakieś słowa niemal bez związku.

, Biedna dziecinka”, „maleństwo chce mleka”, a potem nagle coś, co zabrzmiało jak... Philippe.

Boże! Zamarłem. Zbliżyłem się do kraty. Co oni z nią zrobili?

–Sophie! – krzyknąłem. Poczułem, że mam sucho w ustach, kiedy wypowiadałem jej imię. Zdawało mi się, że to jej włosy, jej sylwetka. Odwróć się do mnie, błagam, chcę cię zobaczyć.

–Maleństwu trzeba mleka... – powtórzyła. – Co mam zrobić? Moje piersi wyschły. Łzy mi się zakręciły w oczach. Nadal nie mogłem dojrzeć jej twarzy.

–Sophie! – zawołałem.

W przypiływie rozpaczycy usiłowałem staranować kratę.

–Dziecinka potrzebuje mleka – usłyszałem znów, po czym nagle więźniarka wydała z siebie bolesne, rozdzierające uszy wycie. Doznałem uczucia, jakby mnie przeszło lodowate ostrze.

Wyciągnąłem do niej ręce i dopiero wówczas oczy kobiety spoczęły na mnie. Oddech zamarł mi w piersiach. Włosy koloru słomy zakrywały jej twarz, ale wlepione we mnie oczy były żółte i przekrwione, a nos płaski i dziobaty od ospy.

Boże! To nie była Sophie.

Nogi się pode mną ugięły. To nie była Sophie. Doznałem ulgi, że to nie ona, z drugiej jednak strony poczułem się przybity i zawiedziony.

–Moje dziecko... – zawołała prosząco kobieta. Pokazała mi swoją lalkę.

Cofnąłem się przerażony. To nie była lalka, lecz prawdziwe dziecko. Noworodek zawinięty w owodnię, nieruchomy, martwy.

–Co mogę dla ciebie zrobić? – szepnąłem. – Jak ci pomóc?

–Nie widzisz? – Wyciągnęła ku mnie oseska. – Potrzebne mu mleko.

–Pozwól sobie pomóc...

–Mleka! – wrzasnęła kobieta. – Nakarm go.

Poczułem się bezradny. Nic tu się nie dało zrobić. Biedaczka straciła rozum.

Patrzyłem jeszcze przez chwilę, po czym uciekłem korytarzem w stronę schodów. Kiedy mijalem strażników, ci się roześmiali.

–Tak szybko, błaznie? – zawołał Armand. – Nie opowiesz nam jakiegoś dowcipu?

Wybiegłem z lochu, a potem rzuciłem się pędem po schodach.

## ROZDZIAŁ 51

Gnałem w stronę zamku zlany zimnym potem. Wpadłem do mojej komórki pod schodami i rzuciłem się na siennik, ledwo oddychając z wysiłku.

To nie była Sophie.

Moja ukochana żona z pewnością nie żyje.

Pierwszy raz dotarło do mojej świadomości to, co znacznie wcześniej pojęli wszyscy mieszkańcy mojej wsi, brat Sophie, u nawet mój mistrz, Norbert. Nie istniały przesłanki, żeby można było żywić nadzieję. Została zgwałcona, odebrano jej dziecko i porzucono gdzieś po drodze, żeby umarła. Uświadomiłem to sobie dopiero teraz. Otrzymałem najsurowszą lekcję w życiu.

Ukryłem twarz w rękach. Absurdalna zagadka została rozwiązana. Podtrzymywałem w sobie nadzieję, ale teraz została pogrzebana. Muszę stąd iść. Zerwałem z głowy błazeńską czapkę i rzuciłem ją na podłogę. Nie byłem błaznem, tylko głupcem.

Największym na świecie.

Siedziałem długi czas, oswajając się stopniowo z prawdą.

W pewnej chwili usłyszałem koło mojego posłania czyjeś kroki, a potem głos:

–Czy to ty, Hugues? – Podniósłszy głowę, zobaczyłem Estellę, żonę szambelana.

Wielokrotnie puszczała do mnie oko w czasie codziennych biesiad na dworze.

Flirtowała ze mną i kusiła mnie. Miała na sobie luźny szal, okrywający ramiona; gęste, kasztanowate włosy, które do tej pory widywałem jedynie zaplecione w warkocze i upięte, opadały jej na szyję. Oczy miała szeroko otwarte i szelmowskie. A chwila, którą wybrała... nie mogła być gorsza.

–Późno już, pani. Nie pracuję o tej porze.

–Może nie dlatego przyszłam – powiedziała Estella, zbliżając się do mojej niszy sypialnej. Szal zsunął się z jej ramion, odsłaniając luźną koszulę.

–Co za bajecznie rude włosy – szepnęła. – Jak to możliwe, żeby tak ognisty mężczyzna miał taką smutną minę?

–Pani, nie mam dziś nastroju do żartów. Jutro rano znów będę wesoły.

–Nie musisz mnie teraz rozśmieszać. Chcę cię poczuć w inny sposób.

Usiadła obok mnie, bardzo blisko. Pachniała liliami i lawendą. Wyciągnąwszy rękę, dotknęła mojej twarzy. Odsunąłem się.

–Jeszcze nigdy nie widziałam takich włosów. – Wydawała się nimi zafascynowana.

–Mają kolor ognia. Jaki naprawdę jesteś, Hugues, kiedy nie musisz się popisywać głupimi sztuczkami?

Przysunęła się jeszcze bliżej. Czułem jej obfity biust, przyciskający się do mojej piersi. Przełożywszy nogę nad moimi kolanami, usiadła mi okrakiem na udach.

–Wybacz, pani...

Ale Estella nie ustępowała. Wywinęła się z koszuli, która opadła jej do pasa, odsłaniając pełne piersi. Poczulem na szyi gorący koniuszek jej języka.

–Założę się, że inne części twojego ciała są równie ogniste jak włosy. Dotykaj mnie, Hugues. Jeśli nie, powiem księżnej, że próbowałeś mnie obmacywać.

Plebejusz, dotykający żony szlachetnie urodzonego... Nie chciałbyś się znaleźć w

**takiej sytuacji.**

**Byłem w pułapce. Jeśli się oprę jej amorom, oskarży mnie o napastowanie. Ugryzła mnie w szyję i sięgnęła ręką pod mój kaftan, sprawdzając, czy jestem gotowy.**

**Znieruchomiałem, gdyż w tym samym momencie poczułem na szyi ostrze noża. Basowy głos zagrział: – Co to za zbytki?**

## ROZDZIAŁ 52

Ucisk ostrza powoli zelżał. Odwróciwszy się, ujrzałem twarz Norcrossa. Oprawca patrzył na mnie z góry, szczerząc zęby w uśmiechu. Ponownie przyłożył mi ostrze do szyi. Poczułem ciepły strumyczek krwi, spływający w dół. – Marna twoja sytuacja, błaznie. Estella jest żoną szambelana księcia, członka sądu. Trzeba być szalonym, żeby wywijać przyrodzeniem przed taką panią. Uświadomiwszy sobie, że zostałem wrobiony, poczułem strach. – Nic nie zrobiłem, panie. – Serce mi biło jak młot. – Jego przyrodzenie jest do niczego. – Estella westchnęła. – Okazało się, że cały ogień naszego błazna skupił się wyłącznie we włosach.

Norcross chwycił mnie za kaftan i trzymając cały czas nóż przy mojej szyi, poderwał z siennika. Nagle w jego oczach pojawił się błysk rozpoznania. – Te włosy... Gdzieś już je widziałem! Gdzie to było? Gadaj, błaznie! Wiedziałem, że wszystko stracone. Spojrzałem mu twardo w oczy. – Moja żona... Co zrobiliście z Sophie? – Twoja żona! – Parsknął pogardliwie. – Cóż innego można zrobić z żoną marnego błazna, niż ją zerznąć? Rzuciłem się na niego, lecz on złapał mnie za włosy i używając ramienia jak dźwigni – jednocześnie przyciskał nóż do mojego podbródka – zmusił do klęknienia.

–Słuchaj uważnie, błaznie. Znam twoją twarz. Ale skąd?. Gdzieśmy się już spotkali?

–W Veille du Pere – wycharczałem.

–W tej zasranej dziurze – rzekł z pogardą Norcross.

–Spaliłeś moją karczmę. Zabiłeś moją żonę i Philippe mojego syna.

Przez chwilę się zastanawiał. Potem wykrzywił wargi w drwiącym uśmiechu.

–Już sobie przypomniałem... To ty byłeś ową małą wiewiórką, który usiłowała mi przeszkodzić w utopieniu synu młynarza.

Roześmiał się szeroko.

–Więc już wiemy, kim naprawdę jest sławny Hugues! Błazen nad błaznami, który uczył się u Norberta w Boree! – Ryknął śmiechem. – Ty? Zwykły karczmarz? Wobec tego jesteś oszustem!

Szarpnąłem się, ale ostrze noża przecięło mi skórę na szyi.

–Uprowadziłeś mi żonę. Wrzuciłeś syna do ognia.

–Im mniej robactwa na świecie, tym lepiej. – Wzruszywszy ramionami, mrugnął do Estelli. – Widzę, że zostałeś obrażona, pani. Teraz idź i opowiedz, jaki cię spotkał afront.

–Zrobię tak, panie. Dzięki za wybawienie mnie z opresji... – Poprawiła koszulę i wybiegła z pokoju. – Straż...! – usłyszałem jej krzyk. – Na pomoc! Straż!

Twarde oczy Norcrossa błyszczały triumfem, gdy odwracał się ku mnie.

–No i co, błaznie? Ten się śmieje, kto się śmieje ostatni.

## ROZDZIAŁ 53

Zostałem wrzucony, ze związanymi rękami, do ciemnej, pustej celi na parterze zamku. Spędziłem tam koszmarną noc. Zdawałem sobie sprawę, że mój los jest przesądzony. Estella będzie grała rolę urażonej niewinności, podobnie jak udawała przede mną. Norcross zostanie bohaterem dnia. Moja wersja przeciw wersji szlachetnie urodzonych nie ma szans. Nie uratuje mnie nawet śmiech całego świata.

Drgnąłem, słysząc głośnie stuki przy drzwiach. W szparze pod nimi pojawiło się światło. Był już dzień. Do wnętrza weszło trzech krzepkich strażników Baldwina.

Dowódca podniósł mnie na nogi i rzekł:

–Jeśli znasz jakieś dobre dowcipy, rudzielcu, to radzę ci je sobie przypomnieć...

Zostałem brutalnie zawleczony do wielkiej sali, która brzęczała gwarem rycerzy i dworzan, podobnie jak w dniu mojego przybycia. Poślaniec relacjonował przed dworem wiadomość o znanym rycerzu, zarżniętym przez opryszków w sąsiednim księstwie.

Rozparty w swoim krześle na podwyższeniu Baldwin skinął na posłańca, żeby się zbliżył.

–Sławny Ademar... zabity we własnym domu?

–Mało powiedzieć zabity, mój książę... – Widać było, że goniec wzdraga się przed opowiedzeniem szczegółów. – Przybito mu ręce i nogi do ściany kaplicy.

Obok ukrzyżowano jego żonę. – Ukrzyżowani. – Baldwin powoli wstał, – Bandydzi wyciągnęli go z łóżka?

–Raczej dezercerzy. Przybyli uzbrojeni i ubrani jak do bitwy, twarze zasłonili przyłbicami. Nie mieli na zbrojach żadnych znaków prócz czarnych krzyży.

–Czarne krzyże? – Oczy Baldwina zrobiły się okrągłe. Zastanawiałem się, czy jego zdumienie było prawdziwe, czy udawane. – Norcross, słyszałeś o takiej bandzie?

Norcross wystąpił przed ławy. Miał na sobie długą, czerwoną pelerynę i miecz bitewny u pasa.

–Nie słyszałem, mój książę.

–Biedny Ademar. – Baldwin przełknął ślinę. – Powiedz posłańcze, czego szukali ci tchorze?

–Nie wiem. – Mężczyzna potrząsnął głową. – Niedawno Ademar wrócił z Ziemi Świętej, gdzie odniósł rany. Mówiono że przywiózł z sobą cenne łupy. Podobno prochy samego świętego Mateusza.

–Prochy świętego Mateusza – powtórzył Baldwin. – Taka zdobycz warta jest królestwa. – Tylko jedna relikwia jest cenniejsza – rzekł Norcross. Na jej ostrzu znajduje się krew Zbawiciela.

Zamaskowani jeźdźcy, którzy mordują i palą. Nie miałem wątpliwości, że za tym wszystkim stał Norcross. Ręce mnie świerzbiły, żeby mu podciąć gardło.

–Ademarowi już nic nie pomoże, panie – ciągnął Norcross – a my mamy do załatwienia inną sprawę.

–Racja. Musimy zdecydować, co zrobić z naszym błaznem. – Baldwin machnięciem ręki odprawił posłańca, po czym skinął na mnie.

–Doniesiono mi, że twoje nędzne przyrodzenie znalazło się tam, gdzie nie

powinno. Mimo iż jesteś w zamku od niedawna, zdążyłeś obrazić wielu z nas.

Spojrzałem na Norcrossa.

–To ja doznałem największej krzywdy, panie.

–Ty? Jakże to? – Baldwin zachichotał. – Czyżby żona Briesmonta była zbyt mało atrakcyjna? – Zaczerpnąwszy z miski garść orzechów, zaczął je chrupać.

–Nigdy nie dotknąłem tej kobiety.

–Świadkowie mówią co innego. Zaprzeczasz zeznaniom mego rycerza i osoby pokrzywdzonej. Jaką wartość w porównaniu z nimi ma oświadczenie błazna – co więcej, jak się dowiedziałem, oszusta.

Szarpałem się w moich pętach, chcąc się rzucić na Norcrossa.

–Ten wielce szanowny twój rycerz zabił moją żonę, panie. Żonę i dziecko...

W sali zapanowała cisza. Norcross potrząsnął głową.

–Błazen ma mi za złe, że został ukarany za uchylanie się od obowiązków względem ciebie, kiedy zdezerterował z krucjaty.

–Czy zrobiłeś to, panie? – spytał Baldwin Norcrossa.

Ów wzruszył ramionami.

–Nie przypominam sobie, panie.

Tu i ówdzie dały się słyszeć złośliwe chichoty.

–Rycerz nie przypomina sobie, błażnie. Czy znów mu zaprzeczysz?

–To był on, wasza książęca mość. Miał zasłoniętą twarz, tak samo jak wtedy, gdy najechał dom owego nieszczęsnego rycerza, o którym przed chwilą usłyszeliśmy.

Norcross ruszył ku mnie, sięgając po miecz.

–Znów mnie szkalujesz, błażnie. Rozpłatał cię na dwoje. Książę podniósł rękę.

–Wstrzymaj się! Będziesz jeszcze miał okazję. Rzuciłeś ciężkie oskarżenie, błażnie. Wiem, że krucjata toczy się pomyślnie, armie Rajmunda i Boemunda są już pod Świętym Miastem, a tymczasem ty jakimś trafem jesteś tutaj. Powiedz, dlaczego tak prędko zrezygnowałeś ze służby?

Miałem gotową odpowiedź na pierwszy zarzut, ale wobec drugiego nie miałem nic na obronę, zwiesiłem więc tylko głowę. W sali zaległa oskarżycielska cisza. Baldwin uśmiechnął się złośliwie.

–Twierdzisz, że spotkała cię niesprawiedliwość, a tymczasem dowiadujemy się o coraz to nowych twoich przewinach. Do cudzołóstwa i oszustwa doszła teraz dezercja.

Ogarnął mnie nieprzytomny gniew. Rzuciłem się w pętach ku Norcrossowi, lecz nim zdołałem zrobić krok, ludzie księcia obalili mnie na podłogę. – Błazen chce cię zabić – rzekł Baldwin do Norcrossa. – A ja jego, książę.

–Wyjdzie na twoje. Ale rycerzowi nie przystoi pojedynki z błaznem. Zdaje się, że zbyt wiele razy dopuściłem do tego, żeby ci dopiekl. Zabierzcie go stąd – Machnął ręką, dając znak strażnikom. – Jutro w południe możecie mu uciąć głowę.

–Jesteś sprawiedliwy, książę. – Rycerz zgiął się w ukłon i Baldwin potrząsnął głową ze smutkiem.

–Błazen, karczmarz, szpieg... każde z tych określeń przynosi ci wstyd.

Będziemy musieli przeprosić się z Palimpostem. Trzeba przyznać, że za twojego



pobytu śmialiśmy się często. Wstał i owinąwszy się płaszczem, zamierzał wyjść, lecz jeszcze na moment się zatrzymał. – Jeszcze jedno, Norcross...

–Słucham, książę? – Szkoda tępić dobre ostrze na szyi błazna.

## ROZDZIAŁ 54

Rzucono mnie na kamienne schody prowadzące do lochu. Stoczyłem się po nich, raniąc kolana i żebra. Poczułem tę samą odstręczającą woń co poprzedniej nocy.

Usłyszałem śmiechy i szcęk ciężkich wrót. Po chwili dwaj krzepcy strażnicy złapali mnie za ramiona i wrzucili do otwartej celi.

Kiedy doszedłem do siebie, zobaczyłem Armanda, dozorcę, który uśmiechał się szyderczo.

–Prędko wróciłeś, błaznie. Musiałeś zasmakować w tutejszych warunkach.

Chciałem mu powiedzieć, żeby poszedł do diabła, ale nie zdążyłem, bo pozbawił mnie tchu kopnięciem w żołądek. – Obawiam się, że tym razem my będziemy podawali zupę. Obaj się roześmiali. Mocarny potwór Armand szarpnięciem mnie posadził. Ukląkł i potrząsnął głową. – Stale przyprowadzają mi jakieś szumowiny. Nigdy szlachetnie urodzonego, którego oskarżono o jakąś frymuśną zbrodnię. Są kurwy, szuje, złodzieje kościołni, żebracy, kilku żydów...

Ale błazen... To coś nowego!

Wszedł drugi strażnik, niosąc zwój ciężkiego łańcucha. – Musimy cię związać, błaznie. Nawet na tak krótko... Książę zapłacił za luksusowe warunki, dlatego ten łańcuch. Armand postawił mnie i przytrzymał mi ręce za plecami. – Masz szczęście, błaznie. Miecz jest bezbolesny. Tylko małe ukąszenie... tutaj. – Uszczypnął mnie w szyję. – Gdybyś został trochę dłużej, zademonstrowałbym ci trochę prawdziwej zabawy. Miażdżenie jąder, wrywanie nozdrzy, przewiercanie oczu... Rozżarzone pręty doskonale czyszczą zatoki, a nawet pocziwą, starą dupę.

Skinął na towarzysza, który nie spiesząc się, owinął mi pierś pierwszym zwojem łańcucha.

Zapaliło mi się światełko w mózgu.

–Błagam. – Podniosłem rękę, żeby odwrócić jego uwagę. – Wstrzymaj się na sekundę. – Powoli wciągałem powietrze, biorąc głęboki oddech.

–Wiem. – Armand westchnął. – Z początku będzie ci ciasno, ale kiedy się przyzwyczaisz, zaśniesz bez problemu.

Potrzymałem podniesioną rękę jeszcze przez chwilę, po czym uśmiechnąłem się z wdzięcznością. Wziąłem jeszcze trzy głębokie oddechy, aż poczułem, że pierś mi się rozszerzyła.

–Jesteś gotów? – Dozorca podniósł pytająco brwi. Skinąłem głową.

–Tak.

## ROZDZIAŁ 55

Wierciłem się i tarzałem na plecach wewnątrz malutkiej celi, a ciasny łańcuch obcierał mi ramiona.

Nie miałem pojęcia, która może być godzina ani jak długo tam jestem. Zdawałem sobie jedynie sprawę z tego, że jeśli pozostanę w celi do następnego dnia, będę martwy.

Wypuściłem całe powietrze z płuc. Powstał mały luz, tak że mogłem poruszyć rękami.

Mijały godziny. Stopniowo przybywało mi wolności, najpierw na palec, potem na dwa. Czułem, że zwoje łańcucha stają się luźniejsze, lecz ciągle niewystarczająco.

Ściągnąwszy barki, wsunąłem podbródek pod łańcuch. Pierwszy raz od wielu godzin mogłem swobodnie zaczerpnąć powietrza. Wysunąłem przez zwoje rękę, potem drugą, po czym zdjąłem przez głowę pętlę łańcucha.

W tym momencie usłyszałem głosy schodzących do lochu ludzi. Przyniesiono obiad.

Czas na zupę. Strażnicy posilali się, śmiejąc się i żartując.

Więźniowie zrzędzili i wykrzykiwali obelgi. Potem dobiegły mnie czyjeś kroki... ktoś niósł mi ostatni posiłek.

–Zatem – usłyszałem znany głos – wróciłem do interesu. Podniosłem oczy. Przed celą stał Palimpost, zdetronizowany błazen. Miał ze sobą mój kostur.

–Cieszysz się – mruknąłem, przełykając gorycz porażki.

–Wcale. – Zadzwoił pękiem kluczy. – W rzeczy samej przyszedłem, żeby cię uwolnić.

Rozwarłem oczy ze zdumienia. Byłem pewny, że to jakiś okrutny żart. Rewanż... Spodziewałem się, że lada moment nadejdą Strażnicy i zaczną się naigrywać. Ale nic takiego nie nastąpiło.

–Babette i ja uspiliśmy strażników zupą. Prędko, zbierajmy się stąd.

–Babette... i ty...! – Nie mogłem w to uwierzyć. Ten człowiek został odprawiony z mojego powodu, a teraz przynosił mi wolność. – Czy to wykonalne?

–Wykonalne, jeżeli potrafisz ruszyć tyłek. – Włożył klucz do zamka i przekręcił. Krata otworzyła się ze zgrzytem.

Nadal mu nie wierzyłem, ale to w końcu nie miało znaczenia. Nawet gdyby to był okrutny żart, a w korytarzu czaił się Norcross, żeby mnie przeciąć na pół, to i tak następnego dnia czekała mnie egzekucja.

–Musimy cię jakoś wyswobodzić z tych łańcuchów – rzekł z troską Palimpost.

–To nie problem – odparłem. Wywinąłem barki i ramiona z więzów i na jego oczach wysliznąłem się z górnych zwojów. Potem zacząłem odwijać łańcuch, kończąc na kostkach. Kopnąłem łańcuch w kąt.

Błazen był zdumiony.

–Do diabła, jesteś naprawdę dobry – rzekł. – Chodźmy! Prędko!

Wstrzymałem go.

–Dlaczego... dlaczego to robisz?

–Zawodowa solidarność. – Wzruszył ramionami.

**–Nie żartuj, proszę. – Położyłem mu rękę na ramieniu. – Powiedz, dlaczego...**

**Spojrzał na mnie z męką w oczach.**

**–Uratowałeś rodzinę mojej przyjaciółki. Myślisz, że jesteś jedyny, który potrafi zaryzykować wszystko dla miłości?**

**Patrzyłem nań z niedowierzaniem.**

**–Ty... i Babette?**

**–Czemu tak się dziwisz? Prócz tego szkoda by cię było. Jesteś niezły.**

**Wręczył mi worek z moimi rzeczami, kostur i ciemny płaszcz. Wyjąłem z worka nóż i ukryłem go w pasie, pod kaftanem. Włożyłem płaszcz i skierowałem się w stronę schodów.**

**–Nie tędy – ostrzegł mnie Palimpost, biorąc za rękę – Chodź za mną.**

**Szliśmy w głąb lochów. Tunel rozszerzył się, po czym znów zwęził. Na końcu była mała nisza. Palimpost ukląkł i ze ściany tuż nad ziemią wyjął kamień zasłaniający ukryte przejście.**

**–W połowie drogi trafisz na rozwidlenie. Kiedy do niego dotrzesz, idź w lewo. Przejście prowadzi do fosy. Ukryj się w lesie, tam będziesz bezpieczny. Jeśli pójdziesz w prawo, znajdziesz się na powrót w zamku. Pamiętaj – w lewo!**

**Przykucnąłem, żeby wejść do otworu.**

**–Jesteś dobrym człowiekiem. Przykro mi, że miałeś przeze mnie kłopoty.**

**–Czyż nie warto zaryzykować życia dla miłości? – Uśmiechnął się. – Powiedz Norbertowi, żeby się miał na baczności. Następnym razem ja go zaatakuję.**

**Popchnął mnie w stronę otworu, aż musiałem się podeprzeć kosturem. Przejście miało chropowate ściany, było niskie i wąskie. Szedłem po łydki w śmierdzącej wodzie, w której pływały jakieś przedmioty. Byłem pewny, że to martwe szczury.**

**Trzymając poziomo kostur, brnąłem naprzód. W lewo, kazał mi iść Palimpost, poza mury zamku. Do lasu. Ku wolności!**

**Jednak doszedłszy do rozwidlenia, skręciłem bez wahania w prawo. Poszedłem ponurym, ciemnym korytarzem z powrotem do zamku...**

**Miałem do zrobienia ostatnią rzecz.**

## ROZDZIAŁ 56

Tunel kończył się przy kominku wielkiej sali zebrań w głębi zamku. Odsunąwszy kamienną płytę, zamykającą otwór wyjściowy, wypełzłem na zewnątrz.

Salę wypełniali śpiący rycerze. Gdyby się zbudzili, byłoby po mnie.

Skradałem się cicho między leżącymi postaciami. Jednemu ze zbrojnych, który chrapał, aż się szyby trzęsły, zabrałem miecz. Podniosłem z podłogi kawałek sera i ugryzłem duży kęs. Potem pospiesznie opuściłem salę.

Nie wiedziałem, która może być godzina, ale korytarze były ciemne i ciche.

Migotały dopalające się świece.

Pospieszyłem ku głównej bramie zamku, uważając, żeby nikogo nie spotkać.

Wyszedłszy na zewnątrz zamku, uspokoilem się: nikt mnie nie widział.

Po ciemnym dziedzińcu kręcili się zbrojni, straż na wałach pełniły wartę. Skądś przygalopował jeździec, jego koń zarżał. Owinięty szczelnie płaszczem, szedłem szybkim krokiem przez dziedziniec.

Norcross mieszkał w budynku w pobliżu kwater żołnierzy. Do jego pomieszczenia prowadziła wąska kamienna klatka schodowa, oświetlona z obu stron pochodniami.

Podszedłszy pod drzwi, wziąłem kilka głębokich oddechów. Poczułem przemierzający się wzdłuż kręgosłupa nerwowy dreszcz. Z wnętrza dobiegały dziwne odgłosy: piski i chichoty. Sukinsyn był tam, gdzie się spodziewałem.

Wyjąłem spod płaszcza miecz. Za moją żonę i dziecko.

## ROZDZIAŁ 57

Nacisnąwszy klamkę, otworzyłem masywne drzwi do pokoju Norcrossa. Pomieszczenie było skąpo oświetlone. Na podłodze leżała sterta odzienia. Norcrossa... i kobiety... Słysząc ciężkie oddechy i postękiwanie.

Na łóżku o grubych nogach klęczała z rozłożonymi kolanami na pół rozebrana kobieta, obejmując rękami wezglowie. Norcross, w samej koszuli, brał ją od tyłu.

Wystarczył mi rzut oka, żeby rozpoznać w kobiecie Estellę. Byli tak zajęci sobą, iż zobaczyli mnie dopiero wówczas, gdy znalazłem się na środku pokoju. Rycerz odwrócił się pierwszy.

–Kto to?

Stałem w świetle, po czym mrugnąłem do Estelli.

–Wybacz pani. – Ukłoniłem się. – Wygląda na to, że znów pozwalasz się napastować. Jak widzę, robisz to przy każdej okazji.

–To ty... – rzekł Norcross. Oczy mu się zaświeciły, jakby patrzył na świeżo upieczoną wołowinę.

–To ja – odparłem z uśmiechem.

Norcross odsunął się od Estelli, która przykryła się prześcieradłem. Stał z nadal wzwiedzionym członkiem, którego ordynarnym gestem wytarł własną koszulą. – Nie wiem, jak się uwolniłeś, ale jeśli mnie szukasz, to znaczy, że masz jaja. – Dobrze. Przynajmniej jeden z nas je ma – powiedziałem, patrząc na jego przyrodzenie. Norcross uśmiechnął się krzywo. Nie spiesząc się, sięgnął po miecz.

–Mogę ci obciąć głowę już dziś. Dzięki temu jutro pośpię dłużej. Estella porwała

swoje odzienie i półnaga pobiegła w stronę drzwi.

–Nie odchodź, Estello – powiedział Norcross. – Nic bardziej mnie nie pobudza niż czyjeś wyprute flaki. Wsadzę ci go z powrotem, zanim zdążysz wyschnąć.

Zachichotał. Okrążał bez pośpiechu łóżko, prężąc mięśnie klatki piersiowej. Patrzył na mnie pogardliwie, jakbym był robakiem, którego zaraz zgniecie.

–A zatem... miej swoją sprawiedliwość, błażnie. – Wydawszy dziki okrzyk, zatoczył mieczem błyskawiczny łuk, celując w moją szyję.

Nie cofnąłem się. Nasze miecze starły się z głośnym szczękiem. Z rozpędu zadałem pchnięcie w dół, ale odparował je z dziecinną łatwością, jakby jego miecz nic nie ważył.

Był doskonałym szermierzem. Poznałem to od razu po pierwszych uderzeniach.

Podczas krucjaty nauczyłem się walczyć – na tyle, iż nie bałem się żadnego przeciwnika – jednak ten miał znacznie większe doświadczenie niż ja. Był rycerzem... choć przy tym mordercą kobiet i dzieci.

Norcross chrząknął i zadał potężny cios, jakby chciał przeciąć mnie na pół. Zdążyłem odskoczyć, tak że ostrze jego miecza przemknęło ze świstem tuż przed moją twarzą. Znalazł się w pozycji do następnego cięcia i natarł ponownie.

Wyłapałem cios na klingę, po czym siłą zmusiłem go do opuszczenia oręża.

Stanęliśmy oko w oko, oba nasze miecze były unieruchomione.

–Walczysz jak kobieta.

Wyszczerył zęby w złośliwym uśmiechu. Potem uderzył mnie głową, tak że się zatoczyłem.

Wylądowałem na łóżku. Estella w ostatniej chwili zdążyła się odsunąć. Norcross ponownie zaatakował. Wymierzył mi dwa ciosy w ramiona, ale w jakiś sposób zdołałem je zablokować.

Z krzyżujących się stalowych ostrzy strzelały snopy iskier. Mrozący krew w żyłach szcęk żelaza brzmiał jak dzwon śmierci.

Zadałem cios. Norcross zablokował go łatwo. Parował uderzenia bez trudu. W pewnej chwili odbił mój miecz w taki sposób, że ów przeorał mi ramię. Zawyłem z bólu. Poczułem, jakby mi przypalono rękę gorącym żelazem. Na przedramieniu pojawiła się czerwona pręga.

–Poznaj, jak to jest. – Uśmiechnął się pewny siebie. – Za chwilę poderżnę ci gardło.

Natarł na mnie, wywijając ciężkim mieczem bez wysiłku. Sparowałem jeden, drugi, trzeci cios, lecz miał nade mną przewagę. Czułem narastające zmęczenie ramion.

Odbijałem jego ciosy z coraz większym opóźnieniem. Uniknąłem o włos pchnięcia, które przeszyłoby mnie na wylot. Chciałem go zabić. Chciałem, żeby nie żył. Mimo to czułem, że przegrywam. Każda chwila mogła być ostatnia.

Zapędził mnie w róg komnaty. Wykonałem ostatni cios rozpaczony, który łatwo zablokował. Śmiał się, wiedząc, że jestem wykończony. Czułem na twarzy stęchły oddech. Mdlilo mnie od zapachu jego potu. Zanosilo się na to, iż ostatnią rzeczą, którą ujrzę przed śmiercią, będzie szyderczy uśmiech na jego gębie.

–Idź do grobu, ale nim tam się znajdziesz, dowiedz się, że zerżnąłem twoją żonę.

**Wstrzyknąłem w nią swoje nasienie, a kiedy skończyłem, poprosiła o więcej.**

**Wskutek zmęczenia rękojeść miecza zaczęła mi się wyslizgiwać z dłoni. Ostrze jego miecza zbliżało się nieuchronnie, było już tuż obok mojej szyi. Wolną ręką sięgnąłem do pasa. Mam jeszcze nóż... Ostatnia szansa.**

**Patrzył na mnie dzikim wzrokiem.**

**–Powiem ci coś na ucho, błaznie. To będzie ostatnia rzecz, jaką usłyszysz.**

**–Za Sophie... za Philippe'a! – zawyłem. Równocześnie wbilem mu nóż w pierś.**

**Usłyszałem chrzęst ścięgien, trzask kości, lecz ani jeden mięsień nie drgnął na twarzy Norcrossa.**

**Zatapiałem nóż coraz głębiej i głębiej, mimo to jego wpatrzone we mnie oczy nie zmieniały wyrazu. Niewiarygodne! Co więcej, nadal przyciskał ostrze do mojej szyi. Potem otworzył usta, jakby chciał jeszcze coś powiedzieć, lecz tym razem wypłynął z nich strumień krwi. Dłoń trzymająca rękojeść miecza osłabła. Zachwiał się i zatoczył do tyłu. Odepchnąłem go. Z piersi wystawała mu rękojeść noża.**

**Estella wrzasnęła, jakby to ona została ugodzona.**

**Norcross zachowywał się jak pijak próbujący odzyskać równowagę. Chwiał się, potem ukląkł. Zasłaniając rękami przyrodzenie, patrzył na mnie z niedowierzaniem. W końcu zwałił się martwy.**

**Poczułem triumf, który po chwili zmienił się w smutek. Uświadomiłem sobie, że wprawdzie pomściłem Sophie i Philippe'a, lecz nie miałem już dla kogo żyć.**

**Podniosłem swój miecz. Trzeba się było stąd wydostać. Złapałem Estellę za włosy.**

**To ona mnie wciągnęła w pułapkę. Przez nią omal mnie nie ścięto. Odgiąłem jej piękną głowę do tyłu i przesunąłem czubek miecza po gardle.**

**–Nie krzycz ani nie wzywaj pomocy, rozumiesz? Skinęła głową. Oczy miała okrągłe z przerażenia.**

**–Masz szczęście – powiedziałem, zmuszając się do uśmiechu – że jestem dobrze wychowanym błaznem.**

## ROZDZIAŁ 58

Wyczerpany, chwiejąc się na nogach, wyszedłem z komnaty Norcrossa w obawie, że Estella podniesie alarm. Stałem się mordercą.

Wziąłem kostur oraz miecz i zszedłem z wałów w mało widocznym miejscu w pobliżu kwatery Norcrossa. Fosa była sucha, toteż pokonałem ją bez trudności.

Od tego miejsca zacząłem biec. Trzymając się mrocznych miejsc, pędziłem ciemnymi uliczkami otaczających zamek przedmieść, dopóki nie znalazłem się w lesie.

Moja ręka wisiała bezwładnie jak mięso na haku rzeźniczym. Rana krwawiła obficie. Znalazszy strumyk, obmyłem ją w miarę starannie, po czym przewiązałem kawałkiem tkaniny oddartym z kaftana. Byłem teraz nie tylko wyrzutkiem, przestępcą i dezserterem, lecz także mordercą – zabójcą szlachetnie urodzonego.

Bez wątpienia Baldwin będzie mnie ścigał. Musiałem odejść od Treille jak najdalej. Ale dokąd się udać?

Wędrowałem lasami, trzymając się z dala od uczęszczanych traktów. Byłem głodny i zziębnięty, jednak rozgrzewała mnie świadomość, że pomściłem Sophie i Philippe'a. Czułem się usprawiedliwiony. Miałem nadzieję, że Bóg mi przebaczy.

Z nadejściem świtu usłyszałem głośny tętent. Ukryty w zaroślach ujrzałem galopujący oddział zbrojonych w barwach Baldwina. Nie wiedziałem, dokąd jada.

Do Veille du Pere? Przeszukać drogi i wioski? Posuwałem się gęstym lasem na wschód, trzymając się gościńca i unikając wszelkich podróźnych, którzy nim wędrowali. W ręce czułem rwący ból.

Pod wieczór dotarłem do rozwidlenia dróg, które dobrze znałem. Przechodziłem tędy podczas ostatniej podróży do Treille.

O dzień drogi na wschód leżała moja wioska, Veille du Pere. a w niej była spalona karczma, szwagier Mathieu i ta reszta rodziny, która mi pozostała. Moi przyjaciele... Odo, Georges... Wspomnienia o Sophie i grób mojego biednego syna...

Ucieszą się z mojego powrotu. Zabawiałem ich. „Hugues bajarz wrócił”. Będą szczęśliwi, jakby odzyskali utraconego syna.

W tym momencie uświadomiłem sobie ponurą prawdę, iż nie mogę tam wrócić. Wioska leżała we włościach Baldwina. Będą mnie tam szukali. Nigdy już nie stanie się moim domem, jedynie miejscem, którego wspomnienie będzie mnie dręczyło w snach.

Życie, podobnie jak pieśń, składa się ze strof – tego mnie nauczyli rybałci.

Każdą strofę należy wyśpiewać. Dopiero wszystkie razem tworzą pieśń. Masz ją całą w głowie, lecz kiedy o niej myślisz, uśmiechasz się tylko przy niektórych strofach, najbardziej ulubionych.

Sophie... dla mnie zawsze będziesz taką strofą.

Ale teraz muszą odejść... muszą cię opuścić.

Zaczerpnąwszy głęboko tchu, ścisnąłem kostur.

Postanowiłem ruszyć na północ, ku nowej, nieznannej przyszłości.

W stronę Boree...



**CZĘŚĆ 3**  
**WŚRÓD PRZYJACIÓŁ**  
**ROZDZIAŁ 59**

Drzwi komnaty stanęły otworem. Wewnątrz błazen Norbert, pochylony nad miską, dłużej w zębach leszczynową gałązką.

Otworzył usta, jakby zobaczył ducha.

–A niech cię... Hugues! Jednak wróciłeś.

Roześmiał się szeroko, po czym przyczłapał do mnie tym swoim bocznym chodem.

–Cieszę się, że cię widzę, chłopcze.

I nawzajem, Norbercie – odparłem, obejmując go zdrową ręką.

Ranny? Znów? Jesteś chłopcem do bicia czy co? – rozżłościł się. – Ale chodź. Dobrze, że wróciłeś. Opowiedz wszystko od początku.

Podsunał mi zydęł, nalał kubek wina i usiadł naprzeciwko.

–Widzę po twoich oczach, że nie było wesoło. Powiedz... znalazłeś ją? Co się stało z Sophie?

Spuściłem wzrok.

–Miałeś rację, Norbercie. Mogłem tylko marzyć, że jakoś ocalała. Jestem pewny, że nie żyje.

Pokiwał głową, po czym pochyliwszy się ku mnie, uściskał w ojcowski sposób.

Każdemu wolno marzyć. Dla nas, maluczkich, marzenia są wszystkim. Przykro mi z powodu twojego nieszczęścia, Hugues.

Wstrząsnął nim dreszcz, po którym nastąpił atak kaszlu.

Jesteś chory? – zapytałem z troską.

To przez pogodę. – Machnął niecierpliwie ręką. Zbyt wiele lat płaszczenia się. – Znów zakaszał. – Powiedz, jak ci poszło z Baldwinem. Znalazłeś zajęcie?

Mimo ogólnego przygnębienia poczułem w końcu satysfakcję.

Uśmiechnąłem się.

–Poszło tak, jak zaplanowaliśmy. Powiem nawet, że odniosłem sukces.

–Wiedziałem! – Błazen aż podskoczył z radości. – Wiedziałem, że ci się uda. Nauczyłem cię czegoś, prawda, chłopcze?

Opowiadaj, chcę znać wszystkie szczegóły!

Zmęczenie nagle ustąpiło jak różdżką odjął; twarz mi się zaróżowiła na wspomnienie moich występów na dworze.

Opowiedziałem mu wszystko od początku: w jaki sposób udało mi się dostać do zamku, jak wykorzystałem odpowiedni moment żeby wystąpić przed dworem, jakie opowiedziałem dowcipy jak ksiązę odprawił biednego Palimposta.

–Tego starego niedojdę... wiedziałem, że psubrat pokazał już wszystkie sztuczki. – Norbert tańczył po pokoju, chichocząc z satysfakcją. – Należało mu się, żeby go wylano.

–Nie – zaprotestowałem – w końcu okazał się przyjacielem. I to prawdziwym... – Opowiadałem dalej: jak zadarłem z Norcrosssem, jak wpadłem w pułapkę i jak Palimpost, którego wcześniej ośmieszyłem, uratował mi życie.

–Widać, że w starym matole drzemie jeszcze nieco prawości. Dobrze.

Jesteśmy bractwem, Hugues. Mam wrażenie, że już do niego należysz. – Poklepał mnie serdecznie po ramieniu, po czym zgiął się wpół w ataku ciężkiego kaszlu.

–Ty jesteś chory – powiedziałem, pochylając się i go podtrzymując.

–Medyk mówi, że to sprawa nieodpowiedniego klimatu. Powiedział, że jestem żalostną namiastką wesołka. Tak czy owak wróciłeś we właściwym czasie. Mógłbyś mnie zastąpić, dopóki nie wyzdrowieję. To niezła synekura.

Przysunąłem stół bliżej niego.

–Zastąpić ciebie...? Tu, w Boree?

–Czemuż by nie? Jesteś już zawodowcem. Postaraj się nie być zbyt dobry.

Zacząłem się zastanawiać nad propozycją. Potrzebne mi było miejsce do życia. Po co szukać gdzieś indziej? Cóż innego mógłbym robić? Miałem tu zaufanych przyjaciół. Prócz tego jeszcze jeden aspekt oferty miał dla mnie niezaprzeczalny urok.

Lubiłem to. Tłumy widzów, aplauz, uznanie... Moje przebranie... Przepadałem za tym.

–Zastąpię cię, Norbercie – oświadczyłem, kładąc mu rękę na ramieniu. – Ale tylko do momentu, gdy wyzdrowiejesz.

–Umowa stoi. – Uścisnęliśmy sobie ręce. – Widzę, że nadal masz ten sam kostur. I nie rozstałeś się ze swoim strojem.

Zgubiłeś tylko czapkę.

Mój krawiec nie zdołał mnie ubrać w tak krótkim czasie.

–To żaden kłopot. – Norbert zaśmiał się. Poczłapał do swojej szafy i rzucił mi pilśniową czapkę, która zadźwięczała.

–Dzwonki, wiem. Ale, jak to się mówi, żebrak nie może być wybredny.

Włożyłem czapkę na głowę. Doznałem dziwnego uczucia: poczułem rozpierającą mnie dumę.

–Rzucisz ich na kolana, chłopcze, wiem to z całą pewnością. – Uśmiechnął się. – Wiem jeszcze jedno: jest ktoś, kogo szczególnie ucieszy twój powrót.

## ROZDZIAŁ 60

Emilie siedziała w salonie wśród innych dam dworu zajmujących się haftowaniem. Nie wiedziała, że ją obserwuję. Miała mały nos, delikatny jak pączek kwiatu, spod białego Kaptura wymykały się jasne warkocze.

Dostrzegalem w niej to co widzialem od pierwszego dnia naszej znajomości, a czego charakter naszej przyjaźni nie pozwalał mi sobie do końca uświadomić.

Emilie była piękna. Nieporównanie piękniejsza od innych dam.

Mrugnąłem do niej z progu i uśmiechnąłem się. Oczy jej nagle rozkwitły jak dwa polne kwiaty.

Podniósłszy się, złożyła starannie haft na stole, po czym z wyszukaną grzecznością przeprosiła towarzystwo i zaczęła iść ku mnie. W miarę jak się zbliżała, jej krok stawał się coraz szybszy.

Dopiero w korytarzu, kiedy chwyciła mnie za rękę, zdradziła, jak bardzo się cieszy.

–Hugues de Luc... Więc to prawda. Ktoś mówił, że cię widział. Wróciłeś do nas.

–Mam nadzieję, że nie nadużywam twojej gościnności pani. I że nie jesteś mi nierada.

Uśmiechnęła się.

–Strasznie się cieszę. A ty... jak widzę, nadal w swoim błazeńskim kostiumie.

Dobrze ci w nim, Hugues.

–W tym samym, który mi uszyłaś, tylko nieco wytartym Norbert niedomaga.

Obiecałem, że go zastąpię.

Blask zielonych oczu Emilie zdawał się rozświećlać ciemny korytarz.

–Nie wątpię, że wszystkim będzie weselej. Ale powiedz jak twoje poszukiwania...? Co znalazłeś?

Zwiesiłem głowę. Nie umiałem ukryć zawodu ani prawdziwych uczuć.

Emilie zaprowadziła mnie korytarzem do miejsca, gdzie nie było strażników i mogliśmy usiąść na ławeczce.

–Widzę, że jesteś przygnębiony, ale mimo to opowiedz mi...

–Twój pomysł na przebranie dla mnie zadziałał wyśmienicie.

Zastąpiłem błazna w Treille i mogłem się rozejrzeć.

–Nie pytam o przebranie, Hugues. Miałam na myśli twoje poszukiwanie Sophie. Co odkryłeś? Opowiedz mi.

Przełknąłem z trudem ślinę.

–Jestem pewien, że nie żyje.

Błyszczące nadzieją oczy Emilie zmatowiały. Ujęła moją rękę. Widzę twój smutek. Nie muszę ci mówić, jak mi przykro. Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Spojrzała na moje ramię. – Znów jesteś ranny.

Lekko. To głupstwo, już się goi. Odszukałem winnego śmierci Sophie i mojego syna. Ostatecznie stanęliśmy twarzą w twarz.

Twarzą w twarz... – W jej oczach pojawiła się troska. – I jak się skończyło?

Jak się skończyło? – Znów pochyliłem głowę, po czym podniosłem ją z przepraszającym uśmiechem. – Siedzę koło ciebie. Jego... już nie ma.

**Emilie się rozchmurzyła.**

**Cieszę się. Najbardziej z tego, że przez jakiś czas u nas pobędziesz. –**

**Podwinąwszy mi rękaw, obejrzała ślady miecza na ramieniu. – Trzeba się tym zająć, Hugues.**

**Jakoś tak się składa, że po każdym naszym spotkaniu musisz mnie pielęgnować – rzekłem.**

**Zdumiewające, jak łatwo przystałem na tę opiekę. Dobrze było znów się znaleźć tutaj. Czułem, jak ogarnia mnie spokój.**

**Jest coś, o czym powinnaś wiedzieć. Ten człowiek, z którym walczyłem., to był rycerz. Prawdę mówiąc, więcej niż rycerz. Był kasztelanem Baldwina. Zabiłem go w walce.**

**Emilie patrzyła na mnie przenikliwie.**

**–Nie mam wątpliwości, że cokolwiek zrobiłeś, postąpiłeś słusznie.**

**–Słusznie, pani... przysięgam! Zamordował moją żonę i syna. To był jednak człek szlachetnie urodzony, a ja...**

**–Czy człowiek nie ma prawa szukać zadośćuczynienia za zabranie mu jego własności? – przerwała mi Emilie. – Albo bronić dobrego imienia żony?**

**–Szlachetnie urodzeni mają takie prawo – znów zwiesiłem głowę – ale obawiam się, że zabicie rycerza przez prostego człowieka jest przestępstwem. Nawet gdy ów rycerz na to zasłużył.**

**–Na razie tak jest – zgodziła się Emilie – ale kiedyś będzie inaczej.**

**Nasze oczy się spotkały.**

**–Jesteś tu zawsze mile widziany, Hugues. Porozmawiam z księżną Anne.**

**Poczułem, jak ciężar spada mi z serca. Czym sobie – za służyłem na takiego przyjaciela? Jak to możliwe, że w tej jednej czystej duszy zgromadziły się wszystkie prawa i zasady według których żyłem? Byłem wdzięczny losowi, że mnie tu rzucił.**

**–Nie umiem znaleźć słów na wyrażenie ci wdzięczności pani. – Ująłem jej dłoń, lecz natychmiast się zorientowałem jaki błąd popełniam. Przeklinałem swoją bezczelność i głupotę.**

**Jej oczy powędrowały ku mojej ręce, ale nie wycofała swojej.**

**–Kasztelan księcia, mówisz... – Uśmiechnęła się. Twierdzisz, że jesteś niskiego stanu, ale mierzysz wysoko...**

## ROZDZIAŁ 61

–Drogie dziecko, nie należy wtykać nosa w nie swoje sprawy – strofowała Emilie Anne. – Taka ładna dziewczyna jak ty nie powinna się zajmować rzeczami, które mogą się źle skończyć.

Siedziała przed lustrem w swojej garderobie, podczas gdy Emilie czesała jej długie, brązowe włosy. Anne była ostatnio wyraźnie przybita i zirytowana. Emilie zwykle udawało się udobruchać ją kilkoma trafnie dobranymi komplementami i pogodną życzliwością. Jej swoboda myślenia zawsze stanowiła załączek dyskusji i – choć księżna usiłowała to ukryć – była źródłem poczucia więzi z dziewczyną.

Tak było do tej pory. Do chwili gdy nadeszła wieść, iż mąż Anne wkrótce wróci z krucjaty.

Nie jestem dzieckiem, pani – odpowiedziała Emilie.

Czasem postępujesz jak dziecko. Chcesz, żebym spojrzała z innej strony na tego błazna, który przyznaje, że zabił kasztelana księcia.

On nie przybył do nas po to, żeby uniknąć kary, lecz dlatego iż czuje, że ma tu przyjaciół, którzy rozumieją, na czym polega sprawiedliwość.

–Cóż warta jest dla ciebie taka przyjaźń, Emilie? Przyjaźń z pospolitym nicponiem, który wraca tylko wtedy, kiedy jest ranny. Czy taki człowiek jest wart zaryzykowania naszych praw i zwyczajów?

Rycerz został zabity w uczciwym pojedynku. Zgwałcił ukochaną żonę tego człowieka.

–Jaki jest na to dowód? Kto to poświadczy? Piekarz? Kowal?

–A kto stanie za Baldwinem? Uzbrojone zbiry! Jego chciwość i okrucieństwo są powszechnie znane.

Surowy wzrok Anne spotkał w lustrze niewinne oczy Emilie.

–Szlachetnie urodzony nie potrzebuje świadków, dziecko. – Nastąpiła chwila krępującej ciszy, po której Anne wyraźnie zmiękła. – Słuchaj, Emilie, wiesz dobrze, że Baldwin nie jest przyjacielem naszego dworu, ale nie żądaj ode mnie, żebym wybierała między twoim poczuciem sprawiedliwości a tym, co stanowi obowiązujące prawo. Senior rządzi swoimi wasalami.

Mężczyźni są zaborczy – ciągnęła Anne. – Rozkładają ci nogi, wstrzykują swoje nasienie, a potem wycierają nos w poduszkę i pierdzą. Twój pospolity błazen niczym się od nich nie różni. – Anne zreflektowała się, że uraziła dziewczynę.

Przytrzymała rękę Emilie, szcztokującą jej włosy. – Wiedz, że z przyjemnością ośmieszyłabym Baldwina podczas nieobecności mojego męża, ale twoja cena jest za wysoka. Nie każ mi wybierać między łajdakami – wysoko i nisko urodzonym. – To byłby wybór między sprawiedliwością i niesprawiedliwością, pani... Oczy Anne stwardniały.

–Nie popisuj się przede mną dziwacznymi pomysłami, Emilie. Nie musiałaś nigdy rządzić. Nie podlegasz mężczyźnie. Na naszym dworze jesteś gościem. Może czas cię odesłać.

Odesłać... Emilie była wyraźnie zaskoczona. Przestraszyła się. Anne jeszcze nigdy jej nie groziła.

**–To jest szkoła życia, Emilie, a nie kwestia twojej przyszłości. Twoja przyszłość jest już określona. Nie możesz jej zmienić, niezależnie od swoich pragnień.**

**–Nie chodzi o moje pragnienia, pani. On jest prawy, Zapewniam cię.**

**–Nie wiesz, co to znaczy prawość – ucięła Anne. – Masz tylko marzenia. Jesteś ślepa, dziecko... i uparta. Do tej pory nie wybrałaś sobie męża, mimo iż kilku najdzielniejszych rycerzy Staralo się o twoją rękę.**

**–To są nadęte woły i śmierdzą jak one. Ich zaloty nic dla mnie nie znaczą. Nawet mniej niż nic!**

**–A tego prostackiego bękarta? Czego się po nim spodziewasz? Masz przerwać ten flirt. Natychmiast.**

**Emilie odstąpiła o krok, zdając sobie sprawę, że posunęła się za daleko i uraziła Anne. Jednak ta stopniowo się rozchmurzyła. Ujęła rękę Emilie.**

**–Muszę przyznać, że zawsze miałaś odwagę mi się przeciwstawić.**

**–Bo zawsze ci ufałam, pani. Bo zawsze mnie uczyłaś, że należy postępować sprawiedliwie. Obawiam się, że zbyt mi ufałaś. – Anne wstała.**

**Obiecałam mu, pani. – Emilie spuściła głowę. – Pozwól mu zostać. Nie będę cię o nic więcej prosiła. Gdybym nie nalegała, o niczym byś nie wiedziała. Pozwól mu, proszę. Anne spojrzała Emilie w oczy i dotknęła czule jej policzka. Biedne dziecko, jaką krzywdę musiało ci wyrządzić życie, obróciłaś przeciw własnemu stanowi. Nie obróciłam się, pani – odrzekła Emilie. Uklękła przed Anne i oparła czoło o jej dłoń. – Spostrzegłam tylko, że istnieje jeszcze inny świat.**

**–Wstań. – Anne podniosła ją delikatnie. – Niech twój błazen zostanie.**

**Przynajmniej dopóki Baldwin się o nim nie dowie. Mam nadzieję, że będzie potrafił zastąpić chorego Norberta.**

**–Okazał się pojętnym uczniem, pani – powiedziała uradowana Emilie.**

**Bardziej mnie martwi to, czego ty się nauczyłaś od niego. Ten inny świat, o którym mówisz, może ci się wydać prawdziwy. Może pochłonąć twój umysł, razem z sercem. Ale zapamiętaj sobie, Emilie: on nie jest ci przeznaczony.**

**Emilie przeszedł dreszcz. Wtuliła policzek w dłoń swojej pani.**

**–Wiem, księżno.**

## ROZDZIAŁ 62

Mój pierwszy występ przed dworem Anne odbył się następnego ranka.

Wielką salę w Boree widziałem tylko raz, podczas mojej pierwszej bytności na dworze, gdy przyglądałem się zza pleców Norberta jego występowi, podziwiając kunszt błazna. Widziana po raz wtóry – ze swoimi wysokimi na trzydzieści łokci łukami przyporowymi, wypełniona barwnie ubranymi rycerzami i dworzanami – wydała mi się monumentalna.

Serce waliło mi jak młot. Nie tyle z powodu ogromu sali i faktu, iż Treille w porównaniu z Boree było wioską, ani że musiałem zdobyć uznanie w oczach nowego pana, ile ze względu na osobę, którą miałem zastąpić. Norbert był błaznem najwyższej rangi. Możliwość wystąpienia zamiast niego przed całym dworem stanowiła dla mnie najwyższy zaszczyt.

Przybycie dworu nie uspokoiło moich nerwów. Księżna Anne, w długiej jedwabnej sukni z trenem, wkroczyła do sali przy dźwięku fanfar w asyście orszaku dam dworu, niosących poduszki i napoje i spełniających każde jej życzenie. Wśród nich była Emilie.

Heroldowie w zielono – złotych strojach ogłosili porządek dnia. Wokół Anne kręcili się doradcy, rywalizujący wzajemnie o jej uwagę. Rycerze nie nosili zwykłych, codziennych kaftanów, jak w Treille, lecz zasiedli przy stołach w paradnych zielono – złotych szatach.

Tego dnia sąd miał rozstrzygnąć drobną sprawę: spór między poborcą a biednym młynarzem, dotyczący podatku od lenna.

Jak we wszystkich podobnych sytuacjach – poborca oskarżał młynarza, że ten coś przed nim ukrył. Spotkałem się z tym w mojej wiosce setki razy, jednak zawsze wygrywał poborca.

Anne przysłuchiwała się rozprawie, lecz wkrótce ją to znużyło. Podczas nieobecności męża musiała wydawać wyroki w wielu codziennych sprawach, ta zaś była nad wyraz prozaiczna. Rozejrzała się po sali.

–Ten spór nadaje się na komedię – odezwała się. – Gdzie jesteś, błaznie? To twoja dziedzina. Co o tym powiesz? Pokaż się i wydaj wyrok.

Wystąpiłem z grupy osób stojących za jej krzesłem. Patrzyła na mnie, jakby zaskoczyła ją nowa twarz w jej świecie.

–Rozkazałaś mi rozsądzić sprawę, pani? – Złożyłem przed nią ukłon.

–Jeśli nie jesteś równie tępy jak oni – odparła. Na sali rozległy się chichoty.

–Postaram się nie być – rzekłem, przypominając sobie wszystkie wypadki, kiedy widziałem, jak oszukano moich przyjaciół – ale muszę odpowiedzieć własną zagadką. Jaka rzecz jest najodważniejsza na świecie?

–Scena należy do ciebie. To ty nam powiedz, jaka jest ta najodważniejsza rzecz.

–Koszula poborcy, pani, ponieważ codziennie chwyta za gardło złodzieja.

Gwar rozbawienia w sali ustąpił miejsca ciszy. Wszyscy czekali na replikę poborcy.

Anne skupiła wzrok na mnie.

–Norbert powiedział, że musi odpocząć, ale nie wspomniał, że powierza swoje

obowiązki takiemu błyskotliwemu umysłowi. Zbliż się. Czy myśmy się już kiedyś spotkali?

Kłęknałem przed nią i zdjąłem czapkę. – Mam na imię Hugues, księżno. Spotkaliśmy się przy drodze do Treille.

–Monsieur rudzielec! – wykrzyknęła. Wyraz jej twarzy świadczył, iż wie dokładnie, z kim rozmawia. – Jesteś jakby bardziej w jednym kawałku niż wówczas, kiedy zobaczyłam cię, pierwszy raz. Masz teraz inny zawód. Kiedy cię ostatnio widziałam, wkładałeś zbroję i ruszałeś na poszukiwania.

–Moją zbroją było to – wskazałem kraciasty strój – a mieczem ten kostur. Przypuszczam, że nikt się za mną nie stęsknił.

–Trudno się za tobą stęsknić – powiedziała Anne z uszczypliwym uśmiechem – skoro znów tu jesteś.

Damy zaczęły chichotać. Złożyłem ceremonialny ukłoni w uznaniu jej dowcipu.

–Norbert twierdził, że będę z ciebie zadowolona. Prócz tego masz na dworze jeszcze innego obrońcę. A tymczasem spójrz na swój start... już w pierwszym występie zrobiłeś fałszywy krok. Stajesz po stronie młynarza?

–Staję po stronie sprawiedliwości, pani. – Czuję narastające w sali napięcie.

–Sprawiedliwość... Co błazen może wiedzieć o sprawiedliwości? Sprawiedliwość to kompromis między prawem a rozsądkiem.

Skłoniłem głowę z szacunkiem.

–Ty jesteś tu prawem, księżno. A sędzią jest sprawiedliwość. Czy to nie Augustyn powiedział: „Bez sprawiedliwości królestwa staną się siedliskiem przestępców”?

–Widzę, że w swoim urozmaiconym życiu dowiedziałaś się wiele o królestwach.

Wskazałem ręką na poborcę.

–Przestępcą jest on. Wiem to z całą pewnością. Reszty się domyśliłem.

W sali rozległy się śmiechy. Nawet Anne pozwoliła sobie na uśmiech.

–Błazen, który cytuje Augustyna? Skąd go znasz?

–Błazen, który nie zna łaciny, jest kiepskim błaznem. – Znów rozległy się śmiechy, niektórzy kiwali głowami. Anne też się uśmiechnęła.

–Wychowali mnie rybałci, wasza książęca mość. Umiem| wiele całkowicie bezużytecznych rzeczy. – Skoczyłem na obie ręce, po czym powoli wycofałem jedną.

Stojąc na jednej, dodałem: – Mam nadzieję, że kilka pożytecznych również.

Anne skinęła głową z uznaniem.

–To jest wystarczająco pożyteczne. – Klasnęła w dłonie – Nawet tak bardzo, poborco, że muszę stanąć po stronie tego oto błazna. Jeśli nie z powodu prawa, to z pewnością dla żartu. Wybacz mi. Jestem pewna, że następnym razem szala przechyli się na twoją stronę.

Poborca spojrzał na mnie złym okiem, po czym złożył księżnej ukłoni.

–Przyjmuję wyrok, pani.

Skoczyłem z powrotem na równe nogi.

–Przekonałam się, morderco niedźwiedzi – zwróciła się do mnie Anne – że twoi przyjaciele mają rację. Norbert cię dobrze wyszkolił. Możesz u nas zostać...

–Dzięki, pani. Nie zawiedziesz się.



**Użyło mi. Wystąpiłem przed najbardziej wymagającą widownią, jaką dotąd miałem, i odniosłem sukces. Pierwszy raz od dawna poczułem się bezpieczny. Mrugnąłem do Emilie.**

**Przebiegł mnie dreszczyk dumy, gdy odpowiedziała uśmiechem.**

**–... Przynajmniej do powrotu mojego męża – dodała ostro Anne. – Muszę cię ostrzec, że jego poglądy na prawo zwyczajowe są zupełnie odmienne od moich. Twoja znajomość łaciny nie oczaruje go tak jak mnie.**

## ROZDZIAŁ 63

W ciągu następnych dni poruszałem się swobodnie po zamku zabawiając księżną Anne opowiadaniem i pieśniami z moich rybałtowskich czasów, prócz tego służyłem jej przewrotną radą, gdy mnie wzywała, chcąc się pośmiać.

Kłopoty, w które popadłem w Treille, powoli odchodziły w niepamięć.

Przylapywałem się na tym, że coraz bardziej podoba mi się nowa rola i towarzysząca jej możliwość wywierania wpływu. Wpływu na myślenie księżnej.

Kilkakrotnie mi się udało – podsunąwszy stosowny żart – pokierować jej decyzją na korzyść strony pokrzywdzonej. Czułem, że wśród podszeptów doradców szuka mojej opinii – nawet ukrytej w błazeństwie – i często z niej korzysta. Miałem świadomość, że na miarę swoich możliwości robię coś pożytecznego.

Emilie była wyraźnie ukontentowana. Często napotykałem jej aprobujący wzrok, kiedy przebywała w towarzystwie innych dam dworu, jednak z wyjątkiem pierwszego dnia ani razu nie spotkałem jej samej.

Któregoś dnia, po zakończeniu sesji sądowej, Anne kazała mnie wezwać.

–Umiesz jeździć konno?

–Tak, pani – odparłem.

–Wobec tego każę ci przygotować wierzchowca. Chcę, żebyś mi towarzyszył w wycieczce, Bądź gotów o świcie.

Wycieczka... z księżną...

Spotykał mnie niezwykle zaszczyt, nawet Norbert był tego zdania. Przez całą noc przewracałem się na słomianym materacu, nie mogąc zasnąć.

Czego się po mnie spodziewała? Norbert, w przerwach między atakami kaszlu, beształ mnie:

–Nie czuj się zbyt zadomowionym w mojej roli. Wkrótce wrócę.

Następnego dnia o świcie czekałem gotów przy stajniach, spodziewając się orszaku barwnie ubranych dworzan. Jednak szybko się zorientowałem, że to nie była przejażdżka dla przyjemności. Anne miała na sobie płaszcz jeździecki, a towarzyszyli jej dwaj rycerze, których znałem: Bernard Devas, doradca polityczny, i jasnowłosy dowódca straży, Gilles. Był z nią również Maur, ten sam, który przywiązał mnie do konia, kiedy zostałem znaleziony w lesie, i który nigdy jej nie odstępował. Towarzyszył nam oddział dwunastu zbrojnych.

Nie miałem najmniejszego pojęcia, dokąd zmierzamy.

Otwarto bramę i z pierwszym brzaskiem wyjechaliśmy z Boree. Niebo nad wschodnimi wzgórzami zaczęło przybierać pomarańczowy kolor. Skierowaliśmy się na południe.

Jechałem z tyłu za grupą nobilew, a przed tylną strażą. Anne kłusowała miarowo na białym rumaku, przeważnie w milczeniu, od czasu do czasu tylko wymieniając lakoniczne uwagi z doradcami. Posuwaliśmy się szybko, nie zatrzymując się na odpoczynek. Po godzinie dotarliśmy do strumienia.

Zacząłem się odrobinę denerwować. Zmierzaliśmy prosto ku Treille, czyli w głąb terytorium Baldwina. Nie pilnowano mnie, mimo to poczułem dreszcz niepokoju.

Dlaczego Anne zażądała, żebym jej towarzyszył? Czy odprowadzali mnie do

**Treille?**

**Dojechawszy do rozwidlenia dróg, skierowaliśmy się na południowy zachód.**

**Posuwaliśmy się drogą, której nie znałem, mijając od czasu do czasu położone na wzgórzach małe wioski.**

**Około południa wjechaliśmy do ogromnego lasu z wysokimi drzewami, rosnącymi tak gęsto, że niemal całkowicie przesłaniały światło słoneczne. W pewnym miejscu wysunięty na czoło Gilles zakomunikował:**

**–Tu się kończą nasze włości. Jesteśmy w księstwie Treille.**

**Mimo to nie zatrzymaliśmy się. Czułem przyspieszone tętno.**

**Nie miałem pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi. Kusiło mnie, żeby spróbować ucieczki. Ale dokąd? Gdyby chcieli mnie złapać, nie ujechałbym nawet pięćdziesięciu kroków.**

**Anne wysunęła się na czoło. Musiałem jej zaufać. Nie śmiałem zdradzić swych obaw. Jednak ilekroć dotąd zawierzyłem wysoko urodzonej osobie, doznawałem zawodu. Czy to możliwe że chcą mnie wydać Baldwinowi?**

**W końcu popędziłem wierzchowca i zrównałem się z Anne. Przez chwilę jechałem obok niej w nerwowym milczeniu dopóki nie zauważyła pytającego wyrazu moich oczu.**

**–Pewnie chciałbyś wiedzieć, po co cię z sobą ciągnę? Kiwnąłem głową.**

**Nie odpowiedziała. Jechaliśmy dalej w milczeniu. Z obu stron drogi, za drzewami, pojawiły się zagrody i chaty.**

**Wydrapany na drzewie napis głosił: St. Cecile.**

**Zwolniliśmy. Anne przywołała mnie gestem dłoni.**

**Podjechałem do niej, bojąc się, iż lada moment z lasu wynurzą się ludzie Baldwina, żeby mnie zamordować.**

**–Odpowiadam na twoje pytanie, błaznie – powiedziała z widocznym napięciem na twarzy. – Jeśli znajdziemy w tej wiosce to, o czym mi doniesiono, w drodze powrotnej będziemy bardzo potrzebowali, żebyś nas rozweselił.**

## ROZDZIAŁ 64

Odetchnąłem z ulgą, ale tylko na chwilę. Szybko dotarł do mnie zapach. Odór rozkładu... nieodłączny towarzysz śmierci. Nad drzewami, w których stronę zmierzaliśmy, wiły się pasma dymu. Nawet liście przesiąknięte były mdlącym swądem spalonego mięsa.

Stanął mi przed oczami obraz z przeszłości... Civetot. Anne jechała naprzód, zdając się nie czuć owego smrodu.

Przestałem się bać o siebie, jednak to, ku czemu zmierzaliśmy, było przerażające. Droga rozszerzała się i po chwili znaleźliśmy się na otwartej przestrzeni.

Przejechaliśmy przez kamienny mostek i trafiliśmy na obrzeże osady. Osady, która już nie istniała. Po domach i innych zabudowaniach pozostały jedynie zwęglone ściany i spalone na popiół słomiane dachy. Ze zgliszczy unosił się dym. Otępiali ludzie, o pokrytych sadzą twarzach bez wyrazu, siedzieli nieruchomo na ziemi.

Wjechaliśmy do wioski. Przed większością zabudowań tkwiły w ziemi wysokie pale, a pod nimi zwęglone sterty nierozpoznawalnych szczątków. Mieszanka dziwnych zapachów – spalonych włosów, mięsa, krwi – wywoływała mdłości. Słupy wyglądały jak pogańskie znaki ostrzegawcze: wiercono, iż zwierzęce wnętrzości odstraszały złe demony od domostw. Ale domostwa już nie istniały. – Co to? – spytała Anne, gdy mijaliśmy słupy. Gilles, dowódca straży, westchnął. To dzieci, pani.

Anne zbladła jak ściana. Zatrzymała konia i pochyliwszy się, Spojrzała na szczątki. Zachwiała się, przez moment wydawało się, że spadnie z konia, lecz opanowała się. Wyprostowała się w siodle i spytała donośnym głosem wieśniaków:

–Co tu się stało?

Nikt nie odpowiedział. Ludzie tylko patrzyli. Zacząłem się obawiać, że wyrwano im języki.

–Mówi do was księżna Anne z Boree. Co tu się stało? – krzyknął dowódca.

Po tym pytaniu usłyszeliśmy z tyłu dzikie wycie. Wszystkie głowy odwróciły się w tym kierunku. W naszą stronę pędził ogromny mężczyzna z toporem, okryty poszarpaną skórą.

Gdy był już o parę stóp od nas, jeden ze zbrojnych wsadził mu między nogi włócznię. Napastnik runął na ziemię. Natychmiast rzucili się na niego dwaj ludzie ze świty księżnej. Jeden przyłożył mu miecz do szyi i spojrzał pytająco na Anne.

Jakaś kobieta wrzasnęła i chciała podbiec do napastnika, lecz została przytrzymana. Mężczyzna nie zwrócił na nią uwagi, tylko spojrzał z rozpaczą w oczach na Anne.

–On stracił syna – usłyszeliśmy czyjś głos – a jego dom... – Powiedział to wychudły, siwowłosy mężczyzna w okopconych, poszarpanych łachmanach.

Zbrojny chciał zabić olbrzyma, lecz Anne potrząsnęła głową.

–Puść go.

Podniesiono go z ziemi i popchnięto ku wdzięcznej żonie, przy której stanął, oddychając ciężko, nawet nie podziękowawszy.

–Powiedz, co tu się stało? – spytała Anne siwowłosego mężczyznę.

–Przybyli w nocy. Zamaskowani tchórze z czarnymi krzyżami. Powiedzieli, że to kara boska. Że myśmy Go okradli.

–Okradli? Z czego? – zapytała Anne.

–Z jakiegoś świętego skarbu. Z czegoś, czego nie mogą znaleźć. Odebrali matkom wszystkie dzieci. Na naszych oczach nadziali je na pale i podpalili. Nadal mamy w uszach ich krzyki...

Rozejrzałem się dokoła. Byłem pewny, że to robota Baldwina. Rozpoznałem to samo dzikie okrucieństwo, z którym zgwałcili moją żonę i wrzucili syna do ognia. Jednak rozmiar masakry przewyższał dzieło ludzi Baldwina. Norcross nie żył, mimo to piekło nie ustało.

–Co ci zbrodniarze znaleźli? – spytała Anne.

–Nie wiem – odparł blady jak ściana mężczyzna. – Podpalili wieś i odjechali.

Jestem sołtysem tej wioski, teraz sołtysem niczego. Może Arnaud coś wie? Tak, spytaj Arnauda.

Anne zsiadła z konia. Podeszła do mężczyzny i spojrzała mu prosto w oczy.

–Kim jest ów Arnaud?

Sołtys parsknął pogardliwie i nie odpowiedziawszy, ruszył przed siebie. Anne poszła jego śladem, poprzedzana przez strażników.

Szliśmy przez zniszczoną osadę. Minęliśmy stajnie – zrównane z ziemią, dymiące, cuchnące pokaleczonymi końmi; młyn, z którego zostało więcej popiołu niż kamienia; spryskany krwią drewniany kościół – jedyny ocalały budynek.

Mężczyzna zatrzymał się przed niską kamienną chatą. Wejście zostało udekorowane wielkimi czerwonymi krzyżami, wymalowanymi krwią. Z wnętrza bił zapach jatki.

Wstrzymując oddech, weszliśmy do środka. Z ust Anne wyrwało się westchnienie.

Chata była kompletnie zdewastowana. Znajdujące się w niej meble porąbano na drzazgi, a podłogę zerwano. Mężczyznę i kobietę, obdartych ze skóry, zawieszono za ramiona. Pod huśtającymi się nogami leżały ich obcięte głowy.

Cofnąłem się z przerażeniem. Nie mogłem złapać oddechu. Widziałem podobne okrucieństwa: głowy odcięte i upieczone, ciała obdarte ze skóry. Widziałem, ale chciałem o nich zapomnieć. Cofnąłem się pamięcią do tamtych czasów: Nico, Robert... krwawa łaźnia w Antiochii. Odwróciłem głowę.

–Śmiało, księżno! Zapytaj Arnauda. – Sołtys uśmiechnął się pogardliwie. – Może on odpowie na twoje pytania.

Staliśmy przerażeni.

–Arnaud tu się urodził i ta wieś zawsze była jego domem. Był najdzielniejszym człowiekiem, jakiego znaliśmy: rycerzem na dworze w Tuluzie. Mimo to poćwiartowali go jak świnie.

Jego żonie wycięli przyrodzenie. Szukali skarbu. „Ukradzionego Bogu”, powiedzieli. Arnaud dopiero co wrócił z dalekiej wojny.

–Z jakiej wojny? – spytał Gilles. Znałem odpowiedź. Widziałem już takie okropności. Znałem odpowiedź, lecz zaniemówiłem.

–Z krucjaty – wykrztusił sołtys.

## ROZDZIAŁ 65

Po wyjściu z chaty próbowałem wyrzucić z głowy odrażającą scenę. To wszystko już widziałem. Mężczyźni i kobiety, zawieszeni za ręce i obdarci ze skóry, części ciała porozrzucane przez morderców jak śmieci.

Civetot. Antiochia. Krucjata...

Jeźdźcy przybywający pod osłoną nocy, nienoszący niczyich barw i niepokazujący twarzy. Spalone wioski, okrucieństwo.

Kto za tym stał? Baldwin? Norcross nie żył. Czyżby jego ludzie samowolnie terroryzowali wioski? Jakiego cennego skarbu szukali?

Spróbuj poskładać to razem, powiedziałem sobie. Na czym polega zagadka? Czemu nie mogę jej rozwiązać?

Krucjata... Doznałem nagłego olśnienia. Arnaud dopiero co wrócił z krucjaty, podobnie jak Ademar, o którego strasznej śmierci dowiedziałem się na dworze Baldwina. Ich wioski zostały przetrząśnięte i zniszczone – tak samo jak moja karczma.

Przeszedł mnie dreszcz. Owi jeźdźcy bez twarzy, którzy zabijali z okrucieństwem charakterystycznym dla Turków... Czy to oni zamordowali moją żonę i dziecko?

Zimny pot spływał mi po plecach. Części układanki zaczynały do siebie pasować.

Mordercy nie nosili niczyich znaków ani barw. Jedynym ich emblematem był czarny krzyż.

Nikt nie wiedział, skąd przybywają ani czego szukają.

Przypomniałem sobie to, co mi powiedział Mathieu: że ci nędznicy byli zainteresowani tylko moją karczmą – naszą własnością.

Czego ode mnie chcieli?

Nie podzieliłem się z nikim swoimi spostrzeżeniami. Podczas długiej drogi powrotnej łamałem sobie głowę nad pytaniem, co te morderstwa mogły mieć wspólnego ze mną. Przywiozłem z wyprawy kilka bezwartościowych błyskotek. Czy chodziło im o starożytną pochwę z napisem, którą znalazłem w górach?

Albo o krzyżyk, który zabrałem na pamiątkę z kościoła w Antiochii? To by nie miało sensu!

Obserwowałem jadącą z przodu Anne. Miała ściągniętą, posępną twarz, jakby walczyła z wewnętrznym wzburzeniem.

Coś było nie w porządku.

W jakim celu tu przybyliśmy? Co chciała zobaczyć?

W tym momencie przypomniałem sobie, co spowodowało, że przebiegł mnie zimny dreszcz. Mąż Anne, księżę, miał lada dzień wrócić... z krucjaty.

Anne wiedziała!

Wiedziała o dokonywanych zbrodniach!

Poczułem zimno w żołądku. Do tej pory myślałem, że to Norcross ukarał moją rodzinę za to, iż przyłączyłem się do krucjaty. Czy możliwe, że za tym kryła się Anne? Czy rozwiązania zagadki należało szukać nie w Treille, tylko w Boree?

–Błaźnie, podjedź do mnie! – zawołała Anne. – Rozwesel mnie. Opowiedz kilka historyjek.

**–Nie mogę – odparłem, udając, że jestem niedysponowany po obejrzeniu przerażających scen, co zresztą nie miało się z prawdą.**

**–Rozumiem. – Kiwnęła głową. Nie rozumiesz, pomyślałem.**

**Resztę drogi przebyliśmy w milczeniu.**

## ROZDZIAŁ 66

W ciągu następnych dni bacznie obserwowałem Anne, próbując dojść, co ją mogło łączyć z zamordowanymi rycerzami i zabójstwem Sophie i Philippe'a.

Lada dzień miał wrócić jej mąż, w związku z czym życie w Boree toczyło się w atmosferze lęku i przygotowań. Na wałach rozwieszono chorągwie, kupcy wyłożyli najlepsze towary, kasztelan ćwiczył z oddziałami powitalną musztrę. Komu mogłem zaufać?

W niedzielę rano poczekałem na Emilie, gdy wraz z innymi damami dworu wyszła z kaplicy. Napotkawszy jej wzrok, nie odwracałem oczu, dopóki jej towarzyszki nie odeszły.

–Pani – zacząłem, odprowadziwszy ją na bok. – Nie mam prawa prosić. Nie powinienem tego robić, ale potrzebuję twojej pomocy.

–Usiądźmy – powiedziała, prowadząc mnie do ławki modlitewnej w bocznej kaplicy. Siadła obok mnie i zsunęła z głowy kaptur. – Stało się coś złego, Hugues? Nie wiedziałem, jak zacząć. Szukałem właściwych słów.

–Bądź pewna, pani, że nie ośmieliłbym się zajmować cię, gdyby rzecz nie była najwyższej wagi. Wiem, że jesteś oddana całym sercem swojej pani.

Skrzywiła się.

–Możesz być ze mną całkowicie szczery. Czy nie dałam wystarczająco dużo dowodów, że ci ufam?

–Wielokrotnie, pani – przyznałem.

Odetchnąwszy głęboko, zrelacjonowałem jej koszmar wyprawy do St. Cecile. Opowiedziałem wszystko ze szczegółami: o zwęglonych szczątkach, wypatroszonym rycerzu... Słowa więzły mi w gardle, gdy opisywałem najbardziej drastyczne sceny, jakby zapisane w pamięci obrazy nie chciał zniknąć.

Opowiedziałem jej o Ademarze, o tym, co usłyszałem na jego temat na dworze Baldwina. Jeden i drugi zostali zmasakrowani, a ich wioski spalone. Obaj, podobnie jak ja, wrócili niedawno z krucjaty.

–Czemu mi o tym mówisz? – spytała, gdy skończyłem.

–Nie słyszałaś o takich wydarzeniach? Na dworze lub w otoczeniu zamku?

–Nie. To ohydne. Kto mógłby o tym rozpowiadać? – O rycerzach, którzy w tajemnicy wyjeżdżają, a potem wracają? Nie słyszałaś, żeby ktoś rozmawiał o relikwiach z Ziemi Świętej? O rzeczach tak cennych, że taki prosty błazen jak ja nie potrafi sobie ich wyobrazić?

–Ty jesteś moją jedyną relikwią z Ziemi Świętej. – Uśmiechnęła się, usiłując zmienić nastrój.

Obserwowałem, jak stara się poskładać elementy zagadki. Skąd się wzięły te bestialskie morderstwa? Dlaczego dochodzi do nich właśnie teraz?

Odetchnęła głębiej.

–Nie wiedziałam o tych morderstwach. Słyszałam tylko, że Stephan wysłał oddział żołnierzy jako forpocztę dla załatwienia pewnych spraw przed jego powrotem.

Serce zaczęło mi bić jak młot.

–Oddział żołnierzy? Są tu? W zamku?



**–Przypadkowo usłyszałam, jak kasztelan wyrażał się o nich z pogardą. On sam od lat służy wiernie księciu, natomiast ci ludzie mają na sumieniu jakieś odrażające czyny. Jest zdania, że nie są godni miana rycerzy.**

**–Co to znaczy?**

**–Nie mają honoru, powiedział. Nie są lojalni wobec nikogo. Powiedział, że powinni spać w chlewie, bo mają serca świń. Czemu mnie o nich pytasz, Hugues? – Emilie spojrzała na mnie. Zobaczyłem w jej oczach lęk i poczułem się winny, iż ją wystraszyłem.**

**–Ci ludzie czegoś szukają, Emilie. Nie wiem czego. Ale twoja pani... nie jest całkiem niewinna. To, że tych ludzi przysłał Stephan, nie znaczy, iż Anne nie wie, co oni robią.**

**–Nie wierzę w to. – Emilie się wyprostowała. – Mówisz o tym, jakby ta sprawa była dla ciebie najważniejsza na świecie. Słyszę to w twoim głosie. Czyny, o których mi opowiedziałeś, są ohydne, i jeśli popełniono je za wiedzą Stephana i Anne – oboje odpowiedzą za nie przed Bogiem. Ale czemu to cię tak zajmuje? W imię czego narażasz się na ryzyko?**

**–Nie ze względu na dobre imię Stephana ani Anne – odparłem, przetykając ślinę.**

**–Robię to dla mojej rodziny. Jestem pewny, Emilie, że ci sami ludzie zamordowali moją, żonę i dziecko.**

**Wyprostowałem się na ławce, dając czas umysłowi, żeby dopasował do siebie kawałki układanki. Przysłany wcześniej oddział żołnierzy, wykonujący polecenie księcia... powracający z krucjaty – podobnie jak Ademar, Arnaud i ja.**

**–Zapytam Anne – oświadczyła Emilie. – Jeśli ma z tymi czynami coś wspólnego, nie będę jej dłużej służyła.**

**–Nie wolno ci się zdradzić! To bezwzględni ludzie. Mor dują, nie myśląc o tym, że staną przed boskim sądem.**

**–Za późno. – Emilie popatrzyła na mnie szklanym wzrokiem. W jej oczach nie było strachu, tylko zakłopotanie. – Kiedy cię nie było, ja również coś zauważyłam.**

## ROZDZIAŁ 67

Anne wyszła do ogrodu, chcąc odetchnąć świeżym powietrzem. Spacerowała wśród labiryntu żywopłotów pod balkonem, gdy nagle usłyszała czyjeś skradające się kroki. Powiew wiatru przyniósł odrażający zapach. Odwróciwszy się, ujrzała go tuż za sobą.

Był ogromny, twarzy miał pełną blizn po ranach bitewnych, lecz nie dlatego zaczęła drżeć. Sprawilo to nieobecne spojrzenie i utkwionych w jej twarzy oczu – ciemnych, nieruchomych plam. Głowę miał głęboko schowaną pod ciemnym kapturem na którym widniał mały, czarny krzyż.

–Nie w kościele, rycerzu? – Popatrzyła nań gniewnie w jej słowach można było wyczuć ironię.

–Nie martw się o mnie – odpowiedział jej zimny głos. – Służę Bogu na własny sposób.

Przyszedł do niej opętany najdzikszym okrucieństwem. Był rycerzem, który okrył się hańbą. Chodził w łachmanach. Mimo tych wszystkich okoliczności musiała z nim współdziałać.

–Muszę się o ciebie martwić, Morgaine – rzekła pogardliwie – bo jestem pewna, że będziesz się smażył w piekle. Stosujesz szatańskie metody, sprzeczne z celem, który chcesz osiągnąć.

–Niech się smaży, pani, jeśli dzięki temu inni będą mogli spocząć u boku Boga. Może nawet ty...

–Nie pochlebiaj sobie, że jesteś Jego namiestnikiem.

Anne uśmiechnęła się szyderczo. – Ciarki mnie przechodzą na myśl, że działasz na polecenie mojego męża.

Uklonił się, nie czując urazy.

–Nie martw się o moje działania, księżno. Przyjmij do wiadomości, że wszystko toczy się pomyślnie.

–Zobaczyłam tę pomyślność na własne oczy, rycerzu.

Zmrużył oczy.

–Pojechałaś tam, pani?

–Zobaczyłam, co zrobiłeś w St. Cecile. Nawet bestie z piekła rodem powstydzilyby się takiego okrucieństwa. Widziałam zgliszczą tej wioski.

–Dzięki temu mieszkańcy znaleźli się bliżej Boga.

–Bliżej Boga? – Przystąpiwszy do niego, spojrzała w jego przepastne oczy. – A ten rycerz, Arnaud? Obdarliście go ze skóry.

–Nie mogliśmy go złamać, pani.

–A dzieci... ich też nie mogliście złamać? Powiedz, Morgaine, jaka jest cena spalenia żywcem niewinnych dzieci?

–Taka, pani – odparł beznamiętnie zakapturzony rycerz.

Sięgnawszy pod opończę, wyjął mały drewniany krzyż, wielkości dłoni. Wsunął go delikatnie Anne w rękę.

Zaparło jej dech w piersiach, choć w pierwszym odruchu chciała nań napluć i cisnąć go w krzaki.

**–Ten prosty przedmiot przebył daleką drogę, pani. Z Rzymu do Bizancjum. Ma tysiąc lat – a teraz jest u ciebie. Przez trzysta lat spoczywał w trumnie ucznia naszego Pana, świętego Pawła, dopóki jego grób nie został odkopany przez cesarza Konstantyna. Krzyż ten zmienił bieg historii. – Przez twarz rycerza przemknął przelotny uśmiech. – Dlatego, łaskawa pani, nie potrzebuję, żebyś się za mnie modliła.**

**Anne trzymała relikwię w drżącej dłoni. Poczowała suchość w ustach.**

**–Mój mąż bez wątpienia to doceni – powiedziała. – Jednak zapewne zdajesz sobie sprawę, że to tylko przystawka przed daniem, na którym mu zależy. Jak przebiegają poszukiwania właściwej relikwii?**

**–Dobrze, pani. Szukamy jej. – Rycerz pokiwał głową.**

**–Radzę wam, pospieszcie się. Wszystko inne to tylko dekoracja. Nawet to jest zaledwie drobiazgiem w porównaniu z tamtą relikwią. Stephan jest w Nimes, o parę dni drogi stąd. Jeśli się dowie, że go zawiedliście, twoja głowa zostanie zatknięta na palu.**

**–Więc będę się uśmiechał, pani, żeby dobrze wyglądała. – Z pewnością ja będę się bardziej śmiała, Morgaine... – Anne owinęła się płaszczem i skierowała w stronę zamku -... wiedząc, że smażyysz się w piekle.**

## ROZDZIAŁ 68

Mimo poszukiwań nie trafiłem na ślad okrutnych rycerzy ani nikogo, kto by coś wiedział o ciemno odzianych, tajemniczych mieszkańcach zamku. Nie udało mi się również dostać do kwater żołnierzy. Czasu zostało niewiele. Lada dzień miał wrócić Stephan.

Po jego powrocie rozpytywanie się będzie zbyt niebezpieczne.

Dwa dni później grałem w bierki z Guillaume'em, synem Anne, gdy przyszła Emilie i odwołała mnie na stronę. Zauważyła, że byłem przygnębiony.

–Nie martw się, Hugues! – Uśmiechnęła się. – Mam dla ciebie zadanie. Stwarza nowe możliwości.

Powiedziała, że wieczorem odbędzie się przyjęcie w kasztelu.

Gilles, dowódca straży, w najbliższych dniach miał wziąć ślub.

Na uroczystości będą rycerze, nobile i członkowie straży. Nie obejdzie się bez toastów i pijatyki. Krótko mówiąc: ich czujność będzie osłabiona.

–Będziesz ich zabawiał – oświadczyła.

–Okazuje się, że masz duże zdolności do załatwiania takich rzeczy. Znów jestem ci winien podziękowanie.

–Najlepiej mi podziękujesz, odnajdując to, czego szukasz – odparła, dotykając mojej ręki. – Bądź ostrożny, Hugues.

Zależy mi na tym.

Wieczór upływał w atmosferze niewybrednych śpiewów i picia. Kamraci Gilles'a kolejno wstawali i wygłaszali sprośne toasty, dopóki język im się nie poplątał. Potem zwałali się na ławy. Ja miałem być przedostatnim aktem zabawy, zanim zaciągną Gilles' a do domu rozpusty.

Zacząłem od prostych sztuczek, których nauczył mnie Norbert. Pijani patrzyli z podziwem, kiedy wyciągałem im z kaftanów różne przedmioty. Równocześnie błądziłem wzrokiem po sali, rozglądając się za owymi zhańbionymi rycerzami.

Potem przeszedłem do dowcipów.

–Znam mężczyznę – powiedziałem, stając u szczytu stołu przed przyszłym panem młodym – którego przyrodzenie bezustannie sterczy.

–Pochlebiasz mi. – Gilles udał, że się rumieni. – Ale i czy powinieneś zdradzać publicznie mój sekret?

–Próbowałem, jak mógł – ciągnąłem – jednak nie udawało mu się w żaden sposób sprawić, żeby jego przekłety członek opadł. W końcu poszedł do miejscowego zielarza. Zastał tam zachwycającą młodą kobietę. „Chciałbym porozmawiać z twoim ojcem” – powiedział do niej mężczyzna z problemem. „Mój ojciec nie żyje – odparła. – Gospodaruję tu razem z siostrą.

Cokolwiek masz do powiedzenia mężczyźnie, możesz opowiedzieć nam”. „Dobrze – zgodził się. Czując pilną potrzebę, ściągnął rajtuzy. – Popatrz, ciągle stoi.

Jak u konia rozplodowego. Potrafisz coś na to poradzić?”. „Hmm... – Zielarka się zamyśliła. – Pójdę naradzić się z siostrą. – Po minucie wróciła, niosąc małą sakiewkę. – Co powiesz na sto złotych monet i połowę interesu?”. Rozległ się ryk śmiechu.

–Opowiedz następny...

Zacząłem następny dowcip – o księdzu i gadającym kruk – gdy nagle na zewnątrz dał się słyszeć przenikliwy krzyk i tętent wstrzymywanych koni. Po sekundzie następny krzyk:

–Boże, pomóż mi! Mordują mnie!

Pijacki śmiech ucichł. Część uczestników przyjęcia pospieszyła do okien wychodzących na dziedziniec, ja wraz z nimi. Przez wąską szczelinę zobaczyłem dwóch mężczyzn wlokących za ramiona trzeciego.

Poznałem ich od razu. Mieli na głowach hełmy z przyłbicami, a u pasów miecze bojowe. Wyglądali dokładnie tak, jak ich opisała Emilie. Nie mieli zbroi, tylko opończe, a na nogach sandały.

Więzień krzyczał, wzywając pomocy. Jego wołanie odbijało się echem od kamiennych ścian.

W pewnej chwili ujrzałem jego twarz. Zmartwiałem z przerażenia.

To był sołtys St. Cecile, który zaledwie przed paru dniami rozmawiał z Anne.

Wlekli biedaka w stronę lochów.

–Kim są ci ludzie? – spytałem któregoś ze stojących obok mnie żołnierzy.

–Te psy? Nowi wspólnicy interesów księcia, Les Retournes...

–Retounes...? – bąknąłem.

Patrzyłem za nimi i biednym sołtysem, dopóki nie zniknęli za ciężkimi drewnianymi wrotami. Rozpaczliwe krzyki więźnia rozplynęły się w ciemnościach nocy.

–To nie nasze zmartwienie. – Kasztelan Bertrand odetchnął. Odszedł od okna. – Chodź, Gilles, ślicznotki w mieście czekają. Ostatni raz zakosztują twojego miecza.

Serce biło mi jak oszalałe. Musiałem za wszelką cenę porozmawiać z sołtysem St. Cecile. Mógł wiedzieć, dlaczego mordowano rycerzy i palono wioski. Les Retournes... Miałem wrażenie, że gdzieś już się z nimi zetknąłem.

Ale gdzie?

## ROZDZIAŁ 69

Następnego wieczoru, dobrze po zmierzchu, zlałem po cichu z materaca i ukrywając w rajtuzach nóż, wymknąłem się z izby. Norbert chrapał w swoim łóżku.

Schodami na tyłach kuchni wspiałem się na parter. Chcąc się dostać do wojskowego skrzydła, musiałem przejść przez cały zamek, tłumacząc się przed wszystkimi, których spotkałem po drodze. Ale cóż – nie bez powodu zostałem błaznem.

W korytarzach było ciemno i hulały przeciągi; cienie od dogasających świec tańczyły po ścianach. Wszedłem przez wielkie drzwi do największej sali. Kilku rycerzy siedziało jeszcze przy stołach, pijąc i rozmawiając, podczas gdy inni, mający już dość, chrapali zwinęci na swoich płaszczach. Od i czasu do czasu spotykałem wartownika, lecz żaden mnie nie zatrzymał. Byłem przecież błaznem ich pani.

Zamek miał kształt kanciastej podkowy z arkadą kamiennych łuków wokół dziedzińca. Na wprost znajdował się garnizon księcia, kwatery rycerzy oraz zbrojownia i więzienie. Przemierzywszy bez przeszkód cały parter, wyszedłem na zewnątrz. W świetle księżycy majaczyła wysoka wieża, do której tajemnicze oprychy zaciągnęły więźnia. Pobiegłem do niej i wśliznąłem się do środka. Byłem wprawdzie w wieży, lecz nie miałem pojęcia, dokąd pójść ani kogo mogę spotkać.

Oddychałem płytko, żołądek podchodził mi do gardła.

Wspinając się po schodach, poczułem drażniący zapach, który z każdym piętrem się nasilał. Znałem go aż nadto dobrze. Zapach śmierci.

Na trzecim piętrze wejścia do korytarza pilnowali dwaj strażnicy. Jeden z nich, wysoki, sprawiał wrażenie leniwego, drugi, o złośliwych oczach, był niski i krępy. Nie wyglądali na elitarny oddział księcia. Zwykli żołnierze, zmuszeni nocą pilnować kilku zatraconych dusz.

–Pomyliłeś drogę, truskaweczko?. – warknął ten o złośliwych oczach.

–Jeszcze tu nigdy nie byłem. Mogę zerknąć, co tam jest dalej? – spytałem.

–Koniec wycieczki. – Zagroził mi drogę. – Wracaj, skąd przyszedłeś.

Zbliżyłem się do niego, patrząc mu intensywnie w oczy. Uczyniłem ruch, jakbym wyciągał mu coś z ucha, po czym otworzyłem pięść i pokazałem długi jedwabny szal.

–Nie bądź takim służbistą. Nawet potępiona dusza ma prawo do ostatniego uśmiechu.

Ku mojemu zadowoleniu prostak wyciągnął rękę i pomacał szal. Wziął go do ręki, po czym – zajrzawszy w głąb korytarza – ukrył za pazuchą.

–Nic tam nie ma poza ospą – powiedział. – Jedno spojrzenie, a potem wykuglujesz stąd swoją dupę, tam gdzie jej miejsce.

–Dzięki ci, panie – zagdakałem jak kura. – Życzę ci sztywnej męskości do końca życia.

Wszedłem do korytarza za jego plecami, a potem schodami na górę. Zapach zgnilizny aż mnie zatykał. Zobaczyłem przed sobą rząd wąskich cel. Prosiłem opatrność, żeby człowiek, którego szukam, był w jednej z nich.

Miałem nadzieję, że sołtys St. Cecile jeszcze żyje.

## ROZDZIAŁ 70

Wszedłem do piekielnej czeluści. Więzienie było zimne i wilgotne. Migocąca pochodnia rzucała słabe światło na cele. Były ciasne jak trumny, wysokości nieprzekraczającej czterech stóp, zamknięte zardzewiałymi żelaznymi kratami.

Więźniowie leżeli na podłodze zwinięci jak psy.

Gnany potwornym odorem i lękiem, iż zjawią się strażnicy, przeglądałem w pośpiechu lochy, szukając mężczyzny, którego Ubiegłej nocy wleczono do wieży.

Modliłem się, żeby jeszcze tu był.

Na podłodze pierwszej celi leżał na plecach, we własnych odchodach, chudy jak szkielet, nagi człowiek o długiej, czarnej brodzie. W następnej ogromny, śniady mężczyzna, wyglądem przypominający Turka, kulił się pod wytartą białą opończę.

Żaden z nich nawet nie podniósł wzroku. W celach cuchnęło. Spostrzegłem szczura, który wyjadał z miski resztki pożywienia.

W trzeciej znalazłem człowieka, którego szukałem. Sołtys St. Cecile leżał zwinięty w kłębek. Twarz i ramiona miał pokryte ranami i strupami.

Przestraszyłem się, że już nie żyje.

–Panie... – Podeszedłem do kraty. Musiałem się dowiedzieć, czego szukali ci ciemno odziani rycerze. W jakim celu zrównali z ziemią całą wioskę? Jaki skarb był wart życia tylu ludzkich istot?

Przysunąłem się jak najbliżej.

–Odezwij się, błagam..., – szepnąłem. Czy mnie pozna? Czy mi odpowie?

Nagle w sąsiedniej celi usłyszałem jękliwe zawodzenie. Zajrzawszy do niej, ujrzałem straszliwą postać – kobietę o trupio bladej skórze i włosach koloru zgniłych konopi. Mruczała pod nosem jak obłąkana czarownica. Ciało miała pokryte ropiejącymi ranami.

Wzdrygnąłem się z obrzydzenia. Przerażające! Jakiejż herezji musiała się dopuścić, iż kazano jej gnąć w takich warunkach?

Wróciłem do sołtysa. Czas naglił.

–Pamiętasz mnie, panie? Spotkaliśmy się w St. Cecile – szepnąłem.

Wiedźma bełkotała coraz głośniej.

–Szzsz... – odezwałem się do niej. Nagle przeszył mnie zimny dreszcz.

Dotarły do mnie słowa, które wymrukiwała w kościste dłonie... najpierw cicho, niemal niesłyszalnie, potem głośniej. Boże! Nie wierzyłem własnym uszom:

–Dziewczyna poznała wędrowca, świecił księżyc, pachniały bzy...

## ROZDZIAŁ 71

Serce tłukło mi się w piersi jak oszalałe. To nieprawda! Tak się nie mogło stać!  
Nie! Nie!

Pognałem do jej celi i przywarłszy do prętów, wytężyłem wzrok, chcąc dojrzeć w mroku rysy kobiety.

Żadne z moich życiowych doświadczeń nie zdołało przygotować mnie na taki widok... Ani obraz Nica, wyslizgującego się z mojego uchwytu, ani biednego Roberta, spoglądającego na własne ciało na moment przedtem, nim przecięto go na pół, ani nawet Turka, stojącego nade mną z podniesionym mieczem.

Miałem przed oczami moją żonę.

–Sophie...? – zdołałem wyszeptać. Reszta słów uwięzła mi w gardle.

Nie zareagowała.

–Sophie! – krzyknąłem. Czułem, że pęka mi serce. Część mnie modliła się, żeby się nie odwróciła.

Podniosła głowę i spojrzała na mnie.

–Sophie, czy to ty?

Leżała skulona w mroku, a ja nadał nie byłem pewny, czy to ona. Skąpe światło pobliskiej pochodni padało na jej kościstą twarz. Włosy, niegdyś koloru miodu, teraz białe, zwisały w strąkach z miejscami wyłysiałej głowy. Ze szklistych, zapadniętych oczu wypływała żółta ropa. Ale nos i miękka linia podbródka, wychylającego się z delikatnej szyi, były te same, choć w tej chwili kobieta ta przypominała ludzki wrak, pokryty wrzodami po ospie.

To ona! Byłem pewny.

–Sophie! – krzyknąłem, próbując dosięgnąć jej rękami przez pręty.

W końcu zareagowała na głos, po jej ziemistej twarzy przemknął błysk zrozumienia. Nie mogłem uwierzyć w to, na co patrzyłem. Dlaczego tu się znalazła? Jak to możliwe, że po tak długim czasie jeszcze żyła?

Łzy współczucia nabiegły mi do oczu. Wyciągnąłem ku niej rękę ku jej wychudłemu ciału, okrytemu brudną szmatą. Próbowałem do niej mówić, lecz nie mogłem wydobyć z siebie głosu. To była Sophie, a co najważniejsze żyła. Tego jednego byłem pewny.

–Sophie... spójrz na mnie... To ja, Hugues.

Powoli podniosła twarz ku światłu. Wymizerowana, upiorna., pokryta dziobami wyglądała jak karykatura pięknego obrazu, który przez cały czas miałem w pamięci. Oczy jej rozbłysły na dźwięk mojego głosu, lecz najwyraźniej płomyk życia w niej dogasał. Nie byłem pewny, czy mnie poznała.

–Musimy im to oddać – powiedziała nagle. – Błagam cię, oddaj im ich własność.

–Sophie, popatrz na mnie. To ja, Hugues. – Teraz już krzyczałem. Co oni jej zrobili? Ogarnął mnie gniew. Widziałem., jak cierpi, i współczułem jej. – Ty żyjesz! Dobry Boże, ty żyjesz... – Łzy popłynęły mi po policzkach.

–Hugues...? – Zamrugnęła powiekami, po czym niemal się uśmiechnęła. – Hugues wróci. Jest na Wschodzie, walczy... Ale wróci, syneczku. Obiecał mi.

–Nie, Sophie, jestem tutaj. – Próbowałem dosięgnąć jej twarzy, lecz była za



daleko. – Błagam, zbliż się do mnie. Chcę cię objąć. – Boże, spraw, żebym mógł ją objąć!

–Zmartwi się z powodu karczmy – mruzczała dalej.

Ale wybaczy mi, zobaczysz. Na pewno mi wybaczy.

–Wydobędę cię stąd. Wiem, co się stało z Philippe'em i z karczmą. – Serce mi pękało. – Proszę, zbliż się do mnie. Chcę cię przytulić.

Podczołgała się odrobinę w kierunku, skąd dochodził głos.

Miała szkliste oczy, a policzki rozpalone od gorączki. Była śmiertelnie chora.

Chciałem ją tylko przytulić. Boże, jak bardzo chciałem ją przytulić!

Zamrugła oczami jak przestraszona łania i przywarła do ściany.

–To ty, Hugues...? – szepnęła.

–Sophie, to ja... To ja, najdroższa. – Szeptem wyrecytowałem słowa naszej ballady: – Dziewczyna poznała wędrowca, świecił księżyc, pachniały bzy...

–Musisz im to oddać – powtórzyła. – Mówią, że to ich własność. Powiedziałam im: „Hugues wróci i mnie odnajdzie”. Obiecali zwrócić nam Philippe'a, chcą tylko, żebyś im oddał to, co do nich należy.

Przyczółgała się bliżej, a ja wziąłem ją w ramiona. Głaskałem ją po twarzy, otarłem pot z zapadniętych policzków. Była dla mnie najdroższą istotą na świecie, tym droższą, że bardzo chorą.

–Chcą tego, co należy do Boga. – Zaniósł się kaszlem. – Błagam cię, zwróć to.

–Co mam im zwrócić? – krzyknąłem. O co jej chodziło? Nie wiedziałem, czy to gorączka, czy objaw obłądki. Nie byłem nawet pewny, czy Sophie zdawała sobie sprawę, z kim rozmawia.

Raptem wyrwała się z moich ramion i odczołgała pospiesznie w mrok. Poczułem, że serce mi zaraz pęknie. Jej oczy, rozszerzone strachem, patrzyły gdzieś obok mnie.

Odniosłem wrażenie, jakby wszystko, co kochałem, wysliznęło mi się z rąk na zawsze.

W następnym momencie zorientowałem się, co spowodowało, że uciekła. Serce we mnie zmarło.

Za moimi plecami stał ciemno ubrany rycerz, jeden z siepaczy księcia.

## ROZDZIAŁ 72

Poznałem w nim jednego z dwóch, którzy poprzedniej nocy zawlekli sołtysa do więzienia.

Do wytartej opończy miał przypasany miecz. Spod nasuniętego na głowę kaptura patrzyły na mnie dwie czarne jaskinie oczu. Stał, ująwszy się pod boki, i śmiał się szyderczo.

–Śmiało, błaznie, zerznij ją. – Wzruszył ramionami. – Dziwka nie będzie się broniła. I tak nie przeżyje następnego tygodnia. Uważaj tylko, żeby twój fiut nie zaraził się ospą.

Spojrzałem na jego wykrzywioną drwiną twarz. Poczulem głuchą wściekłość, jakiej jeszcze nigdy w życiu nie zaznałem, a wraz z nią niepohamowaną, zwierzęcą siłę.

Złapałem żelazny pogrzebacz leżący obok mnie na podłodze.

W mojej wyobraźni owa szczerząca zęby kanalia symbolizowała wszelkie okrucieństwa, które znieśli moja żona i dziecko, wszelkie cierpienia i straty, których doznałem od chwili, gdy wyruszyłem na krucjatę. Mój świat został wywrócony do góry nogami.

Z dzikim okrzykiem rzuciłem się na niego. Mierzyłem pogrzebaczem w głowę, nie zdążył wyciągnąć miecza. Zaskoczony zasłonił się ramieniem. Uderzenie zgruchotało mu kość, czemu towarzyszył makabryczny trzask.

Zawył z bólu i zrobił krok wstecz, ręka zwisała mu bezwładnie. Okładałem go w dzikim zapamiętania, nie ustając ani na moment; miałem przed sobą tylko jeden cel – rozwalić mu czaszkę.

Przyparłszy go do prętów celi, uderzyłem kolaniem w krocze.

Jęknął i zgiął się wpół, wówczas wbiłem mu pogrzebacz w szyję.

–Dlaczego? – warknąłem mu prosto w twarz. Rycerz krztusił się, oczy wyszły mu z orbit, rozglądał się, wypatrując pomocy. – Dlaczego ona tu się znalazła?

Z ust wyrwał mu się nieartykułowany okrzyk, lecz zaślepiiony furią nie czekałem na odpowiedź. Jeszcze mocniej nacisnąłem pręt. Czułem wzbierającą we mnie żądzę mordy, nad którą nie mogłem zapanować.

–Kim jesteś? – wrzasnąłem mu w twarz. – Skąd pochodzisz? Po co ją tu przywlokłeś? Dlaczego zabiłeś mojego syna?

Wciskając mu pręt w gardło, żeby pozbawić go tchu, powoli kciukami ścigałem mu kaptur. Kiedy się zsunął, oczy stanęły mi w ślup na widok przerażającego piętna na szyi.

Czarny krzyż bizantyjski.

Czas się nagle cofnął. Znalazłem się o tysiąc mil od Boree, w Ziemi Świętej.

Przed oczami stanęły mi okropności tamtej wojny.

Ci oprawcy to byli Tafurowie.

## ROZDZIAŁ 73

Cofnąłem się osłupiały. Nasze spojrzenia się spotkały i to było jak wzajemne przekazanie sobie straszliwej prawdy. Dostrzegłszy moje zaskoczenie, wbił mi rękę w twarz. Przycisnąłem pogrzebacz jeszcze mocniej, aż usłyszałem trzask kości. Zrobił ostatnią, rozpaczliwą próbę stawienia oporu, oczy wylazły mu na wierzch, a z ust popłynął strumień krwi. W następnej chwili ugięły się pod nim nogi. Kiedy go puściłem, zwałił się na brudną podłogę i znieruchomiał.

Stałem, dysząc ciężko. Znów cofnąłem się pamięcią. Tafurowie... Widziałem, jak w obskurnych namiotach znęcają się nad jeńcami. Widziałem, jak zarżnęli Turka, który mnie oszczędził, a potem rzucili się do krypty w poszukiwaniu łupów, jak hieny, na padlinę. Co robili w Boree? Czego chcieli ode mnie? I od Sophie?

Nagle usłyszałem okrzyki, w celach zapanowało ożywienie. Więźniowie dzwonili w pręty krat.

Czasu było mało, a ja musiałem uwolnić Sophie. Obmacałem gorączkowo ciało Tafura w poszukiwaniu klucza, lecz nie go znalazłem.

Rozejrzałem się po więzieniu. Gdzie mógł być klucz? Wróciłem do celi Sophie, chcąc jak najszybciej powiedzieć, iż pomogę jej uciec, lecz widok żony przyprawił mnie o dreszcz zgrozy.

Twarz miała białą jak kreda. Opierała się o pręty kraty, a jej oczy, przed chwilą oszalałe ze strachu, teraz były spokojne i nieobecne. Wydawało się, że nie oddycha.

O Boże, nie,...!

Schyliwszy się, ująłem w dłonie jej twarz.

–Sophie, nie odchodź. Zostań ze mną. Nie możesz teraz umrzeć.

Zamrugła powiekami. W jej oczach błysnęła iskierka życia.

–Hugues...? – spytała szeptem.

–Tak, Sophie... to ja. – Wytarłem jej twarz z potu. Skórę miała zimną jak lód.

–Wiedziała, że wrócisz – odrzekła, co mnie w końcu upewniło, iż mnie poznała.

–Przepraszam cię za wszystko, Sophie. Wydostanę cię stąd. Obiecuję ci.

–Mieliśmy syna – powiedziała i rozplakała się.

–Wiem. Wiem o wszystkim. – Poglaskałem ją po policzku.

–Miał na imię Philippe. Wspaniały chłopak.

Rozpaczliwie myślałem nad tym, jak mógłbym jej pomóc.

–Zaraz tu będą strażnicy. Pójdę poszukać drogi ucieczki. Poczekaj na mnie,

Sophie, proszę.

Proszę!

Uścisnąłem jej rękę przez kraty.

–Zabiorę cię do domu – szepnąłem. – Będę ci zrywał słoneczniki. Będę ci śpiewał ballady.

Kąciki jej ust drgnęły, lecz dopiero po dłuższej chwili zaczęła znów oddychać. Zobaczyłem, że się uśmiecha... łagodnie, bez lęku.

–Nigdy nie zapomniałam, Hugues. – Mówiła cicho z przerwami, tak wolno, że mógłbym słowa scałowywać z jej warg: – Dziewczę poznało wędrowca...

–Tak – rzekłem – a ja byłem ci wierny od pacholęcia.

**–Kocham cię, Hugues – szepnęła. Nagle szarpnęła się w moich ramionach. Poczulem, że jej serce bije szalonym rytmem. Szeroko otwarte oczy patrzyły nieruchomo.**

**Nie wiedziałem, co począć. Trzęsła się konwulsyjnie, a ja nie mogłem jej pomóc mogłem jedynie trzymać ją w objęciach.**

**–Kocham cię, Sophie. Nigdy nie kochałem żadnej innej kobiety. Wiedziałem, że cię odnajdę. Nie mogę sobie wybaczyć, że cię zostawiłem.**

**Słabnącą ręką chwyciła mnie za kaftan.**

**–Hugues... nie...**

**–Co nie, Sophie?**

**Ostatnim tchnieniem szepnęła:**

**–Nie daj im tego, czego żądają.**

## ROZDZIAŁ 74

Tak oto moja Sophie umarła w lochu. Odeszła cicho, ze spokojem w oczach. Zachowała na ustach cień uśmiechu, może dlatego, że w końcu wróciłem, tak jak przyrzekłem.

Łzy płynęły mi po policzkach. Chciało mi się krzyczeć. Dlaczego musiała umrzeć? Dlaczego ona?

Złapałem martwego Tafura za kołnierz i rzuciłem nim o kratę.

–Dlaczego, ty ścierwo? Powiedz, o czym ona mówiła? Czemu zabiłeś mi syna?

Dlaczego umierają niewinni ludzie?

Siadłem na ziemi i ukryłem twarz w dłoniach.

Chciałem zabrać Sophie do domu. O niczym innym nie mogłem teraz myśleć.

Chciałem pochować żonę obok syna. Byłem jej to winien. Ale jak to zrobić? Obok mnie leżał trup Tafura. Lada moment mogli nadejść strażnicy. Nie umiałem nawet otworzyć celi.

Po chwili zacząłem trzeźwo myśleć: Sophie umarła, a ja W obecnej sytuacji nic nie mogłem dla niej zrobić. Może z wyjątkiem jednego, cokolwiek to znaczyło.

„Nie daj im tego, czego żądają”.

Przeszukałem korytarz i znalazłszy w jakimś kącie kawałek wytartego sukna, wróciłem i podłożyłem jego róg pod głowę Sophie, a resztą przykryłem ciało, jakby zasnęła w łóżku w naszym domu, choć wiedziałem, że już nic nie zakłóci jej snu. Spojrzałem z miłością ostatni raz na żonę, która była dla mnie wszystkim od czasu, gdy mieliśmy po dziesięć lat. Wrócę po ciebie, przyrzekłem jej. Zabiorę cię do domu.

Zbiegłem chwiejnie po kamiennych schodach i minawszy znudzonych strażników, wróciłem przez labirynt ciemnych korytarzy zamku do mojej izby.

Nie mogłem znaleźć odpowiedzi na pytanie: Co ona tu robiła? To nie był sen – moja żona nie żyła! Szczęła jak chory pies. Świadomość, że to się stało tu, w Boree, tkwiła mi w mózgu. Nie powinienem jej zostawiać. Walczyłem z rozsądkiem, pragnąc wrócić po nią do celi, zabrać z sobą i zawieźć do domu. Ale nie miałem na to najmniejszej szansy.

Wśród chaosu myśli przyszło mi do głowy coś, co należało zrobić. Musiałem zmienić obiekt zemsty. Teraz już wiedziałem, kto się za tym wszystkim krył.

Źródło zła było nie w Treille, tylko tu. Anne!

W szale wściekłości pospieszyłem z powrotem w stronę książęcych komnat. Jeszcze nie wszczęto alarmu. Wartownicy, których spotykałem po drodze, uśmiechali się znacząco: śmieszny błazen, który pewnie wypił o kufel za dużo, teraz wraca do siebie, żeby to odespać. W głowie kołatała mi tylko jedna myśl Anne wiedziała.

Wspiąłem się po schodach prowadzących do jej komnat. Na piętrze trzymali straż dwaj wartownicy. Popatrzyli po sobie z niemym pytaniem: Cóż złego mógłby zrobić błazen jej książęcej mości? Pozwolili mi przejść – jak zawsze. Książęce komnaty mieściły się w głębi korytarza. Następny wartownik zagroził mi drogę.

Tafur!

–Hola, błaznie, wynocha stąd – warknął.

**Zauważyłem błyszczący topór, wiszący na ścianie nad tarczą herbową. Nie wdając się w dyskusję, zjąłem broń z haka i rzuciłem się na strażnika, całkowicie go zaskakując. Włożyłem w uderzenie całą siłę. Ostrze trafiło go w podstawę szyi, odrąbując niemal całkowicie jedną stronę tułowia. Wydawszy nieartykułowany jęk, padł martwy na posadzkę. Zabiłem jednego z osobistych strażników Anne!  
Jednego z jej Tafurów.**

## ROZDZIAŁ 75

Usłyszałem z tyłu krzyki, męskie głosy wołały na alarm.

Rzuciłem się jak szalony przed siebie. Gdzie jest Anne?

Miałem tylko jedno pragnienie: usłyszeć z jej ust prawdę, nawet za cenę życia.

Dwaj strażnicy piętra biegli za mną z obnażonymi mieczami.

Zaryglowałem za sobą ciężkie drzwi. Znalazłem się w książących komnatach, w których jeszcze nigdy nie byłem.

Zdawałem sobie sprawę, że już z nich nie wyjdę. Liczyłem się z tym, że lada chwila ktoś mi wbije miecz w plecy i skończę życie w kałuży krwi, ale to było mniej ważne.

Najważniejsze było zadać mojej pani pytanie: Dlaczego?

Wpadłem do jej dalszych apartamentów. Sypialnia. Drewniany, rzeźbiony stół z misą na wodę, na ścianach arrasowy ogromny dębowy łożo z baldachimem, największe, jakie w życiu widziałem. Ale... pusto! Nikogo w nim nie było.

–Przeklinam cię! – krzyknąłem w krańcowym rozgoryczeniu. – Dlaczego moją rodzinę? Dlaczego nas? Niech mi ktoś odpowie!

Stałem, nie wiedząc, co dalej robić. Zobaczyłem swoje odbicie w lustrze: błazeński kostium... krew na twarzy... Dlaczego, dlaczego, dlaczego?

Nagle otworzyły się drzwi, obok których stałem. Chwyciłem za rękę noża, spodziewając się Anne lub kogoś z jej Tafurów.

Jednak to nie było żadne z nich.

Przez moment miałem wrażenie, że budzę się z omdlenia, jak wówczas przy drodze do Treille, a wszystkie rzeczy, które wydarzyły się później – Norcross, St Cecile, śmierć Sophie – są elementami snu; koszmarami, które można wymazać czułym słowem.

Przede mną stała Emilie.

Ujrawszy mój poplamiony krwią kostium, westchnęła.

–Boże, co ci się stało?

## ROZDZIAŁ 76

–Sophie nie żyje – szepnąłem.

Przez chwilę patrzyła na mnie jak sparaliżowana. Potem podeszła, chcąc mnie pocieszyć.

–Co się stało? Opowiedz.

–Cały czas więzili ją ludzie księcia. Sophie była tutaj... Nie w Treille, u moich wrogów, ale tu, w wieży, u moich przyjaciół.

–Niemożliwe.

–Możliwe, Emilie. Taka jest prawda. – Oparłem się o ścianę. – Nie mam już co grać. Nie trzeba mi więcej przebrania. To już koniec.

Z korytarza dochodziły krzyki, dobijano się do zaryglowanych przeze mnie drzwi. Jakże ohydnie musiałem wyglądać. Podarte odzienie, lepkie od krwi, spojrzenie szaleńca.

–To Anne – wykrztusiłem. – Jestem pewny, że to ona stoi za tym wszystkim. Muszę się dowiedzieć, dlaczego pozwoliła tym oprawcom wykończyć moją rodzinę.

Gwardia Stephana... – Roześmiałem się kpiąco. – To nie są rycerze Emilie. To hieny Ziemi Świętej. Najniższa kategoria rzezimieszków Nawet Turcy uciekali przed nimi w popłochu. Polują na relikwie i łupy. Dlatego zostali zamordowani ci dwaj rycerze. Ale czemu moja rodzina... nic nie mieliśmy.

Hałas na korytarzu się wzmagił. Ludzie Anne próbowali sforsować drzwi. Emilie ścisnęła mi ramię.

–Nie mówmy o tym teraz. Anne nie ma w zamku. Wyjechała na spotkanie z mężem do La Thanay. Chodź ze mną.

–Za późno. Czas protekcji się skończył. Pozostaje mi tylko stawić czoło jej ludziom.

Zbliżyła twarz do mojej, tak że czułem na policzku jej oddech.

–Jeśli za tym kryje się Anne, to niezależnie od tego, co zrobiłeś, uczynię wszystko, żeby sprawiedliwości stało się zadość. Ale teraz musisz uciekać.

Nieżywemu nie będę mogła pomóc.

Wyszliśmy pospiesznie z sypialni wąskim korytarzem między komnatami książęcymi.

Wprowadziła mnie do małego pokoju i szybko zamknęła drzwi na klucz. Widziałem, że się boi, dlatego byłem pełen uznania dla jej odwagi.

Przeszukawszy szufladę, wyciągnęła z niej gruby, brązowy płaszcz, który przy bliższych oględzinach okazał się mnisim habitem.

–Weź to... Przygotowałam go dla ciebie, przewidując, że w którymś momencie umożliwi ci wejście do wieży. Włóż go. Gapiłem się na habit zmieszany, a zarazem uradowany, że Emilie pomyślała o mnie.

–Teraz idź. Oni przeszukają wszystkie pomieszczenia. Przyślij mi wiadomość przez Norberta. Wiedz, że masz tu przyjaciół. Chwilę później nie byłem już błaznem, tylko mnichem w nasuniętym na głowę kapturze.

–Kolejne przebranie. – Emilie się uśmiechnęła. Zaczerpnąłem głęboko tchu.



**Boję się, że trudniej mi przyjdzie zostać mnichem niż błaznem. Więc sprawdźmy to – powiedziała Emilie. Przyciągnęła mnie za kołnierz i ku mojemu zdumieniu krótko pocałowała w usta. Serce przestało mi bić. Miętkość jej warg, śmiałość gestu... Zesztywniały mi kolana, oddech w piersi zamarł. Byłem zdumiony własną reakcją. Kręciło mi się w głowie. Spojrzała mi głęboko w oczy.**

**–Wiem, jaki czujesz ból. Wiem, że każda część ciebie krzyczy, żeby pomścić żonę i dziecko. Jest w tobie coś wyjątkowego, co wyróżnia człowieka niezależnie od tego, czy jest szlachetnego rodu, czy nie. Dostrzegłam to w tobie od razu cały czas to widzę. Wymyślimy sposób na naprawienie krzywdy. A teraz idź.**

**Nad jej łóżkiem znajdowało się małe okienko. Wystarczył niewielki skok, żeby wylądować na dziedzińcu. Dalej były ogrody...**

**Podciągnąłem się na rękach i przełożyłem jedną nogę przez parapet. Wyjrzawszy na zewnątrz, zobaczyłem w dali ciemną, linię dachów. Spojrzałem jeszcze raz na Emilie.**

**–Czym zasłużyłem sobie, pani, na twoją przyjaźń?**

**–Tym, że natychmiast stąd znikniesz. Uśmiechnąłem się, po czym precyzyjnie przeszedłem przez wąskie okienko. Odwróciwszy się ostatni raz, powiedziałem:**

**–Oddam wszystko, pani, żeby cię jeszcze spotkać. Usłyszeliśmy walenie do drzwi. Pomachałem Emilie na pożegnanie, po czym zeskoczyłem na dziedziniec.**

**–Spotkasz mnie, Hugues'u de Luc – usłyszałem nad sobą jej głos. – Jeśli chcesz... to tak się stanie.**

## ROZDZIAŁ 77

Pole obok La Thanay kąpało się w blasku popołudniowego słońca. Anne czekała w pobliżu swojego namiotu. Po jej obu stronach stały w równych szeregach dwa oddziały zbrojnych z Boree, noszących godło księcia. Złoto – zielone chorągwie łopotały na lekkim wietrze. Przebiegł ją dreszcz strachu. Myślała o tym spotkaniu od tygodni, a teraz powrót jej męża stał się faktem. Chwilami modliła się, żeby zginął na wojnie.

Była jego żoną przez połowę swojego życia. W wieku szesnastu lat została poślubiona Stephanowi dla przypieczętowania sojuszu między jego ojcem a jej rodzinnym księstwem Normandii. O ile jednak przymierze zaowocowało wzajemnym zaufaniem i rozwojem handlu między księstwami, o tyle ona została całkowicie odcięta od świata.

Odkąd urodziła syna, Stephan o niej zapomniał, przychodził do niej tylko wtedy, gdy miał już dość ładacznic. Jeśli się opierała, dusił ją żelaznymi palcami lub chwycił za włosy i przeginał jej głowę w tył. Choć wywiązywała się ze swoich obowiązków na dworze i wobec rodziny, to jednak ugrzązłszy w kobiecym więzieniu, jakie bywa udziałem nawet księżnych i królowych, żywiła do Stephana jedynie pogardę. Czuła się staro, jakby miała znacznie więcej lat niż w rzeczywistości. W czasie jego nieobecności odżyła, lecz teraz gdy był już blisko, wrócił dawny lęk. Zza odległego wzgórza wyłonił się wolno jadący oddział około dwudziestu rycerzy. Ich brudne hełmy ledwie odbijały światło słoneczne.

–Spójrz, pani – powiedział Bertrand Morais, kasztelan księcia, wskazując na nich palcem. – Książę wraca.

Zabrzmiały powitalne okrzyki.

A więc wrócił. Anne westchnęła, rozciągając usta w sztucznym uśmiechu. Wracał – tego była pewna – w glorii bohatera krucjaty, nasyciwszy swoją żądzę łupów.

Na jej znak trębacze zagrali fanfary, oznajmiając przybycie księcia. Z pocztu rycerzy wyrwał się jeden jeździec i pogalopował ku nim. Anne czuła, jak sztywnieje.

–Podziękujmy Bogu! – zawołał kasztelan. – Stephan, książę Boree, wrócił szczęśliwie.

## ROZDZIAŁ 78

Zbrojni stali z uniesionymi mieczami i włóczniami. Księżę przygalopował przed szeregi, powitał ich wzniesioną ręką, po czym uśmiechnął się triumfująco do Bertranda i do seneszala, Marcela Garniera, zarządcy majątku. Dopiero po tym, jakby z pewną niechęcią, zwrócił się ku Anne.

Zeskoczył z konia. Widać było, iż od czasu, gdy ostatni raz go widziała, nie ścinał włosów, które teraz były długie i zmierzwione jak u gockiego wojownika.

Policzki miał ostro zarysowane i wychudłe, lecz oczy nie straciły dawnego, złośliwego błysku. Jak nakazywała etykieta, podszedł do niej. Nie widzieli się od dwóch lat.

–Witaj, mężu. – Anne postąpiła ku niemu. – Chwała Bogu, że przywiódł cię bezpiecznie do domu.

–Blask twojej urody, pani, był dla mnie latarnią morską, wskazującą mi drogę powrotną.

Objął ją i ucałował w oba policzki, lecz jego uścisk był zdawkowy, pozbawiony ciepła.

–Tęskniłem do ciebie, Anne – powiedział tonem, jakim mężczyzna wyraża zadowolenie, że widzi w zdrowiu ulubionego wierzchowca.

–Ja również liczyłam dni do twojego powrotu – odparła chłodno.

Zbliżyli się doradcy.

–Witamy cię, panie.

–Bertrand, Marcel. – Uściskał ich. – Ufam, iż powód, dla którego przebyliście taki kawał drogi, żeby mnie powitać, nie oznacza, że w naszym pięknym mieście wydarzyło się coś złego.

–Zapewniam cię, panie, że w twoim pięknym mieście nic się nie zmieniło. – Kasztelan się uśmiechnął. – Jest potężniejsze niż kiedykolwiek.

–A skarbiec pełniejszy, niż gdy odjeżdżałeś – dodał seneszal.

–Porozmawiamy o tym później. – Stephan machnął ręką. – Jedziemy bez przerwy, odkąd przybiliśmy do portu. Mój tyłek jest tak obolały, jakby ktoś go kopał od Tulonu. Zaopiekujcie się moimi ludźmi. Jesteśmy głodni jak wilki. Ja zaś – spojrzał na Anne – muszę dotrzymać towarzystwa mojej pięknej żonie.

–Chodź, mężu – powiedziała Anne. Nie chcąc przy jego podwładnych okazać się uległą, dodała: – Żeby ci wynagrodzić stratę, spróbuję kopać cię w niego aż do Paryża.

Wszyscy się roześmiali. Anne poprowadziła męża w stronę przestronnego namiotu, udrapowanego tkaninami w kolorach złotym i zielonym. Kiedy znaleźli się w środku, wyraz uwielbienia zniknął z twarzy Stephana.

–Potrafisz dobrze udawać.

–Nie udawałam. Cieszę się, że wróciłeś, choćby ze względu na naszego syna. Ponadto mam nadzieję, że zrobiłeś się delikatniejszy.

–Wojna rzadko przynosi takie efekty – odparł Stephan. Usiadł na krześle i zdjął płaszcz. – Chodź tu i pomóż mi zdjąć buty. Pokażę ci, jakim stałem się kochankiem.

Tłuste, siwiejące włosy opadały mu na kaftan. Twarz miał zawziętą i brudną.

Śmierdział jak knur.

–Wygląda na to, że wojna cię nie zmieniła – powiedziała kwaśno Anne.

–Za to ty, Anne – rzekł Stephan, zmuszając ją do klęknienia przed nim – wyglądasz jak sen, który chciałbym, żeby trwał wiecznie.

–Lepiej się obudź. – Cofnęła się. Usługiwanie mu należało do jej obowiązków.

Zdejmowanie butów, wycieranie szyi wilgotnym ręcznikiem... Ale za żadne skarby świata nie pozwoli mu się dotknąć. – Nie po to cierpiałam samotność, żeby po dwóch latach posiadała mnie świnia.

Więc podaj mi miskę, to się umyję. – Wyszczrzył złośliwie zęby. – Za chwilę będę świeży jak łania. Nie miałam na myśli twojego zapachu. Nadal się uśmiechał. Powoli zdejmował rękawice. Wszedł służący, niosąc tacę z owocami.

Postawił ją na ławce, po czym wycofał się, czując nieprzyjazną atmosferę. – Widziałam twoich nowych sprzymierzeńców – powiedziała szyderczo. – Wykolejeńców, których przysłałeś z Ziemi Świętej. Tych rycerzy czarnego krzyża, którzy mordują kobiety i dzieci, jakby to były wściekłe psy – niewinnych i szlachetnie urodzonych również. Twoje rządy, Stephanie, sięgnęły dna. Wstał i nie spiesząc się, podszedł do niej. Miała uczucie, że po jej plecach powoli pełźnie obrzydliwy robak. Chodził wokół niej, jakby oglądał wierzchowca. Nie patrzyła na niego. Zaczął pieścić jej kark. Robił to bez miłości, lodowatymi rękami. Poczwała na szyi jego usta.

–Znam obowiązki żony – powiedziała, odsuwając się – i ze względu na mojego syna zadbam o twoje dobro i zdrowie. Będę stała u twego boku na dworze, jak mi nakazuje obowiązek. Ale przyjmij do wiadomości, mężu, że nigdy więcej nie pozwolę ci się tknąć. Ani w momencie mojej słabości, ani twojej najgwałtowniejszej potrzeby. Nigdy mnie już nie splamisz ohydny dotykami.

Stephan uśmiechnął się i pokiwał głową, jakby się zgadzał. Poglaskał ją po policzka Anne cofnęła się, drżąc ze strachu. – Jak długo, moja piękna żono, pracowałaś nad tą śliczną mową? Nim zdążyła się zorientować, co się dzieje, zacisnęła się ręka, która pieściła jej szyję. Poczwała ból. Powoli wzmacniał chwyt coraz bardziej, cały czas uśmiechając się czule. Zaczęło jej brakować powietrza. Zastanawiała się, czy zacząć krzyczeć, lecz zrezygnowała. Nikt by się nie zjawił. Jej krzyk zostałby potraktowany jako oznaka rozkoszy. Pulsowanie krwi rozbrzmiewało w jej uszach jak łoskot bębna.

Przewrócił ją na ziemię. Nie rozluźniając chwytu kciuka i palca wskazującego na szyi, nogami rozwarł jej uda. Próbował ją pocałować, lecz przekręciła głowę w drugą stronę, tak że ślina męża pociekła jej po szyi.

Potem przycisnął się do niej: poczwała jego zniechęconą twardość, którą się brzydziła.

–Chodź – szepnął – moja odważna, krnąbrna żono... Czy po tak długiej rozłące nie dasz mi tego, czego pragnę?

Próbowała się wyrwać, lecz trzymał ją mocno. Zadarł jej suknię i szykował się, by ją zgwałcić.

Przełknęła podchodzące do gardła wymioty. Nie, to się nie może stać. Serce biło w niej szalonym rytmem. Ogarnęła ją panika. Przysięgłam sobie – nigdy więcej...

**Jednak równie szybko jak ją obezwładnił, cofnął się z wyrazem satysfakcji na twarzy, pozostawiając Anne roztrzęsioną. Zbliżył zaślinione usta do jej twarzy.**

**–Nie zrozum mnie źle, żono – syknął jej do ucha. – Nie miałem na myśli twego przyrodzenia. Mówiłem o relikwii.**

## CZĘŚĆ 4

### SKARB

#### ROZDZIAŁ 79

Potęźny mężczyzna w kamizelce z owczej skóry miarowo wbijał młotem w ziemię słupek ogrodzenia.

Wyszedłem z lasu po tygodniu ukrywania się przed pościgiem, głodny i bez grosza przy duszy. Miałem tylko płaszcz Emilie, pod którym ukrywałem podarte resztki błazeńskiego stroju.

–Nigdy nie skończysz naprawiać płotu, jeśli będziesz się ruszał jak tłusta krowa – powiedziałem zaczepnie.

Mężczyzna wygiął w łuk krzaczaste brwi. Odłożywszy młot, zaczął iść wyzywająco ku mnie.

–Spójrzcie, co wylazło z lasu... zagłodzona wiewiórka w przebraniu wróżki. Wyglądasz, jakbyś czekał, aż praca sama do ciebie przyjdzie i zabrzdąka ci na fiucie.

–To samo można powiedzieć o tobie, Odo, z tą różnicą, że ty cały czas trzymasz swojego w ręce.

Olbrzymi kowal przyjrzał mi się.

–Czy ja cię znam, robaczku?

–Aha – odparłem. – Chyba że od czasu, kiedy się ostatnio widzieliśmy, mózg zrobił ci się taki miękki jak brzuch.

–Hugues! – krzyknął radośnie.

Padliśmy sobie w ramiona. Porwał mnie z ziemi, kręcąc niedowierzająco głową.

–Chodziły o tobie różne słuchy, Hugues. Że nie żyjesz... że przebywasz na dworze w Treille pod przebraniem błazna... że jesteś w Boree... że zabiłeś tego sukinsyna Norcrossa. Która z tych wersji jest prawdziwa?

–Wszystkie prócz pierwszej, Odo.

–Spójrz roi w oczy, przyjacielu. Naprawdę zabiłeś kasztelana księcia?

Nabrawszy powietrza, uśmiechnąłem się skromnie.

Tak.

–Wiedziałem, że go przechytrzysz. – Był uradowany.

–Mam dużo do opowiedzenia, Odo. Przeważnie przykrych rzeczy.

–Nam też nie było wesoło. Chodź, siadaj. Mogę ci zaproponować tylko ten rozchwiany płot. Nie jest tak wygodny jak poduszki Baldwina... – Oparliśmy się o sztachety. Odo potrząsnął głową: – Kiedy cię ostatnio widziałem, gnałeś do lasu jak diabeł, ścigając ducha swojej żony. – Nie ducha, Odo. Wierzyłem w to, że żyje, i tak było rzeczywiście.

–Sophie żyje? – spytał ze zdumieniem... – Odnalazłem ją. Była w lochu, w Boree.

–Sukinsyn! – zaklął kowal. Oczy mu zabłyśły z radości. Potem spojrzał na mnie i spoważniał. – Widziałem, że wyszedłeś z lasu sam.

Zwiesiłem głowę.

–Gdy ją odnalazłem, było już za późno. Umarła w moich ramionach. Trzymali ją jako zakładnika, myśląc, że posiadamy coś bardzo cennego, co należy do nich.

Wróciłem, żeby opowiedzieć o jej losie Mathieu, jej bratu.

Odo potrząsnął głową. – Przykro mi Hugues, ale to niemożliwe.

–Dlaczego? Co się stało?

–Ludzie Baldwina znów tu byli. Szukali cię... mówili, że jesteś mordercą i tchórzem, że zdezerterowałaś z krucjaty i zabiłaś kasztelana. Potem przeszukali wioskę. Powiedzieli, że każdy, kto udzieli ci schronienia, poniesie śmierć.

Kilku z nas stawiało im opór...

Nagle uświadomiłem sobie, że powietrze jest przesycone jakimś obrzydliwym, złowieszczym zapachem. Strach przeszył mi żołądek.

–Skąd ten zapach, Odo?

–Jednym z tych, którzy zaprotestowali, był Mathieu – ciągnął kowal. – Powiedział, że zostałeś skrzywdzony, że kasztelan spalił twój dom i dziecko i uprowadził twoją żonę, i że jeśli zabiłaś Norcrossa, to dlatego iż na to zasłużył. Pokazał im karczmę, którą zaczęli odbudowywać. To byli straszni ludzie Hugues. Założyli Mathieu pętlę na szyję, przywiązali mu nogi do dwóch koni, a potem popędzili je... aż rozdarły go na pół. – Nie! – krzyknąłem. Czułem, że to dodatkowe brzemie przygnie mnie do samej ziemi. Biedny Mathieu. Czym zawinił? Kolejna ofiara... z mojego powodu.

Ten koszmar musi się skończyć.

Podniosłem głowę. Strach powrócił. – Nie odpowiedziałeś mi...

Co to za zapach? Odo potrząsnął głową.

–Spalili całą wieś, Hugues.

## ROZDZIAŁ 80

Poszliśmy z Odonem do zniszczonej wioski, którą jeszcze dwa lata temu nazywałem moim domem.

Zagony, budynki, spichlerze... z tego wszystkiego, jak okiem sięgnąć, pozostały jedynie sterty popiołu i kamieni. Chaty były pozawalane lub w początkowym stadium odbudowy. Minęliśmy młyn, niegdyś najbardziej imponującą miejscową budowlę, którego gigantyczne koło teraz leżało połamane w strumieniu.

Ludzie poodkładali młoty i przestali rąbać drewno. Dzieci z krzykiem pokazywały mnie palcami:

–Patrzcie, to Hugues. Wrócił! To on!

Wszyscy gapili się, nie wierząc własnym oczom, po czym otoczyli mnie kołem.

–To ty, Hugues? Wróciłeś na stałe?

Szedłem zaśmieconymi ulicami prosto na plac, a za mną procesja mieszkańców. W obszarpanej kraciastej tunice i podartych zielonych rajtuzach stanowiłem zabawną postać. Gdy ostatni raz tu byłem i dowiedziałem się o losie, jaki spotkał moją żonę, mało nie popadłem w obłęd. Teraz wszystko wydawało mi się inne: nierealne i bardzo smutne.

Wrzawa narastała. Niektórzy krzyczeli: „Hugues wrócił, chwała Bogu!”, inni zaś pluli mi pod nogi, mówiąc: „Wynoś się, Hugues. Jesteś diabłem. Spójrz, co na nas sprowadziłeś”.

Nim dotarłem do placu, szli już za mną prawie wszyscy mieszkańcy wioski – około siedemdziesięciu osób.

Patrzyłem na naszą karczmę. Zobaczyłem dwie nowe ściany z solidnych bali, podparte kamiennymi kolumnami. Mathieu ją odbudowywał, i to staranniej, niż ją postawiono. Porwała mnie fala gniewu. Niech ich piekło pochłonie! To ja zabiłem Norcrossa. To ja wkradłem się do dworu. Jakim prawem zemścili się na całej wsi?

Rozpłakałem się, łzy płynęły mi po policzkach. Ostatni raz płakałem tak rzewnie, gdy byłem małym chłopcem.

Niech cię piekło pochłonie, Baldwinie! Mnie też, za moją głupią dumę.

Opadłem na kolana. Żona, syn... Mathieu... Moje życie legło w gruzach. Wszyscy najbliżsi zginęli.

Mieszkańcy stali cierpliwie w kręgu, czekając, aż się wypłaczę. Poczulem na ramieniu czyjąś dłoń. Przestałem szlochać, i podniosłem głowę. To był ksiądz Leo. Dotąd nie poświęcałem mu zbyt wiele uwagi, nie lubiłem jego małej głowy z wypukłym czołem ani kazań, teraz jednak modliłem się, żeby nie zdjął ręki, gdyż tylko ona powstrzymywała mnie od spalenia się z żalu i wstydu.

Ksiądz ścisnął ze współczuciem moje ramię.

–To dzieło Baldwina, Hugues, nie twoje.

–Racja, to robota Baldwina – krzyknął ktoś z tłumu. – Hugues tego nie chciał. Nie jest temu winny.

–Płaciliście podatki, a ten psi syn tak się z nami obszedł – lamentowała jakaś kobieta.

–Hugues musi stąd odejść – odezwał się głos z tłumu.



Zabił Norcrossa, a na nas będą się mścili.

–To prawda, zabił Norcrossa – odpowiedział mu inny. – Chwała mu za to! Kto z nas miał odwagę postawić się tak jak on?

Wrzawa narastała. Zaczęto się kłócić: część była za mną, część przeciw mnie. Ci pierwsi, wśród nich Odo i ksiądz, apelowali o zdrowy rozsądek, inni zaczęli we mnie rzucać kamieniami.

–Miej dla nas litość, Hugues – błagał ktoś. – Odejdź, zanim tu wrócą rycerze! Raptem przez zgiełk przebił się głos kobiety. Wszyscy obrócili się ku niej i umilkli. Głos należał do Marie, żony młynarza. Pamiętałem jej miłą twarz. Była najlepszą przyjaciółką Sophie. W chwili gdy utopili jej syna, obie stały przy studni.

–Myśmy stracili więcej niż ktokolwiek z was. – Powiodła oczami po twarzach mieszkańców wioski. – Dwóch synów. Jednego zabił Baldwin, drugiego wojna. Prócz tego młyn... Ale najwięcej wycierpiał Hugues. Mścicie się na nim, bo boicie się stanąć przeciw temu, kto na to zasługuje. To Baldwin powinien być celem waszej zemsty, nie Hugues.

–Marie ma rację – dodał Georges, jej mąż. – To Hugues zabił Norcrossa i pomścił mojego syna. – Podniósł mnie z klęczek, po czym ucisnął mi rękę. – Cieszę się, że wróciłeś.

–Ja tak samo – oświadczył rozpromieniony Odo. – Mam dość trzęsienia się ze strachu, kiedy widzę, że zbliżają się do wioski jacyś jeźdźcy.

–Dobrze mówisz. – Krawiec Martin zwiesił głowę. – Winny jest nasz senior, a nie Hugues. Ale co możemy zrobić? Przysięgaliśmy mu.

Raptem doznałem olśnienia. Patrząc na strach i bezsilność moich sąsiadów, znalazłem rozwiązanie. Wiedziałem już, co należało zrobić.

–Możemy złamać przysięgę – powiedziałem. Zapanowała cisza.

–Złamać przysięgę? – Krawiec westchnął. Ludzie patrzyli po sobie i kręcili głowami, jakby chcieli wzajemnie utwierdzić się w przekonaniu, że jestem wariatem.

–Jeśli złamiemy przysięgę, Baldwin wróci i tym razem nie poprzestanie na spaleniu naszych domów.

–Ale my będziemy przygotowani na jego powrót – odparłem, obracając się, żeby spojrzeć wszystkim w oczy.

Zaległa cisza. Patrzono na mnie, jakbym wygłosił herezję, która wtrąci wszystkich do piekła. Ja z kolei byłem pewny, że to jest szansa, która może nam przynieść wolność.

Rozejrzawszy się jeszcze raz po wszystkich, ogłosiłem:

–Łamiemy przysięgę!

Emilie wpadła jak burza do sypialni Anne. Przed drzwiami chciał ją zatrzymać jeden ze strażników. – Księżna teraz odpoczywa, pani. Krew w niej wrzała. Księżę wrócił poprzedniego wieczoru, lecz nie on ją interesował, tylko jej pani – osoba, której służyła i która straciła poczucie sprawiedliwości.

Cały ranek zastanawiała się, co zrobić. Zdawała sobie sprawę, że w sprawie HUGUES'A przekroczyła dozwoloną granicę: pomogła człowiekowi, który zabił członka straży książecej. Za ten czyn groziło jej uwięzienie. Zadawała sobie bez

końca to samo pytanie: czy była gotowa przekroczyć tę granicę, ryzykując utratę wszystkiego? Błogosławieństwa jej rodziny, pozycji na dworze, nazwiska...? Za każdym razem odpowiadała sobie bez wahania: nie mogłam postąpić: inaczej.

Pchnęła wielkie drewniane drzwi prowadzące do komnaty Anne.

Guillaume, dziewięcioletni syn Anne, ubrany w strój do polowania z sokołami, właśnie wychodził od matki. Anne pomachała mu na pożegnanie.

–Idź, synu. Ojciec czeka. Upoluj coś dla mnie.

–Dobrze, mam – odparł chłopiec, opuszczając komnatę. Mimo późnej pory Anne leżała w łóżku, szczelnie otulona kołdrą.

–Jesteś chora, pani? – spytała Emilie. – Myślę, że nie wtargnęłaś do mojej sypialni po to, by mnie spytać o zdrowie – odpowiedziała Anne, odwracając głowę w przeciwną stronę.

–Słusznie, pani. Mam ważny temat do omówienia – powiedziała Emilie.

–Ważny temat, dziecko... Domyślam się, że jak zwykle chodzi o tego głupiego błazna, twojego protegowanego. – Masz rację, pani, on jest głupi, ale tylko dlatego, że ci zaufał. Podobnie jak ja.

–Widzę, że nie o niego ci tym razem chodzi. Jaką masz do mnie pretensję?

–Skrzywdziłaś go okrutnie, pani, a przez to skrzywdziłaś również mnie.

–Ciebie skrzywdziłam? – Anne uśmiechnęła się oziębło. – Twój Hugues jest teraz poszukiwanym mordercą i dezerterskim, ściganym w dwóch księstwach. Zostanie złapany i powieszony na głównym placu.

Emilie patrzyła na nią z przerażeniem.

–Słyszę twój głos, pani, ale to, co mówisz, nie przystaje do ciebie. Gdzie jest kobieta, która była dla mnie matką? Co się stało z tą Anne, która potrafiła sprzeciwić się mężowi i która rządziła łaskawie i z charakterem podczas jego nieobecności?

–Proszę cię, idź stąd. Nie pouczaj mnie w kwestiach, o których nie masz pojęcia.

–Mam pojęcie o jednym: twoi ludzie najechali jego wioskę, zabili mu syna, uprowadzili i uwięzili jego żonę. Ona już nie żyje. Umarła w twoim więzieniu.

Wiedziałaś o tym.

–Skąd mogłam wiedzieć? – zachnęła się Anne. – Skąd mogłam wiedzieć, że jakaś bezwartościowa chłopka, wtrącona do naszego lochu, jest żoną tego człowieka?

Nie mam władzy nad Tafurami. Oni podlegają mojemu mężowi. Nie wiem, czym się zajmują ani jakich bezprawnych czynów się dopuszczają.

Ich spojrzenia się spotkały.

–Nosisz, pani, ślady tych czynów na sobie – powiedziała Emilie.

–Idź. – Anne niecierpliwie machnęła ręką. – Czy myślisz, że gdybym wiedziała, iż człowiek, którego od dawna szukamy, jest tu, w Boree, na naszym dworze, to twój błazen pętałby się na wolności, zbolęły i pokrzywdzony, ale żywy? Byłby już dawno martwy, tak jak jego żona.

–Szukaliście Hugues'a? – Emilie zamruwała powiekami. – Na miłość boską, dlaczego?

–Bo twój błazen przetrzymuje największy skarb chrześcijaństwa, tylko o tym nie wie.

**–Jaki skarb? On jest biedakiem. Zniszczyliście mu wszystko co miał.**

**–Idź już. I nie opowiadaj mi, co jest dobre i sprawiedliwe. Twoja opinia na ten temat spowodowała, że uciekłaś od ojca i przeznaczenia. Idź, Emilie!**

**–W rozdrażnieniu zwróciła twarz ku dworcy, odsłaniając to, co starannie przez cały czas ukrywała. To był wielki, czerwony obrzęk. I coś jeszcze gorszego. – Co to jest? – Emilie ruszyła ku niej.**

**–Nie zbliżaj się – warknęła Anne, zagrzebując się w poduszkach.**

**Nie odwracaj się, proszę. Skąd ta rana na twojej twarzy?**

**Anne westchnęła i zrezygnowana opuściła głowę.**

**–To jest moje więzienie, dziecko. Chciałaś zobaczyć, to patrz!**

**Emilie wydała stłumiony okrzyk. Podbiegła do Anne i mimo jej oporu pogłaskała ją delikatnie po policzku.**

**–To Stephan?**

**–Pokazuję ci to, dziecko, bo taka jest rzeczywistość, prawda którą według swojego mniemania dobrze znasz. Kobięca rzeczywistość.**

**Emilie cofnęła się odruchowo. Patrzyła z przerażeniem na spuchniętą stronę twarzy Anne, dwukrotnie większą od drugiej.**

## ROZDZIAŁ 82

Kiedy tylko wróciłem, poszedłem na wzgórze, gdzie został pochowany mój syn, Philippe.

Ukląknęłam przy grobie i przeżegnałam się. – Tuż przed śmiercią mama mówiła o tobie, mój słodki synek. – Usiadłem na ziemi obok grobu.

Nadal nie wiedziałem, czego te sukinsyny ode mnie chciały. Zdawało im się, że miałem coś cennego, ale nie przychodziło mi do głowy, cóż to mogło być. Dlaczego moja żona i syn musieli umrzeć?

Wykopałem z ziemi przedmioty, które przyniosłem z krucjaty, i rozłożyłem na trawie.

Pozłacana szkatułka na perfumy, którą kupiłem w prezencie dla Sophie w Konstantynopolu... Jakiż wówczas byłem pewny, że się z niej ucieszy. Łzy zakręciły mi się w oczach, kiedy pomyślałem o nich wszystkich – Nicu, Robercie, Sophie – o tym, co się z nimi stało.

Spojrzałem na inkrustowaną pochwę z napisem, którą znalazłem podczas przeprawy przez góry. Potem na złoty krzyżyk, który zabrałem z kościoła. Czyżby to był ów skarb? Rzeczy, które przyniosły mi tyle złego. Czy gdybym je zwrócił, zostawiliby w spokoju mnie i moją wieś?

Miotają mną sprzeczne uczucia: wściekłości, a już w następnym momencie żalu, okraszonego łzami.

–Które z was? – zapytałem przedmiotów. – Które spowodowało, że moja żona i syn musieli umrzeć?

Wziąłem do ręki krzyżyk, chcąc wyrzucić go w krzaki.

Świecidełka! Błyskotki! Czy to za nie zapłacili życiem? Wstrzymałem się jednak, przypomniawszy sobie ostatnie słowa Sophie: „Nie daj im tego, czego żądają”.

Czego mam im nie dać, Sophie? Co miałaś na myśli?

Siedziałem przy grobie Philippe'a i ukrywając twarz w dłoniach, płakałem.

Pytanie: czego mam im nie dać? – wracało raz po raz.

W końcu, wyczerpany, dźwignąłem się z ziemi, pozbierałem, rozłożone przedmioty i schowawszy je do dziury, zasypałem na powrót ziemią. Wziąłem głęboki oddech i pożegnałem się z synem.

Nie daj im tego, czego żądają.

Dobrze, Sophie, zrobię, jak chciałaś.

Ponieważ nie mam pojęcia, o co im chodzi.

## ROZDZIAŁ 83

Lato ustąpiło miejsca jesieni, a ja w tym czasie powoli oswajałem się z życiem na wsi. Odbudowywałem dom.

Kontynuowałem pracę rozpoczętą przez Mathieu. Całymi dniami zwoziłem ciężkie belki, nacinałem je na końcach, a następnie składałem, wznosząc ściany. Dopóki nie odbudowałem własnej izby na tyłach karczmy, nocowałem w chacie Odon, śpiąc przy ogniu w tym samym pomieszczeniu, gdzie spał on z żoną i dwójką dzieci.

Wioska powoli wracała do życia. Chłopi już obsiali pola. Ruiny domów naprawiono kamieniami i zaprawą murarską. Mieszkańcy spodziewali się, że czas żniw przyciągnie wędrownych kupców, a to oznaczało pieniądze, za które można było kupić żywność i odzież. Znowu zaczęto się śmiać i patrzeć optymistycznie w przyszłość.

W tym czasie stałem się lokalnym bohaterem. Moje opowiadania o tym, jak oczarowałem dwór w Treille i pokonałem Norcrossa, stały się elementem miejscowej tradycji. Dzieci mnie nie odstępowały. „Pokaż, jak się robi salto, Hugues. I jak się uwolniłeś z łańcuchów”. Pokazywałem im sztuczki, wyciągałem im z uszu paciorki i kamyki, wspominałem przygody z okresu krucjaty. Ich śmiech sprawiał, iż czułem, jak dusza we mnie odżywa. Śmiech leczy! Poznałem tę wielką prawdę, będąc błaznem.

Przy tym wszystkim nie przestawałem opłakiwać swojej słodkiej Sophie. Codziennie przed wschodem, słońca wdrapywałem się na pagórek za wsią i siadałem przy grobie syna. Mówiłem do Sophie, jakby też tam spoczywała. Opowiadałem jej o postępach w odbudowie karczmy i o tym, jak wieś zjednoczyła się wokół mnie.

Czasem mówiłem jej o Emilie – o tym, jak wspaniale było mieć ją za przyjaciela i jak od pierwszego dnia dostrzegła we mnie coś wyjątkowego, czego nie mieli inni z jej otoczenia. Wyliczałem, ile razy mnie uratowała, i opowiadałem, że gdyby nie ona, to poraniony w walce z niedźwiedziem umarłbym samotnie w lesie.

Zauważyłem, iż ilekroć mówiłem o Emilie, czułem przyspieszone bicie serca.

Przylapywałem się na tym, że wspominam jej pocałunek. Nie byłem pewny, czy miał na celu przywrócenie mi trzeźwości umysłu w dramatycznym momencie, czy to było pożegnanie z przyjacielem. Co takiego we mnie widziała, żeby tyle ryzykować? To, że jestem wyjątkowy, Sophie! Czasem, wspominając Emilie, czułem, że się czerwienię.

Któregoś dnia po południu, gdy wracałem ścieżką od grobu, spotkałem biegnącego w moją stronę Odon.

–Hugues, nie możesz teraz wrócić. Musisz się ukryć! Prędko!

Spojrzałem nad jego ramieniem. Czterej jeźdźcy właśnie przejechali kamienny mostek. Jeden z nich, kolorowo ubrany, w kapeluszu z pióropuszem, wyglądał na urzędnika. Pozostali byli żołnierzami noszącymi purpurowo – białe barwy księstwa Treille.

Serce we mnie zamarło.

–To poborca Baldwina – powiedział Odo. – Jeśli cię zobaczy, wszyscy zginiemy. Ukryłem się w zagajniku, rozważając różne możliwości. Odo miał rację: nie

mogłem się pokazać. Co się jednak stanie, jeśli ktoś mnie wyda? Moja ucieczka nie rozwiązywała sprawy. Odpowiedzialność spadłaby na całą wieś.

–Przynieś mi miecz – powiedziałem do kowala.

–Miecz? Widzisz tych zbrojnych, Hugues? Musisz zniknąć.

Biegnij, jakbyś gonił złodzieja, który ci ukradł sakiewkę.

Skulony, żeby mnie nie zobaczyli, skierowałem się w stronę lasu na wschód od wioski. Kilkoro ludzi zauważyło moją ucieczkę. Przeszedłem w bród strumień i ukryłem się w zaroślach. Znalazłem miejsce w pobliżu placu, skąd patrzyłem na poborcę, który wjeżdżał do wioski z pompą godną Cezara, wkraczającego na ogierze do Rzymu.

Przestraszeni mieszkańcy otoczyli kołem nowo przybyłych. Przyjazd poborcy oznaczał zwykle podniesienie podatków i nowe, surowsze rozporządzenia.

Urządник księcia wyjął dwa pisma.

–Posłuszni mieszkańcy Veille du Pere. – Odchrząknął. – Wasz pan, książę Baldwin, przesyła wam pozdrowienia.

Zaczął czytać.

–„Zgodnie z prawem tego kraju, rządzonego przez miłośnicie nam panującego Filipa, króla Francji, Baldwin, książę Treille, zarządza, iż każdy poddany, który udzieli pomocy lub schronienia poszukiwanemu Hugues'owi de Luc, tchórzliwemu mordercy, zostanie potraktowany jako współnik wymienionego i poniesie stosowną karę”. Jeśli wasze tępe umysły nie rozumieją tego, co przeczytałem, to wyjaśniam, iż to oznacza śmierć przez powieszenie.

„Majątek prywatny – ciągnął – wszelkie ziemie i nieruchomości, własne lub wydzierżawione od księstwa, zostaną skonfiskowane i przejdą na własność seniora, a małżonkowie, rodzeństwo i spadkobiercy, wolni bądź przywiązani do ziemi, będą musieli złożyć przysięgę dożywotniej służby u seniora”.

Krew we mnie zawrzała. Za moje przewinienia zostanie ukarana cała wieś. Wszelka własność prywatna przepadnie, wydzierżawione ziemie zostaną odebrane, a rodziny osierocone. Czekałem z zapartym tchem, czy ktoś mnie zdradzi... czyjaś żona u kresu wytrzymałości nerwowej, obawiająca się dalszych strat. Jakieś bezmyślne dziecko...

Poborca omiółł wszystkich powolnym, badawczym spojrzeniem. Miał w sobie coś plugawego.

–Zastanawiacie się, wieśniacy...? Czyżbyście nagle podupadli na duchu?

Odpowiedziała mu grobowa cisza. Nie padło ani jedno słowo.

Ojciec Leo wystąpił naprzód.

–Książę Baldwin znów nam się zaprezentował jako mądry i miłosierny władca.

Poborca wzruszył ramionami.

–Słuszne słowa, ojcze. Krążą wieści, iż ów nędznik kręci się w tych stronach.

–A jakie dobre wieści przywiozłeś nam w tym drugim piśmie? – ktoś spytał.

–Och, niemal zapomniałem... – Stuknął się w czoło i złośliwie uśmiechnął.

Rozwinąwszy pergamin, przybił go do ściany kościoła bez odczytania.

–Podwyżka wszystkich podatków. O jedną dziesiątą. – Jedną dziesiątą! – ktoś

westchnął. – To nieuczciwe. Tak nie może być.

–Przykro mi. – Poborca wzruszył ramionami. – Znacze przyczyny: suche lato, kiepskie zbiory... Nagle zaniemówił. Coś przykuło jego uwagę. Stał nieruchomo patrząc na karczmę. Serce podeszło mi do gardła. – Czy to nie ta sama karczma, która przed paroma tygodniami została spalona? Własność tego łotra, którego szukamy? – Nikt nie odpowiedział. – Kto ją odbudowuje? Jeśli mnie pamięć nie myli, ostatni właściciel zginął, powiedzmy...

rozdarty żalem.

Część mieszkańców popatrywała niepewnie po odbudowanych ścianach.

Poborca wziął ze sterty kamieni jeden i pokazał wszystkim.

–Pytam jeszcze raz: kto ją odbudowuje?

Zacząłem się trząść. To był mój koniec.

Z tłumu odezwał się głos.

–Cała wioska stawia karczmę, panie. – To był głos ojca Leo. – Potrzebny nam zajazd.

Oczy urzędnika książęcego zabłyśły.

–To mądry postępek, ojcze. Cieszę się, że słyszę to z ust człowieka, którego prawdomówności nie można zakwestionować. Powiedz mi jeszcze, kto ją będzie prowadził? Znow zaległa cisza. – Ja – ktoś odpowiedział. To była Marie, żona młynarza. – Ja poprowadzę zajazd, a mój mąż będzie obsługiwał młyn.

–Jesteś bardzo przedsiębiorcza. Myślę, że to dobry wybór, zwłaszcza że nie macie spadkobiercy, który przejąłby młyn. Przyglądał się jej przez dłuższą chwilę, lecz wytrzymała jego wzrok. Czułem, że nie wierzy ani jednemu jej słowu. Potem odrzucił kamień, który cały czas trzymał w ręce, i wrócił do swojego wierzchowca.

–Mam nadzieję, że to wszystko prawda. – Pociągnął nosem, po czym zebrał wodze.

–Możliwe, że za następną wizytą zabawię dłużej – zwrócił się do żony młynarza.

–Z niecierpliwością czekam, by osobiście sprawdzić twoją gościnność.

## ROZDZIAŁ 84

Kiedy znienawidzony poborca zniknął z pola widzenia, wieś ogarnął strach.

Wyszedłem z ukrycia, wdzięczny, że nikt mnie nie zdradził, zauważyłem jednak, że nastrój się zmienił.

–Co my teraz pocniemy? – biadolił przestraszony krawiec Martin. – Ten wieprz nas podejrzewa. Słyszeliście, jakim tonem mówił. Jak długo uda nam się go zwodzić?

Jean Dueux miał popielatą twarz.

–Ziemia, którą uprawiamy, ma wrócić do księcia? Będziemy zrujnowani. Nasze życie zależy od ziemi.

Przestraszeni ludzie obstąpili mnie, przekrzykując się wzajemnie. Byłem przyczyną ich nieszczęścia. Opuściłem głowę.

–Jeśli chcecie, żebym stąd odszedł, zrobię to – rzekłem.

–Nie ja jeden się boję – powiedział krawiec, rozglądając się, czy ktoś go poprze. – Boimy się wszyscy. Ledwie się pozbieraliśmy po ostatnim najeździe.

Jeśli ludzie Baldwina wrócą...

–Wrócą z całą pewnością, Martinie – oświadczyłem stanowczo. – Będą wracali raz po raz, niezależnie od tego, czy zostaną, czy sobie pójdą.

–Przyjęliśmy cię! – krzyknęła żona piekarza. – Czego się po nas spodziewasz?

Poszedłem do karczmy. Miałem wrażenie, że wśród ruin błąka się duch mojej żony.

–Codziennie dźwigam kamienie i pocę się, wznosząc te ściany, po to, by dotrzymać złożonego mojej żonie przyrzeczenia. iż odbuduję karczmę. Czy myślicie, że dopuszczę do tego, aby ją jeszcze raz zburzono?

–Współczujemy ci, Hugues – rzekł krawiec. – Wszyscy odbudowaliśmy domy. Ale co zrobić, żeby to się nie powtórzyło?

–Możemy się bronić – zawołałem.

–Bronić się? – powtórzyli z przestraszeniem.

–Tak, bronić. Nakreślić nieprzekraczalną linię. Walczyć z nimi. Pokazać, że nigdy więcej nie pozwolimy, by nas zabijano jak bydło.

–Walczyć? Z naszym panem? – Patrzyli na mnie ze zdumieniem. – Przysięgaliśmy mu, Hugues.

–Już wam powiedziałem... Złamcie przysięgę.

Waga mojego wezwania uciszyła gwar.

–Złamcie ją – powtórzyłem. – To by stanowiło zdradę – sprzeciwił się krawiec.

Zwróciłem się do młynarza:

–Powiedz, Georges, czy to byłaby większa zdrada niż zamordowanie twojego syna?

A ty, Martho – twój mąż leży niedaleko mojego syna – czy jeśli zginął, broniąc swojego domu, to nie został zdradzony? Albo mój syn, wrzucony do ognia, kiedy jeszcze nie umiał mówić?

–Baldwin jest skończonym bydlęciem – rzekł młynarz – jednak nasze obowiązki wobec niego, które zamierzasz odrzucić, są prawem. Baldwin przyjdzie do nas z całą swoją armią. Zgniecie nas jak robactwo.



–Niekoniecznie. Byłem świadkiem, jak mały, doborowy oddział bronił się miesiącami przeciw znacznie większym siłom. Nie chcę rozpalić w was ognia, a potem poprowadzić do klęski, jak Piotr Pustelnik. Jestem pewny, że jeśli stawimy opór, to nam się uda.

–Książę ma wyćwiczonych żołnierzy – odezwał się Odo. – Ma broń. My jesteśmy rolnikami i rzemieślnikami. Cała wioska to pięćdziesięciu mężczyzn.

–Owszem, ale w każdej wiosce stąd do Treille jest pięćdziesięciu innych, którzy nienawidzą Baldwina tak samo jak my. W sumie tysiące takich, którzy cierpią nędzę i poniżenie. Wystarczy raz pobić Baldwina, a wówczas wszyscy przyłączą się do nas. Co wtedy zrobi? Nie wygra z taką potęgą.

Niektórzy potakiwali na znak zgody, innym myśl o zbuntowaniu się przeciw księciu wydawała się bluźniercza.

–Hugues ma rację – powiedziała Marie, żona młynarza. – Wszyscy potraciliśmy mężów i dzieci. Nasze domy zostały spalone. Nie chcę dłużej trząść się ze strachu we własnym łóżku za każdym razem, kiedy słyszę tętent koni.

–Ja tak samo – zawołał Odo. – Byliśmy posłuszni przez całe życie temu bydłakowi i co z tego wynikło? Tylko nędza i śmierć. – Wzruszył ramionami i stanął obok mnie. – Jestem kowalem. Znam się na wytapianiu żelaza, nie na wojowaniu ale młotem umiem władać jak sto diabłów. Możesz na mnie liczyć.

Inni, jeden po drugim, również zgłosili swoją gotowość. Chłopi, woźnice, szewcy... ludzie, którzy osiągnęli kres wytrzymałości.

–A co ty powiesz, ojciec? – zdesperowany krawiec próbował znaleźć sprzymierzeńca. – Jeśli nawet pobijemy Baldwina, to tylko zamienimy jedno piekło na drugie.

–To nie jest takie pewne. – Ojciec Leo wzruszył ramionami. – Co do mnie mogę przyrzec, że jeśli jeźdźcy Baldwina jeszcze raz pojawią się we wsi, to pierwszy rzucę kamieniem.

Dookoła zabrzmiały okrzyki poparcia. Jednak wieś była nadal podzielona. Krawiec, garbarz i niektórzy chłopi, bojący się utracić ziemię, nie mogli się zdecydować.

Podszedłem do krawca.

–Jedno mogę wam obiecać... ludzie Baldwina wrócą tu. Odbudujecie domy, będziecie sobie urabiali ręce po łokcie, żeby zapłacić podatki, albo straciecie chęć do życia. Ale oni będą ciągle przyjeżdżali, dopóki im nie powiemy: dość tego!

Krawiec potrząsnął głową.

–Nosisz tunikę z łąt i dzwonki na czapce, a chcesz nas nauczyć walki?

–Potrafię was nauczyć. – Popatrzyłem mu prosto w oczy. Krawiec zmierzył mnie wzrokiem od góry do dołu. Wziął w rękę rąbek mojej tuniki.

–Czyjekolwiek to dzieło, zostało dobrze wykonane. – Uścisnął mi z rezygnacją rękę. – Jestem z tobą, ale będziemy potrzebowali boskiej pomocy.

## ROZDZIAŁ 85

–Przenieś go dalej! – zawołałem do Jeana Dueux, który siedział na szczycie wysokiego drzewa. – Trochę na prawo, tam gdzie droga się zwięża.

Jean wciągał na drzewo ciężki worek po zbożu, wypełniony kamieniami i żwirem. Z jednej strony przywiązał go do długiego sznura przeciągniętego nad drogą, a z drugiej do mocnej gałęzi.

–Wyślę konia – powiedziałem do niego. – Kiedy dojdzie do mojego stanowiska, puść worek.

Po wyjeździe poborcy zaczęliśmy przygotowania do obrony wsi. Drwale ociosywali pnie, które miały utworzyć barykadę wzdłuż zachodniego skraju wioski.

Zakopywaliśmy w ziemi zaostrome pale pod takim kątem, że nawet najlepsze konie bojowe nie zdołałyby się przez nie przedrzeć.

Równocześnie zaczęliśmy produkować broń. Kilku weteranów przyniosło zardzewiałe miecze, które Odo wypolerował i naostrzył. Pozostałe nasze uzbrojenie stanowiły maczugi i młoty, kilka włóczni i siekier. Z żelaznych narzędzi pracy robiliśmy groty, które były zdolne przebić zbroję. Byliśmy Dawidami, przygotowującymi się do walki z Goliatem.

Dałem znak ręką Apples'owi, synowi piekarza. Ów klepnął konia w zad, wysyłając go w drogę. Jean, uczepiony jedną ręką pnia, odwiązał worek od gałęzi, przytrzymując go drugą ręką. Gdy koń mnie mijał, krzyknąłem:

–Puść!

Jean puścił worek, który zaczął spadać po łuku, nabierając coraz większej prędkości. Kiedy koń mijał drzewo, worek ze świstem przeleciał nad jego grzbietem, dokładnie na wysokości jeźdźcy. Miał siłę pocisku z katapuły. Nawet najtęższy jeździec nie wytrzymałby takiego uderzenia.

Jean i Apples wydali okrzyki triumfu. – Teraz twoja kolej, Alphonse – zwróciłem się do najstarszego syna garbarza, który się trochę jąkał. Miał dopiero piętnaście lat, lecz był umięśniony jak atleta. Włożyłem mu do ręki maczugę. – Wysadzony z siodła rycerz będzie przez chwilę oszołomiony. Ciężar zbroi nie pozwoli mu się natychmiast podnieść. Nie wolno ci zwlekać. – Spojrzałem mu w oczy i zamachnąwszy się, rąbnąłem maczugą urojony kształt leżący na ziemi. – Musisz być gotów.

–B – będę g – gotów. – Chłopiec skinął głową. Był duży i silny, ale jeszcze nigdy się nie bił, nawet z rówieśnikami, natomiast widział, jak ludzie Baldwina rozplatali na dwoje jego brata. Wziął ode mnie maczugę i walnął nią w ziemię, aż jęknęło. – D – dam sobie ra – adę – powiedział.

Skinąłem głową z aprobatą.

Serce we mnie rosło, kiedy patrzyłem na mieszkańców zjednoczonych we wspólnym wysiłku. Każdy się do czegoś nadał. Drwale będą strzelać, dzieci rzucać kamieniami, starsi szyć skórzane pancerze i ostrzyć groty strzał. Mimo to zdawałem sobie sprawę, że gdy dojdzie do walki, to do pokonania jazdy Baldwina nie wystarczy jedynie zapał i dobre chęci. Modliłem się, żeby nam się udało.

Nie chciałem, wzorem Piotra Pustelnika, poprowadzić mieszkańców na zatracenie.

–Hugues! – usłyszałem wołanie. Od strony wsi pędził ku mnie Pipo, najmłodszy

syn kowala. Twarz miał zaczerwienioną z podniecenia, jakby miał do przekazania coś ważnego. Przebiegł mnie dreszcz niepokoju.

–Ktoś do ciebie przyjechał – wyrzucił z siebie, ledwie dysząc z wysiłku.

–Kto? – Na moment zamarło mi serce. Kto mógł wiedzieć, że tu jestem?

–Kobieta – powiedział chłopiec. – Bardzo piękna. – Pokiwał z uznaniem głową.

–Mówi, że przybyła z Boree.

## ROZDZIAŁ 86

Emilie!

Z bijącym sercem pobiegłem piaszczystą drogą w stronę wioski. Często myślałem o Emilie, zdając sobie równocześnie sprawę, jak nikła jest szansa, że ją kiedykolwiek zobaczę.

Biegłem skrótem przez stajnię kowala. Zobaczyłem ją na placu. Była ubrana w prostą lnianą suknię, włosy miała upięte pod czepkiem, na ramiona zarzuciła zwykły, brązowy płaszcz jeździecki, a mimo to wyglądała świeżo i uroczo.

Towarzyszyła jej służąca. Miałem wrażenie, że śnię, ale to była prawda. Była tu – w Veille du Pere!

Wyszedłem z za stajni, żeby mnie zobaczyła. Miałem ochotę pobiec do niej, objąć ją i podnieść wysoko, zamiast tego stałem jak wmurowany.

–Koniec świata – powiedziałem, ochłonawszy nieco. – Nie wyobrażasz sobie, pani, jaką radość mi sprawiłaś.

–„Koniec świata” to dobre określenie, Hugues'u de Luc – uśmiechnęła się z błyskiem w oczach – bo niemal tam zawędrowałam, żeby cię odszukać.

Walczyłem z pragnieniem, żeby ją porwać w ramiona. Nie wiedziałem, jakie uczucia przywiodły ją do mnie, nie byłem też pewny charakteru własnych uczuć do niej.

Ale była ze szlacheckiego rodu – ja zaś stałem przed nią w podartych łachmanach i tunice z łań – więc się powstrzymałem.

–Przykro mi, że naraziłem cię na tyle trudów. – Potrząsnąłem głową. – Z całego serca pragnąłem cię ujrzeć. Zmęczenie nie ujmuje ci nic z urody. Ale skąd...? Skąd się dowiedziałaś, że tu jestem?

–Powiedziałaś, że jesteś z południa. – Emilie wzięła torbę podróżną i podeszła do mnie. – Dojechałam do miejsca, gdzie cię znaleźliśmy przy drodze, a potem posuwałam się na południe, coraz dalej i dalej. W każdej mijanej wiosce mówiłam ludziom: „Szukam pewnej dziwacznie wyglądającej osoby, która przybyła z Boree i chodzi w kostiumie błazna”. Dotarłam już tak daleko, że spodziewałam się, iż wkrótce zaczną mi odpowiadać po hiszpańsku, gdy w kolejnej wsi miły chłopczyk powiedział: „Owszem, proszę pani. Zdaje się, że pani szuka Hugues'a”.

Podziękowałam Bogu, bo nie miałyśmy już sił podróżować dalej. To jest Elena. – Skinęła ręką na służącą. – Towarzyszyła mi w podróży.

–Eleno. – Ukłoniłem się. – Pamiętam cię z Boree. Wyczerpana służąca dygnęła, wyraźnie zadowolona, że podróż dobiegła końca.

–Powiedz, Emilie, co spowodowało, że mnie szukałaś? – spytałem.

–Szukałam cię, ponieważ obiecałam, że się zobaczymy, Ponieważ powiedziałam, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby znaleźć odpowiedź na twoje pytania.

Wyjaśnię ci to później.

–I dlatego wybrałaś się sama w taką długą podróż? Tylko ze służącą? Czy wiedziałaś, na co się narażasz?

–Anne oznajmiłam, że jadę w odwiedziny do mojej ciotki Isabell w Tulonie. Po powrocie Stephana w Boree zrobiło się takie zamieszanie, iż powinna być

zadowolona, że się mnie pozbyła. Część drogi przebyliśmy w towarzystwie księży pielgrzymujących na południe.

–A co z ciotką? Jeśli się nie zjawisz w Tulonie, będzie cię szukała.

Przygryzła wargę z miną winowajcy.

–Ciotka Isabell o niczym nie wie. Nie miałam zamiaru jej odwiedzić. Zmyśliłam wszystko.

Roześmiałem się.

–Przejechałaś pół świata, żeby mnie odwiedzić. Ale dość pytań. Jesteście zmęczone i głodne. W naszej wsi nie ma, niestety, zamku. – Uśmiechnąłem się. – Za to na gościnności nam nie zbywa. Chodźcie, zaprowadzę was w odpowiednie miejsce.

Zarzuciłem na ramię jej skórzaną torbę podróżną i poszliśmy przez plac. Wszyscy powyłazili i gapili się na nas. Zdawałem sobie sprawę, jak nieprawdopodobną parę tworzymy – ja, w podartym, groteskowym stroju, który wróciłem z wędrówek biedny jak mysz kościelna... i niezwykły gość: kobieta o wspaniałej sylwetce, z dobrego rodu, bardzo piękna.

Zaprowadziłem Emilie i Elenę do zajazdu.

–To był nasz zajazd. Odbudowuję go. Spostrzegłem w oczach Emilie wyraz aprobaty.

–Umiesz pracować, Hugues.

–To nie jest zamek, ale będzie wam ciepło i wygodnie. Ma dobry dach i palenisko.

–Czuję się zaszczycona. Co o tym myślisz, Eleno? Słyszałam, że ceny na prowincji są niewygórowane. Co więcej, właściciel zajazdu jest sympatyczny.

Uśmiechnąłem się.

–A zatem witajcie w zamku Luc. Będziecie moimi pierwszymi gośćmi!

## ROZDZIAŁ 87

Wieczorem odbyła się wielka feta.

Zgromadziliśmy się w chacie Odon, przy ogromnym stole, który zajmował prawie całą izbę. Potrawy przyrządziła jego żona, Lisette, przy pomocy Marie, żony młynarza. Byli również moi najbliżsi przyjaciele, Odo i Georges, ojciec Leo i oczywiście Emilie.

Głównym daniem była pieczona gęś. Do tego marchewka, rzepa i groszek, zupa jarzynowa na czosnkowym bulionie i świeży chleb, który moczyliśmy w zupie. Nie było wina, ale ksiądz przyniósł antałek flandryjskiego piwa, przewidzianego na wizytę biskupa. Na nasze warunki była to niespotykana uczta.

Odo grał na flecie, pozostali wtórowali mu, śpiewając pieśni. Dzieci tańczyły, jakby to była noc świętojańska. Zademonstrowałem kilka sztuczek i salt. Wszyscy doskonale się bawili – śmiali się i tańczyli, Emilie również. Na kilka godzin zapomnieliśmy o przeszłości.

Przez cały wieczór nie mogłem oderwać wzroku od roziskrzonych oczu Emilie. Były jasne jak księżyc i tak jak on niepowtarzalne. Klaskała i śmiała się, kiedy dzieci Odon próbowały naśladować moje sztuczki, i opowiadała im o życiu w zamku. Czuła się jak u siebie w domu. To był wspaniały wieczór, wolny od wszelkich życiowych trosk i ograniczeń.

Po kolacji wracaliśmy do zajazdu. Było zimno, Emilie owinęła się szczelnie płaszczem. Z jednej strony marzyłem o objęciu jej ramieniem, z drugiej trząsałem się ze zdenerwowania.

Szliśmy wśród głosów nocy – sowy pohukiwały, w gałęziach drzew trzepotały ptaki.

Za chmur wyłonił się księżyc w pełni.

–Co z Norbertem? – spytałem. – Jak się czuje?

–Prawie dobrze – odpowiedziała Emilie – jeszcze tylko nie potrafi zrobić sztuczki z łańcuchem. Ale od powrotu Stephana bardzo się zmieniło. Wszędzie panoszą się Tafurowie, a za nimi stoi książę.

–Książę i Anne – uzupełniłem.

–Anne... – Emilie umilkła, wahając się. – Wierzę całym sercem, że nie działała z własnej woli.

–Chcesz powiedzieć, że napady, rzezie i spustoszenia, do których doszło podczas nieobecności księcia, odbywały się bez jej wiedzy?

–Wiem tylko, że działała pod wpływem strachu. Nie usprawiedliwiam jej.

Powiedziała coś, czego nie rozumiem. Przyparłam ją do muru, pytając, dlaczego dopuściła do takich rzeczy, a ona na to: „Gdybym wiedziała, że człowiek, którego szukamy, jest tu, w Boree, twój błazen byłby równie martwy jak jego żona”.

Kręciłem głową, nie mogąc tego pojąć.

–Nazwała cię karczmarzem, który brał udział w krucjacie. Dlatego uwięziono twoją żonę. Jednak zaklina się, iż nie wiedziała, że to byłeś ty.

–Czego, na miłość boską, mogą ode mnie chcieć?

–Podobno posiadasz „największy skarb chrześcijaństwa”. – Emilie pochyliła ku

mnie głowę. – Anne powiedziała, że sam o tym nie wiesz.

–Największy skarb chrześcijaństwa... – Roześmiałem się. – Czy oni zwariowali?

Spójrz na mnie! Nie mam nic. Wszystko, co miałem, dawno mi odebrali.

–Rzekłam dokładnie to samo. Ale jedna rzecz się zgadza, Hugues – byłeś na krucjacie. Może mylą cię z kimś innym.

Doszliśmy do karczmy. Emilie trzęsa się z zimna, a ja marzyłem, żeby ją choć na moment objąć. Oddałbym wszystko, żeby móc ją wziąć w ramiona. Nawet „największy skarb chrześcijaństwa”.

–Przywiozłam ci coś, Hugues. Mam to tutaj. – Weszliśmy do zajazdu. Elena spała na sienniku obok gorącego paleniska. Emilie poszła poszukać czegoś w torbie podróżnej.

Wróciła z woreczkiem z cielecej skóry, zawiązanym rzemykiem. Wyjęła z niego drewnianą kasetkę wielkości dwóch moich dłoni. Była artystycznie rzeźbiona, a na jej wieczku widniała ozdobna litera C.

Włożyła mi ją do rąk, po czym się cofnęła.

–To należy do ciebie, Hugues. Przyjechałam, żeby ci to przywieźć.

Przez chwilę oglądałem kasetkę, następnie otworzyłem mały zamek i podniosłem wieczko. Łzy zakręciły mi się w oczach. W kasetce był popiół. Prochy Sophie.

–Ciało zostało spalone następnego dnia – powiedziała cicho. – Poszłam tam i zebrałam prochy. Ksiądz powiedział, że nie dostanie się do nieba, dopóki nie zostanie pochowana. Ledwo mogłem mówić, tak mi ścisnęło gardło. Wziąłem głęboki oddech, zupełnie jakbym chciał nasycić powietrzem całe moje ciało.

–Nie wyobrażasz sobie, Emilie, jaki skarb mi przywiozłaś. – To twoje, Hugues – powtórzyła. Objąłem ją i przyciągnąłem. Czulem bicie jej serca. Szepnąłem tak cicho, iż prócz mnie nikt nie mógł tego usłyszeć:

–Miałem na myśli ciebie.

## ROZDZIAŁ 88

Następnego dnia wstałem przed wschodem słońca, chwyciłem skórzany woreczek leżący obok mojego łóżka i wysliznąłem się z karczmy.

Obok szopy na drewno leżało parę narzędzi. Wziąłem motykę. Koguty jeszcze nie zaczęły pisać. Szedłem na wzniesienie górujące nad naszą wioską.

Paru wcześniej wstających rzemieślników już zaczęło pracę.

Woźnica prowadził gdzieś muła. Z chaty piekarza rozchodził się zapach pieczonego chleba.

Marzyłem o sprowadzeniu Sophie do domu od chwili, gdy umarła w moich ramionach. Cierpiałem katusze na myśl, że jej dusza nie spocznie w pokoju bez pochówku i błogosławieństwa.

Dziś jej życie zostanie ostatecznie zamknięte. Spocznie na wieki obok grobu syna.

Przeszedłem strumień i ruszyłem w górę po stromym zboczu. Słońce zaczynało przygrzewać przez mgłę, w miękkim świetle poranka swiergotały ptaki. Po kilku minutach wspinaczki byłem już wysoko. Obejrzałem się, żeby spojrzeć z góry na wieś. Stąd wszystko wydawało się małe. W zagrodach zaczynano się krzątać. Ujrzałem plac, a na nim zajazd, gdzie spała Emilie.

Na szczycie wzgórza pod rozłożystym wiązem spoczywał mój syn. Ukląknąłem obok grobu, położyłem na ziemi woreczek i zacząłem kopać. Łzy zalewały mi oczy, serce biło jak szalone.

Jesteś teraz w domu, Sophie – szepnąłem. – Ty i Philippe. Wyjąłem z woreczka szkatułkę z literą C, otworzyłem wieczko i wysypałem jej prochy do dołka.

Następnie go zasypałem. Stałem długo nad jej grobem, patrząc na budzącą się wieś. Wróciłaś do domu, Sophie. Twoja dusza może spocząć w pokoju.

## ROZDZIAŁ 89

Stephan, książę Boree, siedział obojętnie na swoim krześle z wysokim oparciem w sali posiedzeń dworu. Tłum służalczych urzędników stał w pokornym rzędzie, podczas gdy poborca informował go o nowym podatku. Za poborcą stał seneszał z gotowym raportem o stanie majątku księstwa. Jednak Stephan był myślami daleko od codziennych spraw Boree.

Od chwili powrotu miał uczucie niespełnienia. Wszelkie transakcje, dzierżawy, czyli rzeczy, które kiedyś były dla niego niezmiernie ważne, teraz wydawały mu się błahe i bezwartościowe. Relacje urzędników nudziły go; nie mógł się na nich skoncentrować. Jego umysł był skupiony tylko na jednym.

Biały kruk. Skarb.

Dręczył go. Prześladował go w snach. Relikwia, która cudem przetrwała wieki w grobowcu w Ziemi Świętej. Pożądał jej bardziej niż jakiegokolwiek kobiety. Ta rzecz miała kontakt z Nim. Śniła mu się nocami – wtedy budził się zlany potem.

Na myśl, że jej dotknie, zasychało mu w ustach.

Posiadając taką relikwię, Boree stałoby się jednym z najpotężniejszych księstw w Europie. W żadnym z nich nie ma katedry na tyle wspaniałej, żeby była godna przechowywać taką świętość. Jakąż wartość w porównaniu z nią mają mizerne kości jego świętego patrona, spoczywające w relikwiarzu kościoła w Boree? Zbudowałby



taką katedrę, a wierni z całego świata przybywaliby z pielgrzymkami. Żaden duchowny nie byłby bardziej poważany ani bliżej Boga niż on.

Wiedział, kto ma ten skarb.

Ogarnęła go wściekłość. Podwładni jeden po drugim powtarzali, jaki to jest bogaty. Miał wrażenie, że lada moment wybuchnie.

–Wynoście się – wrzasnął, zrywając się z krzesła. Poborca i seneszał spojrzeli nań ze zdumieniem. – Wynoście się! Dajcie mi spokój! Mówicie tylko o nowym podatku albo o nowym stadzie owiec. Wszyscy patrzycie w ziemię. Ja marzę o wiecznej chwale.

Zmiotł ze stojącego przed nim stołu tacę z kielichami z winem, które roztrzaskały się na podłodze. Podwładni czmychnęli ze swoich miejsc, jakby za chwilę miał się na nich zwalić strop.

Został tylko Norbert, który uczepiony podstawy krzesła dygotał, jakby parodiował atak lęku.

–Nie rozśmieszysz mnie, Norbercie. Przestań żartować.

Zostaw mnie.

–Ja nie żartuję, książę. – Norbert nie przestawał się trząść.

Drżały mu wargi. – Przygniatasz mi krzesłem rękę.

Stephan wreszcie się uśmiechnął, a wierny błazen ulotnił się, rozcierając obolałą dłoń.

Służący rzucił się, chcąc posprzątać, lecz Stephan odprawił go niecierpliwym gestem. Przyglądał się kałuży wina, która rozlewała się coraz dalej po posadzce. W pewnym momencie dotknęła czyjegoś buta.

Któż jest na tyle bezczelny, żeby mnie nagabywać w takim momencie? – pomyślał. Podniósłszy wzrok, zobaczył Morgaine'a, dowódcę Tafurów. Czarny Krzyż.

–Czy przyszedłeś oznajmić, iż znów zniszczyłeś moją wioskę i nic nie znalazłeś?

–Nie, panie, przynoszę ci dobrą wiadomość. Wiem, gdzie jest skarb.

Stephan szeroko otworzył oczy.

–Twoja kuzynka, Emilie, zaprowadziła mnie prosto do celu – odparł z przebiegłym uśmiechem Czarny Krzyż. – Emilie? – Stephan się skrzywił. – Co Emilie ma wspólnego ze skarbem? Ona jest w Tulonie.

Nie udała się do Tulonu – powiedział Czarny Krzyż. Nachyliwszy się do ucha księcia, szepnął: – Jest w małej dziurze, w księstwie Treille. Wieś nazywa się Veille du Pere.

–Veille du Pere? Słyszałem o niej. Przecież już ją przeszukaliście.

Owszem. – Morgaine kiwnął głową, widząc, że Stephan zaczyna rozumieć. – Emilie jest u znanego nam karczmarza. Skarb również.

## ROZDZIAŁ 90

Ku mojej radości Emilie nie wyjechała od razu po przekazaniu mi podarunku. Została jeszcze kilka dni. Byłem w siódmym niebie.

Pokazałem jej nasze prace fortyfikacyjne: barykadę z za ostrzonych pali wokół wioski, mogącą zastopować nagłą szarżę; stanowiska bojowe na wysokich drzewach, z których można było zasypać atakujących gradem strzał i kamieni. Widziała zapał, z jakim zachęcałem przyjaciół i sąsiadów do oporu. Sama gorąco popierała nasze wysiłki.

Pokazywałem jej najpiękniejsze miejsca wokół wioski. Staw pełen lilii wodnych, gdzie lubiłem pływać. Pole na wysokich wzgórzach, gdzie w lecie rosły dzikie słoneczniki. Z kolei ona pomagała mi przy odbudowie karczmy. Pokazałem jej, jak się mocuje bale do pionowych kolumn za pomocą kołków. Pomogła mi wciągnąć belkę nośną, po czym wycięliśmy w drewnie jej inicjały: Em. C.

Wiedziałem, że jej kaprys wkrótce minie i wtedy odjedzie. Na razie jednak była zadowolona. W rezultacie pozwoliłem sobie na śmiałe fantazjowanie, że nikt jej nie będzie żałował ani poszukiwał, że tu jest bezpieczna i że między nami dzieje się coś niepowtarzalnego.

Pewnego ciepłego dnia odłożyłem narzędzia, nim minęło południe.

–Chodź – powiedziałem do Emilie, biorąc ją za rękę. Szkoda takiego pięknego dnia na pracę. Chcę ci pokazać pewne urocze miejsce.

Zaprowadziłem ją na wzgórze, położone jeszcze dalej niż to, na którym spoczywali Sophie i Philippe. Słońce pieściło delikatnie naszą skórę. Wysoko nad wsią rozciągała się otwarta łąka, bujna trawa żółciła się pod lazurowym niebem.

–Tu jest cudownie! – wykrzyknęła z zachwytem Emilie, chłonąc wzrokiem każdy okrucuch błękitu i złota.

Rzuciła się na trawę i rozpostarła ręce i nogi w kształcie gwiazdy.

–Przyjdź tu, Hugues. Jestem w niebie. – Poklepała dłonią trawę obok siebie.

Położyłem się przy niej. Rozsypane wokół głowy miękkie, jasne włosy odsłaniały jej ramiona i dekolt, spod którego wyglądały kuszące piersi. Poczulem gwałtowne pożądanie, co mnie z oczywistych powodów zawstydziło.

–Powiedz mi – spytałem, opierając się na łokciu – Co oznacza inicjał C?

–Jakie C?

–Twojego rodu... Był na kasetce, którą mi dałaś, prócz tego wycięliśmy go na ścianie w karczmie. Nic o tobie nie wiem: kim jesteś, skąd pochodzisz, jak się nazywa twój ród.

–Martwisz się – odpowiedziała, śmiejąc się – że nie jestem z dość dobrej rodziny, by być partią dla ciebie.

–Ależ skąd, po prostu...

–Jeśli chcesz koniecznie wiedzieć, to urodziłam się w Paryżu. Jestem najmłodsza spośród czworga rodzeństwa: mam dwóch braci i siostrę. Mój ojciec jest niezwykle, ale nie z powodów, których byś się domyślał.

–Wiem, że jest arystokratą, członkiem dworu królewskiego.

–Poprzestańmy na tym, że jest ważną osobą. W dodatku wykształconą. Ale

czasem jego dalekowzroczność nie sięga za własny nos.

–Jesteś jeszcze dzieckiem – powiedziałem, przymrużając oko. – Mimo to wyfrunęłaś z rodzinnego gniazda.

–Bywa, że rodzinne gniazdo nie jest najprzyjemniejszym miejscem. – Uciekła spojrzeniem w bok. – Szczególnie dla kobiet, które w hierarchii rodzinnej zawsze są na końcu. Co mnie czeka prócz tego, że mogę zdobyć wykształcenie w sztukach wyzwolonych lub innych dziedzinach – którego nigdy nie wykorzystam? Albo zostać poślubiona jakiemuś wstrętnemu pederście, od którego będę o połowę młodsza? Czy wyobrażasz sobie mnie – przyjmującą prezenty i zabawiającą pustogłowych, starych dziadów?

–Miałem do czynienia z dwiema księżnymi – powiedziałem, promieniejąc ważnością – ale ty obie przewyższasz urodą i sercem.

Położyła dłoń do mojej i przez chwilę trwaliśmy tak w milczeniu. Potem odsunęła moją rękę.

–Rozwesel mnie, dobrze?

Rozweselić cię?

Tak. Jesteś przecież błaznem. W dodatku dobrym. – Oczy jej się zaświeciły. – No, rusz się. Przyjdzie ci to bez trudu.

–Wcale nie – próbowałem się opierać. – Trudno w takim miejscu jak to pokazać sztuczkę i spodziewać się, że ci się spodoba.

Więc się wstydzisz? Mnie...? Chodź. – Uszczypnęła mnie w ramię. – Jesteśmy sami. Zamknę oczy. Na Boga, myślę, że to nic trudnego domyślić się, co mi sprawi przyjemność.

Zamknęła oczy, unosząc przy tym podbródek. Patrzyłem na jej twarz, na miękkie, złote włosy odsłaniające ramiona.

Czułem, że zapiera mi oddech.

Była niewiarygodnie piękna... do tego miła, szlachetna i inteligentna.

Nagle wszystko, co nas dzieliło, przestało się liczyć – istniały jedynie dwa serca bijące wspólnym rytmem. Położyłem rękę na jej biodrze, modląc się, żeby nie uznała tego za obrazę, po czym powiodłem dłonią po jej krągłym boku ku talii.

Nie zaprotestowała. Ogarnęło mnie pożądanie, jakiego dotąd nie doświadczyłem. Oddech miałem urwany, czułem dreszcze na plecach. Czy czułem to od początku? Od chwili kiedy otworzyłem oczy i ujrzałem jej twarz?

Moja dłoń powędrowała po jej ramieniu, po czym delikatnie ześliznęła się na pełną pierś. Czułem, jak jej serce trzepocze.

Już raz się z tym u niej spotkałem. Teraz się powtórzyło.

Powoli dotknąłem ustami jej warg.

Nie opierała się... wprost przeciwnie: przysunęła się bliżej.

Rozchyliła miękkie usta. Nasze języki delikatnie się spotkały, tańcząc wokół siebie jak obłoki nad naszymi głowami.

Położyła mi dłoń na policzku. Oddychała z takim samym trudem jak ja. Jej skóra pachniała balsamem i lawendą. Przyływ podniecenia pod wpływem pocałunku sprawił, iż ujrzałem przyszłość w różowych barwach.

**Rozłączyliśmy usta z braku powietrza. Uśmiechnęła się.**

**–Wykorzystałeś mnie. Ostrzegano mnie przed wiejskimi chłopakami.**

**–Mam wrażenie, że śnię – odpowiedziałem. – Każ mi się obudzić.**

**–Więc się obudź. – Położyła sobie moją rękę na sercu. I przekonaj się, że to rzeczywistość.**

**Z radości serce omal nie wyskoczyło mi z piersi. Nie mogłem uwierzyć w to, co się stało.**

**W tym momencie usłyszałem głośnie bicie dzwonów we wsi.**

## ROZDZIAŁ 91

Wiedziałem, że to sygnał alarmowy.

Wróciłem myślą do rzeczywistości. Podniósłszy się błyskawicznie na kolana, spojrzałem w dół na wioskę, lecz nie zauważyłem jeźdźców ani oznak paniki. Nie zostaliśmy zaatakowani, jednak mieszkańcy gromadzili się na placu. Coś się wydarzyło.

–Chodź. – Pomogłem Emilie wstać. – Musimy wracać. Biegliśmy szybko w dół.

Kiedy znaleźliśmy się w zasięgu głosu, usłyszałem, że ktoś wykrzykuje moje imię. Georges wybiegł nam naprzeciw.

–Nadciągają, Hugues. Idą na nas zbrojni z Boree. Spojrzałem na Emilie, potem znów na Georges'a.

–Skąd wiesz?

–Przybył ktoś z ostrzeżeniem. Szuka cię. Chodź prędko. Jest w kościele.

Pobiegliśmy razem na plac. Cała wieś już się tam zgromadziła. W głosach zebranych dało się słyszeć panikę.

Przepchnąwszy się przez tłum otaczający kościół, zobaczyłem młodego chłopca, który odpoczywał na stopniach. Nie miał więcej niż szesnaście lat. Dyszał ciężko po biegu. Na mój widok wstał i przyjrzał mi się.

–Masz na imię Hugues – rzekł. – Poznaję po rudych włosach.

–Zgadłeś – odparłem. Wydawało mi się, że go znam. – Jesteś z Boree?

–Tak. – Skinął głową. – Biegłem przez całą drogę. Przysłał mnie błazen Norbert, twój przyjaciel.

–Norbert cię przysłał? – Podeszedłem do chłopca. – Jakie wieści przynosisz?

–Kazał mi powiedzieć, że idą na was. Musicie się przygotować.

–Wracam – powiedziała Emilie, przytulając się do mojego ramienia. – Spróbuję ich przekonać, że robią błąd.

–Nie możesz tego uczynić, pani – powiedział ze strachem chłopiec. – Nobert zakazał ci wracać. Stephan wie, że tu jesteś. Śledzili cię. Gwardia przyboczna księcia jest już w drodze. Będą tu dziś wieczór, najpóźniej jutro.

W tłumie słyhać było okrzyki przerażenia. Jedna z kobiet zemdląła. Krawiec Martin wskazał na mnie palcem.

–I co teraz? To twoja robota, Hugues. Co poczniemy?

–Będziemy walczyć – odparłem. – Przewidywaliśmy, że tak się stanie.

Na twarzach malowała się troska. Tu i ówdzie słyhać było pochlipywanie: żony tuliły do siebie dzieci i rozglądały się za swoimi mężami.

–Jesteśmy przygotowani – powiedziałem. – Ci ludzie przychodzą zabrać naszą własność. Nie ugniemy się przed nimi.

Milczeli, patrząc na mnie z lękiem. Raptem wystąpił spośród nich Odo.

Rozejrzawszy się, uderzył młotem w ziemię.

–Jestem z tobą. Razem z moim młotem!

–Ja t – też. – Alphonse stanął obok niego. – Naostrzyłem s – specjalnie siekierę.

–I ja! – zawołał Apples. Poszli zająć swoje stanowiska. Reszta mężczyzn stała w miejscu, lecz stopniowo, jeden po drugim, poszli za ich przykładem.

**Wróciłem do posłańca.**

**–Skąd mam być pewny, że jesteś tym, za kogo się podajesz? Że przysłał cię Norbert? Powiedziałaś, że pani Emilie była śledzona. Skąd mogę wiedzieć, czy to nie podstęp?**

**–Widziałeś mnie w Boree, Hugues. Mam na imię Lucien jestem synem piekarza. Prosiłem Norberta, żeby mnie przyjął na ucznia.**

**–Ucznia można przekupić – prowokowałem go dalej.**

**–Norbert przewidział, że będziesz mnie maglował. Jako dowód przysyła ci rzecz, do której jesteś przywiązany i która może pochodzić tylko od niego.**

**Sięgnąwszy za siebie, rozwinął wełniany koc, leżący na schodach kościoła.**

**Uśmiechnąłem się. Norbert miał rację. Rzecz, którą przyniósł chłopiec, miała dla mnie sentymentalną wartość. Nie widziałem jej od dnia mojej ucieczki z Boree.**

**Lucien trzymał w ręku mój kostur.**

## ROZDZIAŁ 92

W ciągu następnych godzin wieś wrzała pracą, jakiej nigdy dotąd nie widziałem.

Stery zaostrzonych pali zaciągnięto na mostek i wkopano w ziemię. Na drzewa wciągnięto worki z kamieniami. Ci, którzy umieli strzelać, ostrzyli groty i układali przy swoich stanowiskach kołczany; pozostali rozstawili się z motykami i maczugami. Wszyscy byli zdenerwowani, mimo to nim zapadł zmierzch, wieś była gotowa do walki.

Plan zakładał, że starsi, część kobiet i małe dzieci schowają się w lesie, nim nadciągnie nieprzyjaciel. Powiedziałem Emilie, że zaliczyłem ją do tej grupy, gdy jednak nadszedł czas działania, nikt nie opuścił wioski.

–Zostaję z tobą. – Emilie potrzęsnęła głową. Oddarła dolną część sukni i rękawy, by mieć większą swobodę ruchów. – Mogę układać strzały albo podawać broń.

–Ci ludzie to zabójcy – powiedziałem, próbując ją przekonać. – Nie sprawia im różnicy, czy mordują kogoś z wysokiego rodu, czy z plebsu. To nie jest walka w twojej sprawie.

–Mylisz się. Nie ma różnicy między arystokratą a plebejuszem – odparła z tą samą nieugiętą stanowczością, z jaką przyszła mi z pomocą w Boree. – A od dziś ta walka stała się moją sprawą.

Zostawiłem ją przy układaniu w sterty kamieni, a sam pospieszyłem na pierwszą linię obrony przy moście. Alphonse i Apples rozpinali linę.

–Ilu ich będzie? – spytał Alphonse.

–Nie wiem – odparłem. – Dwunastu, dwudziestu, może więcej. Czeka nas sporo roboty.

Zająłem moje stanowisko na poddaszu domu krawca, w pobliżu wjazdu do wioski, skąd mogłem kierować obroną. Miałem miecz – stary, ale doskonale naostrzony.

Czułem ściskanie w żołądku. Pozostało nam tylko czekać. Pod wieczór przyszła do mnie Emilie. Usiedliśmy pod ścianą, oparła mi głowę na ramieniu. Uświadomiłem sobie to, co zawsze odczuwałem w jej towarzystwie. Dawała mi poczucie siły.

Cokolwiek się stanie – rzekła, przytulając się do mnie – chcę żebyś wiedział, iż cieszę się, że tu jestem z tobą. Odnoszę wrażenie, choć trudno mi to wytłumaczyć, że masz przed sobą przyszłość.

Kiedy Turek darował mi życie, pomyślałem, iż chciał, żebym rozśmieszał ludzi. W rezultacie stałeś się doskonałym błaznem.

Tak. Dzięki tobie.

Nie. – Emilie odsunęła się i spojrzała na mnie. – Dzięki sobie. Osiągnąłeś to, że cały dwór w Boree jadł ci z ręki.

Później doszłam do przekonania, że Bóg przeznaczył cię do wyższych celów. Myślę, że do tego, co robisz teraz. Przytuliłem ją mocno, czując na żebrach dotyk jej piersi i bicie serca. Znów lędzwiał przeszyła mi iskra pożądania. Milcząc, patrzyliśmy sobie w oczy. Wewnętrzny głos mówił mi, że Emilie ma rację – jej miejsce jest tutaj. Tam gdzie moje.

Nie chcę umrzeć – powiedziała – nie wiedząc, jakie to uczucie być z tobą.

Nie pozwolę ci umrzeć. – Objąłem dłonią jej piąstkę. Pochyliła się nade mną i

pocałowaliśmy się. Inaczej niż poprzednio, mocniej, z większą pasją. Jej oddech stawał się coraz szybszy.

Wsunąłem ręce pod jej suknię i przesunąłem po jedwabistej skórze brzucha. Czułem dreszcz w całym ciele. Spojrzeliśmy sobie w oczy i nie mieliśmy już wątpliwości.

Kocham cię – powiedziałem. – Od pierwszej chwili. Teraz to sobie uświadomiłem. Ale nie uświadamiałaś sobie, że ja też cię kocham. Usiadła mi na udach. Westchnęła, kiedy w nią wszedłem, lecz zaraz zrobiła się spokojna i odprężona. Trzymałem ją za biodra i zaczęliśmy się kołysać. Jej oczy rozszerzyły się z rozkoszy, moja skóra robiła się coraz bardziej wilgotna, w miarę jak zwiększaliśmy tempo. Czas przestał się liczyć, byliśmy sami na świecie.

–Och, Hugues. – Przycisnąwszy się do mnie, na moment znieruchomiała. – Kocham cię.

Na koniec przejmująco jęknęła. Objąłem ją ramionami i nie puszczałem, jakbym chciał ją tak zatrzymać do końca życia. Ponownie wydała okrzyk rozkoszy.

–Nie budź mnie – powiedziała z westchnieniem. Jestem w trakcie najcudowniejszego snu.

Ukryła twarz na mojej piersi, a ja pomyślałem, że mógłbym zawsze tak siedzieć. Spojrzałem za okno. Jakim cudem spotkałem taką kobietę? Chciałem ją trzymać w ramionach i dbać o jej bezpieczeństwo, ona ze swej strony zaryzykowała wszystko żeby mnie osłonić.

Czy dlatego darowano mi życie? Nie umiałem znaleźć innego wytłumaczenia. Usłyszałem okrzyk, a potem wołanie na alarm. Daleki tętent od którego zaczęła drżeć ziemia, zmroził nam krew w żyłach.

Pobiegłem do okna. Na niebie ukazała się płonąca strzała. To był sygnał czujki.

Spojrzałem na Emilie. Spokój poprzedniej chwili ustąpił miejsca przeszywającemu lękowi. Nadjeżdżają!



## ROZDZIAŁ 93

Zbrojni zatrzymali się u wlotu do śpiącej wioski. Bezksiężycowa noc maskowała ich przyjazd. Od dwóch dni galopowali przez leśne wioski, tratując po drodze ludzi i wozy. Czarny Krzyż wiedział, że wyczerpująca podróż jedynie podsyci w nich żądzę krwi.

Jadący przodem wywiadowca wynurzył się z lasu.

Wieś śpi, panie. Najlepszy moment do ataku.

–Przyszykowali jakąś obronę? – zapytał Morgaine.

–Tylko jedno. – Wywiadowca uśmiechnął się drwiąco. – Usypali na drodze tak wysoki wał z gnoju, że nasze konie nie zobaczą, co jest za nim.

Morgaine zachichotał. To będzie dziecinna zabawa. Niemowlęta zadżgane we śnie.

Ścigał tę gnidę od samej Antiochii. Teraz dzieliły go jedynie minuty od zdobycia trofeum. Najcenniejszego ze wszystkich. Ścierwo tym razem nie ujdzie.

–Ten, kto znajdzie trofeum, może być pewny, że po powrocie dostanie w nagrodę zamek. Zabijcie, kogo chcecie, tylko mi odszukajcie rudzielca. Wsadźcie bydlakowi sztylet w dupę i przyprowadźcie go do mnie.

Jego ludziom zaświeciły się oczy. Podnieceni zbliżającą się bitwą przywdziewali na skórzane kaftany puklerze i naramienniki, przygotowywali broń – maczugi, ciężkie miecze i włócznie – wciągali wzmocnione stałą rękawice. Za chwilę mieli zamienić tę śpiącą kupę gnoju w rzekę krwi. Powkładali hełmy. Przez szczeliny przyłbic widać było jedynie błysk oczu.

Podwładny Morgaine'a zameldował mu o gotowości.

–Jakie rozkazy, panie?

–Zrównajcie wszystko z ziemią – odparł bez emocji Morgaine. – Całą wieś.

Zabijcie wszystkich, prócz karczmarza. Nikt nie ma prawa przeżyć. To dotyczy również pani Emilie.

Tafur skinął głową. Na znak Morgaine'a dał rozkaz do ataku.

## ROZDZIAŁ 94

Podłoga pod moimi nogami się zatrzęsła. Wzmagający się łoskot kopyt przypominał zbliżającą się lawinę.

Wybiegłem na ulicę. Ludzie wychylali głowy ze swoich stanowisk; w ich oczach było widać narastający strach. – Nie bójcie się – przekonywałem ich. – Oni myślą, że to będzie dziecinnie proste. Ściśle wykonujcie swoje zadania. Czuję narastający strach, który musiał ogarniać wszystkich. Pospieszyłem do Alphonse'a i Apples'a, rozpinających linę w poprzek mostu.

Pamiętajcie, co ci ludzie podczas ostatniego najazdu uczynili waszym przyjaciółom i rodzinom. Pamiętajcie, co przysięgliście z nimi zrobić, gdybyście mieli okazję. Teraz macie tę okazję!

Tymczasem łoskot się wzmógł, osiągając przerażające natężenie. Nie wiedziałem, czy źródłem przenikającego mnie hałasu było dudnienie końskich kopyt, czy oszały tętent serca. W końcu ich zobaczyliśmy – wyłaniającą się z lasu czarną chmurę – Dwunastu do czternastu, z pochodniami w rękach, wyrzaskujących obietnicę śmierci.

Zatliła się we mnie iskierka nadziei. We wsi było ciemno. Na pewno nie zauważą naszej obrony.

Trzymajcie mocno – zawołałem, gdy konie zbliżały się do mostu, jednak moje słowa utonęły w nadciągającym łoskocie. Pierwsza linia jeźdźców przegalopowała przez most i wpadła prosto na rozpiętą linę. Konie zwały się na ziemię, jeźdźcy wylecieli w powietrze. Pierwszy wpadł na zaostrzony pał, który przebił go na wylot. Zawisł na nim z rozpostartymi kończynami, które drżały jeszcze przez chwilę konwulsyjnie. Drugi, wylądowawszy na głowie, został stratowany przez nadjeżdżające konie.

Widząc zasadzkę, następni próbowali się zatrzymać, ale za szybko pędzili. Trzeci spadł z wrzaskiem, po nim jeszcze jeden.

Zobaczyłem Odonę, który wyskoczył spod mostu i gdy jeden z jeźdźców próbował się podnieść, spuścił mu na głowę ciężką maczugę. Uderzenie wgniotło hełm jeźdźcy, jakby był z cienkiej blachy. Podniesiony na duchu tym widokiem Apples również wyskoczył z ukrycia, przebijając mieczem szyję czwartego.

Pochodnie wyleciały z rąk tych, którzy spadli, i zapaliły drewnianą barykadę.

Konie rżały i stawały dęba. Z drzew sypał się grad strzał. Kolejni dwaj jeźdźcy stoczyli się z koni, jeden z przebitą głową, drugi trafiony w szyję. Pozostali, widząc, co się dzieje, przegrupowali się na moście, po czym rządkiem jeden po drugim, wdarli się przez płonącą barykadę do wsi. Pogalopowali ulicami, podpalając domy. Machnąłem mieczem w stronę drzew.

–Teraz, Jean!

Ciemny kształt, spadający z nieba, przemknął przez drogę i trafił jednego z jeźdźców, wysadzając go z siodła. Leżał na ziemi, zdumiony, przygnieciony ciężarem własnej zbroi. Podniosłem nad nim miecz i krzyknąłem w szczeliny jego przyłbicy:

–To za Sophie, ty ścierwo. Poczuj, jak smakuje śmierć z ręki błazna. – Opuściłem miecz, który wszedł gładko przez złącze nad napierśnikiem, przeszył na wylot ciało i

zakleszczył się. Nie mogłem go wyjąć.

Byłem bezbronny, lecz przez moment odczuwałem satysfakcję. Przygotowania nie poszły na marne. Ludzie walczyli. Siedmiu napastników, zapewne już nieżywych, leżało na ziemi. Dwaj inni, bez koni, otoczeni przez wieśniaków, którzy okładali ich pałkami i kamieniami, wymierzali na oślep ciosy, które nikomu nie czyniły krzywdy.

Widziałem, jak Alphonse wskoczył na plecy jednego z napastników i wbił nóż przez wizjer jego przyłbicy. Tafur rzucił się do przodu. Chcąc strącić chłopca, miotał się w tył i w przód wywijając maczugą. Inny chłopak grzmotnął go belką w kolana.

Napastnik upadł na ziemię, wtedy Alphonse wbił mu nóż w szyję. Tafur przekręcił się i znieruchomiał.

Ludzie biegali we wszystkie strony i krzyczeli. Napastnicy pędzili przez wioskę, podpalając słomiane strzechy, które błyskawicznie strzelały wysokim płomieniem. Było ich tylko pięciu, ale uzbrojonych i na koniach. Gdybyśmy teraz dali za wygraną, mogli opanować wioskę.

Puściłem się pędem, bezbronny, w stronę placu.

–Łap – krzyknęła Emilie, rzucając mi kostur.

Zobaczyłem, jak po przeciwnej stronie drogi Jacqueline, rumiana mleczarka, rzuciła kamieniem w napastnika, a nadjeżdżający z tyłu drugi roztrzaskał jej głowę maczugą. Z drzew posypały się strzały i morderca spadł na ziemię. Natychmiast rzucili się na niego wieśniacy, kopiąc go i okładając pałkami i motykami.

Raptem na placu zrobiło się jasno. Aimee, córka młynarza, i ojciec Leo podłożyli ogień pod pas zarośli, otaczających plac.

Konie napastników stanęły dęba. Jeden z Tafurów runął prosto w płomienie. Reszta jeźdźców miotła się po placu, nie mogąc zmusić koni do wyrwania się z kręgu ognia.

Jeździec, który spadł z konia, wstał ogarnięty płomieniami.

Rzucił się gwałtownie na wszystkie strony, przez szczeliny jego zbroi wydostawał się na zewnątrz dym. Płomienie przeniknęły pod pancerz; skóra napastnika gotowała się jak w garnku stojącym na ogniu.

Dwaj napastnicy nadal pozostawali uwięzieni w pierścieniu ognia. Jeden zmusił konia do skoku, lecz Martin podbiegł i uderzył konia w nogi. Jeździec zamierzył się na Martina maczugą, ale koń go zrzucił, a maczuga wypadła mu z ręki.

Leżąc na ziemi, wymachiwał rękami, starając się uchwycić broń, lecz Aimee, która wyskoczyła z ciemności, podniosła siekierę i rozrąbała napastnikowi głowę.

Zwycięzaliśmy! Mieszkańcy walczyli jak straceńcy, którzy stoją wobec ostatniej szansy. Mimo to dwóch lub trzech napastników nadal nam zagrażało.

Raptem ku mojemu przerażeniu ostatni Tafur, który znajdował się w pierścieniu ognia, wyrwał się i pognął, wywijając toporem, ku Aimee, stojącej nad napastnikiem, którego zabiła.

–Aimee, uważaj! – wrzasnąłem. Puściłem się pędem krzyżąc ze wszystkich sił.

Nie mogłem znieść myśli, że młynarz mógłby stracić ostatnie dziecko.

Dziewczynka nadal stała, nieświadoma nadciągającej śmierci. Biegłem ile sił w nogach mając pustkę w głowie. Byłem w odległości dwudziestu kroków gdy jeździec

**stanął w strzemionach i podniósł topór.**

**Jeszcze sześć kroków...**

**–Nie... – wrzasnąłem. Dotarłem do niej ułamek sekundy przedtem, nim Tafur opuścił topór. Przewróciwszy ją na ziemię, przykryłem własnym ciałem, oczekując lada moment wbijającego mi się w plecy ostrza. Ale cios nie nastąpił.**

**Tafur pogalopował kawałek dalej, po czym zawrócił. Przez moment stał, ściągający wodze, i patrzył na pogrom swoich towarzyszy.**

**Wiedziałem, o czym myśli; niejednokrotnie spotykałem się z tym na krucjacie. To był moment bitwy, kiedy żołnierz już wie, że wszystko stracone – pozostaje mu tylko walczyć, dopóki sam nie zginie, zadając wrogowi jak najwięcej strat.**

**Wypchnąłem Aimee z placu i wstałem z ziemi. Znalazłem się sam na sam z napastnikiem, mając do obrony jedynie drewniany kostur.**

**Nie chciałem zginąć, lecz nie miałem zamiaru uciekać.**

**Jeździec spiął potężnego konia i zaszarżował. Ciemna postać gnała ku mnie z łoskotem kopyt, mimo to się nie cofnąłem.**

**Stałem mocno na nogach i podniosłem kostur.**

## ROZDZIAŁ 95

Kiedy szarżujący rycerz podniósł topór, przemknąłem tuż pod nim na przeciwną stronę, a następnie z całej siły uderzyłem kosturem w nogi konia. Zwierzę zarżało z bólu, nogi się pod nim ugięły, a jeździec wyleciał z siodła. Zwalił się z hukiem na ziemię, po czym wywinąwszy kilka kozłów, zatrzymał się o dziesięć stóp ode mnie.

Pobiegłem podnieść jego ciężki topór, który leżał nieco z boku. W tym czasie Tafur zdołał wstać i wyciągnąć miecz.

–Deus adiuvat – powiedział po łacinie z szyderstwem w głosie – kiedy będę wysyłał tego nędznego szczura do Stwórcy.

–Będziesz go bardzo potrzebował – odparłem tym samym tonem.

Rzucił się na mnie, rycząc dziko.

Widząc jego uniesiony miecz, zasłoniłem się toporem: ostrza zderzyły się z głośnym szczękiem. Staliśmy oko w oko, mięśnie nam drżały z wysiłku; każdy starał się wbić ostrze w szyję przeciwnika. Tafur nagłym ruchem kopnął mnie kolanem w pachwinę, aż mnie zatkąło. Zgiąłem się wpół, wtedy on zamierzył się mieczem na moje kolana. Zebrawszy wszystkie siły, zasłoniłem się toporem i znów stanęliśmy oko w oko, mierząc się wściekłym wzrokiem. Próbował uderzyć mnie przyłbicą swojego hełmu, ale odskoczyłem do tyłu. Potknąłem się, wówczas natarł z szaleńczą furją, zadając raz po raz z całych sił ciosy.

Kiedy się zorientował, że moje ruchy stały się wolniejsze, roześmiał się.

–Podejdź do mnie, chłopczyku. Wyglądasz, jakbyś lubił macać prawdziwe jaja.

Przykucnąłem. W tym pojedynku nie miałem szans. Topór był ciężki i zbyt wolno nim władałem, by dać radę szybkim uderzeniom miecza, w dodatku ogarniało mnie coraz większe zmęczenie.

–Chodź do mnie... – Posłał mi pocałunek. Dysząc ciężko, spojrzałem mu w oczy.

Zdawałem sobie sprawę, że już długo nie dam rady bronić się przed jego atakami. Nogi się pode mną uginały, brakowało mi sił. Próbowałem sobie przypomnieć jakiś fortel z czasów wojny. Nagle przyszedł mi do głowy pewien pomysł – zwariowany, desperacki – sztuczka bardziej błazeńska niż żołnierska.

–Na co czekasz? – powiedziałem, opuściwszy topór. Udałem, że uznaję się za pokonanego i nie chcę dłużej walczyć. – Czego więcej chcesz?

Odwróciłem się tyłem, zgiąłem się wpół i podciągnąwszy kaftan, pokazałem mu goły tyłek.

–Chodź... – powiedziałem. – Wolałbym prawdziwego mężczyznę, ale poza tobą nie ma tu nikogo. – Rzuciłem topór na ziemię jakieś cztery kroki przed siebie.

Nadal pochylony patrzyłem, jak się zbliża, unosząc miecz. Na ułamek sekundy przed ciosem zrobiłem salto w przód. Miecz przeciął powietrze w miejscu, z którego nagle zniknąłem, i utkwiał w grząskiej ziemi.

Wylądowałem na nogi i obracając się, chwyciłem jednocześnie rękojeść topora.

Zdezorientowany Tafur próbował wyrwać miecz z ziemi. Zobaczyłem na jego twarzy przerażenie. Tym razem ja się roześmiałem, posyłając mu pocałunek.

Włożyłem w uderzenie całą siłę. Głowa Tafura potoczyła się po ziemi jak kopnięta piłka.

**Ukląkłem na ziemi bez tchu. Czuję się tak, jakby moje mięśnie miały lada moment eksplodować. Odrzuciłem topór, chwytając łąpczywie powietrze.**

**Po chwili wstałem, lecz gdy schylałem się po kostur, usłyszałem za sobą czyjś szyderczy głos:**

**–Sprawiłeś się dobrze, karczmarzu, ale nie szafuj zbyt hojnie pocałunkami. Przyda ci się parę dla kogoś innego...**

**Odwróciwszy się, zobaczyłem następnego Tafura. Na hełmie miał wymalowany czarny krzyż. Podniesiona przyłbica odsłaniała zimną, pokrytą bliznami twarz, którą już gdzieś widziałem, ale nawet nie próbowałem sobie przypomnieć gdzie. Moją uwagę przykuło coś innego.**

**Łotr trzymał Emilie.**

## ROZDZIAŁ 96

–Puść ją – powiedziałem. – Ona nie ma z tym nic wspólnego.

Tafur był wysoki i silny. Przyłożywszy Emilie ostrze miecza do szyi, trzymał ją za skręcone włosy. Jego włosy, długie i ciemne, opadały tłustymi strąkami na pobliznioną twarz.

–Chcesz, żebym ją puścił? – Roześmiał się. Skręcił jej włosy jeszcze bardziej.

–Jest taka ładna i słodka. Sprawi mi wiele rozkoszy. – Powąchał jej włosy. – W przeciwieństwie do ciebie nie miałem okazji posiąść wysoko urodzonego śmiecia.

Postąpiłem ku niemu o krok.

–Czego ode mnie żądasz?

–Myślę, że dobrze wiesz, karczmarzu... Myślę, że pamiętasz także, gdzieśmy się już spotkali.

Patrzył na mnie twardym, lecz zarazem rozbawionym wzrokiem. Nagle opadła mi z oczu zasłona, kryjąca przeszłość. Zobaczyłem wewnątrz kościoła w Antiochii.

Łotr, który zabił Turka.

–To ty dokonałeś tych wszystkich haniebnych zbrodni? Tafur poczuł się pochlebiony. Roześmiał się.

–„Jesteś wolny”... przypominasz sobie, karczmarzu? Kiedy cię ostatni raz widziałem, pewien niewierny był o krok od przeorania ci dupy. Ale dość wspomnień.

– Zmusił Emilie, żeby uklękła. – Chętnie ją uwolnię. Masz mi tylko oddać to, co do mnie należy.

–Powiedz, o co ci chodzi! Zabraliście mi wszystko, co miałem.

–Mylisz się, karczmarzu. – Podniósłszy Emilie podbródek, przycisnął jej do szyi błyszczące ostrze miecza. Emilie stłumiła westchnienie. – Gdzie to jest?

Jej przyszłość jest w twoich rękach.

–Gdzie jest co? – wrzasnąłem. Spojrzałem na Emilie, nie mając pojęcia, jak jej pomóc. Krew mi się gotowała z wściekłości.

–Nie igraj ze mną, rudzielcu. – Spiorunował mnie wzrokiem – Byłeś w tamtym kościele, w Antiochii. Widziałem cię. Nie poszedłeś tam, żeby się modlić. Mów szybko, bo utnę jej piękną główkę.

Byłem tam... Nagle wszystko stało się dla mnie jasne. Krzyż! Złoty krzyżyk, który skradłem z tamtego kościoła. Wszystko kręciło się wokół niego. Przez niego zginęło tylu ludzi.

–Jest zagrzebany na wzgórzu. Oddam ci go. Puść ją!

–Nie będę z tobą pertraktował. – Twarz miał wykrzywioną z wściekłości. – Oddaj mi to, co chcę, bo zarżnę ją jak prosiaka, a zaraz po niej ciebie.

–Weź go sobie. Ukradłem go w kościele. Dla mnie to była tylko ozdóbka. Nie miałem pojęcia, z czym się wiąże. Puść ją, to ja ci ten złoty krzyżyk przyniosę.

Tylko ją wypuść.

–Krzyżyk...? – Usta mu zadrgały, nie wiedziałem, czy ze zdumienia, czy z wściekłości. Splunął. – Nie chcę twojego pieprzonego krzyżyka, nawet gdybyś go wyjął samemu świętemu Piotrowi z dupy. Dobrze wiesz, jaką przyniosłeś relikwię.

–Nie wiem! – Kręciło mi się w głowie, poczułem przerażenie. – Nie mam nic

innego.

–Masz. – Szarpnął Emilie za włosy, obnażając jej gardło.

–Nie! – krzyknąłem. O co mu chodziło? Miałem przed sobą potwora. Czarny

Krzyż.

Zabił Sophie. Wrzucił w ogień mojego syna. Zabrał mi wszystko, co kochałem. Za chwilę uczyni to ponownie. W imię czego? Dla rzeczy, której nie mam!

–Cokolwiek to jest, czy było tyle warte, żebyś szedł moim tropem aż z Ziemi Świętej? Dokonywał rzezi niewinnych dzieci? Palił wioski? Zabił mi żonę i dziecko? – Czy było warte? – Oczy mu się zaświeciły. – Tamte wszystkie dusze, a nawet tysiące takich jak twoja żona i dziecko, to błahostka w porównaniu z tym. Rusz się, karczmarzu! – wrzasnął – bo wyślę na tamten świat następną duszę, którą, jak widzę, kochasz.

–Nie. – Kręciłem głową, z początku bezradnie, potem ze wzrastającym gniewem. – Niczego więcej mi nie odbierzesz.

Popatrzyłem na Emilie. Spotkaliśmy się oczami. Odniosłem wrażenie, że chce mi dodać odwagi.

Wiedziałem, że nie zabije jej, jeśli go zaatakuję. Byłem mu potrzebny. To ja – nie Emilie – byłem nicią, dzięki której mógł trafić do cennego trofeum. Nie mógł zaryzykować, że zostanie sam, bez zakładnika. Ścisnąłem w garści kostur. Nie miałem nic więcej przeciw mieczowi, nie licząc rąk i determinacji.

W następnej chwili, rycząc, zaatakowałem kanalię.



## ROZDZIAŁ 97

Zamachnąwszy się kijem, zadałem mu cios, w który włożyłem resztę sił.

W tym samym momencie Czarny Krzyż odepchnął Emilie na bok i przygotował się na mój atak. Był ogromny, zwinny i łatwo odparował mieczem mój cios.

–Jaka to cenna rzecz – wrzasnąłem, zadając mu razy pod różnymi kątami – że morduje się dla niej ludzie, którzy nigdy o niej nie słyszeli? Że zabija się dla niej moją żonę i małego syna? A choćby najmniej wartościową duszę? Za Sophie, za Philippe'a...! – Zadawałem mu jeden po drugim ciosy, które jednak łatwo parował. Bałem się, że mój kostur lada moment pęknie, a wtedy Tafur bez przeszkód przebije mnie mieczem.

–Udajesz, błaznie? Znów strugasz wariata, żebym ci mówił o wartości skarbu, który ukradłeś? – Zmusił mnie do cofnięcia się, po czym sam zaczął nacierać, zadając jakby od niechcienia uderzenia, przed którymi zasłaniałem się kosturem, aż drewno trzeszczało.

–Nie mam tego, o czym mówisz! – krzyknąłem. – Nigdy nie miałem. To pomyłka. Zamachnął się na moje nogi, ale odskoczyłem, jednak miecz odłupał z kija parę drzazg.

–Byłeś tam, błaznie. W kościele, w Antiochii. Szukaliśmy tego wszyscy.

Myślisz, że nobile po to walczyli w krucjacie, żeby pomścić kilka zakonnic? A ty po co poszedłeś do tego kościoła? Żeby wysłuchać mszy? Chcesz mi wmówić, że nie wiesz, iż relikwia, o którą walczyłeś z niewiernym i która od wieków spoczywała w tamtym grobowcu, nie była tą, co dopełniła ofiary naszego Pana i ma na ostrzu Jego świętą krew?

Nie miałem pojęcia, co miał na myśli. Zadał mi cios w tułów.

Zdołałem się przed nim zasłonić, jednak ostrze miecza skaleczyło mi rękę. Wiedziałem, że kończący sztych wkrótce nastąpi.

–Obłowiłeś się? Sprzedałeś to żydom? Jeśli to zrobiłeś, tym straszniejsza czeka cię śmierć. – Następny cios odłupał kolejny kawałek kostura i posłał mnie na ziemię. Wylądowałem na plecach, czując, że lada chwila nie będę mógł się bronić.

Palce mi krwawiły, umysł gorączkowo szukał odpowiedzi na jego pytania.

–Nie mam tego. Przysięgam! Zadał mi kolejny cios, który omal nie przeciął kostura na pół. Wiedziałem, że moja broń wytrzyma już tylko kilka takich uderzeń.

Usłyszałem z tyłu krzyk Emilie. Skoczyła mu na plecy, chcąc go ode mnie odciągnąć, ale odrzucił ją jak dziecinną zabawkę.

Oczy mu zapłonęły z wściekłości.

–Oddaj mi to, złodzieju. Natychmiast! Inaczej zaraz będziesz się smażył w piekle.

–Jeśli tak – powiedziałem, zadając mu cios – to będę w nim na ciebie czekał.

Byłem wykończony. Brakowało mi tchu i nie miałem sił.

Zasłaniałem się przed ciosami, lecz każdy następny coraz bardziej nadweręzał mój kostur. Chciałem za wszelką cenę zabić Tafura – by pomścić Sophie i Philippe'a – ale nie miałem siły.

Zapędził mnie do przydrożnego rowu. Rozglądałem się za jakąś bronią, którą mógłbym go zabić. Wzniósł miecz.

**–Masz ostatnią szansę – warknął. – Jeśli mi to oddasz, puszcze cię wolno.**

**–Czy nie widzisz, że nic nie mam? – wrzasnąłem. Miecz opadł. Myślę, iż zamknąłem oczy w przekonaniu, że to koniec, bo moja broń dłużej nie wytrzyma. Uderzenie odłupało następny kawałek drewna. Ku mojemu zdumieniu spod drewna wyrzwał metalowy rdzeń.**

**Czarny Krzyż rąbał mieczem raz po raz, jednak mój kostur w jakiś cudowny sposób wytrzymywał ciosy. Drewniany kij rozłupał się jak futerał, odsłaniając inne tworzywo.**

**Żelazo.**

**Dzierżyłem w ręku długi, zardzewiały trzon starożytnego oszczepu.**

**Tafur znieruchomiał. Patrzył jak urzeczony. Trzon kończył się ornamentem w kształcie orła. Rzymskiego. Wystające z niego ostrze – ciemne, tępe i zardzewiałe – miało na sobie plamę krwi.**

**Dobry Boże w niebie – usłyszałem własne słowa. Mrugałem, chcąc się upewnić, czy sam nie jestem już w niebie.**

**Mój kostur – ów kij, który wyjąłem z rąk umierającemu księdzu w kościele w Antiochii – nie był kijem.**

**Był włócznią.**

## ROZDZIAŁ 98

Nie wiem, jak opisać to, co się potem zdarzyło.

Miałem wrażenie, że czas stanął. Przestaliśmy walczyć zafascynowani niewiarygodnym zjawiskiem. Cokolwiek to było, za zdumienia Tafura wywnioskowałem, że rzeczą, której tak usilnie poszukiwał, była właśnie ta włócznia. Raptem, w jakiś cudowny sposób, znalazła się przed nim na wyciągnięcie ręki. Oczy miał okrągłe jak spodki. Choć była zardzewiała, tępa i wyglądała nad wyraz zwyczajnie, wydawała się promieniować jakąś wewnętrzną światłością.

Rzucił się na mnie, chcąc mi ją odebrać. Cofnąłem włócznię poza zasięg jego ręki, mimo to, stojąc nade mną, był w korzystniejszej pozycji. Zamierzył się mieczem do ostatecznego ciosu. Wiedziałem, że nie zdążę się zasłonić. Tym razem rozplątałyby mnie na pół.

Pchnąłem go włócznią – jedyną rzeczą, jaką miałem. Ostrze przebiło kolczugę, przeszło między żebrami i utkwilo w płucach. Czarny Krzyż wydał jęk, oczy mu się rozszerzyły, lecz nawet z ostrzem w piersi nie ustawał. Kiedy ponownie wznosił miecz, wepchnąłem włócznię głębiej. Jego oczy cofnęły się w głąb czaszki, lecz raz jeszcze spróbował podnieść miecz. Wznosił go na wysokość głowy, ale nagle westchnął, ramiona mu opadły, otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, tyle że zamiast słów wydobyła się z nich krew.

Wbiłem włócznię jeszcze głębiej. Zesztywniał, wyprostowany, na twarzy miał wyraz niedowierzania, że traci skarb, który był już tak blisko. Potem zgiął się wpół i z przedśmiertnym charkotem upadł na wznak.

Leżałem jeszcze przez chwilę, nie mogąc uwierzyć, że żyję. Dźwignąwszy się na kolana, podpełznąłem na czworakach do umierającego. Rękami kurczowo obejmował drzewce. Co to jest? – spytałem.

Nie odpowiedział. Zakaszłał, z ust wypłynęła mu krew i żółć.

–Co to jest? – krzyknąłem. – Co to za rzecz? Przez nią – zginęli moja żona i syn!

Wyciągnąwszy oszczep z jego piersi, podsunąłem mu go przed oczy. Znów zakaszłał, lecz tym razem bez krwi.

Nie wiesz? – Uśmiechnął się blado, z piersi wydobył mu się świst. – Przez cały czas nie wiedziałeś?

–Powiedz mi... – Złapałem go za siatkę kolczugi. – Zanim umrzesz.

–Trzeba być głupcem... – znów zakaszłał i uśmiechnął się – żeby będąc najbogatszym człowiekiem w chrześcijańskim świecie, nie wiedzieć o tym. Nie domyślasz się, co mogło leżeć przez tysiąc lat w tamtym grobowcu? Nie poznajesz krwi Zbawiciela? Patrzyłem wybałuszonymi oczami na starożytny, pokryty krwią oszczep. Należał do Longinusa, centuriona rzymskiego, który przebił nim bok umierającego na krzyżu Chrystusa. Poczułem się kompletnie otumaniony. Zaczęły mi się trząść ręce. Ścisnąłem w nich świętą włócznię.

## ROZDZIAŁ 99

Podniosłem się, trzymając z szacunkiem drogocenną relikwią Emilie przybiegła do mnie pierwsza i zarzuciła mi ręce na szyję. Bitwa skończyła się naszym pełnym zwycięstwem. Georges, Odo i ojciec Leo biegli ku mnie ile sił w nogach.

Pozostali też się powoli schodzili. Wiwatowali, tańczyli z radości, ja jednak nie mogłem oderwać oczu od włóczni.

–Mój kostur... – ledwie mogłem mówić – to święta włócznia. Miałem ją od dawna. Ludzie stanęli jak wryci. Zaległa cisza.

–Święta włócznia...? – ktoś powtórzył. Obstąpili mnie kołem. Słysząc było szepty i okrzyki radości. Oczy wszystkich skupiły się na zardzewiałym ostrzu, którego sam koniec był ułamany.

–Matko Boska. – Georges, w kaftanie spryskanym krwią, wysunął się z tłumu. – Hugues ma świętą włócznię.

Wszyscy uklękli, ja również.

Ojciec Leo obejrzał włócznię, nie dotykając jej, skupiwszy uwagę na starej, zakrzepłej krwi na ostrzu.

–Chwała Bogu. – Pokręcił głową z wyrazem zachwytu w oczach, po czym zacytował z pamięci ustęp Pisma Świętego: „Tylko jeden z żołnierzy włócznią przebił Mu bok i natychmiast wypłynęła krew i woda”\*

–To cud – ktoś zawołał.

–To znak – powiedziałem.

–Jezu, Hugues, trzymałeś to w ukryciu na czarną godzinę?

–zapytał basem uśmiechnięty Odo.

Nie mogłem mówić. Ludzie wykrzykiwali moje imię. Oprawcy Stephana zginęli co do jednego. Nie wiedziałem, czy to była zasługa świętej włóczni, czy nasza – w każdym razie zwyciężyliśmy.

Spojrzałem na Emilie. Miała na ustach wszystkowiedzący uśmiech, jakby chciała rzec: A nie mówiłam? Wziąłem ją za rękę.

Ludzie wiwatowali i wznosili okrzyk:

–Hugues. Lancea Dei. – Włócznia Pana.

Ocalałem. Nie tylko dziś, lecz już wiele razy poprzednio. Jak miałem to rozumieć? Jaką misję poruczył Bóg karczmarzowi?

Błaznowi?

–Święta włócznia! – krzyczeli ludzie. W końcu sam uniosłem rękę z zaciśniętą pięścią, a w skrytości ducha zadałem sobie pytanie: Dobry Boże, Hugues, co się będzie działo dalej?

## ROZDZIAŁ 100

To, co się działo dalej, było bardziej niewiarygodne i zuchwałe, niż mogłem sobie wyobrazić.

Nasze zwycięstwo było pełne, jednak drogo za nie zapłaciliśmy. Zabiliśmy trzynastu najemników Stephana, lecz przy tym straciliśmy czworo przyjaciół: Apples'a, Jacqueline – tęgą, wesołą mleczarkę, Henriego i Martina. Wielu innych, jak Georges i Alphonse, było poważnie rannych.

Kiedy dym się rozwiął, stwierdziliśmy, że ciało Tafura, którego przebiłem włócznią, zniknęło. Był jedynym, który nie zginął.

W następnych dniach ugasiliśmy ogień i pożegnaliśmy naszych poległych przyjaciół. Pierwszy raz, odkąd mogliśmy, sięgnąć pamięcią, poddani zbuntowali się przeciw panom, przełamawszy pogląd, że nie mogą się obronić, ponieważ tamci są wysoko urodzeni, a oni nie.

Wieści o naszym zwycięstwie i o włóczni prędko się rozeszły. Ludzie z sąsiednich wiosek przybywali zobaczyć nas na własne oczy, nie mogąc uwierzyć, że chłopci stanęli przeciw swojemu panu i jego zbrojnym.

Ja brałem niewielki udział w świętowaniu. Kilka następnych dni spędziłem na wzgórzu, dręczony niepokojem. Nie pracowałem przy karczmie, chciałem sobie uzmysłować sens ciągu wydarzeń: tego, iż przejąłem włócznię z rąk umierającego księdza w Antiochii i chociaż byłem biedny, wszedłem w posiadanie skarbu wartego królestwa. Dlaczego Bóg wybrał właśnie mnie? Czego ode mnie oczekiwał?

Zdawałem sobie sprawę z niebezpieczeństwa, które nade mną zawisło. Co się stanie, kiedy wieść o naszym zwycięstwie dotrze do Stephana? Kiedy się dowie, że mamy trofeum, którego tak usilnie pragnął? Albo kiedy dowie się o tym Baldwin?

Czyżby rację miał nieszczęsny krawiec? Czy uratowałem ich przed jedną rzezią tylko po to, żeby padli ofiarą drugiej? Przez cały ten czas towarzyszyła mi Emilie. Podczas gdy ja patrzyłem na włócznię, nie wiedząc, co robić, ona nie miała wątpliwości. Rozumiała moje opory. – Musisz ich poprowadzić, Hugues.

–Poprowadzić? Dokąd? – spytałem.

–Myślę, że wiesz dokąd. Kiedy Stephan się dowie, przyśle następnych ludzi. Baldwin też... jesteście jego poddanymi. Nie dopuści to tego, żeby w jego księstwie szerzył się bunt. Lawina ruszyła, Hugues. Pytałeś o swoje przeznaczenie. Masz je przed sobą. Jest w twoich rękach.

–Jestem głupim szczęściarzem, który zabrał z sobą na pamiątkę z Ziemi Świętej kij. Umrę jako największy błazen wszech czasów.

–Widziałam wiele razy, jak kryłeś się za maską błazna – powiedziała Emilie z roziskrzonym wzrokiem – ale nigdy nie pomyślałam, że jesteś głupi. Nie tak dawno temu poszedłeś na krucjatę, żeby zdobyć wolność. Zrób to jeszcze raz... i uwolnij ich wszystkich.

Wziąłem do ręki włócznię, ważąc ją w dłoni, jakbym chciał ocenić jej ciężar.

Poprowadzić ich przeciw Baldwinowi? Czy pójdą za mną?

Emilie miała rację co do jednego: nie możemy tu zostać. Kiedy wieść dotrze do Baldwina, krew go zaleje. Stephan wyśle więcej wojska, tym razem setki żołnierzy.

**Rozpoczęło się coś, czego już nie można było cofnąć.**

**–Będziesz mi towarzyszyła? – Wziąłem ją za rękę i poszukałem jej wzroku. – Nie zmienisz zdania, kiedy staniemy naprzeciw armii Baldwina i będzie nas tylko dwój e?**

**–Nie będzie nas tylko dwoje, Hugues – powiedziała, kucając u mego boku. – Myślę, że o tym wiesz.**

## ROZDZIAŁ 101

Tamtego dnia zwołałem wszystkich mieszkańców wsi do kościoła. Stałem przed ludźmi w tych samych zakrwawionych łachmanach, w których walczyłem, trzymając w ręku włócznie. Rozejrzałem się po wnętrzu. Kościół był pełen – młynarz, Odo – przybyli nawet ci, którzy nigdy nie przychodzili na mszę.

–Gdzie się podziewałeś, Hugues? – spytał Georges, podnosząc się ze swojego miejsca. – Wszyscy świętowaliśmy zwycięstwo.

–Włócznie musi być święta. – Odo również wstał. – Od chwili kiedy cię odnalazła, trudno ci postawić choćby piwo.

Wszyscy się roześmiali.

–Nie wiń Hugues'a – wtrącił ojciec Leo. – Ja też nie traciłbym czasu na picie z takimi bałwanami jak wy, gdyby mnie odwiedziła taka piękna dziewczyna.

–Gdybyś miał taką piękną dziewczynę, częściej byśmy przychodzili do kościoła – zagrział Odo.

Znów się wszyscy roześmiali, Emilie też.

–To ja jestem ci winien piwo – odpowiedziałem Odonowi. – Jestem winien piwo wam wszystkim – za waszą odwagę. Dokonałiśmy wielkiej rzeczy. Jednak piwo musi poczekać. To jeszcze nie koniec.

–To jest koniec, do licha. – Marie, żona młynarza, podniosła się ze swojego miejsca. – Muszę odbudować karczmę, żebym mogła przygotować temu tłustemu poborcy wiewiórcze bobki, kiedy tu znów przyjedzie.

–A ja mu je podam. – Uśmiechnąłem się do Marie. – Ale z karczmą... też musimy poczekać.

Nagle wszyscy zwrócili uwagę na wyraz mojej twarzy. Ustały śmiechy, zaległa grobowa cisza.

–Żałuję, jeżeli wciągnąłem was w to wszystko wbrew waszej woli, ale teraz nie możemy tu zostać. Wasze życie nie będzie już takie jak dawniej. Baldwin złożył obietnicę, której dotrzyma. Musimy ruszyć w drogę.

–Ruszyć w drogę? – pytano z niedowierzaniem. – Dokąd?

–Do Treille – odparłem. – Baldwin przybędzie do nas z całym wojskiem, jakie zbierze. Musimy wyjść mu naprzeciw.

Zaległa cisza. Potem ludzie pomału zaczęli wstawać, wyrażając swój protest.

–Nasz dom jest tutaj – oświadczył Jean Dueux. – Chcemy tylko, żeby było jak dawniej.

–Nic już nie będzie takie jak dawniej, Jean – odparłem. – Kiedy Baldwin się dowie, co się tutaj stało, wyśle swoich oprawców, którzy zetrą naszą wieś z powierzchni ziemi.

–Mówisz o marszu na Treille – powiedziała Jocelyn, żona garbarza. – Czy mamy konie bojowe, kusze i katapulty? W naszej wsi są tylko chłopcy i wdowy.

–Nieprawda. – Potrząsnąłem głową. – Staliście się wojownikami. A w każdej wiosce są tacy sami jak my, którzy przez całe życie uprawiali rolę i ciężko harowali, by zapłacić panu daninę.

–Myślisz, że przyłączą się do nas? – Jocelyn pociągnęła nosem. – A może będą

najwyżej wiwatowali albo żegnali się znakiem krzyża, kiedy będziemy maszerowali przez ich wioski.

–Hugues ma rację – wtrącił się swoim basem Odo. – Baldwin nam odplaci, tak jak to zapowiedział poborca. Za późno, żeby się wycofać.

–Po tym, co tu zaszło, na pewno odbierze mi ziemię – jęknął Jean.

–H – Hugues ma włócznie – powiedział Alphonse. – T – to jest lepsza broń niż wszystkie łuki w Treille.

Zaczęły się dyskusje. Niektórzy się ze mną zgadzali, ale po twarzach większości poznawałem, że dręczyły ich obawy. Czy jestem żołnierzem? Czy nadają się do walki? Czy jeśli ruszymy, to inni się do nas przyłączą?

Raptem ze schodów wiodących do kościoła dobiegły nas czyjeś kroki. Ludzie zamarli. Cała wieś była w kościele.

Na progu stanęli trzej mężczyźni. Byli w kaftanach i skórzanych fartuchach roboczych. Uklękli i przeżegnali się.

–Szukamy Hugues'a – oświadczył największy z nich. – Tego, co ma włócznie.

–To ja – powiedziałem.

Mężczyzna uśmiechnął się do towarzyszy. Jego twarz zdradzała wyraźną ulgę.

–Cieszę się, że naprawdę istniejesz. Myśleliśmy, że jesteś legendą.

Przybyliśmy z Morrisaey. Mam na imię Aloise. Jestem drwalem.

Morrisaey? Morrisaey leżało w połowie drogi do Treille.

–Słyszeliśmy o waszej bitwie – rzekł drugi. – Rozeszła się wieść, że poddani z innej wsi walczyli jak diabły przeciw naszemu seniorowi. Chcieliśmy się upewnić, czy to prawda.

–Rozejrzyj się wokół siebie, to zobaczysz te diabły – odparłem. Pokazałem mu włócznie. – A oto ich widły. Oczy Aloise'a zrobiły się wielkie jak spodki.

–Święta włócznia. Według przepowiedni mają nastąpić zmiany, a to jest znak.

Nie możemy siedzieć z założonymi rękami, kiedy inni ruszają do walki.

Odetchnąłem z ulgą.

–To dobra wiadomość, Aloise. Ilu was jest? – Miałem nadzieję, że więcej niż trzech.

–Sześćdziesięciu dwóch – oznajmił z dumą drwal. – Sześćdziesięciu sześciu, jeśli budowniczy katedr się nie wycofają.

Rozejrzałem się po kościele.

–Wracaj do twojej wioski i powiedz ludziom, że razem jest nas stu dziesięciu.

Stu czternastu, jeśli przyłączą się budowniczy katedr.

Drwal z Morrisaey uśmiechnął się powtórnie do swoich towarzyszy, po czym odwrócił się do mnie.

–Nie muszę wracać... – odparł.

Otworzył szeroko drzwi kościoła. Plac był pełen ludzi. Wybiegliśmy z kościoła, żeby ich obejrzeć. Zobaczyliśmy drwali z siekierami, chłopów uzbrojonych w motyki, wieśniaków w łachmanach, taszczących kury i gęsi. Aloise uśmiechnął się.

–Już ich przyprowadziłem.



## ROZDZIAŁ 102

Taki był pierwszy dzień, w którym wszystko się zaczęło.

Wyruszyliśmy w drogę do Treille. Chłopi i pasterze nieśli prowizoryczną broń.

Żywność i inne zapasy jechały z tyłu na wozach. Było nas niewiele ponad stu.

W następnej wsi było nas już dwustu. Ludzie klękali przed włóczęgą, po czym chwytali najpotrzebniejsze rzeczy i przyłączali się do nas. W Sur le Gavre było nas już trzystu, a na skrzyżowaniu gościńca północ – południe czekało kolejnych stu, zbrojnych w maczugi, motyki i drewniane tarcze.

Z włóczęgą w rękę maszerowałem na czele pochodu. Chwilami wydawało mi się niewiarygodne, iż ludzie przybywają, by się oddać pod dowództwo błazna, a jednak na kolejnym skrzyżowaniu czekali już następni.

Klękali, całując włóczęgę i krew Chrystusa. Śpiewali hymny i przysięgali, że nie pozwolą się już więcej gnębić żadnym panom. Nieśli chorągwie z purpurowo – białymi lwami Treille odwrócone do góry nogami albo z godłem przekreślonym i poszarpanym.

Wszystko razem przypominało krucjatę Piotra Pustelnika – nadzieje i obietnice, które przed dwoma laty mnie skusiły. Prości ludzie – chłopi pańszczyźniani i niewolnicy – połączeni wspólną chęcią polepszenia swojego życia uwierzyli, iż nadszedł ich czas. Ze jeśli powstaną wszyscy razem, to niezależnie od tego, jak długo to potrwa, w końcu zdobędą wolność.

Dość już macie srania wam na głowy? – spytał mijany pasterz kóz.

–Aha – odpowiedział ktoś z naszych szeregów. – Całe życie miałem dość.

–Co ryzykujesz – krzyknął inny pasterz – żeby stać się wolny?

–Wszystko, co mam, czyli nic. Jak myślisz, po co się tu znalazłem?

Nasze szeregi puchły od przybywających ludzi, którzy wyłaniali się z lasów.

„Idźcie za włóczęgą! – brzmiało powszechne hasło. – Za tą, którą niesie błazen”.

Nim dotarliśmy do St. Felix, było nas siedmiuset. W Montres straciliśmy rachubę. Nie mogliśmy już ich wszystkich wykarmić, skończyły nam się zapasy.

Zdawałem sobie sprawę, iż nie damy rady długo oblegać zamku, lecz ludzi ciągle przybywało.

W pobliżu Moulin Vieux Odo wysforował się na czoło i podszedł do mnie. Za nami maszerowała kolumna wieśniaków w sile przynajmniej tysiąca ludzi.

Olbrzymi kowal uśmiechnął się, idąc obok.

–Spodziewam się, że masz jakiś plan? – Spojrzał na mnie niepewnie.

–Oczywiście, że tak. Czy myślisz, że prowadzę was na biesiadę?

–To dobrze. – Odetchnął z ulgą i wrócił do szeregu. – Nigdy nie wątpiłem...

–Hugues ma plan – usłyszałem, jak szepnął do młynarza, maszerującego w szeregu za nim.

Z Moulin Vieux do Treille było dwa dni marszu. W nocy, skulony przy ognisku, głaskałem włosy przytulonej do mnie Emilie. Blask setek ognisk rozświetlał mrok.

–Powiedziała ci, że to nie był zbieg okoliczności – rzekła. – Że jeśli zdecydujesz się ich poprowadzić, to pójda za tobą.

–Miałaś rację. – Objąłem ją. – Jednak prawdziwym cudem jest nie to, że tamci za

mną poszli, tylko ty.

–Nie mogłam się oprzeć. – Wysunąwszy język, bawiła się frędzlem mojego błazeńskiego kostiumu. – Zawsze mnie pociągali strojni mężczyźni.

Roześmiałem się.

Teraz potrzebujemy prawdziwego cudu. Treille jest o dwa dni drogi stąd, a ja mam tysiąc ludzi, ale tylko pięćdziesiąt mi e c z y.

–Słyszałam, jak mówiłeś, że wymyśliłeś jakiś plan – powiedziała Emilie.

–W ogólnym zarysie – przyznałem. – Ojciec Leo twierdzi, że powinniśmy przedstawić nasze żądania: podatki muszą zostać zredukowane od zaraz, ziemie lenne mają podlegać wykupowi, a każdy szlachetnie urodzony, który weźmie udział w najeździe, zostanie postawiony przed sądem. – Spójrz, ilu jest z tobą ludzi. – Emilie pokiwała głową z nadzieją. – Baldwin z nami nie wygra. Poprosi o pokój. – Nie będzie z nami walczył. – Potrząsnąłem głową. – A przynajmniej nie w bezpośrednim starciu. Wie, iż nie mamy wystarczających zapasów, byśmy długo wytrzymali. Będzie grał na zwłokę, aż nasze zapasy się wyczerpią, zapał w ludziach wygaśnie i zaczną się rozchodzić do domów. Wtedy otworzy bramy i wyśle swoich zbirów, którzy nas wytną w pień. Będzie nas ścigał i palił wioski tak doszczętnie, że nawet leśne zwierzęta nie pożywią się na resztkach. Poznałem jego metody działania. On się nigdy nie podda.

–Wiedziałaś o tym od początku, prawda? Że nigdy nie pójdzie na żadne ustępstwa? Więc to cię tak gnębiło... jeszcze w Veille du Pere?

Kiwnąłem głową.

–Skoro o tym wiedziałaś, to co teraz? Ci ludzie pokładają w tobie nadzieję. Powierzyli ci życie.

–W takim razie... – położyłem jej głowę na kolanach, marząc o tym, żeby zasnąć – nie pozostaje nam nic innego, jak tylko go uwięzić.

Emilie podniosła się.

–Uwięzić Baldwina? Żeby to zrobić, musisz wpierw zdobyć zamek.

–Tak. – Ziewnąłem. – Właśnie to miałem na myśli.

Emilie potrząsnęła mną.

–Nie żartuj sobie ze mnie, Hugues. Do tego potrzeba broni i zapasów. Wiesz, jak to przeprowadzić?

–Powiedziałem ci, że mam pewien pomysł. Brakuje tylko jednej rzeczy. – Zwinąłem się obok niej. – Na szczęście ty jesteś w tym najlepsza.

–W czym jestem najlepsza, Hugues? – Waliła mnie piąstką po ramieniu.

–W sztuce maskowania zamiarów, moja pani. – Podniósłszy głowę, puściłem do niej oko.

## ROZDZIAŁ 103

Miecz Daniela Gui szczękał, gdy jego właściciel spieszył do komnat księcia. Był nowym kasztelanem Baldwina, na miejsce Norcrossa.

–Nie możesz teraz wejść – powiedział giermek, przymrużając znacząco oko. – Książę się naradza.

–Książę uzna moją wiadomość za pilniejszą niż jakakolwiek narada. – Daniel odepchnął giermka.

Jego pan stał pod ścianą, zajęty chędożeniem młodej pokojówki.

Daniel chrząknął.

–Książę?

Pokojówka, westchnąwszy, opuściła spódnicę i wybiegła innymi drzwiami.

–Przepraszam, że przeszkodziłem – rzekł kasztelan – ale mam wiadomość niecierpiącą zwłoki.

Baldwin bez najmniejszego skrępowania podciągnął rajtuzy, następnie zawiązał kaftan.

–Spodziewam się, że wiadomość jest ważka, kasztelanie, bo od miesiący czyhałem, żeby dopaść tę małą maciorkę.

Wytarł ręką usta.

Baldwin budził odrazę w młodym kasztelanie. Daniel dzięki swojemu stanowisku służył rodzinnemu miastu, nie interesowało go rabowanie i mordowanie bezbronnych poddanych. Próbował sobie wmówić, iż można służyć księciu i nie stać się świnią.

–Mam wiadomość o rudzielcu, który cię interesuje. O błaznie który po zabiciu Norcrossa uciekł.

–Hugues! Zdeprawowany, mały gnojek – ożywił się Baldwin. – Co z nim? Mów!

–Pojawił się we własnej wsi. Wygląda na to, że przewodził powstaniu przeciw oddziałowi najeźdźców z Boree.

–Powstaniu? Co rozumiesz pod słowem powstanie? Tam nie ma nic prócz polnych myszy i gnoju.

–Okazało się, że te polne myszy całkiem dobrze broniły swoich nor. Nasi informatorzy donoszą, że wszyscy ludzie Stephana zostali zabici.

Baldwin zerwał się ze swojego miejsca.

–Chcesz mi powiedzieć, że ten nędzny pasożyt dowodził bandą chłopów i prostaków w bitwie z doborowym oddziałem Stephana?

–Tak, panie, ale to dopiero początek. – Myśl, że następna wiadomość wywoła u Baldwina wściekłość, sprawiała Danielowi satysfakcję. – Powiem ci teraz coś, co cię ubawi. Rzecz, której ludzie Stephana szukali, była relikwią ukradzioną podczas krucjaty. Jakiś rodzaj oszczepu...

–Święta włócznia? – Książę z niedowierzaniem wydał wargi. – Święta włócznia u błazna? Chyba się mylisz, kasztelanie. Święta włócznia, gdyby istniała, byłaby warta więcej niż mój cały majątek. Tylko w bajkach dla dzieci pastuch może posiadać skarb o tak kolosalnej wartości.

–Jednak w tę bajkę wierzą nie tylko dzieci, lecz również twoi poddani. Łączą się z nim w krucjacie przeciw tobie. Cały kraj ogarnął bunt.

**–Bunt! – Oczy Baldwina zapłonęły z wściekłości. – W moim księstwie nie może być buntu. Zbierz ludzi, kasztelanie. Ruszemy wieczorem i przybijemy sukinsyna do krzyża, skoro jest taki święty.**

**–To byłoby nierozsądne, panie.**

**–Nierozsądne...? – Baldwinowi zadrgały nerwowo powieki. – Dlaczego to jest nierozsądne?**

**–Dlatego – odparł kasztelan – iż ów pastuch, jak go zwiesz, dowodzi tysięczną armią podobnych mu pastuchów.**

**Baldwin zbladł.**

**–Tysięczną... To niemożliwe. Wszystkie wioski w puszczy nie mają tylu mieszkańców. To trzykrotnie więcej, niż liczy nasz garnizon.**

**–W tej chwili może być ich jeszcze więcej – powiedział Daniel. – Wiadomość pochodzi z wczoraj. Wygląda na to, że wszyscy wieśniacy w twoim księstwie przyłączyli się do niego.**

**Baldwin usiadł na ławce. Twarz miał koloni zgniłego owocu.**

**–Tak czy inaczej, zbierz ludzi, kasztelanie. Poproszę kuzyna z Nimes, żeby przysłał dodatkowe oddziały. Razem przetrzebimy ich jak chore drzewa w lesie.**

**–W takim razie musisz się pośpieszyć, panie, bo te pastuchy, jak o nich mówisz, są już w Moulin Vieux. Wygląda na to, że chcą ci złożyć wizytę.**

## ROZDZIAŁ 104

Wyszliśmy z puszczy w odległości zaledwie pół dnia drogi od Treille.

Ujrzelśmy w oddali miasto. Wydawało się sięgać chmur. Słońce odbijało się od potężnych murów w kolorze ochry, bronionych setkami wieżyczek. Dobry nastrój naszego marszu prysł, ustępując miejsca kłopotliwej ciszy. Odkryliśmy się; wszyscy w Treille, włącznie z Baldwinem, wiedzieli już, gdzie jesteśmy.

Zebrałem najbliższe mi osoby: Odoną, Georges'a, Emilie, ojca Leo i Aloise'a, drwala z Morrisaey. Przedstawiłem im swój plan, który zakładał pomoc z wewnątrz.

–Muszę wejść do Treille – oświadczyłem.

–Idę z tobą. – Odo zachichotał. – Georges i Aloise też. Chcę otworzyć Baldwinowi oczy. Cęgami.

Uśmiechnąłem się z żartu.

–Nie, pójdę sam. Mam w Treille przyjaciół, którzy mi pomogą.

–Jak chcesz tam wejść? – spytał Georges. – Przekraść się między strażnikami, podczas gdy Odo będzie ich zabawiał sztuczkami? Nie wpuszczą cię przez bramę.

–Nie damy rady zdobyć zamku siłą. Możemy to zrobić jedynie podstępem.

Baldwin nie ma wielu przyjaciół, nawet w samym zamku. Muszę się zorientować w nastrojach wśród ludzi.

–W porządku, ale narażasz się na wielkie ryzyko – rzekł Aloise. – Jaki jest twój ogólny plan?

Wyciągnąłem palec w stronę Treille.

–Ojcie, ty masz najlepsze oczy. Co to za jeźdźcy wyjeżdżają z miasta?

Wszystkie głowy zwróciły się w tamtą stronę.

–Jacy jeźdźcy? – spytał ojciec Leo. – Nie widzę nikogo. Spojrzał na mnie pytającym wzrokiem, wówczas oddałem mu różaniec, który przed sekundą wyciągnąłem z kieszeni jego opończy. Otworzył oczy ze zdumienia. Emilie uśmiechnęła się, pozostali również.

–Jestem błaznem. Chyba nie myślisz, że wszedłbym w paszczę lwa, nie mając w zanadrzu kilku sztuczek.

Odo chrząknął sceptycznie.

–One są dobre dla nas, ale jeżeli tam upadnie ci piłeczka, to reszcie z nas przyjdzie orać północe pole motykami, które otrzymaliśmy od Pana – jeśli rozumiesz przenośnię. Wyślij kogoś innego.

–Nie ma innej możliwości. – Wzruszyłem ramionami. – Pozostaje otoczyć zamek i rozwalić mury łopatami i włóczniami. Odonowi i Georges'owi zrzędył miny, kiedy pomyśleli o tej nieprzyjemnej perspektywie. Kowal rozejrzał się po zebranych, po czym poklepał mnie po plecach.

–Kiedy chcesz wyruszyć?

## ROZDZIAŁ 105

Tej nocy leżeliśmy z Emilie przy ognisku. Kiedy ją objąłem poczułem, że jest zdenerwowana.

–Nie martw się o mnie – powiedziałem.

–Jak mogę się nie martwić? Idziesz do jaskini Iwa... Prócz tego myślę jeszcze o innych rzeczach.

–O jakich rzeczach? Świecą gwiazdy, jesteśmy razem. Czuję bicie twojego serca...

–Nie kpij ze mnie, Hugues. – Emilie przekręciła się w moich ramionach. – Nie mogę sobie z tym poradzić. Ciągle wracam myślami do Boree.

–Do Boree?

–Myślę o Anne. – Emilie oparła się na łokciu. – Stephan wścieknie się, kiedy się dowie, że jego ludzie zawiedli. Będzie wszelkimi środkami dążył do zdobycia włóczni. Martwię się o Anne.

–Nie troszczyłbym się o nią aż tak dalece.

–Wiem, że jej nie lubisz. – Pogłaskała mnie po twarzy. – Ale Anne jest więźniem w nie mniejszym stopniu, niż gdyby była za kratami. Musisz to zrozumieć. Jestem do niej przywiązana, Hugues. To jest związek, którego nie mogę po prostu zerwać i uciec.

–Teraz jesteś związana ze mną. – Połaskotałem ją po żebrach. – Czy ten związek mogłabyś zerwać?

–Nie. – Pocałowała mnie w czoło i westchnęła. – Tego nigdy nie zerwę.

Pochyliwszy się nad nią, pocałowałem ją. Otworzyła usta, lecz wyczułem w niej pewne wahanie. Wokół nas obozowało tysiąc ludzi. Jej pierś pod moim dotykiem stała się twarda.

Poczułem podniecenie.

Chodź ze mną – powiedziałem.

Dokąd pójdziemy? Jesteśmy w lesie.

Chłopcy ze wsi wiedzą. – Mrugnąłem filuternie. – Znam jedno miejsce w sam raz dla nas dwojga. Przekradliśmy się w mrok, pomiędzy ogniskami i śpiącymi na ziemi ciemnymi postaciami. – Jak możesz być tak niebywale podniecony, wiedząc, co czeka cię rano? – spytała Emilie, udając, że się ode mnie odsuwa.

Na małej polance, usłanej jesiennymi liśćmi, padliśmy sobie w ramiona.

Rozebraliśmy się bez słowa. Czulem niemal ekstatyczną reakcję naszych ciał na wzajemny dotyk – dar natury, w który nie mogłem uwierzyć.

Spojrzała na mnie zachęcająco. Nabrawszy tchu, położyła sobie moją rękę na piersi. Czulem jej serce, które biło jak u łani. Sutek pod moimi palcami nabrzmiął i stwardniał. – Czy to jest twój wrażliwy punkt? – spytałem. – To zależy. – Uśmiechnęła się. – Co powiesz na ten? Pocałowała mnie, jej język poszukał mojego z pasją, jakiej się po niej nie spodziewałem. Wdrapała się na mnie, a ja wtuliłem głowę w miękkie piersi. Pragnąłem Emilie, a po jej oczach poznałem, iż była gotowa.

Wszedłem w nią. Jej oddech stał się przyspieszony i rytmiczny. Nie spuszczała za mnie wzroku. Kochałem ją. Czulem, jak każdy wstrząsający ją spazm, każdy

przeszywający mnie dreszcz powadzą nas do wspólnego, niepohamowanego wybuchu. W momencie kulminacji wydaliśmy dziki okrzyk. Położyliśmy sobie wzajemnie dłonie na ustach, żeby go stłumić, po czym się roześmialiśmy.

Emilie odpoczywała z głową na mojej piersi. Blask dalekich ognisk rozświetlał noc. Westchnęła, co świadczyło, że jest szczęśliwa, lecz po chwili przebiegł ją dreszcz.

–Jaki będzie dalszy ciąg, kiedy Baldwin zostanie pokonany? – spytała z troską. – Nie można cofnąć historii. Te ziemie od pokoleń należą do jego rodziny.

–Myślałem nad tym – powiedziałem. – Nie mam zamiaru rządzić, chcę tylko naprawić zło. Zastanawiam się, czy napisać do króla. Podobno jest prawym człowiekiem.

–Ja też słyszałam, że jest sprawiedliwy – Emilie westchnęła – lecz równocześnie jest nobilem.

Obróciłem jej twarz ku mnie.

–Powiedziałaś mi, że znasz króla. Powiedziałaś, że twój ojciec należy do jego dworu.

–Owszem... znam go, ale...

–W takim razie wstawisz się za nami – rzekłem. Możesz mu wyjaśnić, że jesteśmy skromnymi ludźmi, których jedynym celem jest wrócić do swoich domów i pracować w spokoju. Nie zamierzamy nikomu odbierać tytułów ani ziem. Z pewnością to zrozumie.

Opierała się podbródkiem o moją pierś. Poczulem, jak kiwnęła głową, jednak z rezerwą, świadczącą, że nie jest do końca przekonana.

–Nie martw się o mnie. – Przytuliłem ją mocno. – Dzięki tobie mam poczucie siły.

–Nie martwię się o ciebie, tylko o przyszłość. Dla ciebie mam talizman.

–Talizman, które mnie ochroni? – Pogłaskałem ją po włosach, uśmiechając się.

–Będę ci towarzyszyła.

–Co? – Odsunąłem ją. – Nie ma mowy, Emilie. Nie zgadzam się.

–Jest mowa, Hugues'u de Luc. – Ujrzałem w jej oczach niezłomne postanowienie.

–Tkwę w tym równie głęboko jak ty. Powiedziałam ci, że stanowimy jedność – nasze losy spleły się nierozzerwalnie. Idę z tobą. To wszystko.

Próbowałem ją przekonywać, lecz położyła mi palec na ustach. Przytuliła się, jakby nie chciała mnie już nigdy wypuścić.

## ROZDZIAŁ 106

Daniel Gui wpadł jak burza do komnaty Baldwina.

–Panie, spostrzeżono armię twojego błazna. Jest o pół dnia drogi od miasta, na skraju puszczy.

–Masz na myśli buntowników. – Baldwin pociągnął nosem. Jego doradcy, poborca i szambelan, wydawali się uradowani tą wiadomością.

–Musisz ich zaatakować – powiedział chrapliwie poborca.

–Znam tych wieśniaków. Stracą odwagę na samą zapowiedź walki. Ich determinacja kończy się razem z ostatnim piwem.

–Tym razem są naprawdę zdeterminowani – oświadczył Daniel. – Błazen obudził w nich nadzieję. Są od nas trzykrotnie liczniejsi.

–Ale my mamy konie i kusze, a oni tylko narzędzia i drewniane tarcze – rzekł Baldwin.

–Jeśli zaatakujemy ich w lesie – powiedział Daniel – nasze konie i kusze staną się bezużyteczne. Twój ludzki zostanę wyróżnieni podobnie jak ludzie Stephana.

Błazen ma włóczęgę, która ich uskrzydla.

–Kasztelan ma rację – wtrącił szambelan. – Jeśli nawet zwyciężysz, ich groby staną się grobami bohaterów. Musisz wysłuchać ich żądań. Udaj, że je rozważasz. Obiecuj im drobne ulgi, jeżeli wrócą do swoich wiosek. – Mądrze mówisz, szambelanie. – Baldwin się uśmiechnął.

–Ci wieśniacy nie mają zapasów na długotrwałe oblężenie, nudzą się i zmęczą, gdy tylko poczują głód.

Poborca i szambelan przytaknęli ochoczo.

–Nie zapomnij, panie, że błazen ma włóczęgę. Wierzą, ona dodaje splendoru ich sprawie.

–Włóczęga znajdzie się w Treille jeszcze przed zakończeniem negocjacji – oznajmił Baldwin. – Przehandlują ją za worek pszenicy, tak samo jak swego przywódcę. Zatknę na włóczęgi jego głowę i umieszczę w łaźni przed cebrem.

–Chcę tylko powiedzieć, że dopuszczając do oblężenia, narażasz się na ryzyko.

Baldwin powoli podniósł się z miejsca. Obszedł stół i położył ręce na ramionach Daniela.

–Chodź. – Pociągnął go w stronę ognia na kominku. – Chcę zamienić z tobą słówko tam, gdzie jaśniej.

Daniel poczuł suchość w ustach. Czyżby posunął się za daleko? Rozgniewał księcia, któremu przysiągł służyć?

Księżę objął Daniela, pociągnął go blisko płomieni, po czym uśmiechnął się.

–Czyżbyś bodaj przez chwilę myślał, że dałbym temu zdradzieckiemu pomiotowi choćby miseczkę ziarna? Stałbym się pośmiewiskiem całej Francji. Skontaktowałem się z moim kuzynem, który przyśle nam tysiąc żołnierzy. Niech nas ci dranie oblegają. My będziemy jedli mięso, a oni korzonki Kiedy nadciągną posiłki, otworzymy bramy i ich zmiażdżymy. Obaj dopilnujemy, żeby ani jeden buntownik nie uszedł z życiem spod Treille.

Przyciągnął Daniela tak blisko płomieni, iż ten z trudem stłumił okrzyk.



**–Nikt nie zagrozi mojemu panowaniu, a już na pewno nie taki diabelski pomiot.  
Jak ci się podoba mój plan, kasztelanie?**

**Danielowi serce łomotało jak dzwon, w ustach czuł suchość, jakby się nałykał kurzu. Oczy księcia były niczym dwie mroczne jaskinie.**

**–Bardzo sprytny, książę.**

## ROZDZIAŁ 107

Następnego wieczoru, tuż przed zamknięciem bramy Treille, stanął przed nią żydowski kupiec, dźwigający na plecach worek towarów.

Miał na sobie ciemną wełnianą opończę i sefardyjski szal z frędzlami, a na głowie jarmułkę. W ręku trzymał zardzewiałą tykę. Towarzyszyła mu młoda żona, skromnie ubrana, z włosami upiętymi pod czarną chustą.

–Stańcie w kolejce, żydzi – warknął strażnik. Kontrolę przeprowadzał podwójny szereg żołnierzy w garnkowatych hełmach, popędzających wędrowców, jakby byli wołami zaganianymi do stajni. Strażnik zatrzymał kupca, gdy ten dotarł do bramy.

–Skąd jesteście?

–Z południa. – Wyrząłem spod kaptura. – Z Roussillon.

–Co niesiesz w worku? – Pomacał go ręką.

–Towary do kuchni. Oliwę, olej, garnki, nowy wynalazek zwany widelcem. Można nabijać nań mięso. Chcesz obejrzeć?

–Nie bądź taki pewny, czy ciebie na niego nie nabijemy, ty karakonie.

Twierdzisz, że przychodzicie z Roussillon? Co widziałeś po drodze? Podobno w lasach roi się od rebeliantów.

–Może na wschodzie, ale na południu są tylko wiewiórki i Italczycy. Nie interesują nas rebelianci. – Was interesuje tylko kramarstwo. No już... – Popchnął nas bezceremonialnie. – Wtaszczcie wasze zapchlone dupy. Oboje z Emilie przemknęliśmy przez bramę. Wrota były od wewnątrz podparte potężnymi belkami dla wzmocnienia ich przed atakiem. Spojrzałem na potężne mury z piaskowca. Na wieżach i wałach było gęsto od żołnierzy, uzbrojonych w kusze i włócznie. Wszyscy patrzyli na wschód.

Mrugnąłem spod kaptura do Emilie.

–Chodźmy.

Wdrapaliśmy się na wzgórze prowadzące do centrum miasta i do zamku Baldwina. Po drodze minął nas oddział zbrojnych końskie kopyta grzechotały na szorstkich kamieniach. Wozy pełne odłamków skalnych i tarcz podążały w stronę murów Przygotowywano się do obrony miasta. W wielkich kadziach gotowała się smoła, powietrze było przesycone zapachem siarki.

–Tędy – powiedziałem. Byliśmy na ulicy kramarzy, gdzie roiło się od much.

Stragany piekarzy i rzeźników były jeszcze czynne, pozostałe, na których sprzedawano cynowe naczynia narzędzia i materiały, zostały już zamknięte.

Szliśmy pospiesznie częścią miasta, która chyba była dzielnicą kupców. Stały tam nie tylko budy, lecz również kamienne domy; niektóre z nich miały małe dziedzińce, zamykane żelaznymi wrotami. Królował zapach topionego smalcu.

Zatrzymałem się przed piętrowym domem mieszkalnym z przymocowanym obok wejścia cynowym ornamentem w kształcie ślimaka.

–Jesteśmy na miejscu, Emilie. Zapukałem do drzwi. Usłyszałem wewnątrz czyjś głos, potem szurgotanie, w końcu drzwi się otworzyły. Znajoma twarz spojrzała na mnie spod jarmułki.

–Idziemy z daleka – przywitałem go. – Powiedziano nam, że znajdziemy tu

**przyjaciół.**

**–Jesteśmy przyjaciółmi tych, co w potrzebie – odparł mężczyzna. – Ale kto wam to powiedział?**

**–Dwaj mężczyźni w puszczy. Mężczyzna zmarszczył brwi, zbity z tropu.**

**–Jeden z nich nazywa się Krótki. Spytałem go, jaka pozycja przynosi najbrzydsze dzieci. Kiedy nie wiedział, powiedziałem mu: Zapytaj swoją matkę!**

**Oczy mężczyzny zrobiły się wielkie jak spodki. Wśród gęstej brody zaśniły białe zęby.**

**–Nie do wiary, Joffreyu. – Uśmiechnąłem się, zdejmując z głowy kaptur. – Czy to możliwe, żebyś nie pamiętał swego błazna?**

## ROZDZIAŁ 108

Kupiec, któremu ocalałem życie na drodze do Treille, był uradowany. Uściskał mnie, po czym zaprosił nas do domu. Zdjąwszy z głowy myckę, oswobodziłem rudą czuprynę.

Joffrey się roześmiał.

–Jeszcze nie spotkałem żyda, który byłby podobny do ciebie.

–Jesteśmy żydami, którzy jedzą wieprzowinę – zażartowałem. Uściskaliśmy się ponownie, jak starzy przyjaciele. Odłożyłem kij i rozpiąłem opończę.

–To jest Emilie, moja serdeczna przyjaciółka, a to Joffrey, który pomógł uratować mi życie.

–To był skromny rewanż – wyjaśnił Joffrey – gdyż Hugues kiedyś uratował moje. To znaczy nasze...

Do izby weszli Isabell i Thomas.

–Nie do wiary! – zawołała. – To ten sam błazen. Tylko koty mają takie twarde życie.

Zaprowadzili nas do komnaty pełnej tkanin artystycznych, starych rękopisów i traktatów. Joffrey posadził nas na swojej ławce.

–Jaki nastrój panuje w mieście? – spytałem.

Joffrey zmarszczył brwi. – Kiepski. To miasto było kiedyś kwitnące. Teraz jest chlewem żywiącym księcia. A będzie jeszcze gorzej. Mówią, że gdzieś wybuchło powstanie – lud w puszczy chwycił za broń i idzie na miasto. Chłopi, pasterze, drwale. Prowadzi ich błazen posiadający relikwię przyniesioną z krucjaty... Włócznie, na której jest krew Chrystusa.

–Mówisz o tym? – Podałem mu mój kij i poczekałem, aż go dokładnie obejrzy.

Uśmiechnąłem się. – Wiem co nieco o tym powstaniu.

Kupiec otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

–To ty, Hugues! Ty jesteś owym błaznem! – Kiwnąłem głową, po czym wtajemniczyłem go w mój plan.

## ROZDZIAŁ 109

O świcie następnego dnia skończyłem. Mogłem już wrócić swoich ludzi. Emilie zgodziła się zostać w mieście. Tak było dla niej bezpieczniej z uwagi na czekającą nas bitwę. Próbowwała się opierać, lecz tym razem nie ustąpiłem.

Uściskałem ją na pożegnanie i obiecałem, że za kilka dni się spotkamy. Ująłem w dłoń jej twarz i uśmiechnąłem się. – Moja piękna Emilie, kiedy spotkaliśmy się pierwszy raz, bałem się nawet do ciebie odezwać. Teraz boję się ciebie opuścić. Pamiętasz, jak się do mnie uśmiechnęłaś? Powiedziałaś wtedy: „Na razie tak jest, ale kiedyś będzie inaczej”.

–To się okaże w najbliższym czasie – odparła, nadržabiając miną.

Wspięła się na palce i pocałowała mnie. – Niech cię Bóg prowadzi, Hugues. – Łzy nabiegły jej do oczu. – Niczego bardziej nie pragnę, niż wkrótce cię zobaczyć.

Zarzucając worek na plecy, ruszyłem w drogę. U wylotu ulicy pomachałem jej na pożegnanie. Nasunąwszy na głowę kaptur, zgarbiłem się i starałem się schodzić z drogi wszelkim zbrojnym. Idąc w dół wzgórza, co jakiś czas odwracałem się, patrząc na niknące w oddali miasto. Serce mi się ścisnęło na myśl, że zostawiłem w nim wszystko, co teraz kochałem. Kiedy sobie uświadomiłem, że mogę już nigdy nie zobaczyć Emilie, poczułem grozę. Wróciwszy do lasu, zastałem ludzi gotowych do walki. Czekali tylko na mnie. Wyruszyliśmy o świcie.

Maszerując na czele kolumny chłopów, drwali, garbarzy i kowali – ubranych we wszelkie możliwe łachy, uzbrojonych w łuki domowej roboty i drewniane tarcze – czułem dumę. Byli ludźmi odważnymi i z charakterem. Dla mnie wszyscy byli szlachetnie urodzeni.

W każdej osadzie, przez którą przechodziliśmy, gromadził się wiwatujący tłum.

–Spójrzcie, to jest ten błazen – wykrzykiwali. Pokazywali nas swoim dzieciom.

–Popatrz, synu, będziesz się potem mógł pochwalić, że widziałeś włóczęgę.

Wiadomość rozchodziła się lotem błyskawicy. Cały czas dołączali do nas nowi ludzie.

W miarę jak Treille ze swoimi niebotycznymi wieżami rosło w oczach, bursztynowe w świetle wschodzącego słońca, ludzie posępnieli i zaczęli się niepokoić.

Nim dotarliśmy do obrzeży miasta, słońce stało już wysoko. Spodziewany kontratak nie nastąpił. Co więcej, udręczeni mieszczanie zagrzewali nas do działania.

–To ten błazen. Patrzcie, ludzie, on rzeczywiście istnieje!

Przed naszymi oczami rozciągały się potężne mury z piaskowca. W prześwitach między blankami widać było błyszczące hełmy żołnierzy.

Jak dotąd nie zostaliśmy zaatakowani. Pozwolono nam się zbliżyć bez przeszkód.

Kiedy znaleźliśmy się w odległości stu kroków od murów, nieco poza zasięgiem strzał z łuków, dałem sygnał do zatrzymania się.

Kazałem kolumnie rozwinąć się wzdłuż murów, wskutek czego utworzył się pierścień gruby na dwudziestu ludzi. Nikt nie wiedział, co dalej nastąpi.

–Zaczynaj, Hugues – rzekł z uśmiechem Georges. – Powiedz im, po co przyszliśmy.

**Wystąpiłem przed szereg, starając się uspokoić tłukące w piersi serce.**

**Krzyknąłem do obrońców nad bramą:**

**–Jesteśmy z Veille du Pere, z Morrisaey, z St. Felix... i ze wszystkich wsi w księstwie. Mamy sprawę do księcia Baldwina.**

## ROZDZIAŁ 110

Nikt nie odpowiedział. Co teraz zrobić? – myślałem gorączkowo. Powtórzyć jeszcze raz?

W tym momencie znad bramy wychyliła się jaskrawo ubrana postać, w której poznałem szambelana Baldwina.

–Książę śpi – krzyknął. – Dziś nie załatwia żadnych spraw. Wracajcie do swoich żon i gospodarstw. W tłumie rozległy się obelgi i szyderstwa. – Ta świnia śpi?

–ktoś warknął. – Uciszymy się, przyjaciele, bo możemy go obudzić. Gwar przybierał na sile. Szczękano bronią, krzyki stawały się coraz głośniejsze.

Ktoś wybiegł przed szereg i ściągnął rajtuzy.

–Wypinam się na ciebie, Baldwinie. Teraz możesz poużywać.

Kilku najbardziej zagorzałych rzuciło się ku murom, klnąc i wywrzaskując przezwiska.

–Wracajcie! – zawołałem, jednak zrobiłem to za późno. Usłyszeliśmy mrozący krew w żyłach świst. Z murów posypał się grad strzał. Jeden z atakujących zacharczał, gdy strzała przebiła mu szyję, drugi złapał się za głowę. Młody wieśniak pobiegł naprzód i rzucił kamieniem, lecz ten sięgnął zaledwie połowy wysokości muru. Z góry lunął strumień płonącej smoły. Chłopak upadł i potoczył się po ziemi, skóra paliła się na nim jak pochodnia.

–Wracaj do domu, śmierdzący gnoju! – zawołał do niego z murów jeden z żołnierzy.

Na to hasło wszyscy rzucili się naprzód. Uzbrojeni w łuki wystrzelili płonące strzały, które odbiły się od potężnych murów. W odpowiedzi z góry spadła prawdziwa lawina pocisków, które przebijały nasze liche tarcze i śmiertelnie raziły atakujących. Przypomniały mi się sceny z krucjaty.

Gestykulowałem gorączkowo, każąc wszystkim wracać. Niektórzy byli rozwścieczeni i chcieli dalej nacierać. Maszerowali od wielu dni i byli głodni. Zamierzali rzucić się na mury ze swoimi włóczniami i młotami i rozwalić je. Inni, widząc krew i śmierć, poczuli lęk – pierwszy raz, odkąd wyruszyli.

Tego właśnie chciał Baldwin. Pokazać nam, że nasza broń domowej roboty jest bezużyteczna. Narósł w nas gniew, a oblężenie jeszcze się nawet nie zaczęło.

Myślałem gorączkowo, co robić. Przyprowadziłem tysiąc ludzi. Otoczyliśmy miasto.

Chcieliśmy walczyć, lecz nie mieliśmy sposobu, żeby się wedrzeć do środka.

Byłem pewny, że gdyby Baldwin otworzył bramy, wszyscy – z wyjątkiem najbardziej zaprawionych w boju – odwróciliby się i uciekli.

Bramy się jednak nie otworzyły i konni nie zaatakowali. Nasza bezradność musiała ubawić Baldwina.

Los naszej akcji zawisł na włosku. Oczy wszystkich spoczęły na mnie.

Podszedł do mnie chłop ze złamaną motyką.

–Ty nas tu przywiodłeś, błaznie. Jak chcesz zdobyć ten zamek? Tym? – Cisnął mi pod nogi motykę, jakby była bezużytecznym patykiem.

–Nie. Zdobędziemy zamek tym. – Położyłem rękę na sercu. – Zbierz oddział –

**powiedziałem do Odon. Podjąłem decyzję. – Ruszymy nocą.**



## ROZDZIAŁ 111

Nocą, kiedy większość ludzi już spała, zebrałem dwudziestu najdzielniejszych, którymi postanowiłem zakraść się do zamku.

Byli wśród nich Odo i Alphonse z mojej wsi, Aloise i czterech jego najlepszych kompanów z Morrisaey. Pozostałych wybraliśmy spośród najbardziej zdesperowanych, którym zaufaliśmy, że nie cofną się przed zabiciem wroga gołymi rękami.

Zgromadzili się przy moim ognisku, zastanawiając się, po co ich wezwałem.

–Jakim cudem zamierzasz zdobyć zamek w dwudziestu, skoro nawet tysiąc ludzi nie potrafiło zrobić wyłomu? – spytał.

–Musimy zdobyć go bez wyłomu – odpowiedziałem. – Wiem, jak się dostać do środka. Idziesz ze mną czy wracasz spać.

Uzbroiliśmy się w miecze i noże. Ojciec Leo pobłogosławił nas, a ja oddałem mu włócznię.

–Na wszelki wypadek, gdybym nie wrócił.

–Jesteście gotowi? – Popatrzawszy po wybranych, uścisnąłem każdemu dłoń. – Pożegnajcie się z przyjaciółmi i pomódlcie się, żeby się z nimi spotkać po tamtej stronie.

–Mówisz o niebie? – spytał Odo.

–Mówię o murach. – Udało mi się uśmiechnąć.

Pod osłoną nocy opuściliśmy obóz i chyłkiem, przez zabudowania i wąskie uliczki prowadzące ku murom, przemknęliśmy się do ich podnóża. Nad nami płonęły pochodnie, oświetlające linię obrony. Przez prześwity między blankami wartownicy, wypatrywali wszelkich oznak aktywności. Przyczailiśmy się w cieniu murów.

Odo dotknął mojego ramienia.

–Jak myślisz, Hugues, czy ktoś wcześniej zrobił coś podobnego?

–Co masz na myśli?

–Czy gdziekolwiek prości ludzie, tacy jak my, zbuntowali się przeciw swojemu panu?

–Grupa uzbrojonych chłopów powstała przeciw księciu Bourges – powiedziałem. Kował wydawał się zadowolony. Skradaliśmy się dalej, lecz po chwili znów mnie dotknął.

–I jak to się skończyło?

Oparłem się plecami o ścianę.

–Zostali wycięci w pień.

–Aha. – Olbrzym zbladł.

Poczochrąłem go po zmierzwionych kudłach.

–Odkryli ich, kiedy gadali pod murami. Teraz cicho, sza! Skradaliśmy się wzdłuż wschodniego skraju miasta. Na zakręcie trafiliśmy na płytką fosę, wypełnioną cuchnącą wodą i odpadkami. W zasadzie raczej rów, na tyle wąski, że można go było przeskoczyć.

W ciągu całej drogi przepatrywałem podstawę murów, szukając wejścia do tunelu, który kiedyś pokazał mi Palimpost, lecz nie mogłem go znaleźć. Teren robił się coraz

trudniejszy do pokonania: mury były tu wyższe, zbyt wysokie, żeby je na tym odcinku sforsować. To było dla nas korzystne: prawdopodobnie nie było tu wart.

**Ale gdzie ten przeklęty tunel?**

**Zacząłem się martwić. Wkrótce zacznie świtać. Nie mogliśmy dopuścić, żeby rozpoczynający się dzień nie przyniósł zmian. Baldwin przy pomocy swoich zbrojnych mógł zgasić nasz zapal.**

**–Jesteś pewny, że wiesz, co robisz? – mruknął Odo.**

**–Świetny moment na takie pytanie – warknąłem.**

**W tym momencie dostrzegłem to, czego szukałem: stertę kamieni, ukrytą za krzakami na brzegu fosy. Odetchnąłem z ulgą: Tam!**

**Zsunąwszy się po skarpie, przebrnęliśmy fosę. Wspiąłem się po przeciwległej stronie, przedarłem przez gęste krzaki i zacząłem rozrzucać kamienie. Po rozebraniu przyzmy ukazał się tajemny otwór.**

**Ani na moment w ciebie nie zwątpiłem – ucieszył się Odo.**

## ROZDZIAŁ 112

Kanał był – jak pamiętałem – ciemny i wąski, ledwie mogła się przez niego przecisnąć jedna osoba, do tego wypełniony po łydki gęstą, cuchnącą wodą, odprowadzaną do fosy.

Nie mieliśmy pochodni, żeby oświetlić drogę. Szedłem na wycucie, wodząc rękami po zimnych kamiennych ścianach. Wiedziałem, że moim towarzyszom serca podchodzą do gardeł tak samo jak mnie. To było jak podróż do zimnego, odrażającego, czarnego piekła. Pływające odchody i odpadki przyklepiały nam się do nóg. Każda chwila dłużyła się w nieskończoność. W miarę posuwania się do przodu coraz mniej byłem pewny, czy dobrze idziemy. Minęło wiele pacierzy, nim dotarliśmy do rozwidlenia. Jedna nitka tunelu prowadziła dalej, druga skręcała w lewo.

Postanowiłem iść prosto, pamiętając, że zamek stał na szczycie wzgórza.

–Wszystko w porządku – szepnąłem, choć wcale nie byłem pewny. Moje słowa przekazano dalej. Wspinaliśmy się coraz wyżej, przegryzając się przez górę, na której zbudowano zamek Baldwina. Nad nami spało miasto.

W pewnej chwili poczułem powiew powietrza i zobaczyłem ślad światła na ścianie.

Przyspieszywszy kroku, dotarłem do miejsca, które wydało mi się znajome. Loch. W tym miejscu Palimpost wprowadził mnie do tunelu.

–Przygotować broń! – szepnąłem i zaczerpnąwszy powietrza, napałem na kamień we wnęce, do której przesączało się światło. Kamień drgnął. Napałem jeszcze mocniej. Posunął się, odsłaniając wyjście. Wkrótce cała nasza dwudziestka wydostała się z tunelu. Według mojej rachuby do świtu zostało jeszcze sporo czasu. Zmiana warty jeszcze nie nastąpiła. Dwaj strażnicy spali z nogami na stole. Jednym z nich był ten bydlak Armand, który znęcał się nade mną, gdy zostałem uwięziony. Trzeci drzemał na schodach. Dałem sygnał Odonowi i Aloise'owi, którzy skradając się, zaszli strażników od tyłu. Musieliśmy unieszkodliwić ich błyskawicznie. Każdy hałas równał się wszczęciu alarmu. Na mój znak jednocześnie na nich skoczyliśmy. Odo zajął się tym na schodach i kiedy strażnik wydał głośnie chrapnięcie, zacisnął muskularne ramię wokół jego gardła.

Aloise zatkał ręką usta śpiącemu przy stole. Strażnik otworzył oczy. Natężył się, chcąc krzyknąć, lecz nim to zrobił, drwał przeciął mu gardło ostrym nożem.

Nogi strażnika zeszywniały i zaczęły drgać konwulsyjnie.

Armand był mój. Słyszając ruch, zamrugał powiekami, nadal zamroczony snem.

Przetarłszy oczy, zobaczył swoich towarzyszy na podłodze, a nad sobą znajomą twarz.

–Pamiętasz mnie? – Puściłem do niego oko.

W następnej sekundzie uderzyłem go w twarz ręką miecza. Zatoczył się do tyłu, przewracając przy tym stół, i wylądował z zakrwawionymi ustami na plecach.

Sięgnął za siebie po oparty o ścianę żelazny pogrzebacz. Francois, jeden z drwali z Morrisaey, stanął nad nim.

–Nie bądźmy tacy cywilizowani. – Wzruszywszy ramionami, spuścił Armandowi na głowę maczugę, a następnie postawił mu na grdyce swoją wielką nogę, odcinając szamoczącemu się dopływ powietrza. Armand dławił się i charczał, bijąc podłogę

rękami, lecz stopa drwała coraz mocniej przyciskała mu gardło. Po minucie ręce dozorczy znieruchomiały.

–Prędko – powiedziałem do Odoni i Aloise'a. – Przebieramy się w ich ubrania.

Rozebrawszy strażników, przywdzialiśmy ich purpurowo – białe kaftany.

Włożyliśmy na głowy hełmy i przypasaliśmy ich miecze. Ciała odciągnęliśmy w głąb korytarza.

Nagle z góry dobiegło nas skrzypienie drzwi. Usłyszeliśmy głosy schodzących po schodach mężczyzn.

–Zbudźcie się, śpiochy – powiedział któryś. – Już prawie świta. Hej, co tu się dzieje?

## ROZDZIAŁ 113

Babette, kucharka księcia, tego ranka wstała wcześniej. Zbiegła do kuchni i jeszcze przed świtem zdążyła przygotować śniadanie.

Wymieszała owsiankę, aż nabrała doskonałej konsystencji. Zdjęła z półki słoik z cynamonem – nową, słodką przyprawą ze Wschodu – i wysypała garść do gotującego się na wolnym ogniu ziarna. Rzuciła na patelnię soloną wieprzowinę, która napełniła kuchnię pysznym zapachem smażonego tłuszczu. Posypała owsiankę rodzynekami.

Wartownikom, Pierre'owi i Imonowi, stojącym na straży przed kuchnią, kończyła się nocna zmiana. Znała ich obu. Leniwe flejtuchy, pomyślała. Żadni z nich wyborowi żołnierze, nie powinni strzec książęcej kuchni, gdy u bram stoi armia nieprzyjacielska.

Domyślała się, że muszą być bardzo zmęczeni i śpiący i że w brzuchach burczy im z głodu. Poranne zapachy z kuchni musiały być dla nich nie mniej nęcące niż zapach dziewczki.

Kiedy słońce przedarło się przez poranną mgłę, Babette zawiązała dwa worki z grubego płótna wypełnione śmieciami z poprzedniego wieczoru. Potem wychyliła głowę z kuchni.

–Co gotujesz? Pachnie jak w raju – spytał Pierre, grubszy z wartowników.

–Nieważne, co zrobiłam, księciu smakuje wszystko, co ugotuję. – Babette zmrużyła oko. – Mam dziś dla was coś ekstra, jeżeli pomożecie mi w obowiązkach.

–Już się robi, laleczko – rzekł Pierre.

Babette uśmiechnęła się i poprowadziła ich przez kuchnię. Pokazała im dwa ciężkie worki ze śmieciami.

–Opróżnijcie je na zewnątrz, wygi wojenne – poinstruowała ich. – Uważajcie, żeby nie pogubić śmieci po drodze.

–Nasyp tych rodzynek. – Imo rozpromienił się, zarzucając worek na plecy. – Zaraz wrócimy.

Pokiwała głową.

–Dobrze.

Wyrzała przez okno. Czuła w duszy niepokój. Przed chwilą przekroczyła niebezpieczną linię, lecz zdecydowała się na to już dawno temu, kiedy książę demonstracyjnie powiesił jej przyjaciółkę Natalie jako złodziejkę za wzięcie odrobiny balsamu z gabinetu medyka. Nienawidziła księcia również za to, że skonfiskował jej kuzynowi stado owiec, a następnie kazał mu się nimi zajmować we własnej zagrodzie. Z rozkoszą by go otruła, gdyby Hugues o to poprosił.

Żołnierze poszli na tyły kuchni i wysypali śmieci na stertę odpadków, oblizując się na myśl o czekającym ich posiłku. W trakcie tej czynności dwaj inni, w purpurowo – białych kaftanach, zaszli ich od tyłu i złapali za szyje. Pierre i Imo zostali powaleni na ziemię i zaduszeni.

Babette wytarła ręce w szmatę. Tak, przekroczyła niebezpieczną linię... ale jaką miała inną możliwość?

Westchnęła. Dokonała wyboru między szaleńcem a błaznem.

## ROZDZIAŁ 114

Nim upłynęła godzina, czternastu moich ludzi, przebranych w barwy Baldwina, kręciło się po dziedzińcu.

Pozostali trzymali się poza zasięgiem wzroku, ukryci za drzwiami lochu. Oprócz Babette jeszcze troje spośród przyjaciół Joffreya pomogło nam zwabić żołnierzy w pułapkę.

Odo i ja trzymaliśmy wartę przed drzwiami lochu, wyglądając oznak, że książę rozpoczyna jakąś działalność. Po przeciwległej stronie dziedzińca dwaj strażnicy z włóczniami stali po obu stronach wejścia do zamku. Inni krążyli tam i z powrotem, przenosząc systematycznie broń i kamienie na mury.

W dali, za murami, słychać było naszych ludzi. Wrzeszczeli i miotali szyderstwa, tak jak im kazałem.

Na koniec zobaczyłem wchodzącego na dziedziniec Joffreya. Podrapał się po głowie, po czym skinął porozumiewawczo.

Zastukałem w drzwi lochu.

–Zaczynamy – powiedziałem.

Odo otworzył drzwi i reszta grupy, w swoich zwykłych ubiorach, wydostała się na dziedziniec. Wśród ogólnego zamieszania nikt ich nie zauważył. Poszliśmy przez dziedziniec, po drodze dołączyli do nas pozostali, kręcący się tu i tam w strojach ludzi Baldwina.

Kiedy podeszliśmy do wejścia, jeden z wartowników zagroził nam drogę włócznią. – Dziś wstęp mają tylko zbrojni. – Ci ludzie mają sprawę do księcia – powiedziałem, wskazując na tych, którzy byli w swoich ubraniach. – Przybyli z puszczy i mają wieści o błaznie.

Strażnik wahał się, mierząc nas badawczym spojrzeniem. Serce biło mi jak szalone.

–Przybywamy z murów – powiedziałem pewniejszym głosem. – Marnujesz czas na śledztwo, a tymczasem my mamy pilne wiadomości dla księcia. – W końcu, widząc nasze ubiory, podniósł włócznię i wpuścił nas.

Znaleźliśmy się wewnątrz. Szedłem śmiało na czele mojej grupy przez główny korytarz w stronę wielkiej sali.

Ku mojemu zdziwieniu komnaty były na ogół opustoszałe. Większość zbrojnych księcia obsadziła mury. W czasie mej poprzedniej wizyty komnaty te roiły się od petentów i najprzeróżniejszych służalców.

Doszliśmy do głównej sali. Przed wielkimi drzwiami, zza których dobiegał ryk księcia, stali wyprężeni dwaj wartownicy. Poczulem skurcz w żołądku.

–Książę nas oczekuje – warknąłem do strażników. Miałem na sobie purpurowo – biały strój. Nie zatrzymali nas. Jak dotąd wszystko przebiegało pomyślnie.

Wmieszaliśmy się w tłum wypełniający wielką salę posiedzeń. Było podobnie jak wówczas, gdy przebywałem na dworze jako błazen, tyle że wtedy zbierali się tu ludzie prowadzący interesy, dziś zaś tłoczyli się głównie rycerze i świta Baldwina.

Baldwin siedział rozparty na swoim krześle. Miał na sobie wojskowy kaftan ze swoim godłem i wysokie skórzane buty, a u pasa miecz w ozdobnej pochwie.

**Bydlę, pomyślałem.**

**Jeden ze zbrojnych przedstawiał raport z sytuacji za murami. Dwóch spośród moich ludzi pozostało za drzwiami, w pobliżu wartowników.**

**–Panie – rzekł szambelan – buntownicy chcą ci przedstawić petycję.**

**–Petycję? – Baldwin wzruszył ramionami.**

**–Listę żądań – wyjaśnił nowy kasztelan, prawdopodobnie następca Norcrossa.**

**Moi ludzie rozproszyli się po sali. Odo i Alphonse zajęli pozycje z tyłu za księciem, Aloise i dwaj jego towarzysze z Morrisaey przysunęli się do szambelana i kasztelana.**

**Kto przyszedł z tymi żądaniami? – Baldwin ożywił się – Może nasz przeklęty błazen?**

**–Nie, panie – odparł szambelan. – Twojego błazna nigdzie nie widać. Może boi się wstać z łóżka. Ale jest tak, jak mówiliśmy. Pozwól im przedstawić swoje skargi i udaj, że wezmiesz je pod rozwagę.**

**–Pod rozwagę. – Baldwin pogłaskał się po brodzie. – Kasztelanie – zwrócił się do Gui – wybierz najniższego, najmniej wartościowego żołnierza, wsadź go na muła i każ mu przyprowadzić delegację. Ma im wmówić bajeczkę, że petycja zostanie pilnie rozpatrzona. Kilku rycerzy zachichotało. Odezwał się kasztelan. Błagam, księżę, nie kpij z tych ludzi. – Znam twoje zastrzeżenia. Teraz pospiesz się i znajdź jakiegoś gamonia od czyszczenia wychodków. A kiedy bezpiecznie wróci, zabij kilku z nich. – Oni będą parlamentariuszami, księżę. Należy im się ochrona – powiedział z wahaniem kasztelan.**

**–Znów marudzisz? Szambelanie, może ty udasz się na mury, żeby wykonać mój rozkaz? Zdaje się, że mój dowódca nieskory jest do wykonywania poleceń.**

**–Idę, panie. – Tłusty lizus zaczął się przepychać ku wyjściu.**

**Wszyscy w sali byli przerażeni reprimendą daną kasztelanowi.**

**–A teraz – Baldwin wstał, rozglądając się po sali – czy jeszcze ktoś ma jakiś pomysł?**

**–Tak! – krzyknąłem z tyłu sali. – Powinniśmy zaatakować. Zaatakuj swoich wrogów na zachodzie.**

Baldwin rąbnął pięścią w stół.

–Nie mamy żadnych wrogów na... – W tym momencie zamarł. Wytrzeszczył oczy, które teraz sprawiały wrażenie dwóch ciemnych śliwek. – Kto to powiedział? Pokaż się! Kim jesteś?

Wystąpiłem z tłumu, zrzucając kaftan. Stałem przed nim w moim kostiumie w szachownicę i rajtuzach. Zdjąłem hełm obserwując jego reakcję.

–Myślę, że teraz już wiesz... – Mrugnąłem do niego. Twarz Baldwina zrobiła się kredowobiała. Wstał i wskazując na mnie palcem, krzyknął:

–To on. Błazen!

Żołnierze sięgnęli po broń, lecz zostali natychmiast powstrzymani przez ludzi w takich samych barwach – moich ludzi – którzy przyłożyli im miecze do gardeł.

Kasztelan ruszył ku mnie, lecz Aloise przytrzymał go, nim zdążył wyciągnąć broń.

–Złapcie go! Słyszycie? To rozkaz! – krzyknął Baldwin do strażników stojących za jego krzesłem.

Ruszyli ze swoich miejsc, lecz zamiast mnie obezwładnili księcia. Jednym z nich był Odo. Przyłożył Baldwinowi nóż do krtani, a Alphonse oparł czubek miecza o plecy księcia.

Baldwin otworzył szeroko oczy ze zdumienia. Spoglądał na swoich rycerzy, których wielu zamierzało sięgnąć po broń.

–Jeśli zostaniemy zaatakowani, zdechniesz jak pies – oświadczyłem mu. – To mi sprawi niezwykłą satysfakcję.

Baldwin rozejrzał się: mięśnie jego szyi drgały, oczy płonęły gniewem. Wokół jego najbardziej lojalni ludzie mieli noże na gardle. Część rycerzy wydobyła miecze, czekając na rozkaz księcia.

–Każ im złożyć broń – powiedziałem. Odo przycisnął mocniej ostrze, z szyi popłynęła strużka szlachetnej krwi.

Baldwin wodził rozpaczliwie oczami po sali, oceniając ewentualne skutki stawienia oporu.

–Wierz mi, panie, że ludzie, którzy cię trzymają, nienawidzą cię jeszcze bardziej niż ja – oznajmiłem. – Mają tak przemożną chęć wypruć ci flaki, że nie wiem, czy mnie posłuchają. Jednak zakładając, iż wolą, żeby ich dzieci żyły w spokoju, niż żeby twoje parujące wnętrzności znalazły się na podłodze, proszę cię: nakaż swoim rycerzom złożyć broń. W przeciwnym razie wystarczy, żebym dał znak, a będziesz martwy.

Baldwin nie odpowiedział, tylko nadal się rozglądał. Potem niemal niezauważalnie skinął głową. W sali rozległ się szczełk. Rycerze jeden po drugim podchodzili i rzucali miecze na posadzkę.

Odetchnąłem z ulgą.

–Teraz, mój panie, wyjdziemy na zewnątrz. Każesz złożyć broń ludziom na murach.

Książę przełknął z trudem ślinę. – Jesteś obłąkany – wykrztusił.

–Ty też jesteś nieźle szurnięty, jeśli pozwolisz, że użyję takiego określenia.

W sali rozległy się stłumione chichoty. – Nie dożyjesz wieczoru. – Baldwin patrzył



**na mnie z wściekłością. – Wszystkie miasta przyjdą mi na pomoc. Trzeba być największym idiotą na ziemi, żeby potraktować w ten sposób swego pana.**

**Rozejrzałem się powoli po moich ludziach. Pierwszy uśmiechnął się Odo, potem Alphonse, na końcu Aloise. – Jestem skromny: zadowolę się tym, że będę drugi w kolejności – odparłem.**

## ROZDZIAŁ 116

Wywlekliśmy Baldwina na zewnątrz i poprowadziliśmy z mieczem przy szyi ku bramie miasta.

Mijani po drodze zbrojni patrzyli w niemym osłupieniu.

Niektórzy, niewątpliwie skorzy do stawienia oporu, patrzyli na swojego pana, czekając na znak, lecz przegrany wyraz jego twarzy i widok szambelana, poborcy i kasztelana, kroczących pokornie za nim, nie pozostawiał wątpliwości co do jego intencji.

Oszołomieni ludzie wylegli na ulice, tworząc szpaler, którym szliśmy. Część z pewnością myślała, że to omamy po przepiciu. Kilku zaczęło szydzić:

–Patrzcie, to Baldwin! Zasłużyłeś sobie na to, ty zachłanny psie. – Wyśmiewali go, rzucając weń resztkami jedzenia i śmieciami.

Gdy zbliżaliśmy się do murów, zauważyłem, że wieść nas wyprzedziła. Żołnierze tylko się gapili, włócznie i łuki trzymali opuszczone.

–Powiedz im, że walka się skończyła. – Popchnąłem naprzód Baldwina. – Każ im złożyć broń i otworzyć bramę.

–Nie możesz żądać od żołnierzy, żeby się rozbroili i wpuścili tę tłuszcę. – Pociągnął nosem. – Zostaną rozerwani na strzępy.

–Nikomui nie stanie się krzywda, masz na to moje słowo. Za to ciebie spotka z pewnością, jeśli nie zastosujesz się do naszych żądań. – Przyciskając mocniej ostrze miecza, dodałem: – Mam wrażenie, że żaden z nich nie będzie miał nic przeciwko temu.

Baldwin przełknął ślinę.

–Złóżcie broń – powiedział przez zaciśnięte zęby.

–Głośniej. – Szturchnąłem go mieczem.

–Złóżcie broń! – krzyknął. – Zamek skapitulował. Otworzyć bramę.

Stali jak wryci, nie wierząc własnym uszom. Dwaj moi ludzie pobiegli i odrzucili ciężkie belki, podpierające wrota. Otworzyli bramę, po czym strumień naszych, z młynarzem Georges'em na czele, wlał się do środka.

–Czemu to tak długo trwało? – spytał młynarz, podchodząc do mnie.

–Książę tak dokładnie studiował wszystkie nasze żądania, że straciliśmy rachubę czasu. – Uśmiechnąłem się.

Georges przyglądał się schwytanemu księciu. Bez wątpienia od dawna marzył o takiej sytuacji.

–Wybacz, panie. Podniosłeś nam podatki. Jestem ci winien ostatnią ratę. – Po tych słowach splunął gęstą, żółtą śliną w twarz Baldwinowi, a następnie patrzył, jak ślina powoli ścieka na podbródek. – A teraz moje osobiste żądanie. – Zbliżył twarz do twarzy księcia. – Nazywam się Georges, jestem młynarzem z Veille du Pere. Oddaj mi mojego syna.

Moja armia rozlewała się po wszystkich ulicach i wspinała na wały.

Zdezorientowani żołnierze porzucili swoje stanowiska na wieżach i w przerażeniu opuścili mury. Zaczęto skandować moje imię: „Hugues, Hugues, Hugues... ”.

Popatrzyliśmy na siebie z satysfakcją – Odo, młynarz i ja – czym unieśliśmy ręce

**w geście zwycięstwa.**

## ROZDZIAŁ 117

Wrzuciliśmy Baldwina do lochu – do tej samej ciemnej, ciasnej celi, w której kiedyś mnie trzymał.

W ciągu pierwszych godzin zajmowałem się wieloma różnymi sprawami. Po uwięzieniu księcia należało rozbroić jego żołnierzy, a spiskujących szambelana i poborcę trzymać pod strażą. Również kasztelana, choć w jakiś niewytłumaczalny sposób nie uważałem go za wroga. Prócz tego trzeba było zaprowadzić porządek w naszych szeregach, skoro chcieliśmy w pokojowy sposób przedstawić naszą sprawę królowi.

Wróciłem myślą do Emilie. Gdzie ona była? Chciałem się z nią podzielić radością. Zwycięstwo było nie tylko nasze, lecz i jej. Poczułem lekki niepokój.

Wypadłem z zamku i wąskimi uliczkami pobiegłem w stronę domu Joffreya. Ludzie próbowali mnie zatrzymać, wznosili radosne okrzyki, lecz precisnąłem się między nimi, starając się zachować pogodny wyraz twarzy, a w duszy modląc się, żeby pozwolili mi przejść. Coś było nie w porządku!

W pobliżu rynku jeszcze bardziej przyspieszyłem kroku. Kupcy wykrzykiwali moje imię, jednak zignorowałem ich i w końcu znalazłem się w uliczce prowadzącej do domu Joffreya.

Zapukałem do drzwi. Byłem coraz bardziej niespokojny. Walitem pięścią, a odgłos uderzeń odbijał się w moim sercu echem przerażenia.

W końcu drzwi się otworzyły. Isabell była w domu! Ucieszyła się, widząc mnie, lecz zaraz spoważniała. Wiedziałem, że stało się coś złego.

–Odeszła, Hugues – powiedziała cicho.

–Odeszła? Dokąd...? Dlaczego? – Miałem wrażenie, jakby opuściła mnie cała energia.

–Najpierw myślałam, że poszła się z tobą spotkać, ale przed chwilą znalazłam to. Podła mi kartkę napisaną pospiesznie.

Mój dzielny Hugues,

Nie lękaj się, kiedy będziesz to czytał, bo moje serce bez reszty należy do ciebie. Muszę jednak odejść.

Odniosłeś pełne zwycięstwo. Czy nie miałam racji, przepowiadając, że tak będzie? Co było kiedyś, nie musi trwać wiecznie. Wspiąłeś się na drabinę swojego przeznaczenia.

Mc na świecie nie może sprawić mi większej satysfakcji niż świadomość, że to osiągnąłeś i że od początku wiedziałam, iż jesteś wyjątkowy.

Muszę jednak wrócić do Boree. Nie gniewaj się. Anne była dla mnie jak matka. Nie mogę jej opuścić, by cieszyć się twoim triumfem.

Nie martw się o mnie. Są rzeczy, o których ci nie opowiedziałam, ale wiedz, że nawet Stephan nie ośmielił się zrobić mi krzywdy. Napisz do króla. Zalegalizuj twój triumf. Ja odegram swoją rolę.

To było bolesne. Łzy mi napłynęły do oczu. Nie mogłem jej stracić. Nie teraz – nie po tym wszystkim, co się wydarzyło. Zmusiłem się, żeby przeczytać zakończenie.

Jesteś moją prawdziwą miłością od chwili, kiedy cię pierwszy raz ujrzałam.

**Powtórę ci to, kiedy znów się zobaczymy**

**–pozdrawiam.**

**Twoja na zawsze**

**Emilie**

**Ból zgasił we mnie radość ze zwycięstwa i wszystkiego, co się zdarzyło. Byłem bohaterem dnia, lecz straciłem kobietę, którą kochałem.**

## ROZDZIAŁ 118

–Kto tam? – warknął zza drzwi zrzędlawy głos. – Odezwij się!

Emilie skuliła się pod ciemnym kapturem. W głosie brzmiała dobrze jej znana nieufność. Uśmiechnęła się, bo to było jak spotkanie dawno niewidzianego przyjaciela.

–Czy twój rozum stał się równie kiepski jak twoje dowcipy, Norbercie? – odpowiedziała.

Drzwi do komórki błazna powoli się uchylily i na progu stanął Norbert. Kaftan miał rozchełstany, a włosy potargane i zmierzwione.

Patrzył podejrzliwie na zakapturzoną postać. Kiedy zsunęła z głowy kaptur, rozpromienił się.

–Pani Emilie!

Wyrzał na korytarz, chcąc się upewnić, czy jest sama, po czym otworzył szeroko ramiona i ją uściskał.

–Pięknie wyglądasz.

Emilie odwzajemniła uścisk.

–Miło cię widzieć, błaznie.

Norbert wciągnął ją do wnętrza. Zamknąwszy drzwi, zasępił się.

–Dobrze cię widzieć, pani, lecz niekoniecznie tutaj. Podjęłaś ogromne ryzyko, wracając. Ale powiedz mi szybko – byłaś z Hugues'em?

Emilie zrelacjonowała mu bieżący stan rzeczy. Przede wszystkim opowiedziała o najeździe na Veille du Pere i o istnieniu włóczni. „To ten kostur, który posłałeś Hugues'owi”. O nieprawdopodobnych wydarzeniach, które nastąpiły potem. O wieśniakach, którzy powstali pod jego przywództwem. O zdobyciu Treille. W trakcie relacji oczy błazna robiły się coraz większe, coraz częściej wyrwały mu się okrzyki zachwyty. Kiedy opowiedziała o schwytaniu Baldwina, zatańczył z radości, po czym upadł na siennik, wierzgając w euforii nogami.

–Wiedziałem, że ten chłopak to dar od Boga, ale to... Podniósł się, uśmiech na jego twarzy powoli zanikał. Przypatrywał się jej twarzy, różanej barwie policzków.

–Ale powiedz mi, pani... po co tu wróciłaś? Emilie spuściła głowę.

–Ze względu na moją panią. To mój obowiązek.

–Twoja pani! W takim razie musisz się dowiedzieć, że przebyłaś szmat drogi na próżno. Tu się wszystko zmieniło. Księżę na myśl o zabiciu Hugues'a trzęsie się jak pies, który poczuje zapach pieczeni. Czy ktoś wie o twoim powrocie?

–Wmieszałam się w grupę mnichów wracających z pielgrzymki. Przyszłam najpierw do ciebie.

–Mądrze zrobiłaś. Twoja ucieczka wyszła na jaw. Domyślają się, że pojechałaś do Hugues'a. Gdyby nie sprzeciw księżnej Anne, ludzie Stephana ścigaliby również ciebie. Twarz Emilie się rozjaśniła. – Wierzyłam, że jest prawa. Nie zawiodłam się.

## ROZDZIAŁ 119

Całkowite spacyfikowanie Treille zajęło kilka dni. Istniała grupa upartych rycerzy, lojalnych wobec Baldwina. Chodziły pogłoski o rzekomym odwecie ze strony któregoś ze sprzymierzeńców księcia. Ale żaden odwet nie nastąpił.

Treille było nasze.

Teraz był kłopot, co począć z tym fantem.

Wyłonił się temat bogactw księcia, powstałych z potu tych, którzy obecnie okupowali miasto. Należało podzielić sprawiedliwie ogromne zapasy zboża i żywego inwentarza.

Zaistniały różnice zdań między tymi, którzy byli z nami od początku, a tymi, którzy dołączyli później. Georges radził, żeby wydać klucze do magazynów ze zbożem i żeby każdy wrócił do domu z workiem zboża i kurą. Aloise'owi to było za mało.

„Otworzyć skarbiec. Rozdać wszystkie pieniądze. Powiesić sukinsyna!”.

Żałowałem, że nie ma przy mnie Emilie. Nie uczono mnie rządzić ani nie miałem takich ambicji. Nie wiedziałem, czy to, co robię, jest słuszne i sprawiedliwe.

Zdawałem sobie sprawę, że moja armia wkrótce przestanie istnieć. Ludzie się niecierpliwili, chcieli wrócić do domów. „Jest okres żniw – przypominali mi. – Kiedy dostaniemy to wszystko, co nam obiecywałeś?”.

Nie chodziło wyłącznie o jedzenie i pieniądze. Potrzebny był akt, który by ich zabezpieczył, zawierający prawo wyboru miejsca zamieszkania i seniora i rozstrzygnięcie, czy w razie gdy ktoś złożył przysięgę seniorowi, to jego dzieci, a potem dzieci jego dzieci będą związane tą samą przysięgą. Ktoś musiał to prawo przyznać.

Któregoś wieczoru znalazłem zwój papieru, pieczęć Baldwina i kałamarz gęstego, czerwonego atramentu. Usiadłem i zacząłem pisać najważniejszy list mojego życia.

Do Jego Wysokości Filipa, Króla Francji, Modlę się do Boga, żeby natchnął mnie odpowiednimi słowami, gdyż jestem skromnym wieśniakiem, de facto poddanym, któremu los przydzielił odpowiedzialną rolę.

Zostałem okrzyknięty przywódcą grupy dzielnych ludzi. Niektórzy nazywają naszą akcję buntem, ja nazwałbym ją wybuchem. Wybuchem gniewu chłopów, garbarzy, drwali – twoich pokornych sług – którzy powstali przeciw swojemu seniorowi po powtarzających się okrutnych i bezpodstawnych najazdach.

Najjaśniejszy Panie! Piszę ten list w Treille, siedząc przy stole księcia Baldwina, którego trzymamy w jego więzieniu. Oczekujemy Twojej rady, co dalej robić.

Nie jesteśmy zdrajcami, daleko nam do tego. Zjednoczyliśmy się, by położyć kres okrutnej niesprawiedliwości, dopiero wówczas, gdy zagrożone zostało nasze bezpieczeństwo i dobrobyt. Zjednoczyliśmy się po to, żeby walczyć o prawa, które nie pozwolą nas bezkarnie mordować, gwałcić i odbierać nam własności.

Zjednoczyliśmy się, żeby zaprotestować przeciw bezprawnemu przedłużaniu serwitutów.

Czy to wygórowane żądanie, Wasza Królewska Mość, żeby wszyscy słudzy Boga, zarówno szlachetnie urodzeni, jak i prości, podlegali sprawiedliwemu prawu?

Wielu nas służyło Waszej Wysokości podczas wojen albo podjęło krzyż Jego

**Świątobliwości w toczącej się wojnie z Turkami. Prosimy jedynie o to, co nam obiecano za tę służbę: o prawo do sprawiedliwych podatków, o prawo do składania skarg i rekompensaty za przesadne kary stosowane wobec nas, o prawo do postawienia napastnika przed sądem, niezależnie od tego, czy jest prostym człowiekiem, czy szlachetnie urodzonym, o prawo własności ziemi, spłacanej seniorowi latami ciężkiej pracy.**

**Dokonaliśmy tego bez rozlewu krwi. Działaliśmy spokojnie i odpowiedzialnie. Jesteśmy już jednak zmęczeni. Pozwól nam, Panie, poznać swoją opinią na ten temat.**

**W rewanżu ofiarowuję ci jedyną wartościową rzecz, jaką posiadam – która dostała się w moje ruce w Antiochii – najświętszą relikwią chrześcijaństwa: włócznią, która przebiła bok Chrystusa na krzyżu.**

**Jest to skarb bezcenny, lecz przy całej swojej niezwykłości nie dorównuje wielkości serc ludzi, którzy pozostają Twoimi uniżonymi sługami.**

**Prosimy o odpowiedź.**

**Twój pokorny sługa Hugues de Luc, karczmarz z Veille du Pere**

**Czekałem, aż wyschnie atrament.**

**Pomyślałem o przeszłości i serce mi się ścisnęło. Dlaczego oni wszyscy zginęli:**

**Sophie, Mathieu, mój syn, Nico, Robert, Turek? Czy po to, żebym się znalazł w tym zamku?**

**Obok mnie, oparta o stół, stała włócznia. Zastanawiałem się, co by się stało, gdybym zginął w tamtym kościele z rąk Turka? Albo gdyby nie zginęli tamci?**

**Złożyłem pergamin i opatrzyłem go książeczą pieczęcią. Zauważyłem, że trzęsą mi się ręce.**

**Zdarzyło się coś nieprawdopodobnego. Ja, parias, z zawodu błazen, bezdomny, bez pieniędzy, napisałem list do króla Francji.**



**CZĘŚĆ 5**  
**OBLĘŻENIE**  
**ROZDZIAŁ 120**

Stephan, książę Boree, wzdrygnął się, kiedy medyk przystawił mu do pleców kolejną pijawkę.

–Jeśli będziesz to dalej robił, to wkrótce zostanie we mnie mniej krwi niż w tych przeklętych krwiopijcach. Medyk nie przerywał zajęcia. – Skarżysz się, panie, bo jesteś w złym humorze. Stephan pociągnął nosem.

–Nawet wszystkie pijawki na świecie nie zdołają wyssać złej krwi, która mi psuje nastrój.

Z chwilą klęski najazdu Morgaine'a Stephan popadł w przygnębienie. Zostali rozgromieni jego najwierniejsi, najbardziej bezwzględni ludzie. Co gorsza, stracił okazję do zdobycia włóczni. A kiedy na dobitkę tamten arogancki prostak miał czelność pomaszerować na Treille, wściekłość Stephana sięgnęła zenitu.

Poprzedniego dnia dotarła do niego wręcz nieprawdopodobna wieść, iż błazen zdobył Treille, a Baldwin, idiota nad idiotami, poddał zamek.

Poczuł, że owe małe, oślizłe paskudztwa wysysają z niego zły nastrój.

A zatem włócznia była nadal do zdobycia! Przyszedł mu do głowy pomysł zwołania krucjaty dla oswobodzenia Treille, odebrania relikwii, która została skradziona przez dezertera, i złożenia jej w najstosowniejszym miejscu, to znaczy w Boree.

Ale kto wie, gdzie spocznie ostatecznie. W Paryżu? W Rzymie? A może wróci z powrotem do Antiochii?

W tym momencie sytuacja wydała mu się jeszcze gorsza – do komnaty weszła Anne.

Widząc go leżącego na brzuchu, z pieca mi pełnymi sińców, z trudem pohamowała uśmiech rozbawieniu.

–Wezwałeś mnie, panie?

–Owszem. Medyku, zostaw nas samych.

–Nie skończyłem jeszcze upuszczania krwi, książę... Stephan poderwał się, zmiatając z pleców lepkie, małe robaki.

–Masz instynkt oprawcy, a nie uzdrowiciela. Zabierz stąd to paskudztwo. Od dziś będę sobie radził ze złym nastrojem we własny sposób.

Anne patrzyła nań, uśmiechając się lekko.

–Dziwię się, że te oślizłe stworzenia ubliżają ci, skoro tak bardzo jesteście do siebie podobni.

Zbliżywszy się, powiodła ręką po jego plecach, pocętkowanych krwiście czerwonymi obrzękami.

–Sądząc po tym, twój nastrój musiał być szczególnie ponury. Posmarować cię maścią?

–Jeśli nie poczujesz się zhańbiona fizycznym kontaktem ze mną. – Nie spuszczał wzroku z jej twarzy.

–Oczywiście, że nie, mój mężu. – Nabrawszy na ręce gęstej białej maści, dotykała

skóry w miejscach obrzęków. Jestem przyzwyczajona do hańby. Czego chcesz ode mnie?

–Chcę cię zapytać, jak się ma twoja kuzynka, Emilie. Czy jej pobyt u ciotki był udany?

–Na to wygląda. – Anne zaczęła rozsmarowywać maść. Rozkwita przy ciotce. Rozkwita... Oboje wiedzieli, że Emilie jeszcze nigdy nie znalazła się bliżej niż pięćdziesiąt mil od tej starej kwoki.

–Chcę z nią porozmawiać – rzekł. – Mam ochotę dowiedzieć się o szczegółach tej wizyty.

–Te pijawki powzerały się nadzwyczaj głęboko – zauważyła Anne, naciskając na jedną z ran. Stephan podskoczył. Obrócił głowę. – To leniuchowanie źle na ciebie działa, mężu. Może byłoby lepiej, żebyś wrócił do Ziemi Świętej nieco się rozerwać. Co do Emilie – myślę, że jest zbyt znużona, żeby opowiadać ci o szczegółach. Znużona – powtórzyła, naciskając ponownie ranę – mimo to, jak powiedziałam, kwitnąca.

–Dość! – Stephan chwycił ją za rękę. – Nie muszę cię prosić o pozwolenie.

–Nie musisz. – Anne spojrzała nań gniewnie. – Ale pamiętaj, że ona jest pod moją opieką. Nawet ty, mój intrygancki mężu, powinienesz znać cenę, którą zapłacisz, jeżeli spotka ją jakakolwiek krzywda.

Wbiła ostry czubek paznokcia w szczególnie nabrzmiałą ranę. Stephan podskoczył tak, że omal nie spadł z łóżka.

Podniósł rękę, jakby zamierzał ją uderzyć. Anne nawet nie mrugnęła okiem. Przez chwilę patrzyła mu prosto w twarz, w jej oczach czaił się wstręt. Z wolna na jej ustach pojawił się uśmiech.

–Jeśli chcesz mnie uderzyć, bardzo proszę. A może zawołać którąś z pokojówek, jeśli uważasz, że moja twarz jest za mało gładka?

Nie będziesz ze mnie kpiła w moim własnym domu – rzekł Stephan, odpychając ją od siebie.

Więc może byłoby lepiej, żebym się wyprowadziła? – Zaśmiała się urągliwie.

Wynoś się! – wrzasnął, machnąwszy ręką tuż przed jej twarzą. – Nie łudź się, Anne, że twoje zobowiązanie do opieki nad Emilie może mnie powstrzymać przed czymkolwiek. Jeszcze pożałujesz swoich kpin. Ty, ta różanolica dziewczka, która na ciebie czeka, i tamten wiejski kmiot, na którego tak się napaliła.

## ROZDZIAŁ 121

–Witam, wasza eminencjo. – Stephan ukląkł, żeby pocałować pierścień z rubinem biskupa Boree, Barthelmy'ego, mimo iż uważał go za najbardziej pyszałkowatego, a przy tym najlepiej odżywionego przedstawiciela kleru we Francji. – Jestem wdzięczny za rychłe przybycie. Usiądź ze mną, proszę.

Biskup Barthelmy był korpulentnym, bystrookim mężczyzną o obwisłych policzkach, które wydawały się zlewać w jedną całość z luźną, purpurową szatą. Stephan zastanawiał się, jak taki człowiek może spacerować, wchodzić na schody, a nawet odprawiać mszę. Wiedział, iż biskup uważa, że marnuje się w tej diecezji i marzy o lepszym stanowisku – w Paryżu, a może nawet w Rzymie – a poza tym nie lubi być wzywany.

Na znak Stephana młody paź napełnił trunkiem dwa srebrne kubki.

–Oderwałeś mnie od seksty z tego powodu? – wyrzęził biskup.

–Nazywają to alembikiem – Stephan podniósł swój kubek. – Pędzą go mnisi we Flandrii. Biskup uśmiechnął się z przymusem.

–Jeśli to dzieło Boże, to niewiele zboczyłem z drogi cnoty. Obaj pociągnęli po sporym łyku.

–Och. – Duchowny oblizwał wargi. – Czysta rozkosz. Smakuje jabłkami i miodem. Ale chyba nie po to mnie wezwałeś, żeby usłyszeć moją opinię o trunku.

–Poprosiłem cię o przybycie – rzekł Stephan – bo mam rozdartą duszę, którą ty możesz mi pomóc zaleczyć.

Barthelmy kiwnął głową i słuchał dalej. I Stephan przysunął się blisko.

–Pewnie słyszałeś o tym buncie wieśniaków na południu, którego prowodyrem był błazen? Barthelmy uśmiechnął się z wyższością. – Nie znam głupszego człowieka od Baldwina, toteż zupełnie się nie dziwię, że został wystrychnięty na dudka przez błazna. Czy to prawda, mój książę, iż swego czasu ów błazen przebywał na twoim dworze?

Stephan odstawił kubek i posłał gniewne spojrzenie biskupowi w odpowiedzi na jego znaczący uśmiech. – Przejdźmy do rzeczy, wasza eminencjo. Czy wiesz, co ten błazen posiada? Czym przekonuje ludzi? – Obietnicą lepszego życia.

Uwolnieniem od poddaństwa. – Nie mówię o obietnicach. Mam na myśli włóczęgę. Duchowny kiwnął głową.

–Słyszałem, że paraduje z oszczepem, który rzekomo jest świętą włóczęgą. Ale ci mali prorocy zawsze mają na podorędziu to i owo: wodę z chrztu świętego Jana, całun pogrzebowy Marii Dziewicy...

–Więc nie obchodzi cię to, że ktoś podszywający się pod prostego wieśniaka używa imienia Pana w celu wszczęcia powstania?

–Ach, ci lokalni prorocy. – Biskup westchnął. – Co roku pojawiają się i znikają jak śnieg.

Stephan pochylił się ku niemu.

–A nie obchodzi cię to, że ów wieśniak posługuje się imieniem Chrystusa w celu wszczęcia buntu, który ma na celu obalenie zależności wasalnej?

–Wygląda na to, że tylko ty się tym martwisz. Prócz tego słyszałem, że temu

**chłopakowi chodzi nie o łaskę Pańską, lecz o zboże.**

**Na twarzy biskupa pojawił się uśmiech gracza, który wie, jakie następne posunięcie zrobi przeciwnik.**

**–Czego oczekujesz od Kościoła, Stephanie? Czy tego, żeby rozgrywał twoje wojny? Chcesz, żebym się porozumiał z Rzymem i ogłosił świętą krucjatę przeciw błąznowi?**

**–Chcę, wasza eminencjo, żebyś uderzył te ciemne marionetki w najbardziej czułe miejsce. Nie w brzuchy ani w ich sentymenty, ani nawet w marzenia o owej bezcennej wolności której chcieliby zakosztować.**

**Biskup czekał, patrząc pytająco na Stephana.**

**–Mam na myśli ich dusze. Chcę skruszyć ich dusze. Ty jesteś człowiekiem, który może to dla mnie zrobić.**

**Biskup odstawił kubek. Rozbawienie na jego twarzy zmieniło się w niepokój.**

**–Czego dokładnie oczekujesz ode mnie?**

## ROZDZIAŁ 122

Odpowiedź od króla nie nadchodziła, a ludzie stawali się coraz bardziej niecierpliwi i zmęczeni. Nie nawykli do oręża ani do okupowania takiego miasta jak Treille. Byli chłopami, kupcami, mężami i ojcami. Tęsknili do domu.

Rozstawiliśmy czaty wzdłuż drogi na północ, lecz dni mijały, a żadne nowiny nie napływały.

Dlaczego? Skoro Emilie się z nim skomunikowała? A może jej się nie udało? Co wobec tego robić?

Jednak któregoś dnia czujka zameldowała o konnym oddziale, zmierzającym na południe w stronę zamku. Byłem w wielkiej sali, kiedy wpadł Alphonse.

–Hugues, j – jadą do nas j – jacyś jeźdźcy. P – pewnie od króla!

Pobiegliśmy pędem na mury. Patrzyłem z bijącym sercem na przybyszów. Z północy jechało galopem sześciu jeźdźców.

Rycerze ze sztandarem, lecz nie w purpurowo – złotych barwach króla. Na sztandarze był krzyż. A więc wysłannicy Kościoła. Rycerze eskortowali jeźdźca znajdującego się pomiędzy nimi, ubranego w ciemne szaty duchownego. Otworzyliśmy bramę i oddział wjechał na dziedziniec. Natychmiast otoczył go tłum. Przybiegli wszyscy – wśród nich Odo, Georges, ludzie z Morrisaey... Zapanował nastrój optymizmu.

–Jakie wieści przynoszą: dobre czy złe? – spytał Alphonse. – Myślę, że dobre – powiedział ojciec Leo. – Gdyby król nas potępiał, to nie przysłałby klechy.

Zaraz się przekonamy.

Chudy, bystrooki ksiądz zsiadł powoli z konia. Nie tracąc czasu, przemówił do ludzi.

–Jestem ojciec Julian, emisariusz jego eminencji biskupa Barthelmy'ego.

Przywożę pilny dekret.

–Hugues de Luc – odparłem. Ukłoniłem się i przeżegnałem, chcąc okazać swój szacunek.

–Posłanie jest zaadresowane do wszystkich – rzekł ksiądz, lustrując mnie wzrokiem. Wydobywszy z zanadra złożony dokument, podniósł go, żeby wszystkim pokazać.

–„Okupanci Treille – zaczął czytać donośnym głosem. Chłopi i kupcy, wolni i niewolni, poplecznicy człowieka znanego jako Hugues de Luc... dezertera z armii krzyżowców, która nadal bohatercko walczy w celu wyzwolenia Ziemi Świętej... ”.

Przebiegł mnie zimny dreszcz. W tłumie zaległa cisza.

–„Jego eminencja biskup Barthelmy Abreau potępia was za bezprawną rebelię i nakazuje z dniem dzisiejszym, siedemnastym października tysiąc dziewięćdziesiątego ósmego roku, rozwiązać się, wycofać z okupowanych włości księcia Baldwina, rzec się wszelkich roszczeń i wrócić bezzwłocznie do waszych wiosek pod karą natychmiastowej, pełnej ekskomuniki z Kościoła Rzymskiego, a co za tym idzie – wiecznego pozbawienia waszych nieśmiertelnych dusz łaski Bożej”.

Przerwał, obserwując, jakie wrażenie te słowa na nas wywarły.

–„Jego eminencja nakazuje wam – ciągnął – żebyście odrzucili wszelkie nauczanie

**i obietnice heretyka Hugues'a de Luc; zaprzeczyli, że zgodnie z prawem wszedł w posiadanie rzekomych relikwii lub symboli religijnych, skonfiskowali je i nie dawali wiary, iż jest posłańcem naszego Pana, Jezusa Chrystusa”.**

**–Nie. – Ludzie potrząsali głowami. – To niemożliwe... – Zaniepokojeni rozglądali się dokoła, spoglądali to na mnie, to na innych zebranych.**

**Młody ksiądz donośnym głosem kontynuował:**

**–W nadziei, iż natychmiast zastosujecie się do niniejszego dekretu i że znów będziecie godni przystępować do Stołu Pańskiego, biskup daje wam dwudniowy termin na wprowadzenie go w życie, a mnie czyni odpowiedzialnym za dopilnowanie wszystkiego. Dekret podpisał jego eminencja Barthelmy Abreau, biskup Boree, przedstawiciel Stolicy Apostolskiej.**

**Boree! – pomyślałem. To dzieło Stephana! W tłumie zaległa trwożna cisza.**

**–To szaleństwo – przemówił ojciec Leo. – Ci ludzie nie są heretykami. Walczyli jedynie o strawę.**

**–Wobec tego radzę im prędko strawić – odparł młody ksiądz – i wrócić do swoich gospodarstw, nim ich dusze staną się głodne po wsze czasy. Ty również, wiejski księżę. – Przybił dekret do ściany kościoła.**

**–To oszczerstwo ze strony Stephana! – zawołałem. – Ukartował to, żeby zdobyć włócznie.**

**–Więc mu ją oddaj – ktoś krzyknął – jeśli w ten sposób uratujemy nasze dusze.**

**–Wybacz mi, Hugues. Poszedłem za tobą po to, żeby walczyć – powiedział inny. – Ale nie chcę być potępiony na wieki.**

**Wszyscy byli przygnębieni i wystraszeni. Część ludzi zeszła z murów i zaczęła powoli zmierzać ku bramie.**

**–Pójdźcie za ich przykładem. – Ksiądz wskazał na nich palcem. – Kościół przyjmie was z powrotem, pod warunkiem że bez zwłoki zastosujecie się do dekretu biskupa. Wracajcie do swoich gospodarstw i żon.**

**Jak mogłem stawić czoło takiemu jadowitemu atakowi? Ci dzielni ludzie wierzyli, iż idąc za mną, robią coś dobrego. Coś, na co Bóg patrzy przychylnym okiem.**

**Doznałem uczucia klęski. Patrzyłem, jak rzeka przyjaciół i popleczników mija mnie i znika za bramą. Wiedziałem, że przegraliśmy wojnę.**

**Ogarnął mnie płomień gniewu.**

## ROZDZIAŁ 123

Nocą poszedłem do kaplicy. Tam też znalazł mnie Odo.

Poszedłem, żeby się pomodlić. Modliłem się, żeby Bóg mnie oświecił, co powinienem zrobić. Jeśli istniał, nie pozwoliłby bandzie intryganckich, sytych marionetek w rodzaju ojca Juliana – którego nie interesowało, czy moi ludzie żyją, czy giną z głodu – zburzyć ich determinacji.

–Skoro ty się modlisz – tu chrząknął znacząco – to znaczy, że tkwimy głęboko w gównie.

–Ilu naszych jeszcze zostało? – spytałem.

–Połowa... może mniej. Kto wie, ilu będzie rano? Może nie wystarczy, żeby utrzymać miasto. Nasi najlepsi nie odeszli: Georges, Alphonse, chłopcy z Morrisaey... nawet ojciec Leo. Większość tych, którzy byli z nami od początku, została.

Uśmiechnąłem się z wysiłkiem.

–Nadal mi ufają?

–Nie tobie. Powiedziałbym tak: w ich pakcie z Bogiem bardziej ufają świętej włóczni niż tej obleśnej myszy kościelnej.

Wziąłem leżącą na sąsiedniej ławce włócznię i przez chwilę ważyłem ją w dłoniach.

–Już wiesz...? – spytał Odo. – Odpowiedziała ci? Co zrobimy dalej?

–Zrobimy? – odparłem. – Stephanowi chodzi o mnie lub przynajmniej o nią – nie o wasze dusze. Ten dekret to jego wyzwanie: „Stań przede mną... jeśli masz jaja”.

Nie mam wyboru – muszę to zrobić.

Odo się roześmiał.

–Chcesz pomaszerować na Boree z tą resztką ludzi, która nam została?

–Nie, przyjacielu. – Pokręciłem głową. – Pójdę sam. Zatkano go. Przez sekundę nie mógł się zdecydować, czy ukazać swoją irytację, czy zaprotestować.

–Chcesz pójść do Boree? Sam? Tylko z włócznią?

–Nie pojmujesz, co on mi dał do zrozumienia, Odo? Spalił wioski, żeby zdobyć włócznię. Zabił moją żonę i syna. Teraz ma w ręku Emilie. Co innego mi zostało?

–Możemy poczekać. Trzymać Baldwina pod strażą, dopóki nie przyjdzie odpowiedź.

Król z całą pewnością położy kres temu szaleństwu.

–No i mamy odpowiedź króla. – Potrząsnąłem głową. – Król będzie trzymał z Baldwinem i Stephanem bez wysłuchiwanie naszych skarg. Oni są jego poddanymi.

Utrzymują armie, które dla niego walczą, a my najwyżej trzymamy kury.

–Dobrym omletem można przekabacić nawet króla. – Ogromny kowal zachichotał.

Potem spojrzał na mnie poważnie. – Jestem z tobą, Hugues. Do samego końca.

Ująłem go za rękę.

–Nie, Odo. Byłeś wiernym przyjacielem. Nie tylko ty – wy wszyscy. Ufaliście mi bardziej, niż taki zwykły błazen jak ja mógł się spodziewać. – Uśmiechnąłem się do niego. – Ale teraz muszę się z tym zmierzyć sam. Ta rzecz... przyniosła mi tylko ból. Ale niektóre inne – powstające wioski, uczucie dumy, gdy maszerowaliśmy na Treille, widok twarzy Baldwina – sprawiły mi radość.

**–Od czasu gdy włożyłeś ten błazeński strój, stałeś się kiepskim filozofem – skomentował Odo. – Możliwe... mimo to pójdę sam.**

**Odo nie odpowiedział. Nabrał głęboko powietrza i uśmiechnął się. Potem rozejrzał się wokół siebie. – Zatem tak wygląda wnętrze kościoła. Siedzenia są twarde i nie ma nic do jedzenia. Nie widzę w tym nic pociągającego. – W takim razie obydwaj mamy podobne poglądy – od – powiedziałem mu uśmiechem. Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu.**

**–Co by było – zacząłem myśleć na głos – gdybym tamtego dnia nie poszedł na krucjatę? Sophie i Philippe by żyli, ojciec Leo prawilby swoje kazania, a ty zajmowałbyś się uczciwą, codzienną pracą.**

**–Popijałbym piwo i słuchał twoich głupich dowcipów. Wstałem i poklepałem go po plecach.**

**–Zróbmy to, przyjacielu. Musi tu być jakaś piwniczka, a ja znam jeszcze kilka dowcipów, których nie słyszałeś.**



## ROZDZIAŁ 124

Następnego dnia o świcie włożyłem wytarty kostium błazna, pożegnałem się z przyjaciółmi, którzy byli ze mną od początku, i wsadziwszy pod pachę świętą włócznię, opuściłem miasto.

Georges, Odo, ojciec Leo i Alphonse czekali na mnie przy bramie. Wezwałem ich, żeby się nie złamali, tylko zostali na miejscu i utrzymali miasto. To, co zrobiliśmy, było słuszne i w przyszłości mogło przynieść korzyści.

To, co ja miałem do zrobienia, również było słuszne, lecz musiałem to przeprowadzić sam, niezależnie od ceny.

Nim wsiadłem na konia, uściskałem Odonę i Georges'a.

–Niech Bóg was błogosławi – rzekłem. Podziękowałem im za wiarę we mnie, za podjęcie próby, za to, że za mną poszli. W ich silnym uścisku, milczeniu i wstrzymywanych łzach wyczuwałem obawę, że możemy się już nigdy nie zobaczyć.

Wsiadłem na konia i ruszyłem w dół wzgórza. Odwróciłem się ostatni raz i uśmiechnąwszy się, puściłem oko do moich przyjaciół. Przrzekłem sobie, że się więcej nie obejrzę.

U stóp wzgórza złamałem przyrzeczenie. Brama była już zamknięta. Patrzyłem na wysokie mury, na niebotyczne wieże: miasto było nie do zdobycia. Poczułem w piersi iskierkę dumy. Chłopi pańszczyźniani i niewolni zdobyli miasto seniora bez walki. Już samo wspomnienie zaskoczonej twarzy Baldwina było warte całej naszej akcji.

Jednak sprawę z Baldwinem już załatwiłem. Pozostawało mi rozprawić się z człowiekiem, który spalił naszą wioskę, zabił moją żonę i dziecko, a teraz przetrzymywał ukochaną przeze mnie kobietę. Zdawałem sobie sprawę, że tym razem nie będę walczył o rzeczy tak podstawowe jak sprawiedliwość i wolność, lecz o coś głębszego, bardziej osobistego.

Spojrzałem ostatni raz na Treille, po czym odwróciwszy się, popędziłem konia. Myślami byłem już w Boree.

## ROZDZIAŁ 125

Obcasy butów Stephana zastukały głośno w chwili, gdy wchodził do małego, zapuszczonego pomieszczenia na tyłach kwater żołnierzy. Jego lokator, zgarbiony w ciemnym rogu, podniósł głowę; był brudny i pokryty wrzodami.

–No, Morgaine. – Stephan otworzył szeroko drzwi. – Twój czas znów nadszedł. Muszę skorzystać z twoich talentów.

Jesteś nadal rycerzem, prawda?

Zhańbiony rycerz powoli dźwignął z podłogi muskularne ciało. Brudne, poszarpane sukno przykrywało miejsce, w którym włócznia przebiła mu bok; w ciasnym pomieszczeniu czuć było woń rozkładu.

–Jestem do twoich usług, księżę.

–Dobrze – powiedział Stephan. – Powinieneś tu wywietrzyć. Cuchniesz odrażająco. Nawet w latrynie nie śmierdzi tak jak tu. – Potrzebuję tego, panie. Smród nie pozwala mi zapomnieć o ranie i o tym szmatławym bękarcie, który mi ją zadał.

–Cieszę się, że masz tak dobrą pamięć – rzekł Stephan – bo jeśli Bóg pozwoli, zyskasz okazję do zemsty.

Oczy Tafura zabłysły.

–Každy oddech, do którego się zmuszam, pobudza nadzieja że taki moment nastąpi. Co mam zrobić?

–Rozwój wypadków, zbyt zawikłanych, byś je zrozumiał, sprowadza błązna z powrotem do mnie.

Błązen! Przybywa do Boree? Na pewno?

–Sądziś, że zaryzykowałbym ubabranie butów w twojej norze z jakiegoś innego powodu? Rusz się. Każę medykwowi zrobić coś z twoim zapachem.

Tafur podniósł z podłogi swój wojenny kaftan, przedziurawiony i pokryty krwią w miejscu przekłutym włócznią. Zwilżył wargi jak wygłodzony, na którego czeka świeża pieczeń.

–Widzę, wojowniku, że ewentualna zemsta niezwykle cię ożywiła. – Stephan wyszczerzył zęby. Instykt go nie zawiódł. Dobrze zrobił, że oszczędził tego śliniącego się bydlaka, zamiast uciąć mu głowę, gdy przywłókł się bez włóczni.

–Wypruję mu flaki – powiedział Tafur, zgrzytając zębami – a potem umoczę w jego ranie swoje wrzody, żeby umarł, doświadczając choroby, którą mnie zaraził.

–Nie straciłeś ducha. – Stephan poklepał go po plecach, po czym spojrzał z odrazą na własną dłoń. Przysunął się do i rannego żołnierza jak do towarzysza libacji, po czym nagłym ruchem wbił mu w bok rękojeść swojego miecza. Morgaine wydał stłumiony okrzyk bólu.

–Tym razem nie zapomnij o włóczni. – Stephan pociągnął nosem. – Nim to jednak nastąpi, trzeba wykonać inną robotę – dodał, wracając do poprzedniego tonu. W czasie twojej nieobecności w Boree rozmnożyły się różne męty. Dlatego jesteś mi potrzebny. Komu innemu mógłbym zaufać?

–Wystarczy, że powiesz, co mam zrobić.

–Dobrze. – Stephan poweselał. – Właśnie to spodzie – wałem się usłyszeć. Wyglądasz na człowieka, który potrafi zabawić innych. Co byś powiedział,

**gdybyśmy zaprosili do towarzystwa błazna Norberta? Znasz Norberta, prawda, Morgaine? Sprawdźmy, czy ci uda się pomacać go tak, żebyśmy mogli się trochę pośmiać.**

**Morgaine kiwnął głową. Stephan wiedział, iż zrozumiał go doskonale. Nie interesowało go, komu krwi utoczy, byleby dostać błazna.**

**–Jeszcze jedno, Morgaine... – rzekł Stephan, gdy wyszli z brudnego pomieszczenia. – Skoro robimy przyjęcie, to czemu nie zaprosić na nie panny Emilie?**

## ROZDZIAŁ 126

Podróżowałem leśnymi drogami przez dwa dni, jadąc od świtu do zmierzchu, a w nocy śpiąc w krzakach. Przed zaśnięciem rozmyślałem o wielu rzeczach: o przyjaciółach, których zostawiłem w Treille, o bezpieczeństwie Emilie, o tym, co zrobię, kiedy się znajdę w Boree.

Rankiem drugiego dnia kończyłem właśnie posiłek, składający się z chleba i sera, gdy usłyszałem za sobą wolne człapanie konia.

Schowałem się za drzewo i wyjąłem nóż.

Stopniowo spomiędzy drzew wyłonił się jeździec. Duchowny, może mnich, z twarzą ukrytą pod kapturem, wędrujący samotnie przez niebezpieczną puszcę.

Odprężony, wyszedłem z mojej kryjówki.

–Jesteś albo głupio odważny, ojcze, albo kompletnie pijany, skoro ryzykujesz samotną podróż przez puszcę – zawołałem do nadjeżdżającej postaci. Duchowny wstrzymał wierzchowca.

–To dość niezwykła uwaga – odparł spod kaptura – zwłaszcza ze strony mężczyzny w takim stroju.

Drgnąłem, słysząc znajomy głos. Spod kaptura wyłoniła się uśmiechnięta twarz ojca Leo.

–Co ty tu robisz? – wykrzyknąłem.

–Doszedłem do wniosku, że mężczyźnie spełniającemu posłannictwo potrzebne jest duchowe wsparcie. – Westchnął i podczas zsiadania z konia zaplątał się w swojej długiej szacie. – Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu.

–Czyżbyś upadł na głowę? Cieszę się, przyjacielu, że będę miał towarzystwo.

–Wiem, że to ryzykowne – powiedział ksiądz, otrzepując kurz ze swojej szaty. – Chodzi jednak o to, iż tyle lat czekałem na prawdziwy znak od Boga, że nie potrafiłem znieść myśli o rozstaniu z włóczęgą.

Roześmiałem się i pomogłem mu otrzepać się z kurzu.

–Wyglądasz na zmęczonego, ojcze. Napij się. Podałem mu bukłak. Ojciec Leo podniósł go do ust.

–Razem tworzymy już sporą armię przeciw wojskom Boree. – Uśmiechnąłem się. – Błazen i ksiądz.

–No cóż – odparł ksiądz, wycierając usta – niezbyt Sporą. Wiedziałem, że we dwóch nikogo nie przestraszymy, więc pozwoliłem sobie zaprosić przyjaciela.

–Przyjaciela...?

–Usłyszałem tętent jeszcze jednego konia, a ujrawszy jeźdźca, zamrugalem oczami, nie będąc przekonany, czy dobrze widzę. Był to Alphonse, ubrany jak do bitwy. Podjechawszy, uśmiechnął się nieśmiało.

–Obaj zwariowaliście – powiedziałem.

–Człowiek w takim stroju jak ty, na dodatek chcący zaatakować zamek w pojedynkę, nie ma prawa nazywać nikogo szaleńcem – mruknął ojciec Leo.

–Więc jest nas trzech szaleńców. – Uśmiechnąłem się. Zrobiło mi się lekko na duszy.

–Nie umiesz liczyć. – Alphonse pociągnął nosem.

–Macie coś dobrego do żarcia? – odezwał się głos z lasu. – Po tych wiewiórkach i jaszczurkach gotów jestem zjeść wszystko.

–Odo!

Zobaczyłem kowala w skórzanym kaftanie, z maczugą, w płaszczu w purpurowo – białych barwach Baldwina.

–Już wiem, czyj to był pomysł.

–Nie zgadłeś – Odo się uśmiechnął. Wskazał głową za siebie. – To jego.

Z lasu wyłonił się młynarz.

–Powiedziałem wam, że to moja sprawa – zaprotestowałem, udając, że się gniewam.

–Powiedziałeś również, że jesteśmy wolni – zareplikował Odo. – Z tego wynika, że wybór należy do nas.

–Georges, powierzyłem ci dowództwo nad czterystoma ludźmi – powiedziałem, znacznie mniej pewnie. – Miałeś pilnować Baldwina.

I dobrze zrobiłeś. – Młynarz mrugnął okiem.

Usłyszałem wzmagający się odgłos maszerujących drogą mężczyzn. Zza zakrętu wyłonili się pierwsi: Aloise i trzech jego ludzie z Morrisaey, uzbrojeni w topory i tarcze.

Kolumna potężniała. Czwórka Aloise'a urosła do czterdziestu mężczyzn. Po nich wyłoniła się kolejna czterdziestka. Znałem ich – ludzie z Morrisaey, Moulin Vieux, Sur le Gavre. Część na koniach, pozostali pieszo. Twarze surowe, milczące, dumne.

Poczułem, jak coś mnie ściska za gardło. Nie mogłem wydobyć głosu.

Maszerowali, szereg za szeregiem – ludzie, którzy nadal mi ufali. Którzy nie mieli nic do stracenia prócz własnej duszy.

Na końcu, na białym ogierze, związany jak worek jechał Baldwin, a tuż za nim jego kasztelan.

Nie wierzyłem własnym oczom!

–Wszyscy przybyli? Czterystu? – spytałem Aloise'a.

Pokręcił głową.

Czterystu czterech. – Wyszczrzył radośnie zęby.

Jeśli doliczyć wolnych murarzy.

–Doszliśmy do wniosku, że skoro nasze dusze i tak zostaną potępione, to nie mamy nic do stracenia – oświadczył Odo.

Serce omal nie wyskoczyło mi z piersi z dumy. Stałem, patrząc na rosnącą kolumnę, podbudowany wielkością ducha tych prostych ludzi. Niektórzy mnie pozdrawiali:

–Hej, dowódco, dobrze znów cię widzieć.

Inni po prostu kiwali głowami; wielu nie znałem nawet z nazwiska. Na końcu kolumny maszerowało czterech niechlujnych mężczyzn, nieśli biały sztandar z wymalowanym na nim okiem – godłem towarzystwa wolnych murarzy – budowniczych katedr.

„Dziękuję wam” – rzekłem do Odo i Georges'a, bezdźwięcznie, bo nie mogłem wydobyć z siebie głosu. Chciałem im powiedzieć, jak bardzo jestem z nich dumny – jak bardzo jestem dumny z nich wszystkich. Zamiast tego położyłem jedynie rękę na

barkach młynarza.

**–Myślę, że czas ruszyć do Boree – odezwał się Odo, wzruszając ramionami. Kiwnąłem głową, patrząc na maszerującą kolumnę. – Jeśli chcesz je zdobyć, to zamiast się rozklejać, lepiej obmyśl jakiś realny plan – dodał.**

## ROZDZIAŁ 127

Powtórzyło się to samo co podczas marszu na Treille: w każdej wsi, na każdym skrzyżowaniu dróg dołączali do nas nowi ludzie. Wieść o nas rozniosła się szeroko, co nas trochę onieśmiało.

Chłopi pracujący na polach, cieśle, pasterze ze swoimi trzodami – wszyscy gromadzili się przy drodze, chcąc ujrzeć związanego księcia Baldwina, wleczonego za błaznem.

–Jak możecie tak dalej postępować? – dziwili się. – Stephan sprawił, że wasze dusze są skazane na potępienie.

–Stało się – odpowiadaliśmy. – W tej sytuacji nie mamy nic do stracenia.

Znów maszerowałem na czele pochodu w obszarpanym stroju błazna, niosąc świętą włócznię, tym razem jednak moja armia była dobrze wyposażona. Mieliśmy prawdziwe miecze i świeżo wykute tarcze, zabrane żołnierzom Baldwina, wymalowane w zielono – czerwoną szachownicę, którą przyjęliśmy za naszli godło. Mieliśmy również kusze, katapulty – potrzebne przy oblężeniu – woły i zapasy żywności wystarczające do wykarmienia całej armii.

–Nie łudźcie się, że zdobędziecie Boree. – Śmiali się z nas. – Nawet w tysiąc ludzi nie dacie rady wziąć miasta.

–W Treille też tak myśleli – odpowiadał z rozdrażnieniem Odo.

–Wierzmy we włócznię – dodawał Alphonse. – Ona jest p – prawdziwsza niż klątwa biskupa.

Wbrew sceptykom rośliśmy w siłę. Bezustannie przybywało rekrutów. „Idę z wami. Skoro błazen prowadzi na postronku księcia, to znak, że nastały nowe czasy”. Młodzi i starzy klękali przed włócznią i dołączali do nas.

Zdawałem sobie jednak sprawę, że czekająca nas bitwa nie będzie tak łatwa jak poprzednia. Stephan nie pozwoli naszej łachmaniarskiej armii podejść bez przeszkód pod miasto. Miał większą i lepiej wyszkoloną armię niż Baldwin. Sam cieszył się sławą wytrawnego wojownika.

Poza tym nie znałem się na dowodzeniu armią. Jedyne doświadczenia wojennego nabyłem podczas krucjaty. Ani Odo, ani Georges, ani którykolwiek z moich ludzi nie znał się na taktyce. Byli rolnikami i drwałami. Znów zacząłem się obawiać, iż doprowadzę do rzezi niewinnych, którzy mi zaufali. Potrzebowałem dowódcy, lecz nie miałem pojęcia, skąd go wziąć.

Trzeciej nocy udałem się do miejsca, gdzie więziono Baldwina i jego ludzi. Książę spojrział na mnie hardo, lecz ja tylko potrząsnąłem głową i roześmiałem się.

Ukląknę przy Danielu Gui, jego kasztelanie. Był przystojny i zachowywał się godnie. Nie narzekał, że jest więziony, w przeciwieństwie do Baldwina, który klął i miotał groźby pod adresem każdego, kto na niego spojrział. Słyszałem o Gui jeszcze inne dobre rzeczy.

–Mam problem – powiedziałem, siadając przy nim na ziemi. Spojrzałem mu prosto w oczy jak mężczyzna mężczyźnie.

–Ty masz problem? – Kasztelan roześmiał się, pokazując mi więzy na rękach. – To co ja mam powiedzieć?

**–Zacznę od siebie. – Uśmiechnąłem się. – Dowodzę armią, ale niewiele wiem na temat prowadzenia dużych bitew.**

**–To ma być zagadka, błaznie? Jeśli tak, to zabawmy się.**

**Ja wiem, jak to się robi, ale nie mam armii.**

**Dałem mu łyk piwa.**

**–Wygląda na to, że się uzupełniamy, tylko jesteśmy po przeciwnych stronach. Ty dowodziłeś siłami księcia.**

**–Dowodziłem siłami Treille – poprawił mnie. – Moim zadaniem było dowodzić nimi podczas obrony miasta, a nie mordować niewinnych poddanych, do których jego książęca wysokość nie miał zaufania.**

**–Mimo to Treille i Baldwin to jedno. Próbowalesz rozdzielić te dwie rzeczy, ale ci się nie udało.**

**–Na tym polega mój problem. – Kasztelan uśmiechnął się. Pokazał mi przeguby. – W rezultacie mam na rękach więzy.**

**–Potrzebny mi dowódca wojskowy, kasztelanie. Nie zdobędę Boree sztuczkami jarmarcznymi.**

**Przez chwilę się zastanawiał. Wypił następny łyk piwa.**

**–Jeśli ci pomogę zdobyć miasto, to jaką z tego będę miał korzyść?**

**Uśmiechnąłem się.**

**–Przede wszystkim kłopoty z seniorem. Gui wyszczerzył zęby.**

**–Nie jestem pewny, czy w obecnej sytuacji będę mógł wrócić do niego na służbę.**

**Wiedziałem, że Baldwin traktował go jak chłopca do bicia.**

**–Będziesz miał szansę – odpowiedziałem na jego pytanie. – Taką samą jak my wszyscy. Wywalczyć pokój, wrócić do domu i żyć jako wolny człowiek.**

**–Widzę pewną ironię sytuacji. – Kasztelan zachichotał. – Potrafiłeś zająć mój zamek i założyć kajdany mojemu panu. Jak na człowieka w błazeńskim kostiumie nie wydajesz się złym żołnierzem.**

**–Byłem w Antiochii i w Civetot – odparłem. – Podczas krucjaty...**

**Kiwał głową, namyślając się.**

**–Zatem pomożesz nam? Wiem, że to wymagałoby złamania przysięgi danej Baldwinowi. Twoja kariera mogłaby z tego powodu ucierpieć. Ale jak na heretyków, rebeliantów i błaznów nie jesteśmy złą ferajną.**

**Daniel westchnął głęboko i uśmiechnął się.**

**–Myślę, że będę do was pasował.**



## ROZDZIAŁ 128

Następnego dnia wyszliśmy z lasów. Dalszą drogę przegradzała nam rzeka, lecz bliżej zobaczyliśmy przerażający obraz.

Na wzniesieniu oczekiwała nas złowieszczo wyglądająca horda wojowników. Było ich około trzystu.

Nie nosili niczyich barw, byli odziani w niewyprawione skóry i wysokie buty. W południowym słońcu połyskiwały ich miecze i tarcze. Byli długowłosi i brudni. Obserwowali nas bez szczególnego niepokoju. Wyglądali na gotowych do walki.

Ogarnął nas strach. Barbarzyńcy stali w miejscu, patrząc, jak wyłaniamy się z lasu. Sprawiali wrażenie, jakby walka była dla nich chlebem powszednim.

Zagrały rogi. Konie zarżały i stanęły dęba. Kilka wozów się wywróciło. Spodziewałem się, że lada moment zaszarżują.

Kazałem kolumnie stanąć. Horda na wysokim brzegu zachowywała się nerwowo. Do diabła, czyżbyśmy wpadli w zasadzkę!

Odo i Daniel przybiegli do mnie. Jeszcze nigdy nie widziałem Odoną tak przestraszonego.

–Gardlują jak Sasi – mruknął. – Te psie syny są bardziej skąpe niż gówno. Słyszałem, że żyją w jaskiniach i kiedy nie ma jedzenia, pożerają własne dzieci.

–To nie są Sasi. – Daniel potrząsnął głową. – To Langwedoci. Górale z południa. Ale mówią o nich, że zjadają własne dzieci, nawet gdy plony są dobre.

Przeszły mnie ciarki, kiedy to sobie wyobraziłem.

–Mogą stać po stronie Stephana? – spytałem.

–Prawdopodobnie. – Wzruszył ramionami. Patrzyliśmy jak nas obserwują, nie wykazując niepokoju naszą przeważającą liczebnością. – Najemnicy. Już ich kiedyś używał.

–Rozwiń szereg wzdłuż rozpadliny – rozkazałem. Zależało mi na tym, żeby dać pokaz siły. Niebezpieczeństwo pojawiło się całkiem znienacka. – Włócznie na przód, na wypadek szarży.

–Konni niech będą w rezerwie – rzekł Daniel. – Jeśli te sukinsyny nas zaatakują, zrobią to pieszo. Dla Langwedotów konna szarża jest dowodem tchórzostwa.

Ludzie ustawili się w szyku. Staliśmy z bijącym sercem, pod osłoną tarcz. Na przedpolu było spokojnie.

–Dzień w sam raz na spotkanie ze Stwórcą. – Odo pogładził swój młot. – Jeśli jeszcze chcesz mnie słyszeć, Boże.

Nagle zaobserwowaliśmy w szeregach Langwedotów ruch, Przygotować się! Ścisnąłem włócznie.

Dwaj jeźdźcy oddzielili się od grupy i pogalopowali ku nam.

–Chcą rozmawiać – oznajmił Daniel.

–Pojadę im naprzeciw – powiedziałem. – Trzymaj ją. – Oddałem włócznie Odonowi.

–Jadę z tobą – rzekł Daniel.

Pogalopowaliśmy w kierunku górali. Dwaj Langwedoci zatrzymali się pośrodku między naszymi armiami i obojętnie patrzyli, jak się do nich zbliżamy. Jeden z nich

był potężny jak wół, drugi szczuplejszy, za to wygląd miał wredny. Przez chwilę nikt się nie odzywał. Okrażaliśmy się wzajemnie, mierząc się wzrokiem.

W końcu Wół wybełkotał kilka słów w gwarze, którą z trudem zrozumiałem.

–Ty jesteś Hugues? Błazen z włócznią?

–Tak – odpowiedziałem.

–Więc to ty jesteś tym małym wypierdkiem, który zbuntował wieśniaków i poddanych przeciw ich panom? – warknął drugi.

–Zbuntowaliśmy się przeciw mordowaniu nas i ciemieniu – odparłem.

Wół zarżał ze śmiechu.

–Wcale nie jesteś wielki. Powiedziano nam, że masz cztery łokcie wzrostu.

–Kiedy zaczniemy walczyć, to do tyłu urosnę – powiedziałem. Langwedoci oglądali mnie od stóp do głów, ale ich intencji nie mogłem odczytać. Potem popatrzyli po sobie i wybuchnęli śmiechem. –Walczyć z tobą? – zachichotał większy. – Przybyliśmy przyłączyć się do ciebie. Słyszeliśmy, że masz zamiar wyprawić się na Treille. Nienawidzimy tego bydlaka Baldwina.

Jesteśmy wrogami Treille od dwustu lat. Popatrzyłem na Daniela. Uśmiechnęliśmy się. – Miło nam to słyszeć, ale spóźniliście się. Zdobyliśmy już Treille. Teraz maszerujemy na Boree. – Na Boree? – powtórzył szczuplejszy. – Masz na myśli tego bydlaka Stephana? Skinąłem głową. – Zgadłeś. Langwedoci zbliżyli się do siebie i przez chwilę rozmawiali. Ledwie rozumiałem ich gwarę. Potem Wół spojrzał na mnie i rzekł: – Zgoda, idziemy z wami na Boree. Podniósł miecz. Jego ludzie powtórzyli gest. Wiwatowali i wznosili okrzyki radości, potrząsając mieczami i oszczepami. – Masz szczęście. – Wół wyszczerzył zęby. – Wrogami Boree jesteśmy od trzystu lat.

## ROZDZIAŁ 129

Anne wpadła jak burza do garderoby Stephana. Siedział na krześle i obierał jabłko, a Annabelle, dama dworu, z zapamiętaniem pracowała ustami nad jego przyrodzeniem.

Widząc Anne, zakrztusiła się. Skoczyła na równe nogi, naciągając mu gorączkowo rajtuzy, jakby chciała ukryć dowód winy. Stephan podniósł głowę. Nie wyglądał na zbitego z tropu.

–Nie przejmuj się, Annabelle. – Anne westchnęła. – Kiedy księżę usłyszy wiadomość, którą przynoszę, obie się ubawimy, obserwując, do jakich rozmiarów skurczy się jego męskość.

Dama wygładziła zwichrzone pukle włosów, dygnęła i uciekła z komnaty.

–To moja prywatna komnata, a nie twoja – rzekł Stephan, podciągając się na krześle. – Nie odgrywaj urażonej, droga żono, bo musiałaś wiedzieć, co się tu odbywa.

–Nie odgrywam urażonej. – Anne spojrzała nań ostro. – Żałuję tylko, że przerwałam twoje pilne obowiązki.

–Skoro już jesteś – Stephan podniósł się z krzesła – zdradź mi, z czym przychodzisz?

–Przybył posłaniec z Sardoney. Przyniósł informację, że twój błazen maszeruje na Boree. Ma ze sobą włóczęgę. Będzie tu za dwa dni.

–Więc to jest ta wieść, która miała mnie zmiękczyć? – Stephan ziewnął, po czym ugryzł jabłko. – Że ten kiepski trefniś idzie do nas? Czemu miałby stanowić dla mnie większy problem niż zjedzenie kawałka owocu? Ale chodź do mnie – powiedział, patrząc na wybrzuszenie w swoich rajtuzach. – Korzystaj, póki stół zastawiony. Zaprzęgnijmy gronostaja do pracy.

Anne stanęła za nim i pogłaskała go po piersi, choć ten udawany gest czułości był dla niej równie odrażający, jakby pocałowała węża. Nachyliła się do jego ucha i szepnęła:

–To nie błazen będzie dla ciebie problemem, mój mężu – popieściła rękami jego podbrzusze, w pobliżu członka – tylko ten tysiąc ludzi, który za nim podąża.

–Co? – Stephan obrócił się na krześle. Skrzywił się z niedowierzaniem.

–No i co? Gronostaj schował się w swojej jamce? – Anne się zaśmiała. – Tak, mój księżę. Idzie z nim cała armia, większa niż poprzednio. Armia heretyków – dzięki tobie. A dzięki Baldwinowi w pełni uzbrojona.

Rozwścieczony Stephan zerwał się z krzesła.

–Niemożliwe! Przyłączając się do niego, skazują dusze na wieczne potępienie.

–Nie, mężu, to twoja dusza będzie potępiona.

–Wynoś się. – Uderzył Anne w twarz tak silnie, że upadła na podłogę. – Jeśli troszczysz się o los tej smarkuli, którą nazywasz kuzynką, to nie kpij ze mnie więcej.

Dźwignęła się na rękach.

–Jeżeli zrobisz jej krzywdę...

Stephan patrzył przez nią jak przez szkło. Zbliżył się, jakby chciał ją powtórnie uderzyć. Nie zasłoniła się. Jego twarz nabrała normalnego koloru, rozluźnił się, po

**czym ukląwszy przy niej, ujął w dłoń drżący podbródek Anne.**

**–Czemu miałbym ją skrzywdzić, moja droga żono? Ona jest częścią ciebie. –  
Wstał i wygładził kaftan; żyły na jego czole przestały być nabrzmiące. – Aresztowałem  
ją dla jej własnego bezpieczeństwa. Nawet tu, w zamku, kręcą się nie – bezpieczni  
spiskowcy, którzy planują nas zniszczyć. Nie słyszałaś o tym?**

## ROZDZIAŁ 130

–Patrzcie. – Ludzie zaczęli coś sobie pokazywać. – Tam na wzgórzu. To Boree! Z pofalowanego terenu usianego zagrodami i winnicami strzelały w niebo białe wieże z wapienia, pokryte lazurowymi dachami. Widać było fasadę słynnej katedry i zamek z niebotycznymi donżonami. Tam niegdyś mieszkałem i tam teraz przebywała Emilie.

W miarę jak się zbliżaliśmy, rosła euforia.

–Wezmę Stephana w jedną rękę, a jego największą kurę w drugą i będę tak długo przyciskał ich do siebie, aż zniosą jajka – odgrażał się jeden z chłopów.

Moja nowa armia rozciągała się prawie na milę. Ludzie mieli na sobie najprzeróżniejsze stroje. Krawcy, drwale i chłopci własne, prócz tego kolczugi i hełmy odebrane zbrojnym Baldwinem. Nieśli włócznie, maczugi i łuki. Część mówiła innymi dialektami.

Kolumna składała się z ludzi i koni, wozów ciągniętych przez potężne woły, katapult, mangoneli i potężnych trebuszów do miotania olbrzymich głazów.

Wszystko razem wznosiło chmurę kurzu, która przysłaniała słońce.

Jednak przechwałki i wyzwiska zaczęły cichnąć, w miarę jak zbliżaliśmy się do Boree. To już nie było mrówcze gniazdo na pustkowiu z kabotyńskim księciem, który nie miał zamiaru pobrudzić sobie rąk walką. Boree było największym miastem, jakie większość nas kiedykolwiek widziała. Musieliśmy je zdobyć!

Chroniły je pierścienie murów, bronionych przez kuszników i łuczników. Liczba rycerzy – na ogół rozzuchwalonych krwawymi zwycięstwami podczas krucjaty – dwukrotnie przewyższała liczbę naszych żołnierzy. Im bliżej podchodziliśmy, tym groźniejsze wydawały się mury.

Wiedziałem, że wszystkich gnębi taka sama myśl: Wielu z nas tu polegnie.

Gospodarstwa wokół miasta były pozamykane i opuszczone, zabrano również zwierzęta. W niebo biły słupy dymu z podpalonych stogów siana i wozów ze zbożem:

Stephan nie zostawił nam ani odrobiny żywności czy kwater. Przygotowywał się do oblężenia.

Ludzie, których mijaliśmy, nie wiwatowali na naszą cześć jak na przedmieściach Treille. Na nasz widok soplali albo odwracali wzrok.

–Wracajcie do domu, heretycy i buntownicy. Jesteście wyklęci!

–Zobaczcie, coście na nas sprowadzili – zawodziła kobieta posilająca się odpadkami. – Idźcie dalej, komitet powitalny na was czeka.

Komitet powitalny...? Co miała na myśli?

Kiedy zbliżaliśmy się do miasta, ludzie maszerujący z przodu zaczęli sobie pokazywać coś, co wyglądało jak rząd krzyży. Kilku wyrwało się z szeregów i pobiegło naprzód.

Gdy znaleźli się blisko, na ich twarzach pojawiło się przerażenie. Ci sami, którzy jeszcze przed chwilą licytowali się, co zrobią, kiedy dotrą do miasta, raptem zamilkli.

Komitet powitalny.

To nie były krzyże, lecz ludzie. Nawleczeni na długie pale, niektórzy jeszcze żywi, bełkoczący, poruszający bezsilnie kończynami. Część nadziana przez odbyty, inni

jeszcze okrutniej: do góry nogami. Mężczyźni, młodzi i starzy, chłopci, kupcy – wszyscy zwyczajnie odziani. Kobiety także: rozebrane do naga jak ładacznicze, jęczące, walczące o łyk powietrza, z oczami zasnutymi mgłą agonii. W sumie trzydzieścioro.

–Zdejmijcie ich – krzyknąłem. Serce we mnie zamarło jak kiedyś w Civetot albo po przybyciu do przeklętego St.

Cecile. Komu ci biedni ludzie zawinili? Jechałem wzdłuż szpaleru, zmuszając się do patrzenia na makabryczne sceny. Nagle zatrzymałem się przy jednym z ciał.

Zbladłem jak ściana, zamknąłem oczy.

To była Elena, służąca Emilie.

Zeskoczyłem z konia i zacząłem rąbać mieczem pal, dopóki nie zaczął się przechylać, po czym delikatnie położyłem ją na ziemi.

Objąłem rękami jej głowę i patrzyłem na pokaleczoną, jasną twarz, wyczierającą spod pasm zakrwawionych włosów. Była w podartych brudnych szmatach... zbezczeszczona jak morderczyni. Biedaczka niczym nie zawiniła, tylko służyła swój ej pani.

Poczułem w piersi przeszywające ukłucie gniewu. Jeśli tak postąpiono z Eleną, to co spotkało Emilie?

Jaką przestroagę kierował do mnie ten potwór?

Przestałem oddychać. Odwróciwszy się do mężczyzny stojącego za mną, powiedziałem: Ją też pochowajcie.

## ROZDZIAŁ 131

Nieco dalej natknęliśmy się na kamienny most, przerzucony przez rzekę na granicy miasta.

Strzegła go wieża. Kazałem ludziom zatrzymać się w odległości około sześćdziesięciu kroków. Na moście czekało na nas trzech lub czterech konnych rycerzy Stephana w zielono – złotych barwach księcia. Pierwszy kontakt z wrogiem.

Zaczęli się z nas naśmiewać, podając w wątpliwość rozmiary naszego przyrodzenia.

–Nazywasz tych buntowników armią? – zawołał jeden z nich. Podniósł nogę jak siusiający pies. – To banda wieśniaków, którzy nie odróżniają walki od pierdzenia. – Chcą nas zwabić – ostrzegł Daniel. – Nie dajmy się sprowokować.

Uciekną, kiedy ruszymy ławą naprzód. Kilku moich ludzi pod wpływem makabrycznej sceny, którą zobaczyli, zignorowało jego ostrzeżenie i z maczugami i mieczami w ręku pobiegło ku szydercom. Kiedy znaleźli się w odległości około dwudziestu kroków, na wieży pojawili się kusznicy. Świsnął grad bełtów. Czterech spośród naszych złapało się za piersi i upadło na ziemię. Pozostali cofnęli się poza zasięg rażenia.

–Chcą walki, t – to będą ją m – mieli! – usłyszałem z tyłu okrzyk Alphonse'a.

–Nie – zawołałem – nie możemy tracić ludzi. Jednak mimo mojego sprzeciwu on i jego grupa pobiegli odważnie ku wieży.

Z góry sypały się pociski, bębniąc o tarcze. Padł jeszcze jeden, trafiony w udo. W odpowiedzi nasi łucznicy wysłali w stronę wieży chmurę płonących strzał. Atakujący zostali przygwożdżeni do ziemi. Kulili się drewnianymi tarczami. Ujrzałem, jak Alphonse podbiegł do rannego i wyciągnął go poza zasięg pocisków. Potem jedna z naszych strzał trafiła w drewniany dach wieży, strażniczej.

Płomień rozprzestrzenił się szybko, powodując panikę wśród kuszników. Nasi ludzie wydali okrzyk triumfu. Nieprzyjacielscy strzelcy zniknęli w jednej chwili. Zobaczyliśmy ich na dole, jak uciekali z ciężkimi kuszami w stronę murów.

Nasi, pod wodzą Alphonse'a, siedzieli im na karku.

Z początku trafili na opór konnych, którzy dzielnie walczyli lecz stanowili mniejszość. Rycerze Stephana zostali ściągnięci z siodła i rozbici na miazgę maczugami i mieczami. Kilku naszych popędziło za uciekającymi kusznikami i dogoniło ich w dolinie rzeki. Jeden z kuszników ukląkł i składał się do strzału, gdy Alphonse skoczył i roztrzaskał mu głowę maczugą.

Kusznicy zostali wybici do nogi i porąbani na kawałki. Wśród obserwatorów zabrzmiały okrzyki triumfu i wiwaty. Oddział ratowniczy, wysłany po rannych i zabitych, wrócił, trzymając nad głowami zdobyczną broń.

To była pierwsza potyczka, która ukazała Stephanowi, iż przybyliśmy po to, żeby z nim walczyć.

Minął mnie Alphonse, który wrzucił zdobyczną kuszę na wóz z prowiantem. Kamień spadł mi z serca, kiedy wrócił bezpiecznie, lecz choć powstrzymałem się od upomnienia go za niesubordynację, musiał poznać, że byłem zły. Czterech naszych ludzi zginęło.

**Zrobił skruszoną minę.**

**–Ciekaw jestem, co teraz powiedzą. Potrafimy odróżnić walkę od pierdzenia, prawda? – Mrugnął do mnie.**



## ROZDZIAŁ 132

Emilie podciągnęła okrycie, chcąc się rozgrzać. Ostatnie dni spędziła w więzieniu – w ciemnej, pełnej przeciągów wieży. Wąska szczelina okienna wysoko w ścianie ledwie przepuszczała do środka odrobinę światła. Nie wiedziała, czy jest dzień, czy noc.

W ciągu ostatnich godzin słyszała maszerujące oddziały i dudnienie ciężkich wozów, przetaczanych w stronę murów. Coś się działo. Serce podpowiadało jej, że to ma związek z Hugues'em.

Na stole obok stał dzbanek z wodą do picia, talerz naruszonej stawy, kilka haftów, jednak nie miała chęci jeść ani tym bardziej haftować.

Stephan był jak wściekły pies, dyszący żądzą zemsty. Uwięził ją bez żadnego powodu. Honor i sprawiedliwość nie miały dla niego znaczenia.

Jednak tym, co ją najbardziej gnębiło, co nie pozwalało jej zasnąć w czasie długich, samotnych nocy, był niepokój o Hugues'a.

Hugues... Stephan nie ośmieliłby się jej tknąć, natomiast dyszał żądzą zabicia Hugues'a z okrucieństwem dziecka wrywającego skrzydełka muchom. Teraz zgromadził przeciw niemu swoją armię, straszliwych Tafurów, łuczników i śmiercionośne maszyny wojenne.

– Nie przychodź – modliła się, próbując przespać się choć trochę. – Proszę cię, Hugues... nie przychodź.

Dzisiejszy dzień był jednak inny. Dalekie hałasy, ostre komendy na dziedzińca łoskot wielkich machin przetaczanych z miejsca na miejsce...

Machiny wojenne!

Emilie zrzuciła z siebie przykrycie. Musiała się dowiedzieć, co się działo.

Wzmogły się odgłosy zewnętrznej aktywności. Tętent koni, okrzyki, bezustanny stukot młotów o drewno. Przygotowania do oblężenia.

Przyciągnęła stół pod wysokie okienko, następnie postawiła na nim ławkę. Jako dziecko bawiła się z chłopcami w „króla góry”. Utrzymując równowagę na ławce, wspięła się na palce i wyciągnęła szyję, starając się wyrzeć ponad wąskim parapetem.

Na wewnętrznych murach Boree panował ożywiony ruch. Wszędzie kręcili się żołnierze w hełmach i zielono – złotych kaftanach.

Spojrzała dalej. Widok za murami zatkał jej dech w piersiach – zobaczyła morze ludzi, rozciągające się aż po horyzont w wieśniaczych strojach, z bronią, zwierzętami pociągowym i katapultami. Zrobiło jej się lekko na sercu.

Cała armia! Edykt Stephana nie poskutkował! Radość spowodowała, że zaczęła się nieopanowanie śmiać. Wyglądało na to, że wszyscy, którzy kiedykolwiek przyłączyli się do Hugues'a, przyszli pod Boree. Wszyscy mężczyźni z puszczy!

W tym momencie jej wzrok przykuło coś innego. Wspięła się jeszcze wyżej.

Ogniście ruda czupryna człowieka stojącego osobno przed czołem oddziałów. Czyżby jej się przywidziało? Nie!

Serce niemal wyskoczyło jej z piersi. Miała ochotę krzyknąć doń z całej mocy, lecz wiedziała, że dzieli ich zbyt duża Odległość. Za to piszczała z radości, chichotała i

**machała doń ręką przez okienko, choć nie mógł tego widzieć.**

**Ubrany w ten sam kostium, który dlań uszyła, stał, patrząc W jej stronę, jakby dokładnie wiedział, gdzie ją uwięziono.**

## ROZDZIAŁ 133

Następnego ranka, pod czujną obserwacją ze strony ludzi Stephana, przesunęliśmy do przodu nasze maszyny oblężnicze.

Mangonele z odciągniętymi koszami, za nimi wozy wypełnione ogromnymi głazami, potężne tarany, wyciosane z pni drzewnych, i stosy drabin.

Rozpoczęliśmy budowanie drewnianych wież wysokości zewnętrznych murów, a także mniejszych platform, zwanych „kotami”, pokrytych wilgotnymi, świeżo zdartymi skórami zwierzęcymi dla osłony atakujących przed strumieniami wrzącej smoły.

Omawiałem z Danielem w jego namiocie plan oblężenia, gdy posłyszałem okrzyki. Wszedłem na zewnątrz i zobaczyłem, że wszyscy biegną po broń, pokazując opuszczający się most zwodzony. To było to! Zapewne lada moment wypadnie z niego oddział rycerzy w zielono – złotych barwach Stephana.

Kiedy krata się uniosła, z bramy wyjechali konno dwaj księża, niosący sztandar Kościoła.

Chwilę później ukazał się Bertrand Morais, kasztelan Stephana, a za nim rycerz na białym rumaku, w pełnym rynsztunku bojowym. Jechał z takim majestatem, jakby sama jego obecność miała rzucić wszystkich na kolana.

Stephan we własnej osobie.

## ROZDZIAŁ 134

–Chce rozmawiać – powiedział Daniel. – Wziął z sobą księży jako parlamentariuszy.

–Raczej zamierza cię wciągnąć w pułapkę – rzekł Odo. Nie bądź głupkiem. Nie mogłem się doczekać, kiedy stanę oko w oko z tym sukinsynem.

–Nie zapominaj, że jestem zawodowym głupkiem – powiedziałem, nakładając na głowę czapkę z dzwoneczkami.

Pospieszyłem na przednią linię, odszukałem mojego konia i posłałem po ojca Leo.

–Jedź ze mną. Masz szansę porozmawiać jak równy z równym z najwyższymi dostojnikami kościelnymi w Boree.

Przyprowadzono mu konia. – A ty, Danielu? – Poklepałem go po plecach. – Nie chciałbyś zobaczyć księcia sikającego w spodnie?

Wsiedliśmy na konie i wyjechaliśmy do połowy nierównego bezpańskiego terenu, dzielącego nasze obozowisko od Boree.

Stephan czekał, aż znajdziemy się w połowie dystansu, po czym, oceniwszy odległość od naszych łuczników, pokłusował na spotkanie ze mną. Widok gada przyprawił mnie o przyspieszone bicie serca, natomiast jego prezencja przejęła mnie zimnym dreszczem. Nie miał na głowie hełmu; kruczoczarne włosy opadały mu w tłustych strąkach na ramiona. Misterna kolczuga była na piersi przyozdobiona godłem smoka. Na rękach miał nabijane ćwiekami rękawice z szerokimi osłonami, a u pasa ciężki miecz, jakim posługiwali się krzyżowcy.

Podjechawszy do nas, nie zatrzymał konia. Zataczał kręgi, przenosząc kilkakrotnie wzrok ze mnie na włócznię. Jednak po chwili ściągnął wodze.

Uśmiechnął się przyjaźnie.

–Zatem to ty jesteś owym tchórzliwym dezenterem, który w imię herezji buntuje ludzi przeciw ich panom.

–A ty jesteś sukinsynem – odparłem sucho – który zabił moją żonę i dziecko. Z całym szacunkiem. – Ukłoniłem się księżom.

–Szkoda by było, gdyby podobny los spotkał kogoś, kto jest ci równie drogi – powiedział Stephan.

Wściekłość chwyciła mnie za gardło.

–Jeśli spotka ją jakaś krzywda, trzeba ci będzie czegoś więcej niż towarzystwa księży, żebyś ocalał. Panna Emilie wróciła tu z własnej woli, powodowana lojalnością i troską o swoją panią. Nie jest w konflikcie z tobą.

–A ty jesteś? Błazen, buntownik, heretyk... Jak mam do ciebie mówić?

–Możesz do mnie mówić: Hugues – odparłem, patrząc w jego zimne, aroganckie oczy. – Nazywam się Hugues de Luc. Moja żona miała na imię Sophie. Mój syn, który nie przeżył nawet roku, miał na imię Philippe.

–Jesteśmy zaszczyceni, iż zapoznałeś nas ze swoim drzewem genealogicznym, ale teraz powiedz nam, czego tu właściwie szukasz, Hugues?

–Czego tu szukam? – Miałem chęć ściągnąć go z konia rozstrzygnąć sprawę w bezpośrednim pojedynku, jeden na jednego. Podjechałem doń bliżej.

–Chcę, żebyś się przyznał do zbrodni, które popełniłeś. Chcę rekompensaty wypłaconej rodzinom za każdego mężczyznę, kobietę i dziecko, których zabiłeś w pogoni za tym. – Potrząsnąłem włócznią. – Chcę, żebyś natychmiast przysłał tu Emilie.

Książę spojrział na towarzyszących mu księży, jakby z trudem powstrzymywał się od śmiechu.

–Mówiono mi, że potrafisz rozśmieszać ludzi. Teraz sam się o tym przekonałem.

Traktujesz księcia jak poganiacza mułów. Chowasz się za rzekomą relikwią, narażając na potępienie dusze tysięcy swoich zwolenników.

–Ci ludzie są tu z własnej woli – odparłem. – Wątpię, czy wróciliby do domu, nawet gdybym tego zażądał.

–Czy dobro ich dusz nie ma dla nich znaczenia? – spytał jeden z księży.

–Nie wiem. Sprawdźmy. – Odwróciłem się ku ludziom. – Wracajcie do domu.

Złóżcie broń. Wszyscy! Koniec walki. Książę obiecał was oszczędzić.

Moje słowa słyhać było na całym polu, lecz nikt się nie ruszył. Odwróciłem się z powrotem do księdza i wzruszyłem ramionami.

–A gdybym ci powiedział, że panna Emilie też tu jest z własnej woli? – warknął Stephan. – Że chce zostać tam, gdzie jest?

–Nazwałbym cię kłamcą. Albo beznadziejnym głupcem.

–Znów marnujesz cenny czas na żarty – rzekł Stephan. – Mój dawny kasztelan powie ci, że czeka was krwawa łaźnia.

–Jesteśmy przygotowani, książę. Jeśli dojdzie do bitwy, to z twojej winy.

Stephan uśmiechnął się.

–Wiedz, że ja nie będę tak pobłażliwy wobec ciebie jak ten idiota Baldwin.

Widziałeś, jaki los spotkał niektóre wioski i ludzi, których posądzalem, iż mają to,

czego pragnąłem. Nie spodziewaj się lepszego losu, błażnie. Dopilnuję, żeby ci wypalono serce – jako zdrajcy. Zostaniesz powieszony głową w dół, jak to się robi z heretykami... wy wszyscy... a wnętrzności będą wam spływały po twarzach na ziemię. Nawet Bóg odwróci oczy, nie mogąc na to patrzeć!

–Co o tym myślisz, Danielu? – Spojrzałem z uśmiechem na kasztelana. –

Zapamiętajmy, żeby się najeść przed bitwą, bo inaczej księżę będzie rozczarowany.

Stephanowi zniknął uśmiech z twarzy, po czym spojrzał na włócznie.

–Jeśli wrócę z nią, unikniecie tego wszystkiego, co wam obiecałem. Będziesz mógł zabrać z sobą tę małą dziwkę i pojechać z nią choćby na koniec świata. Co do ludzi, to sam zadbam o odkupienie ich dusz.

–Kusząca propozycja – odpowiedziałem, udając, że przez moment się zastanawiam.

Kłopot w tym, że moi ludzie nie przybyli tu, by odbić Emilie, lecz jedynie po to, aby twoje przestępstwa zostały sprawiedliwie osądzone. Żądają rekompensaty za twoje zbrodnie. Chcą zobaczyć, jak zginasz kark.

Dopiero wtedy oddam ci włócznie. Taka jest moja propozycja. A co do naszego zbawienia, to – z całym szacunkiem dla biskupa – zaryzykujemy.

–Mógłbym ci ją po prostu odebrać. Wystarczy, że skinę głową, a moi łucznicy naszpikują cię strzałami tak, że będziesz wyglądał jak jeź.

–Moi zrobią to samo z tobą. Czubek nosa Stephana lekko zadrgał.

–Chyba nie sądzisz, że zszargałbym swoje imię nawet za cały stos takich włóczy?

–To by ci nie przyszło trudno – powiedziałem, podtykając mu pod nos włócznie skoro już je tak zszargałeś, żeby się znaleźć blisko niej.

Stephan szarpnął cugle, aż jego koń stanął dęba. Uśmiechnął się.

–Już wiem, za co na moim dworze tak cię polubili. Przygotuj się, błażnie.

Odpowiem ci w ciągu godziny. – Zawrócił konia i pogalopował w stronę bramy.

## ROZDZIAŁ 135

Nasza armia, rozciągnięta w odległości dwustu kroków od wysokich murów twierdzy, czekała na rozpoczęcie bitwy.

Łucznicy napinali łuki i moczyli w płonącym oleju groty strzał. Piesi żołnierze, trzymając drabiny tak jak krzyże, spoglądali w górę na milczącą linię zielono – złotych obrońców.

Tysiąc ludzi – z bronią w pogotowiu – odmawiało modlitwę, czekało na mój znak.

–O czym teraz myślisz? – zapytał Odo. Westchnąłem.

–O tym, że Emilie jest po drugiej stronie... A ty?

–Że to są najpotężniejsze mury, jakie kiedykolwiek widziałem. – Wzruszył ramionami.

Patrzyłem na imponującą główną bramę, czekając na odpowiedź Stephana. Z lewej miałem Odonę, po prawej Georges'a, Daniela i Alphonse'a. Panowało takie napięcie, jakby grały bębny wojenne.

Rozmieszczeni na murach obrońcy również czekali, wycelowawszy w nas kusze. Nad całym terenem panowała martwa cisza, tylko w dali słychać było ćwierkanie ptactwa. Nie obrzucano się wyzwiskami ani nie szydzono z przeciwnika. Lada moment ów spokój miał pęknąć jak szkło pod uderzeniem maczugi.

Odo, trzymający w ręku ogromną pikę, pochylił ku mnie głowę.

–Jeden z Langwedotów opowiedział mi dowcip. Chcesz posłuchać?

Patrzyłem z napięciem na bramę.

–Jeśli muszę...

–Co to jest: owłosione u dołu sterczy wyprostowane, ma czerwonawą skórkę i wywołuje łzy nawet u zakonnic?

Rozejrzałem się po naszych liniach. Wszyscy byli przygotowani.

–Nie wiem.

Potężny kowal pokręcił głową.

–Nie wiesz? Marny z ciebie błazen. Dziwię się sobie, że nadal zawierzam ci swoje życie.

–Możesz być spokojny... – Przekrzywiłem głowę tak jak on. – Cebula.

Odo jęknął.

–Zatem znasz go. – Wokół nas rozległ się chichot. Odo szturchnął mnie w bok. – Mój chłopak.

Raptem zza murów dobiegł nas dźwięk ciężkiej katapulty, po którym wystrzeliło w niebo coś czarnego. Wśród ludzi przeszedł szmer, pokazywano sobie nadlatujący pocisk.

–Chowajcie się! – ktoś zawołał.

Pocisk uderzył w ziemię przed pierwszą linią, po czym potoczył się i zatrzymał kilka kroków od miejsca, w którym stałem. Poczulem mdłości.

Przedmiot miał ludzkie kształty: włosy, nadpalone i zwęglone, i okrągłe, zdziwione oczy, wyłażące z oczodołów.

Wydałem okrzyk zgrozy.

Twarz jakby patrzyła na mnie. Była szelmowska i dumna. W oczach tliła się

**zuchwałość nawet w momencie śmierci.**

**Norbert!**

**Oczy błazna patrzyły na mnie tak samo jak pierwszego dnia, gdy Emilie zaprowadziła mnie do jego izby. Niemal czekałem, żeby do mnie mrugnął i szepnął: „Daleś się nabrać, chłopcze? To jest twój najlepszy numer...? Popatrz teraz na to! „.**

**Wyrwałem się z szeregu i ukląknę przy szczątkach. W uszach miałem ogłuszające dzwony. Przez głowę przebiegały mi zdarzenia, które się rozegrały od czasu, gdy opuściłem dom.**

**Dzwony stopniowo ucichły. Podniosłem świętą włócznię i chyba dopiero teraz w nią uwierzyłem. Spojrzałem na ludzi, którzy w swojej chęci walki przypominali narowiste konie nienawykłe do uzdy.**

**–Wasza wolność jest za tymi murami. Naprzód! – krzyknąłem. – Do ataku!**

**Mój okrzyk utonął w ryku tysiąca ludzi, biegnących w stronę murów twierdzy.**

## ROZDZIAŁ 136

Pierwszym odgłosem walki było stęknienie mangoneli. Ogromny głaz wzbił się wysoko w niebo, po czym uderzył z ogłuszającym łoskotem w mur nad główną bramą.

Kawałki kamieni, iskry i ziemia poleciały na wszystkie strony, lecz gdy chmura kurzu opadła, okazało się, że mur nie ucierpiał.

Następny kamień wyleciał w powietrze, po nim jeszcze jeden. Oba trafiły w stanowiska obrońców na murach, miażdżąc ciała i rozbijając parapety, jakby były zbudowane ze śmieci. Po nich posypała się chmura płonących strzał. Niektóre utkwily w drewnianych elementach parapetów, wzniecając małe ogniska, pozostałe odbiły się od ścian i spadły na ziemię, nie czyniąc szkód. Potem znów odezwały się mangonele, tym razem nadlatywał ładunek płonącej smoły. Obrońcy starali się robić uniki. Niektórym się nie udało: krzyczeli z bólu, tłukąc się rękami po oparzonych miejscach. Inni biegali z wiadrami i gasili ogień. W powietrzu unosił się swąd smoły i spalonego ciała. Podniosłem rękę.

–Naprzód, żołnierze. Wasza przyszłość jest za tymi murami. Atakujcie!

Ruszyliśmy. Gigantyczna fala stali, włóczni, drabin. Osiemdziesiąt kroków. W miarę jak się zbliżaliśmy, mur rósł. Sześćdziesiąt kroków...

Widać już było twarze obrońców – przygotowanych na nasz atak, nieruchomych, czekających, aż podejmiemy bliżej. Pięćdziesiąt kroków... Nagle z murów padł rozkaz Teraz Ognia!

Z góry świsnął grad strzał. Trafieni zatrzymywali się – strzały przebijały na wylot szyje i piersi – ręce rozpaczliwie zaciskały się na wystających grotach.

Ryk atakujących zmienił się w milczące przerażenie, przerywane jękami i śmiertelnymi okrzykami: „Ach... Ach... Ach... ”.

Potknąłem się o wijącego się z bólu Langwedota; strzała przebiła mu kolano. Po lewej człowiek w skórze pasterza ścisnął oburącz strzałę, która przeszła mu oba policzki. Ludzie padali na kolana, wyjąc z bólu, modląc się albo robiąc jedno i drugie.

–Nie zatrzymujcie się! – krzyknął Daniel. – Chowajcie się za tarczami. Musicie wspiąć się na mury.

Linia uderzenia posuwała się naprzód, choć już wolniej. Ujrzałem w pierwszym szeregu Odoną, Daniela i Georges'a. Jeszcze dwadzieścia kroków.

Obrońcy stanęli na krawędzi murów i strzelali do nas. W odpowiedzi rzucaliśmy w nich włóczniami. Niektórzy chwyтали się za piersi i spadali z wrzaskiem w dół.

Przystawiliśmy do ściany setki drabin. Obrońcy wychylali się, starając się je odepchnąć.

–Przynieść „koty”! – krzyknąłem, gdy z góry lunęły na nas strumienie wrzącej smoły, po których rozległy się jęki, a powietrze napełniło się swądem przypalonych ciał. Następne szeregi napierały na nas z tyłu. Ci z przodu próbowali wdrapać się na ścianę, ale musieli przeciwstawić się płonącej smole i włóczniom. Spadali w ramiona postępujących za nimi, brocząc krwią lub usiłując rękami ugasić płonąca skórę.

Przyciągnięto pod mur wysokie „koty”. Mogły przez pewien czas stanowić zabezpieczenie przed wrzącą smolą, która skwierczała na porozpinanych, wilgotnych



skórach. Pod ich osłoną obsługa taranu zaczęła raz za razem walić we wrota. Z góry strzelano do nich z kusz. Żołnierzowi obok mnie, niemającemu hełmu, pocisk przebił czaszkę. Z tyłu mangonele kontynuowały atak. Olbrzymi kamień trafił w wieżę, podnosząc chmurę kurzu. Kiedy się rozviała, ujrzeliśmy w szczycie wieży dziurę, z której wylatywały zmiażdżone ciała obrońców.

Niektórzy wpadli w panikę.

–Gdzie jest gospoda? – pytał ktoś, kompletnie otumaniony.

–Boże, ratuj mnie – jęczał inny, trzymając w jednej ręce drugą, odciętą. W zamieszaniu straciłem kontakt z wszystkimi, których znałem.

Mury Boree, niegdyś lśniące bielą, teraz były pokryte błotem, smołą i krwią. Nie wiedziałem, czy zwyciężaliśmy, czy zaczęliśmy przegrywać.

Zauważyłem w pewnej odległości Odoną, prowadzącego atak po drabinie. Uchwyciwszy koniec włóczni obrońcy, starał mu się ją wydrzeć. Wygrał, wyciągając przy tym obrońcę poza krawędź ściany, lecz w tym samym momencie został zaatakowany przez innego, który wbił mu w nogę ostrze. Krzyknąłem. Odo zgiął się z bólu.

Wydarł włócznię z rąk obrońcy i próbował wyciągnąć grot z rany. – Odo! – wrzasnąłem, lecz mój głos utonął w ogólnej wrzawie.

Widziałem, jak chwycił dwóch żołnierzy Stephana za kaftany i ściągnął ich z murów. Przykryła go następna fala atakujących.

Próbowałem przedrzeć się do niego wzdłuż ściany, lecz bez skutku.

Z góry zasypywał nas deszcz strzał. Ludzie kulili się za tarczami. Zorientowawszy się, że wpadli w pułapkę, zaczęli krzyczeć. Co się stało z Odonem?

Ci z nas, którzy dotarli na szczyt drabin, zostali zepchnięci albo zabici przy próbach przedarcia się dalej. Zorientowałem się, że przegrywamy. Nasza determinacja zaczynała słabnąć.

Raptem rozległ się krzyk: „Uwaga!”. Z góry posypała się na nas lawina kamieni. Jeden z naszych „kotów” załamał się, przygniatając obsługę taranu.

–Wieżę się rozlatują – krzyknął ktoś inny. – Uciekajcie, bo zostaniecie zmiażdżeni.

Jednak to nie były wieże. Żołnierze Stephana wysypywali na nas z koszy ciężkie kamienie.

Znajdujący się na szczycie drabin zaczęli spychać postępujących za nimi. Oczy miałem czarne od smoły, kaszlałem z powodu gęstego kurzu.

Rozglądałem się za Odonem, lecz nigdzie go nie widziałem.

–Wycofujemy się! – W głosach słychać było panikę.

–Stać! – wrzasnąłem, ile tylko miałem sił w płucach.

Daniel powtórzył to samo. – Nie cofać się! Nie oddawać zdobytego terenu!

Zdawałem sobie jednak sprawę, że przegraliśmy. Tyły naszych linii się załamały, ludzie w popłochu odwracali się i uciekali byle dalej od murów. Pierwsza linia, nagle pozbawiona zaplecza, wycofała się. Obrońcy zaczęli wiwatować.

Widok ludzi uciekających dla ratowania życia spowodował że zrobiło mi się niedobrze. Nie byli wyszkolonymi żołnierzami lecz chłopami, szewcami, drwalami...

Chodziłem po przedpolu, szukając Odoną, lecz nigdzie nie mogłem go znaleźć.

**Strzały świstały mi nad głową, teren był usiany trupami. Nie mogłem uwierzyć, że tyłu nas zginęło. W końcu wycofałem się poza zasięg łuków. Na polu słychać było makabryczne jęki konających. Dorośli ludzie płakali jak dzieci, szepcząc rozpaczliwe modlitwy.**

**Ujrzałem kulejącego Georges'a, wspartego na ramieniu Daniela. Twarze mieli blade jak płótno.**

**–Nie wiecie, co się stało z Odonem? – spytałem. Potrząsnęli przecząco głowami i powlekli się dalej.**

**Obejrzałem się na zamek. Żołnierze na murach wznosili okrzyki radości. Strzelali do wszystkiego, co się ruszało. Gdzieś w ich zasięgu znajdował się mój najlepszy przyjaciel. Przedpole, niegdyś kwieciste, zmieniło się w krwawe bagno.**

**Ani jeden żywy człowiek nie przedostał się przez mur.**

**Odo też nie.**

**Przegraliśmy!**

**Alphonse odrzucił miecz, nie mogąc wydobyć głosu. Pozostali tak samo. Georges, skrajnie wyczerpany, położył się na ziemi. Ojciec Leo robił, co mógł, chcąc wszystkich pocieszyć, lecz na jego twarzy widać było takie same przygnębienie jak u innych.**

**–Bądźcie czujni – zawołał Daniel. – Stephan może w nocy wysłać jeźdźców dla dokończenia dzieła. Jego ostrzeżenie, aczkolwiek niepozbawione racji, wydawało się nierealne. Zapadała noc, której dobroczynna osłona zapewniała chwilowe wytchnienie. Wyczerpani żołnierze rozsiedli się wokół ognisk, smarując maścią oparzenia i rany. Niektórzy opłakiwali poległych przyjaciół, inni wznosili dziękczynne modły, że udało im się przeżyć.**

**–Czy nikt nie widział Odoną? – Rozejrzałem się wokół siebie. Znałem go od dziecka. Aloise i Georges pokręcili tylko głowami.**

**–To szczywany lis – powiedział po chwili Georges. – Jeśli komukolwiek uda się wrócić, to przede wszystkim jemu. – Racja – zgodził się z udawanym optymizmem Alphonse. – B – był tak blisko celu, że p – prawdopodobnie przedostał się na d – drugą stronę, żeby ukraść beczułkę na – najlepszego miodu Stephana.**

**–Ponieśliśmy dziś duże straty. – Daniel westchnął, rozpościerając plan Boree. – Nie możemy sobie pozwolić, żeby to się powtórzyło.**

**–Kasztelan ma rację. – Wół kiwnął głową. Moich zginęło trzydziestu, a może nawet więcej.**

**Spojrzałem Langwedotowi w oczy.**

**–Twoi ludzie pomogli nam i byli bardzo odważni, ale nie walczycie we własnej sprawie. Zwalniam cię ze słowa. Zabierz swoich i wracajcie do domu.**

**Wół obruszył się, dotknięty do żywego.**

**–Kto mówi o powrocie do domu? – Wśród gęstej brody błysnęły białe zęby. – W Langwedocji mówi się, że bitwa, która nie jest krwawa, nie jest bitwą. Nie po to Bóg dał nam ręce, żebyśmy się drapali po jajach.**

**Roześmialiśmy się. Kiedy śmiech ucichł, Georges spytał:**

**–Co teraz zrobimy?**

**Spojrzałem kolejno po twarzach wszystkich zebranych.**

**–Stephan zniszczył naszą wieś – rzekł Alphonse. – Będziemy dalej walczyć. Po to tu jesteśmy, prawda?**

**–Masz ikrę, chłopcze – prychnął Georges. – Ale pamiętaj, że jutro ty możesz zostać tam pod murami.**

**–Trzeba rozwalić mury – upierał się Daniel. – Blisko rzeki nie są tak mocno ufortyfikowane. Możemy przez cały dzień bombardować je z katapult. Wcześniej czy później powstanie w nich wyłom.**

**–Może wkrótce nadejdzie wiadomość od króla? – wtrącił się ojciec Leo.**

**–Jest jesień – ciągnął Daniel. – Byłeś pod Antiochią, Hugues, więc wiesz, że oblężenie nie trwa jeden dzień. Stephan zostawił spaloną ziemię. Nie mógł zgromadzić zapasów żywności i wody na całą zimę.**

**–Czy ktoś zgadza się na warunki Stephana? – spytałem dla formalności.**

**Rozejrzałem się, czekając na odpowiedź. Wszyscy milczeli.**

**Po chwili Georges dźwignął się z ziemi.**

**–Urodziłem się, by mleć ziarno, a nie żeby być żołnierzem. Ale przybywając tu, dokonaliśmy wyboru. Każdy z nas stracił bliskich: ja – syna, Wól – przyjaciół, oprócz nich jest jeszcze Odo... Cóż warta byłaby ich śmierć, gdybyśmy się teraz poddali?**

**–O czyjej śmierci mówicie? – zagrział czyjś głos. Spojrzeliśmy w tamtą stronę. Z mroku wyłoniła się ogromna, zwalista postać. Z początku myślałem, że to duch.**

**–Wielki Boże! – Młynarz potrząsnął głową. Potężny kowal, kuśtykając, przywłókł się do naszego ogniska, Jego skórzany kaftan był podarty i zakrwawiony, a gęsta, kasztanowata broda zmierzwiona i sklejona Bóg wie czym. Spotkaliśmy się wzrokiem. Oczy Odoni odzwierciedlały okropności, których doświadczył. Byłem tak zmęczony, że nie miałem nawet siły go uściskać.**

**–Gdzieś ty się, u diabła, tak długo podziewał?**

**–Cholernie trudno wyczołgać się spod tego zielono – złotego gówna. – Westchnął i uśmiechnął się mimo zmęczenia. – Jest coś do picia?**

**W końcu dźwignąłem się, objąłem go i poklepałem czule po plecach. Wzdrygnął się:**

**ramiona miał pokryte oparzeniami, a jedną nogę odartą do żywego mięsa i zakrwawioną. Ktoś wetknął mu do ręki kubek z wodą, którą wypił jednym haustem.**

**Kiwnął głową, co oznaczało: jeszcze jeden.**

**Patrzył na nasze niedowierzające miny.**

**–Kiepski dzień, prawda?**

**Gapiliśmy się nań w milczeniu, nie umiejąc znaleźć odpowiednich słów.**

**–No, cóż... – Podniósł zakrwawioną nogę. Widok rozciętego uda spowodował, iż nawet Wól się wzdrygnął. Odo wziął do ręki drugi kubek i wylał całą wodę na ranę, sycząc z bólu. – Nie przejmujcie się. – Widząc nasze oniemiałe spojrzenia, wzruszył ramionami. – Jutro dobierzemy im się do skóry.**

## ROZDZIAŁ 138

W ciągu następnych dni atakowaliśmy zawzięcie Boree. Nasze katapulty kruszyły mury ciężkimi głazami, a najpotężniejsze tarany waliły w bramy. Szturmy piechoty kończyły się odepchnięciem drabin i śmiercią atakujących.

Pod murami rosły stosy ciał naszych poległych towarzyszy. Zacząłem się obawiać, że nie zdobędziemy miasta. Było zbyt potężne, zbyt dobrze ufortyfikowane. Po każdym bezowocnym ataku nadzieja na zwycięstwo malała. Kurczyły się zapasy żywności i wody. Odpowiedź od króla nie przychodziła. Nasza determinacja zaczynała słabnąć.

Zdawałem sobie sprawę, że o to właśnie chodziło Stephanowi. Do ostatecznego zwycięstwa wystarczyło mu uderzyć konnymi na naszą uszczuploną i wyczerpaną armię.

Zwołałem przywódców do rozpadającego się spichlerza zbożowego, w którym zbieraliśmy się w celu opracowywania strategii. Panował smutek – wielu przyjaciół padło na polu walki. Wszyscy byli przygnębieni, nawet Daniel.

Podszedłem do olbrzymiego Langwedota.

–Wole, ilu masz jeszcze ludzi?

–Dwustu – odparł ponuro. – Kiedyś miałem trzystu.

–W takim razie chcę, żebyś w nocy opuścił z nimi obóz. Ty, Aloise, zrobisz to samo z ludźmi z Morrisaey.

Obaj się zdziwili.

–Chcesz, żebyśmy zrezygnowali? Pozwolisz, żeby Stephan triumfował?

Nie odpowiedziałem. Stojąc w środku grupy, czułem na sobie zawiedzione spojrzenia Odon i Alphonse'a.

Langwedota pokręcił głową.

–Przebyliśmy tak długą drogę nie po to, żeby teraz uciekać. Chcemy walczyć.

–Tak samo my – zaprotestował Aloise. – Zasłużyliśmy sobie, żeby zostać.

–Oczywiście. – Kiwnąłem głową. – Wszyscy zasłużyliście. – Spojrzałem na każdego po kolei dla podkreślenia mojej wdzięczności. – Będziecie nadal mieli tę samą szansę co wasi polegli przyjaciele... żeby zginąć.

Gapili się na mnie, widziałem na ich twarzach mieszaninę uczuć: od konsternacji do niepokoju.

–Och, gównie – zaklął Odo. – Znów jakiś twój podstęp. – Spojrzał na mnie, próbując się domyślić moich intencji. – Wszystkiemu winna Emilie. Co to za plan, Hugues?

Zachowałem kamienny wyraz twarzy. Po chwili powiedziałem:

–Zdobędziemy miasto, ale nie szturmem. Próbowałem je zdobyć jako dowódca armii, choć w rzeczywistości jestem błaznem... Za to w roli błazna nie prześcignie mnie nawet sam Karol Wielki.

–Nie jestem pewny, czy tego rodzaju kwalifikacje wystarczą, żebym zawierzył swoje życie twojemu nowemu pomysłowi. – Wół spojrzał na mnie sceptycznie. – Ale zamieniam się w słuch. Powiedz, jaki wymyśliłeś fortel.

## ROZDZIAŁ 139

Poranne światło wpadało przez okno do komnaty, w której Stephan jadł śniadanie.

Właśnie nakładał sobie na talerz pierwszy płat szynki, gdy usłyszał wołanie giermka:

–Wasza książęca mość, racz spojrzeć przez okno. Prędko! Buntownicy uciekli.

Kilka minut wcześniej książę obudził się w ponurym nastroju. Buntownicy okazali się wytrwalsi, niż przypuszczał. Raz po raz ponawiali nękające ataki; nie mógł zrozumieć fanatyzmu, z jakim szli na śmierć. Co więcej, od czasu gdy Anne przed dwoma tygodniami wyprowadziła się od niego do swoich komnat, sypiał samotnie.

Usłyszawszy okrzyk giermka, pospieszył do okna. Poczul satysfakcję. Chłopak miał rację! Armia buntowników zmaląła do połowy.

Nie było przeklętych Langwedotów, którzy nosili kamizelki z końskiego włosia i mieli ramiona grube jak nogi wołowe. Pozostała jedynie mizerna garstka wieśniaków, którzy stali na polu jak stado kur i czekali na rzeź. Tę zdziesiątkowaną armię drwali i chłopów jego ludzie zmiotą z powierzchni ziemi.

Na czele kur stał zielono – czerwony kogut. We własnej osobie, z włócznią.

Do komnaty wpadł kasztelan Bertrand, a za nim Morgaine.

–Spójrzcie – zachichotał Stephan – te tchórzliwe bękarty zrezygnowały.

Popatrzcie na tego paradnego koguta, któremu się zdaje, że ciągle ma kim dowodzić.

–Powiedziałeś, panie, że jeśli zdarzy się sposobność, to błazen będzie mój – zachrypiał Morgaine.

–Rzeczywiście. – Stephan wyszczerzył zęby w złowrogim uśmiechu. – Obiecałem ci go. Powiedz, Bertrandzie, ilu ich tam zostało?

Kasztelan zlustrował wzrokiem pole.

–Mniej niż trzystu, książę. Sami piesi, kiepsko uzbrojeni.

Można bez trudu otoczyć ich jazdą i zmusić do kapitulacji.

–Kapitulacji? – Stephan otworzył szeroko oczy. – Nie pomyślałem o tym. Masz rację: może podać im rękę i zaoszczędzić krwi tych biednych skołowanych głupków. Morgaine, co byś powiedział, gdyby się poddali?

–Ci ludzie nie mają duszy, książę. Obcięcie im głów jest naszym obowiązkiem wobec Boga.

–Zatem na co czekasz? – Stephan szturchnął go palcem w pierś. – Ciągle jeszcze boli cię rana w boku od włóczni tego małego bękarta, prawda? Słyszałeś opinię kasztelana. Weź rycerzy.

–To są moi ludzie, książę – wtrącił się Bertrand. – Należą do odwodów zamku, więc...

–Słuchaj, Bertrandzie – przerwał mu Stephan. – Ta sprawa z poddaniem... w rzeczy samej ona mi się nieszczególnie podobała. Morgaine utrafił w sedno. Dusze tych ludzi są już potępione. Nie ma powodu, żeby nadal kręcili się po świecie.

Kasztelan poczuł ściskanie w żołądku.

–Święta włócznia w zamian za moje dobre imię – taka była jego propozycja,

prawda? – Oczy mu się zaświeciły. – Zanosi się na to, że będę miał jedno i drugie. Czyż nie tak, kasztelanie? Jeszcze jedno, Morgaine... Doceniam twój talent, ale nie zapomnij o najważniejszym.

–O świętej włóczni, panie. Nawet przez sekundę nie przestałem o niej myśleć.

## ROZDZIAŁ 140

–Uwaga! – zabrzmiały okrzyki. Kilku naszych wskazywało palcami na zamek.

Bramy Boree stanęły otworem. Patrzyliśmy jak zahipnotyzowani, nie wiedząc, co to oznacza. Potem usłyszeliśmy dudnienie kopyt na opuszczonym moście zwodzonym i zobaczyliśmy wyłaniających się dwójkami z bramy rycerzy w zbrojach, na potężnych, przyozdobionych godłem Stephana rumakach.

Patrzyliśmy w ciszy, jak się rozwijają w śmiertcionośny szyk bojowy.

Nikt się nie poruszył. Wiedziałem, że nawet najsilniejsi z nas zastanawiali się, czy walczyć, czy złożyć broń.

–Przygotować się! – zawołałem. Ludzie nadal stali nieruchomo, patrząc na rosnącą siłę nieprzyjaciela, zbierającego się na wzniesieniu. – Przygotować się!

–powtórzyłem rozkaz.

Pierwszy ruszył się Odo. Powoli podniósł z ziemi potężną maczugę. Potem Alphonse, westchnąwszy głęboko, przypasał miecz. Następnie to samo zrobili Georges i Daniel.

Bez słów zajęli swoje stanowiska. Pozostali, jeden po drugim, poszli ich śladem. Ustawiliśmy się na wzór rzymskiej falangi: w zwartym szyku, zasłonięci tarczami. Modliłem się, żeby ten ostatni podstęp mi się udał.

Alphonse znów westchnął.

–Jak sądzisz, ilu ich jest?

–Dwustu. Uzbrojeni po zęby. – Daniel wzruszył ramionami. Liczył ich, w miarę jak się wynurzali z bramy i zajmowali stanowiska na polu. – Teraz już trzystu.

–A nas? – spytał chłopiec.

–Nieważne. – Daniel pociągnął nosem, podnosząc broń. – Co znaczą konie bojowe i włócznie w porównaniu z dobrą motyką?

W naszych szeregach rozległ się cichy śmiech. – Czy to piekielne miasto jest jednym wielkim garnizonem? – spytał Odo, kręcąc głową.

Zielono – złoci obrońcy Boree stali w ciszy na murach. W miarę jak przybywało jeźdźców, rosło w nich poczucie bezpieczeństwa. Rycerze na polu poprawiali zbroje i przygotowywali broń, wstrzymując narowiste konie, które sapaly i parskaly.

Kiedy wszyscy ustawili się w szyku, z bramy wyłonił się jeździec, który zajął miejsce na czele formacji. Sądziłem, że to będzie kasztelan, ale to nie był Bertrand.

Jeździec miał na hełmie ciemny krzyż bizantyjski. Serce we mnie zamarło.

Ponownie stawałem oko w oko z człowiekiem, który zabił moją żonę i syna.

Odo przełknął głośno ślinę. Pochylił się ku mnie.

–Hugues, wiem, że już raz cię o to prosiłem...

–Tak. Myślę, że się uda – powiedziałem. – A jeśli nie... co to w końcu za różnica? Zawsze uważałem, że jesteś lepszym żołnierzem niż kowalem.

–A ja, że jesteś lepszym błaznem niż dowódcą – odciął się.

Zacząłem się śmiać, lecz mój śmiech utonął w nagłym straszliwym łoskocie, który rozległ się po przeciwnej stronie pola.

–Szarżują! – krzyknął Daniel. – Tarcze!

Słysząc było nerwowe szepty. Ludzie odmawiali ostatnią modlitwę. Umocowałem



**Świątą włócznię rzemieniem na plecach i ująłem ciężki miecz.**

**Ziemia zaczęła drżeć. Na murach zamku rozbrzmiały okrzyki i wiwaty.**

**Byliśmy ustawieni w zwartym szyku, którego obwód chroniła ściana tarcz.**

**Narastający tętent kopyt przypominał łoskot zbliżającej się lawiny.**

**–Trzymać się razem! – krzyknąłem. Czterdzieści kroków... trzydzieści... Potem spadli na nas!**

## ROZDZIAŁ 141

Wał jeźdźców uderzył w naszą formację z mocą gigantycznej fali atakującej okręt. W powietrze poleciały iskry, tarcze i broń. Nasze szeregi zachwiały się pod naporem. Spadł na nas deszcz żelaza, lecz trzymaliśmy nad głowami tarcze, zasłaniając się przed ciosami. Linia obrony nie pękła.

Jeden z rycerzy naparł na mnie, próbując ogromną włócznią przebić moją tarczę. Nogi się pode mną ugięły od ciężkich uderzeń. Wokół słychać było jęki i okrzyki strachu, mrozący krew w żyłach szczęk żelaza i pękających pod naporem stali tarcz, rżenie koni, wrzaski żołnierzy.

Odbijając pchnięcie, udało mi się skierować ostrze włóczni atakującego rycerza w czaprak sąsiedniego wierzchowca, po czym dźgnąłem mieczem w górę w nadziei, iż w coś trafi. Miecz przebił zbroję tuż nad nagolennikiem. Koń wierzgnął, a rycerz zawył z bólu. Udało mi się ściągnąć go z siodła i wrzucić pod kopyta jego wierzchowca.

Byliśmy już w dwóch trzecich otoczeni. Ludzie padali wśród jęków – nasze szeregi topniały. Nie mogliśmy dłużej wytrzymać naporu.

–Wycofujemy się – krzyknąłem. – Teraz! Zaczęliśmy się wycofywać w stronę lasu, walcząc dalej w zwartym szyku.

Obserwowałem z pewnej odległości, jak Czarny Krzyż walczy z furją, rozrąbując jednym uderzeniem przeciwników i roztrącając na boki swoich towarzyszy.

Wiedziałem, że chce się przedrzeć do mnie.

Zdołaliśmy się wycofać między drzewa. Jeźdźcy Stephana napierali dalej, chcąc nas ostatecznie wykończyć. Walczyliśmy nadal w zwartej grupie. Czyjeś zabłąkane ostrze rozcięło mi rękę. Pętla zacisnęła się do końca – byliśmy otoczeni ze wszystkich stron. Widziałem, jak Czarny Krzyż stopniowo przedziera się coraz bliżej, cały czas nie spuszczając mnie z oka. Raptem wśród drzew rozległ się dziki ryk. Las ożył: z gąszczu wyskoczyli zaczajeni jeźdźcy i piesi wojownicy z maczugami. Rycerze kręcili się w kółko, zmuszeni nagle stawić czoło napastnikom atakującym ich z tyłu. Konie w ścisku potykały się i stawały dęba, zrzucając jeźdźców. Zaczęliśmy ich dobijać, posługując się mieczami jak taranami, to znaczy zgniataliśmy zbroje, dopóki nie pękły, i dopiero wówczas ich przebijaliśmy.

Ludzie Stephana byli teraz w kleszczach, musieli walczyć z przeważającymi siłami wroga, napierającego ze wszystkich sił. Widać było w ich oczach przerażenie z powodu nieoczekiwanej zmiany sytuacji. Ściągano ich z koni; ciężka broń nie na wiele się przydawała w gęstwinie drzew. Walka przerodziła się w masakrę, jednak to my byliśmy górą.

Wkrótce liczba rycerzy Stephana stopniała do połowy. Wielu z nich nie miało już koni. Zmuszeni walczyć w ciężkich zbrojach równocześnie z dwoma lub trzema naszymi ludźmi, zaczęli błagać o litość. Niektórzy przestawali walczyć i rzucali na ziemię broń.

Doznałem ogromnej ulgi. Nie mogłem uwierzyć, iż nam się udało. Byłem tak zmęczony, że chciałem paść na kolana.

W tym momencie usłyszałem przerażający głos, ostry jak włócznia.

**–Za prędko się ucieszyłeś, błaznie. Nie chwali się dnia przed zachodem słońca.  
Zaraz się dowiemy, jaką moc ma twój patyk.**

## ROZDZIAŁ 142

Przyłbicę miał podniesioną, a na pokiereszowanej twarzy wyraz zimnej nienawiści. Patrzyłem prosto w nieubłagane oczy Czarnego Krzyża, człowieka, którego nienawidziłem bardziej niż kogokolwiek innego.

–Dwa razy – warknąłem.

–Co dwa razy, karczmarzu?

–Już dwa razy uwolniłem świat od kanalii, która zabiła mi żonę i dziecko.

Rzuciłem się do przodu, celując mieczem w jego szyję. Tafur opuścił przyłbicę i stał w miejscu, bez trudu zasłaniał się przed moimi najsilniejszymi ciosami.

Nacieralem raz po raz, lecz za każdym parowałem mój atak.

–Najadłem się przez ciebie wstydu – powiedział Czarny Krzyż. Za wąskimi szczelinami wizjera widać było jego rozszerzone oczy.

Nagle, krzycząc dziko, skoczył naprzód i spuścił na mnie miecz z potężną siłą.

Zrobiłem unik, tak że ostrze przecięło powietrze tuż obok mojej twarzy.

Tafur nawet się nie zatrzymał, by nabrać tchu. Wykonał poziomy cios, który powinien odciąć mi nogi. Potworna siła uderzenia omal nie wbiła mi w udo własnego miecza.

W zwarciu zmusiłem go powoli do wycofania klingi, lecz kosztowało mnie to całą energię. Czuję się jak chłopiec moczujący się z dorosłym mężczyzną.

–Jesteś dokładnie taki, jak o tobie mówią – rzekł zadowolony z siebie Czarny Krzyż. – Kiedy cię zabiję, Stephan zdobędzie swoją włóczęgę, a twoja odcięta głowa znajdzie się u stóp łóżka tej dziwki Emilie. Znowu na mnie natarł. Z coraz większym trudem parowałem ciosy. Uchyliłem się w lewo, starając się złapać oddech. Gdyby nie moja szybkość, zostałbym przecięty na pół. Jednak powoli moje ruchy stawały się wolniejsze. Doszedłem do wniosku, że nie zdołam go pokonać. Walnął mnie głową w czoło. Zatoczyłem się w tył, uderzenie jego hełmu dźwięczało echem w mojej głowie. Brakowało mi powietrza. Pomodliłem się w duchu: Boże, wskaż mi, jak go pokonać.

Tafur nacierał. Potknąłem się, próbując uciec w bok. Czołgałem się wzdłuż nadrzecznej skarpy, wiedząc, że tylko sekundy dzielą mnie od śmierci. Stephan w końcu będzie miał swoją świętą włóczęgę.

Czarny Krzyż stanął przede mną. Nie miałem już żadnej drogi ucieczki.

Podniósł przyłbicę, odsłonił swoją ohydną, poranioną twarz. Pociągnął nosem.

–Twoja dusza i tak jest zgubiona. Zabijając cię, wyręczę Boga w brudnej robocie.

Oślepiło mnie słońce, odbijające się od jego zbroi. Mrugałem oczami dezorientowany. Miałem wrażenie, że jestem w Antiochii, mam przed sobą Turka i wdycham ostatnie w życiu cenne hausty powietrza.

I tak samo jak wówczas – doznałem uczucia absurdałnej euforii.

Zacząłem się śmiać. Nie miałem pojęcia, z jakiej przyczyny. Czy uzmysłowiłem sobie, iż zatoczyłem pełny krąg od urodzenia do śmierci? Że mimo moich nadziei życie w księstwie pozostanie takie, jakie było dotąd? Że umrę w kostiumie błazna?

Przyszło mi do głowy coś zupełnie idiotycznego: seria głupich dowcipów. Nie

wiem, dlaczego wydawały mi się zabawne, niemniej nie potrafiłem się powstrzymać od śmiechu. Ostatecznie byłem przecież błaznem.

–Tu rzeczywiście jest głęboko – powiedziałem, po czym znów wybuchnąłem śmiechem, kładąc się na boku i podkurczając nogi.

–Umrzesz jako głupek, błaznie. Powiedz, jaki dowcip jest aż tak śmieszny, że chcesz go zabrać z sobą do grobu?

–Dowcip stary jak świat. – Złapałem oddech. Nie wiedziałem, czy powodował mną spryt, czy popadłem w obłęd. – Dwaj mężczyźni, stojąc na moście, sikają do rzeki. Chcą się pochwalić, który z nich ma dłuższego. Obaj wyjmują swoje ptaki. Pierwszy mówi: „Brrr... jaka zimna woda”, a drugi: „Tu rzeczywiście jest głęboko”.

Czarny Krzyż spojrzał na mnie pustym wzrokiem, nie rozumiejąc. Stał na skarpie nad rzeką, gotów posłać mnie do piekła.

–Tu rzeczywiście jest głęboko – powtórzyłem, tym razem z większą pewnością w głosie.

Trwało to może ułamek sekundy, mimo to dojrzałem na jego twarzy błysk odkrycia, iż coś było nie tak, że coś błędnie ocenił...

Nim zdążył się zorientować, kopnąłem go obiema nogami prosto w żołądek. Zatoczył się na sam brzeg skarpy.

Przez chwilę walczył o utrzymanie równowagi, lecz w końcu ją odzyskał.

Uśmiechnął się pogardliwie, jakby chciał powiedzieć: to wszystko na co cię stać, ty kurduplu?

Nagle jego buty straciły pewne oparcie. Zachwiał się, zbroja ciągnęła go do tyłu. Mimo to jego oczy nadal wyrażały co najwyżej zdziwienie. Nie zdawał sobie sprawy z niebezpieczeństwa. Mały człowiek – mały kłopot.

Zaczął się zsuwać ze skarpy. Ciężar zbroi nadawał mu coraz większą szybkość.

Staczał się jak głaz, przy akompaniamencie szczęku żelaza, usiłując po drodze przytrzymać się kamieni i kęp trawy. Na koniec wpadł do rzeki, znikając pod powierzchnią wody.

Byłem pewny, iż myśli jedynie o tym, żeby się czegoś przytrzymać, wspiąć na powrót po skarpie i mnie wykończyć. Czas mijał, a on się nie wynurzał. Nie mogłem uwierzyć w to, co się stało. Z wody wychyliła się dłoń w rękawicy, szukająca jakiegoś oparcia.

Minęło więcej czasu. Na powierzchni wody ukazały się bąbelki powietrza. Ręka jeszcze przez pewien czas rozpryskiwała wodę, lecz Czarny Krzyż już się nie wyłonił. Był załatwiony. Utopiony. Martwy.

Zmusiłem się do przepelnienia przez krawędź skarpy. Walka już się zakończyła. Ludzie Stephana klęczeli z podniesionymi rękami. Niektórzy z naszych zaczęli wiwatować, unosząc mi e c z e.

Potem wiwatowali już wszyscy. Rozjaśnione twarze odzwierciedlały niewiarygodny fakt: Zwyciężyliśmy! Pobiliśmy Stephana!

Zewsząd biegli ku mnie ludzie. Nie wiedziałem, czy się śmiać, czy płakać. W końcu lży zakreśliły mi się w oczach – z radości i z wyczerpania. Wykrzykiwano moje imię, jakbym był bohaterem.

**Sięgnąłem za plecy po świętą włóczę. Zebrawszy resztę sił, która mi została,  
wyrzuciłem ją wysoko w powietrze.**

**Ku niebu.**

## ROZDZIAŁ 143

Emilie nie słyszała wiwatowania. Zastanawiała się dlaczego.

Wiedziała, że toczy się zażarta bitwa. Słyszała wyjazd jeźdźców z miasta: galopowanie, od którego drżały mury.

Boże! – pomyślała. Stephan zaatakował, co znaczyło, że armia Hugues'a w tej chwili walczyła o życie.

Nie mogła się zdobyć na to, by wyrzeć przez okienko swojej celi. Jak Bóg mógłby dopuścić, żeby ten bezwzględny sukinsyn zwyciężył? Walcz, Hugues! Zdawała sobie jednak sprawę, iż okoliczności mu nie sprzyjają.

Czekała na wrzawę obwieszczającą zwycięstwo. To by znaczyło, że mordercy Stephana spełnili swoje zadanie. Że Hugues został zabity.

Wiwatów jednak nie było.

Po pierwszym hałasie, spowodowanym wyjazdem rycerzy, słyszała już tylko odległy szcęk metalu, zgrzytliwy zgiełk bitwy, dalekie krzyki. Następnie, po pewnym czasie, radosne owacje. Dlaczego żołnierze na murach milczeli? Podniosła się z siennika.

Nie było wiwatów... Czyżby Hugues zwyciężył? Czy to możliwe?

Nagle zazgrzytała zasuwą i drzwi stanęły otworem. Do celi wszedł Stephan. Miał dziki wzrok. Towarzyszyło mu dwóch żołnierzy.

Zmusiła się do uśmiechu.

–Nie słyszę wiwatowania na murach, książę. Czyżby bitwa potoczyła się nie po twojej myśli?

–Potoczyła się nie po naszej myśli. – Stephan prychnął, chwytając ją za ramię.

–Na dziedzińcu wisi pętla, która czeka na twoją śliczną szyję. Jutro rano, ty zdradziecka suko!

–Nie masz prawa wydawać takiego wyroku. – Emilie próbowała uwolnić się z uścisku. – Za jakie przestępstwa skazujesz mnie na śmierć?

Stephan wzruszył ramionami.

–Za nawoływanie do buntu, pomaganie rebeliantom, romansowanie z heretykiem...

–wymienił po kolei.

–Czyżbyś stracił rozum? Nie masz poczucia godności? Zawarłeś pakt z diabłem za kawałek metalu! Za cenę włóczni!

–Ta włócznia – powiedział Stephan z gniewnym błyskiem w oczach – jest dla mnie więcej warta niż ty, twój błazen i wszystkie żalosne dusze w całej Francji.

–Nie pobijesz go, Stephanie – zaczęła krzyczeć Emilie – niezależnie od tego, czy mnie powiesz, czy nie. Przyszedł po ciebie sam, teraz stoi za nim cała armia. Nie powstrzymasz go ani swoimi tytułami, ani przy pomocy najemników, choćbyś ich miał nie wiadomo ilu.

–Rozumiem. Twój rudy błazenek. Dopięłaś swego, już mi się trzęsą kolana – zadrwił Stephan.

–On przyjdzie po mnie.

Stephan potrząsnął głową i westchnął.

**–Chwilami myślę, że zasługujecie na siebie. Oczywiście, że po ciebie przyjdzie, moja żalosna panno. Na to właśnie liczę.**



## ROZDZIAŁ 144

Ludzie już wiedzieli, że zwyciężyli. Walka się skończyła. Nie będzie więcej przelewu krwi.

Zdumieni i szczęśliwi rozglądali się dokoła. Ci, którzy przeżyli, odszukiwali przyjaciół, padali sobie w objęcia – Georges i Langwedoci, Odo i ojciec Leo, Alphonse i Aloise, chłopci i budowniczości katedr.

Poprowadziłem ich z powrotem pod mury zamku. Byliśmy zmęczeni, lecz wracaliśmy jako zwycięzcy.

Obrońcy miasta, którzy do tej pory odpierali nasze ataki, teraz obserwowali nas z ponurymi minami. Schwytni rycerze Stephana, pozbawieni bojowego rynsztunku, zostali zmuszeni do ukłęknięcia przed murami. Jeden z nich zainicjował okrzyk.

Nie był to okrzyk zwycięstwa, lecz pojedyncze, uporczywe wezwanie, które stawało się coraz głośniejsze, w miarę jak przyłączali się do niego pozostali.

–Pod – daj – cie się, pod – daj – cie się... – skandowali chórem.

W końcu na parapecie nad bramą pojawił się Stephan, odziany w ceremonialny, purpurowy płaszcz. Patrzył pogardliwie na nasze szeregi, jakby nadal nie wierzył, iż armia obdartusów pobiła jego wojsko.

–Co teraz? – spytałem Daniela.

–Porozmawiaj z nim. Stephan musi spełnić twoje żądania, bo inaczej jego rycerze zostaną ścięci. Ma wobec nich honorowe zobowiązanie.

–Idź. – Odo wypchnął mnie naprzód. – Powiedz sukinsynowi, że może sobie zatrzymać swoje zboże. Przyniesź za to trochę piwa.

Wziąłem włócznię. Któryś z ludzi przyprowadził mi konia.

–Pojadę z tobą – powiedział Daniel.

–Ja też – rzekł młynarz.

Spojrzałem na Stephana. Nie miałem do niego zaufania, bez względu na to, w jakim stopniu był związany honorem.

–Nie. – Pokręciłem głową, myśląc o kimś innym. Przyprowadzono Baldwina. Już dawno temu został pozbawiony wykwintnych szat. Teraz był ubrany w zwykły kaftan z szorstkiego płótna, jak prosty chłop. Ręce miał związane, a jego wynędzniała twarz domagała się golibrody.

–Dzisiaj jest twój szczęśliwy dzień – oświadczyłem, wkładając mu na głowę kapelusz z piórami. – Jeśli wszystko pójdzie dobrze, wkrótce znów będziesz chodził w jedwabkach.

–Nie musisz mnie przystrajać. – Zrzucił z głowy kapelusz. – Możesz być pewny, że Stephan rozpozna człowieka swojego stanu.

–Twoja wola – odparłem bez uśmiechu.

Pojechaliśmy w stronę bramy. Koń Baldwina był przywiązany z tyłu do mojego. Żołnierze na murach przyglądali się w milczeniu, jak się zbliżamy. Zatrzymaliśmy się poza zasięgiem łuczników, około czterdziestu kroków od wrót.

Stephan wyglądał, jakby został oderwany od stoki. Spojrzał w dół, ledwie mnie zauważając.

–Czarny Krzyż nie żyje – oświadczyłem. – Los twoich najlepszych rycerzy zależy

od ciebie. Nie chcemy przelewu krwi. Poddaj się!

–Gratuluje ci, rudzielcu – odparł książę. – Okazałeś się równie dobrym wojownikiem jak błaznem. Nie doceniłem cię. Podjedź bliżej, żebym mógł zobaczyć twoją twarz. Przedstawię ci swoje warunki.

–Twoje warunki? Musisz się zastosować do naszych.

–Co ja słyszę, błaznie? Nie masz mnie za człowieka honoru? Przyjedź do mnie i zaproponuj swoją cenę.

–Mam wrażenie, książę, że handlujesz czymś, czego nie masz. Nie obraź się, jeśli zamiast mnie przyjedzie mój wysłannik.

Na twarzy Stephana zakwitł uśmiech.

–Niech tak będzie, błaznie. A ja wyślę swojego.

–Może ja? – zaproponował Daniel.

Potrząsnąłem przecząco głową, po czym spojrzałem na Baldwina.

–Nie. Wyślemy jego.

Baldwin otworzył szeroko oczy. Na czole wystąpiły mu kropelki potu.

–Daję ci szansę. – Nasunąłem mu kaptur na głowę. – Pokaż nam, jak cię przyjmie twój przyjaciel, książę.

Odwiązawszy jego konia, uderzyłem go po zadzie. Koń popędził naprzód. Książę usiłował go powstrzymać, lecz miał związane ręce.

Znalazłszy się w strefie niczyjej, zaczął krzyczeć. – To ja, Baldwin, książę Treille! Obrońcy, śmiejąc się, pokazywali go sobie palcami. Głos księcia stał się poirytowany.

–Jestem Baldwin, wy, głupcy. Niech was nie zmyli mój strój. Spójrz na mnie, Stephanie. Nie poznajesz mnie?

Widziany z murów stanowił jedynie nędznie ubraną postać, która galopowała ku bramie.

–Przypatrz się, błaznie – zawołał Stephan. – Takie są moje warunki.

Usłyszałem mrozący krew w żyłach świst, po którym w piersi Baldwina utkwiała strzała, odrzucając go do tyłu. Potem wbiły się weń dwie następne. Ciało księcia zwiotczało w siodle. Koń, czując, że coś jest nie w porządku z jeźdźcem, zmienił kierunek i pognął z powrotem w naszą stronę.

–Teraz już znasz moje warunki – zawołał Stephan z murów. – Ciesz się zwycięstwem. Masz jeden dzień. – Owinąwszy się purpurowym płaszczem, oddalił się, nie czekając na odpowiedź.

Daniel wyjechał naprzeciw powracającego konia. Martwe ciało Baldwina zważyło się na ziemię.

Jedna ze strzał tkwiących w jego piersi była owinięta pergaminem.

Daniel pochylił się z siodła nad ciałem księcia i bez wyciągania strzały odwinął przymocowane do niej pismo. Przeczytawszy je, podniósł na mnie zasępiiony wzrok.

–Panna Emilie została uznana za zdrajczynię. Mamy jeden na dzień na złożenie broni. Jeśli się nie poddamy i nie przekażemy włóczni Stephanowi, zostanie powieszona.

## ROZDZIAŁ 145

Wieczorem poszedłem na pola za naszym obozem. Gotowałem się z wściekłości. Chciałem być sam. Minąłem strażę rozstawioną na obwodzie obozu. Cóż z tego, że groziło mi niebezpieczeństwo? Miałem ochotę roztrzaskać przeklętą włócznię o mur zamku. Weź ją sobie, Stephanie. Od czasu gdy ją znalazłem, moje życie zmieniło się w pasmo udręki!

W dali setki ognisk rozświetlały wcześniej zapadający zmierzch. Ludzie spali albo zakładali się, co przyniesie jutrzejszy dzień: walkę czy kapitulację.

W miarę jak spacerowałem, napięcie powoli ustępowało, zacząłem nabierać otuchy.

Pomyślałem sobie, że jeśli powędruję w pobliże murów, to może zobaczę Emilie.

Choćby przez sekundę, gdy będę w okolicach bramy. Nadzieja, że ujrzę jej uroczą twarz, polepszyła mi nastrój.

Westchnąłem, patrząc na potężne mury. W tym momencie czyjeś silne ramię opasało mi szyję. Walczyłem o oddech, lecz ramię zacisnęło się mocniej. Poczułem na plecach ostrze noża.

–Nie ruszaj się, błźnie – wysyczał czyjś głos nad moim uchem.

–Musisz być odważny, skoro wybrałeś takie miejsce dla dokonania morderstwa.

Wystarczy, że krzyknę, a staniesz się mięsem dla psów.

–Jeśli krzykniesz, stracisz kogoś bardzo drogiego, niedźwiedziobójco.

Powoli się odwróciłem. Ujrzałem przed sobą Maura wiernego sługę Anne.

–Co tu robisz, Maurze? Twoja pani nie jest moją przyjaciółką, Również ty nie jesteś tu mile widziany.

–Przynoszę wiadomość – odparł. – Wysłuchaj jej, nic więcej.

–Miewałem już wiadomości od twojej pani, a tymczasem moja żona umarła w jej więzieniu.

–Ta, którą przynoszę, nie jest od mojej pani – oświadczył z uśmiechem Maur – lecz od twojej. Od Emilie. Prosi cię, żebyś w nocy ze mną przyszedł.

Powiedziałem jej, że żaden zdrowy na umyśle człowiek nie wróci ze mną za te mury. Prosiła, żebym ci powtórzył: „Na razie tak jest, ale kiedyś będzie inaczej”.

Po usłyszeniu tego zabrakło mi tchu. Stała mi przed oczami Emilie... jej głos... owego dnia, gdy w kostiumie błazna wyruszałem do Treille. Poczułem się pokrzepiony wspomnieniem odwagi w jej iskrzących oczach.

–Nie ciesz się zbyt wcześnie – ostrzegł Maur. – Jeszcze daleko do jej uratowania. Wybierz dwóch ludzi. Najlepszych. Takich, co pójdą za tobą na śmierć. Potem wejdziemy do zamku. Do roboty!

## ROZDZIAŁ 146

Wybrałem Odonę i Woła. Kogóż innego mógłbym wziąć na taką wyprawę? Byli najodważniejsi i mieli do mnie absolutne zaufanie.

Około północy wymknęliśmy się niepostrzeżenie z obozu do lasu, po czym poszliśmy wzdłuż rzeki do miejsca, w którym zbliżała się do murów z dala od głównej bramy.

W mroku widać było kontury ogromnej katedry oświetlone ogniskami wartowników.

Słysząc było nawet głosy ludzi Stephana, czuwających na murach.

Szliśmy wzdłuż rzeki, zbliżając się do części miasta, której nie znałem.

Przebrnęliśmy rzekę w płytkim miejscu, do którego Maur nas doprowadził.

Skradając się wzdłuż murów, dotarliśmy do miejsca, które przypominało występ skalny, wysoki na wiele pięter. W ścianie były wykute wąskie okienka. Nie miałem pojęcia, gdzie jesteśmy.

Maur wdrapał się po ścianie do jednego z wąskich okienek i zaskrobał w ramę. W odpowiedzi usłyszeliśmy szept:

–Kto tam? Głupi czy król?

–Gdyby głupcy nosili korony, wszyscy bylibyśmy królami – odparł Maur ze swoim cudzoziemskim akcentem. – Wpuść nas prędko, bo inaczej jutro zawiśniemy na haku.

Po krótkiej chwili fragmenty skały zaczęły się przesuwać. Wąskie okienko stopniowo się powiększało, odsłaniając wejście do tunelu.

–Ki diabeł? – spytałem. – Czemu to ma służyć?

–La porte du jou – odparł Maur, ponaglając nas, żebyśmy jak najprędzej weszli.

Furtka głupich. – Tunel został wydrążony w czasie wojen z Andegawenią jako droga ucieczki, lecz Andegaweni w jakiś sposób się o nim dowiedzieli i zaczęli się u jego wylotu. Zamordowali wszystkich, którzy z niego wyszli. Wszystkich, którzy weń weszli, uznano za głupków. Myślę, że rozumiecie przesłanie.

–Bardzo pokrzepiające. – Odo przełknął nerwowo ślinę.

–Przykro mi – rzekł Maur. – Zaproponowałbym główną bramę, ale ci wszyscy z wielkimi mieczami, w zielono – złotych strojach, którzy jej pilnują, mogliby nas nie polubić. – Popchnął Odonę w stronę wejścia.

Schyleni weszliśmy po kolei do otworu. Przed nami zamajaczyło słabe światło.

–Pospieszcie się – usłyszałem z przodu czyjś głos. Nie wiedziałem, gdzie jestem ani kto na nas czeka. Modliłem się, żeby to nie była zasadzka.

Tunel był krótki, najwyżej na szerokość budynku. Znaleźliśmy się w pomieszczeniu oświetlonym pochodnią, czyjeś ręce pomagały nam, gdy wyskakiwaliśmy z otworu.

Ręce należały do mężczyzny z białą brodą, w ciemnoniebieskiej szacie.

Poznałem go od razu. To był Auguste – medyk, który mnie kurował po mojej walce z niedźwiedziem. Znaleźliśmy się w wielkiej sali, gdzie na matach leżeli dogorywający, inni, w większości półnaczy, opierali się o kamienne ściany.

Auguste zaprowadził nas korytarzem do przyległego, dużego pomieszczenia. To

był jego gabinet. Przy wszystkich ścianach stały półki, pełne ciężkich zwojów manuskryptów.

Ledwie zdążyłem podziękować medykowi za pomoc, gdy zniknął, zamykając nas wewnątrz. Serce biło mi niespokojnie.

–Co teraz? – spytałem Maura.

–Teraz należy się pomodlić, żeby twoja święta włócznia miała choć część przypisywanej jej mocy... jeśli chcesz uratować życie kobiety, którą kochasz – odezwał się głos z mroku.

Z ciemnego kąta wyłoniła się zakapturzona postać. Poznawszy ją, przez chwilę nie wiedziałem, czy się uklonić, czy wyciągnąć nóż.

Miałem przed sobą księżną Anne.

## CZĘŚĆ 6

### OSTATECZNE PRAWA

#### ROZDZIAŁ 147

Na zamku ponuro bił bęben.

Wokół dziedzińca zaczął się gromadzić tłum zatrwożonych ludzi, którzy chcieli zobaczyć widowisko. Zwykle gdy wieszano złodzieja lub mordercę, ludzie szli jak na ucztę, śmiejąc się i plotkując. Uliczni handlarze sprzedawali ciasteczka i świece, dzieci bawiły się w chowanego wśród tłumu, przepychając się do pierwszego rzędu, z którego można było szydzić lub pluć.

Tym razem nastrój był inny. Wszyscy wiedzieli, iż będą świadkami czegoś niezwykłego, czego jeszcze nigdy nie widzieli.

Skazańcem był szlachetnie urodzony.

Kobieta!

Siedziałem skulony we wnęce, którą mi wyszukał Maur, wysoko nad dziedzińcem. W tłumie w pobliżu szubienicy spostrzegłem Odonę. Wół, niosąc na ramionach pałąk z dwoma kubłami, zmierzał w stronę głównej bramy.

Rozstawieni na murach żołnierze mieli bronić miasta w razie ataku buntowników.

Na dziedzińcu płonął stos, przeznaczony do spalenia ciała Emilie po jej śmierci.

Płomienie huczały w wirujących podmuchach wiatru.

Fanfara na rogach przerwała trwożną ciszę. W tłumie rozległy się szepty.

Nadszedł czas! Drzwi baszty otworzyły się, po czym wymaszerował z nich oddział zbrojnych, prowadzących Emilie.

–To ona! – ktoś wrzasnął.

–Módl się, panienko – załkała jedna z kobiet. – Niebo jest niezmierzone. Jeśli Bóg przewidział w nim miejsce dla nas, znajdzie i dla ciebie.

Serce waliło mi jak oszałałe, gdy po tak długiej rozłące ujrzałem Emilie.

Miała na sobie prostą, bawełnianą koszulę i chustę, szczelnie owijającą ramiona.

Jasne włosy, spięte z tyłu głowy, oplatały jej szyję. Nie sprawiała wrażenia osoby wysoko urodzonej. Szła wyprostowana, śmiało patrząc przed siebie.

Modliłem się, żeby na mnie spojrzała. Chciałem do niej krzyknąć, dać jej jakiś znak, że jestem blisko. Bęben znów się odezwał. Tłum ucichł. – Puśćcie ją – ktoś zawołał. – Nie zrobiła nikomu krzywdy. Emilie na moment przystanąła. Na jej twarzy ukazał się miły uśmiech, lecz postępujący za nią żołnierz popchnął ją w kierunku szafotu.

Wrzeszczano, domagając się darowania jej życia, nawet kat w masce pomógł jej wejść po schodkach i poprowadził pod pętlę. Wiedziałem, jak musi się bać, jak łomocze serce w jej piersi. Spojrzałem na Odonę: poczekaj! Taki sam znak dałem Wołowi. Musiałem się pohamować, żeby nie wyjść z ukrycia i nie krzyknąć: Jestem przy tobie!

Znów odezwały się rogi – tym razem zagrały fanfarę na Wejście księcia. Z wrót zamku wyłonił się Stephan w towarzystwie swoich zauszników: poborcy i szambelana. Poborca rozwinął pergamin i zaczął czytać:

–„Zgodnie z prawami księstwa Boree, usankcjonowanymi przez arcybiskupa

diecezji i Stolicę Apostolską, uznaje się wszystkich udzielających pomocy heretyckim buntownikom lub im sprzyjającym za winnych zdrady księstwa oraz Kościoła i skazuje na śmierć przez powieszenie, ich zwłoki zostaną spalone na stosie”.

–Pozwólcie jej żyć! – krzyknął ktoś spośród tłumu. – To Stephan powinien zawisnąć.

Stephan poczerwieniał.

–Gdzie twój błazen, pani? – Wstąpił na szubienicę i przemówił do wszystkich: – Dostał szansę ocalenia jej i oszczędzenia miastu rozlewu krwi, ale się nie pojawił. Emilie, tylko kobiety bez charakteru mogą cię usprawiedliwiać.

–Usprawiedliwiają mnie twoje czyny – odparła Emilie. – Modlę się, żeby nie przyszedł.

Zmrużył oczy.

–Poczekamy jeszcze chwilę, ale nie dłużej.

Odo popatrzył na mnie. Teraz! – mówił jego wzrok. Nadal nie dawałem mu sygnału.

Nagle obserwator na murach krzyknął: – Książę, armia błazna maszeruje w naszą stronę. Mają opuszczoną broń. Poddają się! Stephan się rozchmurzył.

–Upewnij się. Poddają się czy atakują? Nie dajmy się nabrać. – On ma rację – potwierdził stojący na wałach kasztelan – Opuścili chorągwie. Poddają się.

Prowadzi ich błazen. Widziałem z kryjówki zbliżające się szeregi moich ludzi.

Na ich czele, w kraciastej tunice, kroczył Alphonse. Broń nieśli opuszczoną.

–Głupota tego błazna bawi nawet mnie. – Stephan uśmiechnął się z pogardą, wchodząc po stopniach na parapet murów i wyglądając na przedpole. – Poświęca wszystko dla kobiety. Co za rycerskość! Chodź, błaznie! – zawołał. – Otwieramy bramę. Chcę ci coś pokazać.

Na jego znak dwaj żołnierze podciągnęli ciężką metalową kratę. W tym samym momencie wydał rozkaz:

–Kacie, załóż pętlę!

W tłumie rozległy się stłumione okrzyki protestu. Zanosiło się na coś haniebnego. Zakapturzony kat ustawił Emilie na zapadni i założył jej pętlę na szyję.

–Zawróćcie! – krzyknęła Emilie do moich ludzi, zbliżających się do bramy. Kat nasunął jej na głowę czarny kaptur. – Nie przychodź, Hugues, błagam cię. Wracaj! Stephan roześmiał się na całe gardło.

–Przykro mi, że zawiodłaś się, pani. Zgadzam się z opinią o nim: jest rewelacyjnym głupkiem.

Nie potrafiłem się dłużej powstrzymać. Spojrzałem na stojącego w tłumie Odonę i na Woła, który kręcił się przy bramie. Maur siedział zaczajony na balkonie po przeciwległej stronie dziedzińca.

Dałem im znak. Zaczynamy!

W tym momencie Stephan krzyknął:

–To nie on! – Wychylił się przez mur, patrząc wytrzeszczonymi oczami. – To podstęp! Nie ma wśród nich błazna! Zamknąć bramę!

## ROZDZIAŁ 148

Strzała Maura świsnęła nad placem i utkwiała w plecach żołnierza, który usiłował zamknąć wrota. Trafiony padł na kolana.

Wół odrzucił pałąk z kubłami i drągiem zablokował koło opuszczające kratę. Wbił nóż w plecy drugiego zbrojnego, który próbował ją zamknąć.

Chmara moich ludzi z Alphonse'em na czele wtargnęła do wnętrza twierdzy. Obrońcy strzelali do nich, lecz wkrótce zostali zmuszeni do walki wręcz z przeważającym liczebnie przeciwnikiem.

Stephan zeskoczył z parapetu murów i pobiegł w stronę szafotu.

–Gdzie twój błazen? – spytał Emilie. – Pozwala ci umrzeć? Nie przyszedł ci na ratunek?

Dał znak katu, lecz w tym samym momencie Odo przedarł się przez strażników i wbił nóż w brzuch oprawcy, strącając go z szafotu, po czym podbiegł do Emilie.

–Jak widzisz, przyszedł, Stephanie – zawołałem. Pokazałem mu włócznie. Nasze spojrzenia się zetknęły. – Jestem tutaj, książę. Norbert powiedział mi, że na twoim dworze jest wolna posada błazna.

Wyraz twarzy Stephana się zmienił. Radość ze zwycięstwa ustąpiła miejsca wściekłości.

–Łapać go! – wrzasnął. – Dam sto sztuk złota temu, kto mi przyniesie włócznie. Pięćset!

Jego strażnicy ruszyli ku mnie. Podniosłem włócznie.

–Rzuciłeś mojego syna w ogień – powiedziałem, patrząc mu w oczy. – Masz, weź ją sobie!

Cisnąłem ją z całej siły w środek płonącego stosu. Ku przerażeniu wszystkich obecnych wbiła się mocno i momentalnie ogarnęły ją płomienie.

–Nie...! – wrzasnął Stephan.

Rzucił się do stosu i szarpał jak oszalały palące się gałęzie i szczapy.

Płomienie parzyły mu skórę, mimo to ciskał polanami we włócznie, próbując ją przesunąć, musiał się jednak cofnąć, gdyż nie mógł wytrzymać straszego żaru.

Patrzył na tkwiącą w środku ognia włócznie – rozżarzoną do czerwoności, coraz bardziej tracącą swój kształt.

Następnie zwrócił się ku mnie. W oczach miał morderczą nienawiść.

–Ty... ty beznadziejny głupcze! – wrzasnął.



## ROZDZIAŁ 149

Stephan biegł po dwa stopnie naraz w górę kamiennych schodów. Wspinał się na moją wysokość z szybkością i zwinnością niezwykłą jak na tak wielkiego mężczyznę. Oczy płonęły mu dzikim ogniem.

Chwyciwszy miecz, zeskoczyłem z parapetu na balkon na piętrze zamku. Jeden z żołnierzy Stephana próbował mnie zatrzymać, lecz nadziałem go na ostrze – w rezultacie spadł z balkonu na dziedziniec.

W zacieklej pogoni za mną księżę przeskoczył na inny parapet, a stamtąd na mój balkon. Dzielilo nas dziesięć kroków.

–Okazało się, że jesteś inteligentny, rudzielcu – rzekł, patrząc na mnie wściekły. – Teraz zobaczymy, czy potrafisz walczyć.

Rzucił się na mnie z podniesionym mieczem. Rozległ się mrozący krew w żyłach szcęk oręża, sparowane uderzenie wstrząsnęło moimi ramionami. Stephan zręcznie obrócił się wokół własnej osi i uchwyciwszy oburącz rękojeść miecza, zadał mi cios w pierś. Ostrze skaleczyło mi bok. Zgiąłem się z bólu.

–No i co, błaznie? – zadrwił. – Myślałem, że masz większe serce do walki.

Przekonasz się, że szlachetne urodzenie to coś więcej niż wtykanie fiuta w cipkę wysoko urodzonej panny. Chciałeś rekompensaty za swoją zasraną żonę i syna?

Zaraz będziesz ją miał!

Natarł na mnie. Po sparowaniu ciosu ostrze miecza znalazło się o włos od mojej szyi. Oczy mu płonęły, gorący oddech owiewał mi twarz.

Resztką sił uderzyłem go kolanem w krocze. Jęknął i zgiął się wpół.

Odepchnąłem go i zadałem cios, który wytrącił mu miecz z ręki. Patrzył rozszerzonymi oczami, jak broń spada w dół z balkonu. Stał przede mną bezbronny, lecz mimo to nadal dyszał z wściekłości. Wskoczył na sąsiedni parapet.

–Zdajesz sobie sprawę, że jeśli pierwszy jej dopadnę, to zginie. – Roześmiał się, przeskoczył na sąsiedni balkon, po czym zniknął we wnętrzu zamku.

Podbiegłem do krawędzi balkonu. Rozglądałem się po dziedzińcu, lecz nie mogłem dostrzec Emilie. Nie było także Odon. Z rozciętego boku płynęła mi krew.

Wbiegłem za Stephanem do wnętrza, spodziewając się ataku z jego strony i walki na śmierć i życie. Znajdowałem się w mieszkalnej części zamku. Psi syn gdzieś przepadł. – Gdzie jesteś? – krzyknąłem w korytarzu. Jedyłą odpowiedzią było echo.

Wpadłem do prywatnych komnat Stephana i Anne. Byłem tu owej nocy, gdy polowałem na Anne po odnalezieniu Sophie w lochu. Rozglądałem się gorączkowo po wszystkich kątach. Obejrzałem swój bok. Na kaftanie powiększała się krwawa plama.

–Gdzie się ukryłeś, Stephanie? – krzyknąłem. – Pokaż się, do diabła, i walcz ze mną!

Usłyszałem jego głos.

–Jeśli mnie szukasz, błaznie, to jestem tu, za tobą. Opowiedz jakiś dowcip.

Wyszedł z rogu komnaty, uśmiechając się złośliwie. W ręku trzymał napiętą kuszę, wycelowaną w moją pierś.

–Możliwe, że – jak raczyłeś zauważyć – brak mi błazna, ale okazało się, że twój zapas sztuczek się wyczerpał.

**Przebiegł mnie dreszcz. Sytuacja była bez wyjścia. Cofnąłem się pod ścianę. I co teraz powiesz? Nasz błaznek nie ma już więcej sztuczek? Marzy mu się szlachetna krew, ale udało mu się jedynie osiąść szlachetnie urodzoną. Mimo wszystko szkoda włóczni – powiedział, szczerząc zęby. – Zgodzisz się ze mną, żono? Żono...? Anne?**

## ROZDZIAŁ 150

Anne wyszła z mroku, chowając się za Stephanem. Nogi się pode mną ugięły. Poczułem pustkę w żołądku.

W rękę trzymała włócznię. Świętą włócznię... nie tę zwykłą, którą teatralnym gestem rzuciłem do ognia. Włócznię, którą jej powierzyłem ostatniej nocy. Zaufałem jej!

–Masz rację, jestem głupim błaznem – powiedziałem, szukając jej spojrzenia. Jak Emilie mogła się tak pomylić w swej ocenie? W jaki sposób ja pozwoliłem się zwieść?

Popatrzyłem na wycelowaną we mnie kuszę i szyderczy uśmieszek Stephana. Po raz pierwszy przestało mi zależeć na życiu.

–Ostatnie słowo, błaznie. – Stephan zachichotał. – Zginiesz jak prostak, bo jesteś prostakiem. Zależało mi jedynie na włóczni. Co byś z nią zrobił? Nie masz pojęcia, jaką ona ma moc. Przeszukałem pół świata, żeby ją zdobyć.

Sprawiedliwy Bóg oddał ją w moje ręce. – Objął palcem spust kuszy.

–Więc weź ją sobie, Stephanie – usłyszałem z tyłu głos Anne.

Raptem zachwiał się, oczy wyszły mu z orbit. Zesztywniałem, spodziewając się, iż lada moment zostanę przewiercony na wylot, lecz bełt nie wystrzelił. Zamiast tego usłyszałem straszliwy odgłos rozdzieranych żeber i ścięgien, syk przewiercanego ciała. Stephan westchnął, chciał coś powiedzieć, lecz zamiast słów z ust buchnął mu potok krwi.

Anne uderzyła ponownie. Tym razem ostrze włóczni przebiło m, u szyję i wyszło pod podbródkiem.

–Weź ją sobie, mężu.

Anne zbliżyła usta do jego ucha i szepnęła: – Pomyśl, jaka bezwartościowa jest teraz; krew Zbawiciela splamiona twoją.

Stephan opuścił wzrok. Spojrzał niedowierzająco na wystające mu z gardła zakrwawione ostrze z rzymskim orłem. W następnym momencie upadł martwy na podłogę. Patrzyłem oniemiały na Anne. Ledwie mnie zauważała. Żadne z nas nie wypowiedziało ani słowa. Po chwili jej spojrzenie straciło na twardości. Kiwnęła głową, jakbyśmy zawarli z sobą nieme porozumienie.

–Myślę, że bezpieczniej będzie utrzymywać – powiedziała – iż gdy owego dnia wyciągnęliśmy cię z rowu, nie przyszło nam do głowy, że tak się cała historia zakończy.

–Z całą pewnością, księżno.

W korytarzu zabrzmiały czyjeś kroki. Do komnaty wpadła zdyszana Emilie. Nasze spojrzenia się spotkały – serce omal nie wyskoczyło mi z piersi z radości.

Popatrzyła na leżącego na podłodze Stephana. Potem na stojącą nad nim Anne. Na końcu znów na mnie – na spływającą po moim boku krew.

Krzyknęła z przestrawieniem:

–Jesteś ranny!

–A ty zawsze przywracasz mnie do zdrowia. Boże, nie masz pojęcia, jakie to uczucie znów cię spotkać.

**–Znam to uczucie – odparła.**

**Podbiegła i mnie objęła. Przycisnąłem ją z całej siły i podniosłem. Całowałem ją jak wariat – to były pocałunki spełnionej nadziei i wdzięczności. Pierwszy raz uświadomiłem sobie, że jest naprawdę moja.**

**Pomyślałem o wszystkim, co się wydarzyło od czasu, gdy wyruszyłem z Veille du Pere na krucjatę. O wszystkich, którzy umarli. Poczułem wilgoć pod powiekami.**

**–Jestem biedakiem, nie mam nawet denara – powiedziałem cicho. – Nie zrobiłem kariery. Jak to możliwe, że czuję się jak najbogatszy człowiek na świecie?**

**Emilie objęła rękami moją dłoń i szepnęła:**

**–Ponieważ jesteś wolny.**

## ROZDZIAŁ 151

Pierwsi opuścili obóz Langwedoci. Wyruszyli następnego dnia, wczesnym rankiem.

Wół zdradził mi, iż w ich stronach istnieje powiedzenie: Nie ma sensu tkwić koło beczki z winem, kiedy zabawa się skończyła.

Zebrali się świtem koło bramy. Załadowali na konie worki z ziarnem, parę świń i trochę kur, które trzepotały przywiązane do siodła. Wstałem wcześniej, żeby im życzyć szczęśliwej podróży.

–Powinniście zostać – powiedziałem. – Anne obiecała zadośćuczynić wszystkim waszym życzeniom. Zasługujecie na znacznie więcej.

–Więcej? Jesteśmy chłopami – odparł Wół. – Czegóż więcej nam trzeba?

Gdybyśmy przywieźli z sobą złote kielichy, ludzie by pomyśleli, że służą do sikania.

–W takim razie weź to. – Poklepawszy go po ramieniu, pokazałem mu złotą płytkę z wygrawerowanym herbem Stephana, którą chciałem mu ofiarować na pamiątkę.

Wół rozejrzał się, po czym schowawszy ją do woreczka przy siodle, roześmiał się.

–Muszę ich zacząć uczyć dobrych manier.

Objąłem go i poklepałem serdecznie po szerokich plecach.

–Jeśli ktoś będzie zgłaszał pretensje do tej włóczni, to daj nam znać. – Mrugnął do mnie, po czym klepnął konia, jednocześnie sygnalizując swoim ludziom, żeby ruszali w drogę. Patrzyłem za nimi, dopóki ostatni nie zniknął za bramą miasta.

Pogrzeb Stephana miał się odbyć później tego dnia. To była ostatnia rzecz, którą miałem do zrobienia.

Kilku moich ludzi wniosło trumnę do katedry. Msza nie była ceremonią na cześć księcia, który poległ w bitwie. W kościele prócz biskupa była tylko Anne, ich syn, Emilie i ja.

Trumna ze zwłokami księcia została zaniesiona do krypty w głębi zamku i umieszczona w marmurowym sarkofagu; W ciemnym, wąskim pomieszczeniu, głęboko pod powierzchnią ziemi, spoczywały szczątki biskupów i członków rodziny królewskiej. Powietrza było tak niewiele, iż ledwie wystarczyło żeby zapalić pochodnię.

Egzekwie były proste i krótkie. Cóż było do powiedzenia?

Że Stephan przehandlował swój honor w imię chciwości żądzy władzy. Że postępował jak bydło w stosunku do własnej żony, a syn był mu obojętny. Że splądrował Ziemię Świętą pchany żądzą zdobycia łupów.

Biskup Boree, ten sam, który nas ekskomunikował, szybko odmawiał liturgię, zerkając cały czas na włócznię. Emilie patrzyła przed siebie, trzymając mnie za rękę. Kiedy biskup skończył, Anne schyliła się nad trumną Stephana i złożyła na jego policzku chłodny pocałunek.

Po zakończeniu Anne z synem wyszli z krypty, biskup zaraz za nimi.

–Zostaw nas przez chwilę samych – poprosiłem Emilie. Spojrzała na mnie, nic nie rozumiejąc.

–Chcę mu coś powiedzieć w imieniu mojej żony i syna. Kiwnęła głową i opuściła

**kryptę. Zostałem sam na sam ze Stephanem.**

**Patrzyłem na jego głęboko osadzone oczy, zagięty, jastrzębi nos. – Jeśli był na świecie największy sukinsyn, to już go nie ma – powiedziałem. – Pozostań na zawsze w piekle, ty ścierwo. – Zamknąłem trumnę.**

**Ważylem w dłoni świętą włócznię, wspominając wszystkich, których życie zmieniło się z jej przyczyny. Pomyślałem, iż może za wiele lat ktoś ją znajdzie. W innych czasach, w których oddadzą jej hołd za to, czym jest w istocie – czymś cudownym, związanym z Bogiem.**

**Byłaś mi doskonałym kosturem. Uśmiechnąłem się. Ale jako relikwia przyniosłaś więcej krwi niż pokoju. Włożyłem włócznię do sarkofagu, po czym nasunąłem na miejsce ciężkie wieko.**

**Stróż krypty, który tymczasem wrócił, czekał na dalsze dyspozycje. Dałem mu znak, że może przystąpić do kontynuowania zajęć. Przyglądałem się temu, co robił, żegnając się z Sophie, Philippe'em i Turkiem z Antiochii, który mnie oszczędził.**

**Sarkofag został zamknięty i wsunięty do kamiennej wnęki w ścianie, do której był idealnie dopasowany. Pozostające Wąskie szczeliny zostały wyrównane zaprawą murarską.**

**Niech włócznia spoczywa w nim do końca świata.**

**Lub dopóki nie stanie się znów potrzebna.**

## ROZDZIAŁ 152

Zaczęły bić dzwony katedry.

Gdy wyszedłem z krypty, przybiegła do mnie podniecona Emilie.

–Mamy gości, Hugues. Przybył arcybiskup Velloux. Jest przed bramą.

–Velloux...? – Nazwisko nic mi nie mówiło.

–Z Paryża.

Paryż! Nie wiedziałem, czy to dobra wiadomość, czy zła.

Kościół nas wyklął. Gdyby utrzymał ekskomunikę, wszystko, o co walczyłem, zostałyby bezpowrotnie stracone. Niezależnie od tego, co przyrzekała naprawić Anne, bez protekcji Kościoła byliśmy wyrzutkami.

Pokuśtykałem na dziedziniec. Stali tam już Anne i biskup Barthelmy. Z różnych stron schodzili się moi ludzie: Odo, Georges, Alphonse, ojciec Leo... Ustawili się w krąg wokół dziedzińca.

Arcybiskup Paryża! Zanosilo się na coś upokarzającego.

Kiedy krata powędrowała w górę, na dziedziniec wjechała dwójkami kolumna konnych w karmazynowych pelerynach na zbrojach. Za nimi, ciągnięty przez sześć silnych rumaków, bogato zdobiony powóz, na którego drzwiczkach widniał krzyż Rzymu, insygnium Stolicy Apostolskiej. Serce omal nie wyskoczyło mi z piersi. Emilie uścisnęła moją dłoń. – Mam dobre przeczucie – szepnęła.

Jakże chciałem podzielać jej optymizm!

Dowódca straży arcybiskupa zeskoczył z konia i przystawił do powozu stołek. Po otwarciu drzwiczek najpierw wysiedli dwaj duchowni w szkarłatnych piuskach, a chwilę po nich arcybiskup, odziany w karmazynową szatę i z wielkim złotym krzyżem na szyi. Miał około sześćdziesięciu lat i mocno przerzedzone siwe włosy.

–Wasza eminencjo... – zaczął biskup Barthelmy. On i jego księża przyklękli na jedno kolano. Z wolna wszyscy zrobili to samo. – To dla nas wielki zaszczyt. Mam nadzieję, że podróż nie była wyczerpująca.

–Nie byłaby wyczerpująca – odparł szorstko arcybiskup – gdy nie to, że przedtem, za twoją namową, udaliśmy się do Treille, spodziewając się znaleźć tam „heretyków i złodziei”, a tymczasem zastaliśmy spokój i porządek. Natomiast, o dziwo, nie było tam księcia. Powiedziano mi, że była bitwa.

–Była, wasza eminencjo.

–Cóż, jesteś nie do zdarcia, Barthelmy – zauważył arcybiskup. – Widzę, że kościół nadal funkcjonuje. Powiedz mi, gdzie są te budzące postrach zagubione dusze.

–Są tu – odparł biskup, wskazując moich ludzi. – I tu. – Wskazał palcem na mnie.

Arcybiskup przyjrzał się nam uważnie.

–Jak na odszczepieńców i heretyków ci ludzie wyglądają nad wyraz pocziwie.

Biskup zbladł. Wokół placu dały się słyszeć chichoty.

–Książę myślał...

–Książę myślał – przerwał mu Velloux – tak samo jak i ty, iż można wykorzystać autorytet Kościoła do załatwienia osobistych interesów.

Obręcz na piersi, którą czułem od chwili przyjazdu arcybiskupa, trochę się rozluźniła.

**–Wasza eminencjo. – Anne uklęła przed arcybiskupem. – Twoja obecność jest dla nas zaszczytem, jednak są sprawy należące do ustawodawstwa świeckiego, które należy załatwić.**

**–Od tego ja tu jestem, moja droga – zabrzmiał czyjś głos.**

**Z powozu wynurzyła się dostojna postać, odziana w purpurowy płaszcz wyszywany złotymi liliami. Żołnierze eskorty przyklękli.**

**–Jego wysokość! – wykrzyknęła Anne. Zbladła, lecz natychmiast wstała i patrząc w ziemię, złożyła ceremonialny ukłon. W tłumie rozległy się gorączkowe szepty. Powtarzano słowo, którego nigdy bym się nie spodziewał.**

**–Król...**

**Wszyscy na placu przyklękli. Król! Odpowiedział na moje wezwanie. Mrugałem powiekami, chcąc się upewnić, że nie śnię.**

**W tym momencie usłyszałem coś, co mnie jeszcze bardziej zdumiało.**

**Ojcze! – zawołała Emilie.**



## ROZDZIAŁ 153

Ojcze! Czy dobrze usłyszałem? Znieruchomiałem, wiedząc, że muszę głupio wyglądać z otwartymi ustami.

Oczy króla spoczęły na Emilie. Z wyrazu jego twarzy trudno było odczytać, czy był ucieszony, czy niezadowolony.

–Czy twoja nieobecność na dworze sprawiła, że zapomniałaś o etykiecie?

–Nie, mój panie – odparła Emilie. Uklękła i spuściła oczy, następnie podniosła je, mrugając zabawnie powiekami. – Ojcze... – Wypuściła powietrze z płuc i uśmiechnęła się.

–Teraz lepiej. – Dał znak, żebyśmy się podnieśli. – Gdzie jest ten obłąkany głupiec, który – jak mi doniesiono – jest odpowiedzialny za te zamieszki?

Emilie podbiegła do mnie i chwyciła mnie za ramię.

–Zostałeś wprowadzony w błąd, ojcze. To nie Hugues jest odpowiedzialny, lecz...

–Cicho – przerwał jej król, podnosząc głos. – Mówię o Stephanie, ponoć księżciu, nie o twoim ekskomunikowanym błaznie.

Emilie się zaczerwieniła. Uśmiechnęła się płochliwie, oczy jej zawilgotniały.

Ujęła mnie za rękę.

–Książę nie żyje, wasza wysokość – powiedziała Anne. – Umarł z własnej ręki, nie mogąc znieść hańby.

–Z własnej ręki... – Król spojrzał na arcybiskupa i chrząknął. – Skoro tak, to w następstwie swego czynu sam się pozbawił bożej łaski. Reszta heretyków – tu zwrócił się do moich ludzi – zostaje przywrócona na łono Kościoła. Zwracam wam dusze w imieniu arcybiskupa Velloux.

Rozległy się radosne okrzyki i wivaty. Ludzie podnosili zaciśnięte pięści i padali sobie w ramiona.

–Co do ciebie, błaznie... – król zwrócił się do mnie – postawiłeś żądania, które wprowadziłyby zamęt w połowie kraju... gdybym je spełnił.

–Tonie są żądania, wasza wysokość. – Ukłoniłem się. – Prosimy jedynie o prawo do spokojnego powrotu do domu i o kilka zasad prawnych wynagradzających wyrządzone nam krzywdy.

Król wziął głęboki oddech. Bałem się, że wpadnie w gniew, tymczasem widać było, że się odprężył.

–Moja córka od lat mnie o to męczy... Może rzeczywiście już czas.

Rozległy się wivaty, lecz król podniósł rękę, nakazując ciszę.

–Nie da się zaprzeczyć, iż powstaliście przeciw swoim panom, którym przysięgaliście posłuszeństwo. Prawo dotyczące seniora i poddanego jest niepodważalne, należy jednak przestrzegać jego sprawiedliwego stosowania.

Emilie popchnęła mnie do przodu. Ukląknę przed królem.

–Trzeba cię będzie nauczyć manier – powiedział.

–Byłem żonglerem i karczmarzem, wasza wysokość. Nie ma osoby dalszej od szlachetnego urodzenia niż ja.

–Mimo to musisz się ich nauczyć... – król podniósł znacząco brwi – jeśli masz zamiar ożenić się z moją córką.

**Powoli unosiłem głowę, nie mogąc uwierzyć swojemu szczęściu.**

**Emilie wydała cichy okrzyk radości.**

**–Ojczy!**

**Podniosła mnie z klęczek, po czym podbiegła do króla i wbrew etykiecie zarzuciła mu ręce na szyję.**

**–Wiem, wiem. Głupców można spotkać wszędzie, nawet wśród tych, którzy noszą koronę. Przedtem jednak chcę zamienić słówko z twoim wybrańcem.**

**–Podszedł do mnie i przez chwilę mi się przyglądał. Potem objął mnie ramieniem i odprowadził na bok. Miałem wrażenie, że chce mi udzielić nagany.**

**–Wiem, że Emilie jest twoją dłużniczką, synu. Mimo to nie miej mi za złe, że cię o coś spytam: w twoim liście wspomniałeś o jakiejś włóczni?**

**Wzięłem głęboki oddech, po czym powiedziałem:**

**–Już nie istnieje, wasza wysokość. Wpadła do ognia podczas bitwy. Obawiam się, że nic z niej nie zostało.**

**Krół westchnął.**

**–Jesteś tego pewny, chłopcze? Czy to była włócznia, która przebiła bok Zbawiciela? Taka relikwia byłaby więcej warta niż moja korona.**

**–Jestem pewny tylko tego, że przyniosła najcudowniejszy obrót spraw.**

**Rozejrzyj się wokół siebie, najjaśniejszy panie.**

**Krół potoczył wzrokiem po ożywionych ludziach, po wilgotnych z radości oczach córki – po czym pokiwał głową ze zrozumieniem.**

**–Jaki to byłby skarb... – powiedział z zadumą. – Ale może dobrze, że tak się stało. Wiem z doświadczenia, iż takie rzeczy lepiej zostawić w sferze legend i mitów.**

## EPILOG

–Dziadku!

Jean, mój mały wnuczek, przyszedł do mnie do ogrodu. Był słoneczny ranek ostatnich dni lata. Właśnie wróciłem ze wzgórz z naręczem słoneczników, co zwykle robiłem każdego letniego ranka, choć wspinanie się do miejsca, gdzie rosły, sprawiało mi coraz większą trudność.

Jean, pięcioletni syn mojej córki, Sophie, rzucił mi się w ramiona z takim impetem, że omal mnie nie przewrócił. Wskazał na herb z szachownicą, wiszący nad wejściem do naszego zajazdu. (Zajazd był oczywiście nieco większy niż ten sprzed lat. Byliśmy teraz właścicielami czwartej części ziemi, która niegdyś należała do Baldwina. Małżeństwo z córką króla daje takie efekty).

–Mama powiedziała, że opowiesz mi, skąd się wziął nasz herb. Podobno byłeś kiedyś błaznem.

–Tak powiedziała? – Udałem zaskoczenie. – Skoro tak, to widocznie taka jest prawda.

–Pokaż mi – nalegał Jean. Jego niebieskie oczy płonęły z ciekawości.

–Pokazać ci? – Wziąłem go za rękę. – Musisz przedtem wysłuchać całej historii.

Zaprowadziłem go na ławeczkę obok grobu Sophie i Philippe'a, skąd było widać miasteczko – niegdyś wioskę – w którym mieszkaliśmy od czterdziestu lat. Wokół nas rozciągały się pola słoneczników.

Zacząłem opowieść od czasu, gdy całym moim majątkiem była mała karczma. Przez wieś przeszła wtedy armia, prowadzona przez proroka.

Opowiedziałem mu o bliskich i dalekich bitwach – i o najświętszej na świecie relikwii, którą przez pewien czas trzymałem w rękach. O walce ludzi o wolność przed czterdziestu laty.

Mój jasnowłosy wnuczek słuchał z zapartym tchem.

–To ty, dziadku? Dokonałeś tylu rzeczy?

–Ja i Odo, i Alphonse. Wujek Odo był wtedy wiejskim kowalem, a nie naszym podkomorzym.

–Sprawdźmy, to. – Zmrużył oko, jakby myślał, że go nabieram. – Pokaż, czego się nauczyłeś.

–Czego się nauczyłem? – Dotknąłem jego piegowatego noska. Przyszedł mi do głowy pomysł. Podniósłszy się z ławki, mrugnąłem doń porozumiewawczo, jakbym chciał powiedzieć: Niech to będzie nasza wspólna tajemnica. Cokolwiek się zdarzy, nie mów o tym babci.

Wciągnąłem brzuch i wstrzymałem oddech. Nie robiłem tego od trzydziestu lat.

Przykucnąłem nisko, prosząc Boga, żebym się nie zabił. – Uważaj!

Zrobiłem salto w przód. W nieskończenie krótkim ułamku sekundy ujrzałem twarze najbliższych, którzy już nie żyli: Sophie, Norberta, Nica i Roberta. A także Turka. Skoczyłem dla nich wszystkich. Ostatni raz.

Wylądowałem na nogach z głuchym łomotem. Miałem wrażenie, że zagrzechotały mi wszystkie kości. Udało mi się! Byłem nadal w jednym kawałku. Norbert byłby ze mnie dumny!

**Spojrzałem na Jeana. Oczy mu się świeciły jak dwa słońca: zobaczyłem w nich moją piękną Emilie. Zaczął się śmiać – szczerym, dziecięcym śmiechem, perlistym jak woda w strumyku. Zaparło mi dech w piersi, gdy na niego patrzyłem. Śmiech!**

**Najmilszy dźwięk na świecie.**

**–Tego się nauczyłem. – Poglaskałem jasne, długie włosy wnuka i uśmiechnąłem się. – Żeby sprawiać ludziom radość. Stąd się wziął nasz herb. To wszystko.**

**Wziąłem go za rączkę i zaprowadziłem z powrotem do zajazdu. Emilie, moja królowa, czekała na mnie. W palenisku huczał ogień.**

**A ja miałem dla niej słoneczniki.**

## **MATERIAŁY ŹRÓDŁOWE**

Tło akcji powieści i charakterystyki występujących w niej postaci zostały oparte na następujących materiałach na temat wojen krzyżowych i wieków średnich:

**Karen Armstrong: Holy War: The Crusades and Their Impact on Today's World. Nowy Jork, Anchor Books, 2001.**

**W. B. Bartlett: God Wills It An Illustrated History of the Crusades. Gloucestershire, Sutton Publishing, 2000.**

**Morris Bishop: The Middle Ages. Boston, Houghton Mifflin, 1968.**

**Norman F. Cantor: The Medieval Reader. Nowy Jork, Harper Collins, 1994.**

**Zawiera oryginalny tekst pieśni o Rolandzie, wiersze bardów, tekst Wielkiej Karty Wolności, a także fragmenty dzieł Wilhelma z Tyru, Piotra Abelarda, św. Ambrożego, św. Grzegorza z Tours, Marie de France, Bernarda Gui.**

**Norman Cohn: The Pursuit of the Millennium. Nowy Jork, Oxford University Press, 1974.**

**Evans Connell: Deus lo Volt! Chronicle of the Crusades. Nowy Jork, Counterpoint Press, 2000.**

**Hans Werner Goetz: Life in the Middle Ages: From the Seventh to the Thirteenth Century. Tłumaczenie Alberta Wimmera. Notre Dame, Indiana, University of Notre Dame Press, 1993.**

**George Holmes: The Oxford Illustrated History of Medieval Europe. Nowy Jork, Oxford University Press, 1988.**

**Maurice Keen, wydawca: Medieval Warfare: A History. Nowy Jork, Oxford University Press, 1999.**

**Angus Konstam: Atlas of Medieval Europe. Nowy Jork, Checkmark Books, 2000.**

**Robert Lacey i Danny Danziger: The Year 1000. Nowy Jork, Little, Brown and Co., 1999.**

**Emmanuel Le Roy Ladurie: Montaillou: The Promised Land of Error. Nowy Jork, Vintage Books, 1979.**

**Piers Paul Read: The Templars. Nowy Jork, St. Martin's Press, 1999.**

**Barbara Tuchman: A Distant Mirror: The Calamitous 14th Century. Nowy Jork, Ballantine Books, 1978. (Wyd. polskie Odległe zwierciadło, Książnica, Katowice 1993).**

**Geoffroi de Villehardouin: Memoirs of the Crusades. Londyn, Penguin Books, 1963.**

## PODZIĘKOWANIA AUTORÓW

Oświadczamy, że Krzyżowiec jest w całości wytworem fantazji, przeznaczonym do zabawienia czytelników, więc choć przykładaliśmy szczególną troskę do zgodności szczegółów i faktów z prawdą historyczną, niektóre wątki zostały dodane lub podkolorowane dla dobra opowieści.

Dziękujemy H. D. Millerowi z Uniwersytetu Yale za jego naukową korektę manuskryptu, na szczęście zachował warstwę anegdotyczną, oraz Mary Jordan, który przez cały czas dbała o prawidłową linię fabuły.

Szczególne podziękowania składamy Sue i Lynn, których ciepło, pogoda i entuzjazm znalazły odzwierciedlenie na wielu stronach tej książki. I naszym dzieciom, Kristen i Mattowi oraz Nickowi i Jackowi, w nadziei, że śmiech nigdy nie przestanie być najlepszym towarzyszem ich życia.

## **SPIS TREŚCI**

TOC \o "1-2" \h \z <a href="#">PROLOG ODKRYCIE. PAGEREF _Toc203590146 \h 2</a>
<a href="#">08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B02000000080000000E0000005F0054006F00</a>
<a href="#">CZEŚĆ 1 POCZĄTKI HISTORII PAGEREF _Toc203590147 \h 5</a>
<a href="#">08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B02000000080000000E0000005F0054006F00</a>
<a href="#">CZEŚĆ 2 CZARNY KRZYŻ. PAGEREF _Toc203590148 \h 42</a>
<a href="#">08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B02000000080000000E0000005F0054006F00</a>
<a href="#">CZEŚĆ 3 WŚRÓD PRZYJACIÓŁ. PAGEREF _Toc203590149 \h 113</a>
<a href="#">08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B02000000080000000E0000005F0054006F00</a>
<a href="#">CZEŚĆ 4 SKARB... PAGEREF _Toc203590150 \h 149</a>
<a href="#">08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B02000000080000000E0000005F0054006F00</a>
<a href="#">CZEŚĆ 5 OBLĘŻENIE. PAGEREF _Toc203590151 \h 218</a>
<a href="#">08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B02000000080000000E0000005F0054006F00</a>
<a href="#">CZEŚĆ 6 OSTATECZNE PRAWA... PAGEREF _Toc203590152 \h 265</a>
<a href="#">08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B02000000080000000E0000005F0054006F00</a>
<a href="#">EPILOG... PAGEREF _Toc203590153 \h 277</a>
<a href="#">08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B02000000080000000E0000005F0054006F00</a>
<a href="#">MATERIAŁY ŹRÓDŁOWE. PAGEREF _Toc203590154 \h 279</a>
<a href="#">08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B02000000080000000E0000005F0054006F00</a>
<a href="#">PODZIĘKOWANIA AUTORÓW... PAGEREF _Toc203590155 \h 280</a>
<a href="#">08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B02000000080000000E0000005F0054006F00</a>
<a href="#">* <u>Ewangelia wg świętego Jana (19;34), Biblia Tysiąclecia.</u></a>

This file was created with BookDesigner program  
bookdesigner@the-ebook.org  
2010-11-07

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/